NA PRZEŁAJ ŚWIATA. (*)

III. Kanał pomiędzy oceanem Atlantyckim i Spokojnym.

1.

Myśl wybicia kanału w poprzek Ameryki środkowéj, aby połączyć ocean Atlantycki ze Spokojnym, jest nieledwie tak samo dawną jak odkrycie Ameryki. I nie mogło być inaczéj. Toż nie odkrycie nowych, nieznanych krajów, było celem Kolumba, kiedy wybierał się w drogę z Palos, ale wynalezienie krótszéj, wygodniejszéj drogi do żyznych i ludnych krain wschodniéj i południowéj Azyi, do Chin, Japonii i Indyi, chciał on, jak mówił, „odkryć wschód przez zachód.“ Z tego téż powodu trzymał się wielki Genueńczyk tak uporczywie błędnego mniemania, jakoby rzeczywiście dotarł był do brzegów Azyi wschodniéj i plagami zmuszał krajowców do zeznawania, że ich ojczyzna to rzeczywiście Indye, a kiedy nareszcie zaczęła mu dnieć w głowie prawda, wtedy niezadowolony dotychczasowemi odkryciami począł na swéj czwartéj i ostatniéj wyprawie szukać dalszego na zachód przejazdu. Że ten przejazd nie istnieje wykazały niebawem odkrycia Balboy, który 25 września 1513 z wysokości Sierra Kaseka ujrzał pierwszy „Mare del Sur,“ jak je nazwał, późniéj odkrycia Pizarra, Corteza i innych conquistadorów, ale zarazem dowiodły one jasno, jak nieskończenie ważném i korzystném tak dla panowania, jak i dla rozwoju handlu hiszpańskiego byłoby połączenie obydwóch ocea-

(*) Patrz „Ateneum“ za r. 1876, t. III, str. 168.

nów. Długi czas łudzono się wciąż jeszcze nadzieją, że przecięż odnajdzie się jaki przejazd ukryty, i Karol V nie przestawał polecać Kortezowi, aby szukał „el secreto del estrecho.“ Gdy przecięż te nadzieje stanowczo zawiodły, podniósł Kortez śmiałą myśl połączenia oceanów kanałem, który proponował poprowadzić przez przesmyk Tehuantepec, w prowincyach meksykańskich Vera-Cruz i Oahaka, gdzie zatoka Campeche zbliża się na 220 kilometrów do zatoki Tehuantepec, a rzeki Coatsacoalcos i Chicapa do $^1/_3$ części zmniejszają tę odległość.

Przecięż w skarłowaciałych pod ciężkim despotyzmem monarszym i kościelnym Hiszpanach nie było energii, potrzebnéj do wykonania pomysłów dzielniejszego pokolenia i myśl Korteza pozostała niewykonaną. Nawet i po wyswobodzeniu się środkowéj i południowéj Ameryki z pod panowania Hiszpanii nie zmieniło się nic, myśl przebicia przesmyku została wprawdzie kilkakrotnie poruszaną, lecz któraż z owych osławionych republik środkowéj Ameryki, w których anarchia i wojna domowa jest stanem normalnym, mogła na seryo pomyśléć o wykonaniu tak gigantycznego projektu. Nie było na to ani pieniędzy, ani sił roboczych, a ostatecznie własne potrzeby tych nieludnych i chociaż z natury niezmiernie bogatych, ale mało exportujących krajów, nie wymagały wcale lepszych komunikacyj, z centralnemi punktami powszechnego handlu, jak te które istniały dotychczas.

Rzeczy zmieniły się, gdy w r. 1847 Kalifornia stała się częścią Stanów Zjednoczonych. Stanom nadatlantyckim musiało zależéć na wygodnéj komunikacyi z terytoryami nad oceanem Spokojnym leżącemi, do których wprawdzie prowadziła prosta i bliższa droga przez *preryę* i góry Skaliste, ale ta droga była wówczas nadzwyczaj niebezpieczną, bo nietylko hordy Indyan, ale głód, pragnienie, mróz i zawieje śnieżne, słowem wszystkie trwogi pustyni i wyżyn alpejskich, groziły co krok zgubą śmiałemu wędrowcowi. Gdy nadto odkrycie kopalni złota nadało Kalifornii od r. 1848 niesłychane znaczenie i popchnęło do tego nowego Eldorado tysiące emigrantów, stała się kwestya kanału pomiędzy oceanami kwestyą prawdziwie naglącą i od tego czasu projekta podejmujące rozwiązanie téj kwestyi przestały być jak dotąd akademickiemi popisami, a nabrały praktycznego znaczenia. Potrzebie naglącéj trzeba było jednak zadosyć uczynić co prędzéj i dla tego powstała w pierwszych latach po roku 1850 koléj przez przesmyk Panamy, i żegluga parowa po jeziorze Nikaragua, którędy się przez całe dziesięć lat toczył tam dotąd i napowrót potok Argonautów po złote runo kalifornijskie.

Dzisiaj kolej żelazna łączy Nowy York i San Francisco, istnieje zatem szybka i wygodna komunikacya pomiędzy brzegami Atlantyku i Pacyfiku, ale też dzisiaj zmieniły się zupełnie stosunki handlowe i nowe zupełnie potrzeby domagają się nowych dróg, a przedewszystkiem połączenia wodnego pomiędzy wspomnianemi oceanami. Kalifornia nie jest już dzisiaj tylko złotodajną prowincyą, lecz przedewszystkiem rolniczą, której pszenica i mąka musi naokoło przylądka Horna szukać sobie drogi do stanów Nowej Anglii, albo do Europy, gdyż kolej żelazna jest środkiem komunikacyjnym zbyt drogim dla płodów surowych, ciężkich i tanich. Związki handlowe Europy z Chile, Peru, Ecuador potroiły się od lat dwudziestu pięciu, a niesłychanie prawdziwie urósł handel z Azyą wschodnią od czasu, jak Japonia na gwałt poczęła się przerabiać na europejską modłę, a Chiny zostały przymuszone do otworzenia swych portów Europejczykom. Już w r. 1860 dosięgał obrót handlowy pomiędzy Europą i Stanami Zjednoczonemi z jednej, a Japonią, Chinami i wyspami Pacyfiku, z drugiej strony, kolosalnej sumy 2½ miliarda franków, 150000 okrętów, o objętości 18 milionów beczek, było w ruchu. Obecnie ten ruch handlowy prawie się podwoił, a jednocześnie nabrała tem większego znaczenia kwestya kanału przez środkową Amerykę, któryby niepospolicie zbliżył główne emporia handlowe Europy do Chin, Japonii i Australii.

Że to przybliżenie byłoby bardzo znaczne, dowodzi następujące zestawienie odległości: (1)

Odległość w kilometrach.	przez Panama	przez C. Horn	Różnica
Z Nowego Yorku do S. Francisco	8100	23850	15750
„ „ do Jeddo . .	14400	29700	15300
„ „ do Kantonu .	16200	30600	14400
Z Bordeaux do Valparaiso . .	13500	19800	6300
Z Havre do S. Francisco . . .	14400	29250	14850
Z Kadyxu do Manilla	21600	30600	9000
Z Londynu do S. Francisco . .	14850	30600	15750
„ do Jeddo	18900	32400	13500
„ do Kantonu . . .	22500	35600	12600
„ do wysp Sandwich .	14400	27000	12600
„ do Sidney	19800	29700	9900

(1) Canal interocéaniqne sans ecluses ni tunnels. Paris. 1876.

Z Amsterdamu do Jeddo . . .	21600 .	32400 .	10800
Z Petersburga do Sitka . . .	21600 .	36000 .	14400

Weźmy do tego na uwagę, że żaden ocean nie jest tak przydatnym dla żeglugi, jak ocean spokojny, że stałe wiatry na nim wiejące i prądy morskie ułatwiają równie żeglugę z wschodu na zachód, jak i z powrotem, a zrozumiemy, że handel powszechny przez przekopanie przesmyku łączącego obiedwie Ameryki zyskałby nietylko na czasie, ale i na bezpieczeństwie. Ekonomista amerykański Eliah Ward, obliczył że w skutek zbudowania kanału przez środkową Amerykę handel powszechny oszczędziłby opału kosztów asekuracyi, zużycia materyału rocznie do 250 milionów franków. Kontradmirał marynarki Stanów Zjednoczonynych C. H. Davis (1) obliczył tę sumę nawet na 500 milionów franków, lecz chociażby tylko pierwszy obrachunek był prawdziwy, to wystarcza on, aby przedstawił całe przedsiębierstwo jako możliwe i korzystne pod względem finansowym. Inne pytanie, czy natura nie postawiła stanowczych przeszkód połączenia dwóch oceanów.

2.

„W gruncie rzeczy", pisał przed rokiem inżynier francuski p. Drouillet, (2) „najwalniejszą przeszkodą wykopania kanału pomiędzy oceanami przez środkową Amerykę, była dotychczas absolutna prawie nieznajomość tych okolic". Słowa te najzupełniej są prawdziwe. Cząstka ta lądu stałego, jedna z najpiękniejszych i najżyzniejszych, jakie w ogóle istnieją, w której można znaléść klimaty wszystkich stref i wszystkie produkta ziemi, byla do niedawnego czasu bardzo mało znaną. Zaledwie kształty brzegów były dokładnie znane, zato tém mniéj pionowy kształt kraju, podział dolin i gór. Aż do najnowszych czasów (i dzisiaj jeszcze można się czasami spotkać z tém błędném pojęciem w podręcznikach geograficznych i na mapach) trzymano się zupełnie fałszywego wyobrażenia, że całą Amerykę środkową przebiega wzdłuż z północy na południe jedno pasmo nieprzerwanych Kordylierów, stanowiące niby kość pacierzową całego nowego świata, chociaż już Alexander Humboldt, a późniéj w r. 1838 Henryk Berghaus sta-

---

(1) Interoceanic Rail Roads and canals. 1866.

(2) Nouveau projet d'exploration de l'isthme intreroceánique Explorateur. Vol III. 113. 1876.

nowczo potępili to błędne mniemanie. Dopiéro podróże podjęte w ostatnich 25 latach, Scherzera, Moreleta, Belly'ego, expedycye exploracyjne wysłane przez rząd Stanów Zjednoczonych, a przed wszystkiemi innemi podróże i badania monachijskiego profesora Maurycego Wagnera i getyngskiego geologa Karola Seebacha raz na zawsze wyrugowały ten przesąd z geografii.

Wielki istmus, (1) łączący Amerykę północną i południową, zwany zwyczajnie Ameryką środkową, rozciąga się pomie dzy 7^0 a 18^0 szer. półn., i 77^0 a 96^0 zach. dług. gr. i jest 2300 kilometrów długi, a 50 do 400 szeroki. Jego północno zachodnia część obejmuje mexykańskie prowincye Chiapas Tabasco i Jukatan; w środku leżą rzeczpospolite: Guatemala, San Salvador, Honduras, Nikaragua i Costa rica, a nareszcie na południowo-wschodnim krańcu Panama, jeden ze stanów skonfederowanych Nowéj Grenady.

Ogromny ten kraj, 14000 mil kwadratowych rozległy, odgranicza się geologicznie jak najwybitniéj tak od Ameryki północnéj, jak od południowéj. Ze stokiem wyżyny mexykańskiéj w państwie Oahaca kończy się północny kontynent, a zaczyna sie Ameryka Środkowa, która już należy do świata wysp antylskich. Szczegółowy dowód geologiczny jest jeszcze dzisiaj niemożliwy, bo na przestrzeni téj są setki i tysiące mil kwadratowych zupełnie nieznane, ale dotychczasowe badania uprawniają nas do stanowczego twierdzenia, że w okresie plioceniсznym nowszym (pleistocenicznym), który poprzedził obecny okres geologiczny, Ameryka środkowa nie była jeszcze lądem stałym, ale szeregiem wysp rozdzielonych szerokiemi kanałami, przez ktore fale prądu zatokowego płynęły na zachód do oceanu Spokojnego, a nie zwracały się jak dzisiaj przez zatokę mexykańską z powrotem na Atlantyk.

---

(1) cf. *M. Wagner*: Beiträge zu einer physisch geographischen Skizze des Isthmus von Panama. Peterm. Mitth. Ergänzungsheft Nr. 1. Gotha 1861. *K. v. Seebach*: Central America und der interoceanische Canal. Berlin 1873. *K. v. Seebach*: Reise durh Guanacasto. Peterm. Mitth. 1865. *Bernouilli*: Briefe aus Guatemala. Peterm. Mitth. 1868. *Arthur Morelet*: Reisen in Central America. Aus dem franz. von H. Hertz. Jena 1876. *J. A. Lloyd*: Notes respecting the Isthmus of Panama. Journal of the R. Geogr. Society of London. I. 1862. *Kloeden*: Handbuch der Erdkunde. Band III. *K. Andree*: Geographie des Welthandels. Band II p. 665--690. Stuttgart. 1872. Mapy porównać: *Graef*: Mexico nud Centralamerica. *H. Kiepert:* Westindien u. Centralamerica, a przedewsztkiem *Berghaus*: Chart of the World. 7-me wyd. 1873. Na téj wyborne 5 specyalnych kart istmów amerykańskich.

Strome pasma gór, które po większéj części w kierunku z północy-wschodu na południe zachód przecinają Jukatan, Guatemalę i Honduras są dalszym ciągiem gór na wielkich Antyllach się wznoszących. Przylądek S. Antonio, kończący od zachodu Sierra Organos na wyspie Kubie, oddziela tylko miałki, zaledwie 100 mil morskich szeroki kanał od przylądku Catoche na półwyspie Jukatan, i góry na tym półwyspie biegną daléj w tym samym kierunku. Jeszcze lepiéj widoczny związek pomiędzy górami wznoszącemi się na pograniczu Honduras i Guatemali, a głównym grzebieniem gór antylskich, który bieży przez Puerto-Rico i Haiti i na téj ostatniéj dzieli się na dwa ramiona. Południowe przez półwysep Jacmel i Jamaikę łączy się przesmykiem podmorskim, który stanowią mielizny: Ława Pedra, Rosalindy, Seranilla, Gorda, z przylądkiem Gracias a Dios, który stanowi północno-wschodnią kończynę półwyspu Honduras; a północne przebiega południową krawędź Kuby, gdzie wznosi się w Sierra Maestre do 2339 metrów i ciągnie się daléj pod morzem, znacząc swój ślad wyspami: małe i wielkie Caiman, Viciosas, Łabędzie, ławą Misteriosa i znowu wyspami Guanajan, Ruatan, Utila, w głąb zatoki Honduras. Tu od Puerto Caballos i przystani Amatique, na saméj granicy pomiędzy Honduras a Guatemala wznoszą się góry Espiritu Santo, które biegną wzdłuż rzeki Montagna aż do stolicy Guatemala przez Vera Paz, aż do prowincyi Chiapas. Identyczności tych gór ze Sierra Maestre dowodzi nietylko ich kierunek ale i skład geologiczny. Jedne i drugie składają się z granitowéj osi, o którą się oparły równoległe pokłady łupków krystalicznych. Do nich przyległy od północy pokłady wapienia, a daléj, ku północy-zachodowi znajdują się na wyżynie Chiapas wszędzie skamieniałości okresu trzeciorzędowego, a nizina Tabasko, stanowiąca ostatnie ogniwo tego łańcucha, należy niewątpliwie do formacyi nowszego pliocenu. (1) W dolinie rzeki Usumasinta szedł Morelet po warstwach namulonéj ziemi, na których jakby posiane leżały muszle dotąd jeszcze w oceanie żyjące, a na dobitek równoległe pręgi wysoko na skałach świadczyły, jak wysoko sięgał przed stosunkowo niedawnym czasem poziom morza. (2) Nizina ta obejmuje także porzecze rzeki Coatsacoalcos, w którém nie znajdzie nigdzie pasm górskich, tylko odosobnione wzgórza wulkanicznego pochodzenia,

---

(1) Seebach.
(2) Morelet p. 244.

tak zwane „cerros“ z trachitu i dolerytu, wznoszą się na około kociołkowatych dolin, zupełnie tak samo, jak na przesmyku Panamy.

I na południe krystalicznych gór Espiritu Santo znajdują się pokłady wapienne, tylko że niestety państwo Honduras, w którém nieustają nigdy wojny i administracya jest jak najgorszą, jest bardzo mało znane geologicznie. Wiemy przecięż, że w osławioném „Dorado del Olancho“ znajduje się złoto i inne szlachetne kruszce, zatém te skały wybuchowe zawierające kruszce są zapewne trachitami. A na wyżynie *Sensente*, w południowo-zachodnim zakątku, znajduje się węgiel brunatny i zęby mastodona, co dowodzi, że pokłady pochodzą z okresu trzeciorzędowego“ (1). Dwa systemy wodne przerzynają zachodni Honduras i tworzą wklęsłość pomiędzy Sierra Mondecillos od zachodu, a Sierra Sulaco, Misoco i Chili od wschodu. W téj wklęsłości płynie na północ rzeka Ulna z poboczną Itumaja, a na południe rzeka Goascoran: źródła ich prawie męszają się z sobą.

Ogromna wyżyna Guatemali i Hondurasu, wzniesione 5000′ nad poziom morza, zniża się ku brzegom morza Karaibskiego zwolna i łagodnie, przeciwnie po stronie oceanu Spokojnego murem opada. Na wybrzeżu oceanu ciągnie się najpierw wązki, niski pas pokryty zaspami piaszczystemi, a za nim wznosi się stromo wyżyna, na któréj ciągnie się szereg wulkanów na linii przeszło 2000 kilometrów długiéj, od wulkanu Soconusco w Mexyku, do wulkanu de los Votos w Costa-Rica. Jest tych wulkanów 60, a z pomiędzy nich są 22 czynne. Niekiedy dźwignęły się one w jednéj jedynéj linii, to znowu w poprzecznych szeregach, najmłodszy, czynny jeszcze, stoi zawsze na końcu najbliżéj morza. Nie posuwają się te wulkany daléj w promieniach od jednego wspólnego centrum, lecz wzdłuż téj saméj osi i tworzą swemi nasypami grzbiety wulkaniczne, do pasm górskich podobne, których niezwyczajny kształt zadziwia wędrowca, przyzwyczajonego do stożkowatéj postaci Wezuwiusza i Etny. Najpotężniejsze z tych wulkanów są de Agna 3753 m. i de Fuego 4150 m. w Guatemali. W San Salwador zasługuje na szczególniejszą uwagę Izales, który powstał 29 Marca 1793, a obecnie już jest 600 m. wysoki i rośnie wciąż z latami. Nad cudowną zatoką Fonseca wznoszą się jak latarnie morskie, dwa niewymierzone dotąd olbrzymy: Conchagna i Coseguina; na jeziorze Nicaragua Omotepec 1510 m. i Madeira

(1) Seebach — Kloeden.

1516 m.; pomiędzy Nicaragua a jeziorem Managna wulkan Masaja; a nareszcie w Costarica Turialba 3035 m. i Irazu 3328 m., z którego widać obydwa oceany. Wulkany te przyczyniły się bardzo znacznie do zamienienia środkowéj Ameryki z archipelagu w ląd stały. Wyrzucone przez nie strumienie lawy stanowiły kit, który połączył ze sobą górskie krainy, jakiemi są wszystkie starsze geologicznie części Ameryki środkowéj, na których pomiędzy stromo wznoszącemi się górami szumiące i rwące potoki zwalają swe wody w głębokie jary i rozpadliny. Rozległe płaszczyzny zaś, wyżyny i tarasy, które zaległy przestrzenie pomiędzy owemi górskiemi krajami, składają się z wulkanicznego tufu, który powstał w głębokościach morskich.

Północna część państwa Nicaragua, od wybrzeża Moskito do jezior jest potężną wyżyną złożoną z warstw skalistych najstarszych formacyj, z łupków krystalicznych, kwarcytów, dolerytów i starych trachitów. Przeciwnie południowe niewysokie pasmo gór, które się ciągnie nad brzegiem Pacyfiku składa się w części z młodych wulkanicznych tufów i law (1). Pomiędzy obydwoma wyłamana, jak gdyby szeroka brama, wklęsłość jezior Managna i Nicaragua i rzeki S. Juan, która jest, „desaquaderos" tych jezior. Szeroką tą bramą, pisze Seebach, wpada w zimowych miesiącach północno-wschodni passat i szumi nad jeziorem, tak, że groźna burza powstaje na jeziorze i z hukiem rozbijają się spienione fale o brzeg zachodni. Nawet daléj, na ocean Spokojny wdziera się ten prąd powietrzny jako tak zwany „Papagajos." Jezioro Nicaragua 200 kilometrów długie a 45—75 szerokie, leży 128 stóp nad poziomem morza i odpływa do morza Karaibskiego rzeką S. Juan, szeroką od 600—2400 stóp, i głęboką od 2 do 20 stóp, ale zamkniętą dla żeglugi 15 kataraktami, z których cztery są bardzo znaczne i niebezpieczne. Brzegi rzeki, tak samo jak wschodnie brzegi jeziora są błotniste, pokryte nadzwyczaj bujną, rozkładającą się pod wpływem gorąca i deszczu wegetacyą i dla tego nadzwyczajnie niezdrowe. Rzeka Panaloja łączy jezioro Nicaragua z daléj, na północ leżącém jeziorem Managna 156 stóp nad poziom morza wzniesioném. Na północ Managna wznosi się jeszcze teren aż do 205 stóp, ale potém opada zwolna i u stóp wulkanów Momotombo, Clara, Viejo, płynie rzeka Estero Real do zatoki Fonseca.

---

(1) *Kloeden* III, 1122— *Hellwald:* Die Erde und ihre Voelker. Stuttgart, 1877. p. 265.— *Seebach.*

Na południe od Nicaragua leży 4—5000′ wysoka wyżyna Costa-Rica, najeżona wulkanami, nawiedzana częstemi trzęsieniami ziemi, ale najżyzniejsza i najpiękniejsza ze wszystkich krain środkowéj Ameryki. Na atlantyckim brzegu wdziera się głęboko w ląd stały podwójna zatoka: Laguna Chiriqui i Bahia del Amirante, na wybrzeżu oceanu Spokojnego Golfo Dolce i zatoka Nicoya, zdaniem Wagnera (1) piękniejsza od zatoki Genueńskiéj i Neapolitańskiéj. Nawet i na wyniosłéj wyżynie Costa-Rici, wśród mas wybuchowych, które się złożyły na trudno dostępny kraj nie braknie wapieni trzeciorzędowego okresu, w których się znajdują skamieniałe muszle, jakie dzisiaj jeszcze żyją. Tak np. na wschód od zatoki Nicoya, wzdłuż rzeki Rio Grande aż do wysokości 1570 m., na samym rozdziale wód; tak samo nad rzeką Reventaren; zatém od morza do morza widne te ślady dawnego naturalnego kanału. Na stoku Cuesta de los Molejones leżą pokłady piaskowca trzeciorzędowego, upadające od północy-zachodu ku południowschodowi. Seebach przekonał się nadto, że nawet wyżyna Costa-Rici nie jest tak nieprzerwaną, jak to jeszcze sądził Wagner, który pisze, że kanał przez Costa-Rica tylko wtedy byłby możliwy, gdyby równo z poziomem morza został przebity tunel przez 3000′ wysoką kordylierę. W Las Canas, niedaleko zatoki Nicoya, przekonał się Seebach, że góry Cerro de San Jose nie tworzą z wulkanami północnemi jednego pasma, lecz są rozdzielone wklęsłością nie wyższą nad 500 stóp, która prowadzi wygodnie z doliny rzeki Tempisque, uchodzącéj do zatoki Nicoya, do rzeki Frio i San Carlos, pobocznych rzeki San Juan (2).

Świadkowie okresu trzeciorzędowego nie opuszczają nas i przy dalszéj na południe wschód wędrówce. Nad brzegami laguny Chiriqui znajdziemy trzeciorzędowe pokłady węgla, a na wyżynie Veraguas znajduje się skamieniałe drzewo w takiéj obfitości, że miasto Santiago jest brukowane niém. Pomiędzy 600—1000 metrów wyniosłą kordylierą w Veraguas a kordylierą w Chepo jest około 75 kilometrów szeroka przerwa, w najwyższym swym punkcie nie przechodząca 262, 4 stóp i jednocześnie najwęższe miejsce międzyamerykańskiego istmu: szeroki przesmyk panamski.

---

(1) *Moritz Wagner:* Naturwissenschaftliche Reisen im tropischen America— Stuttgart 1870.

(1) K. v. Seebach: Reise durch Guanacasto, Peterm. Mittl. 1868.

Przesmyk ten został z polecenia rządu bawarskiego jak najdokładniéj zbadany przez Maurycego Wagnera w r. 1857 i 58. Wagner nie znalazł we wspomnianym 10 milowym pasie nigdzie granitu, syenitu, porfiru, łupków krystalicznych, które charakteryzują sierrę ciągłą. Nie ma w ogóle ciągłego pasma gór, tylko 300—600 stóp wysokie Cerros, przypominające swym kształtem głowy cukru, ugrupowane często kolisto. W bliskości Chagres i Chowera okolica staje się zupełnie płaską, nawet nie widać tych pagórków. Daléj ku wschodowi poczynają się znowu te pagorki, łączą się i tworzą nareszcie pasmo od Porto Bello do Mandingo Bai, gdzie nowa przerwa. Nie ma nigdzie kraterów, ani strumieni lawy, warstw lapilli i t. p., ale nie braknie tufów i podmorskich utworów wulkanicznych. Że ten przesmyk w geologicznie niedawnym czasie był dnem morskiém dowodzą pokłady osadowe, które wprawdzie tuż przy Panamie sięgają formacyi permskiéj, ale daléj w głąb' lądu pochodzą wszystkie z okresu trzeciorzędowego. Nad dolnym Chagres, pomiędzy Sierra Quebranche i Lomas de Mindi, są pokłady neogenu, w których się znajdują muszle dotychczas żyjące w Limon-bai; tak samo wzgórza Monkey Hills składają się z neogenu, a wyspa Manzanilla należy nawet do okresu czwartorzędowego (1).

Na południe-wschód od przesmyku Panamy wznosi się znowu kordyliera do wysokości 2600 stóp i biegnie w Daryi wzdłuż wybrzeża morza Karaibskiego, aż do rzeki Cacarica pobocznéj Atrato. Tutaj zniża się, a podług twierdzenia p. Gagorzy (o czém obszernie niżéj), przerywa się tu zupełnie i podnosi się dopiero nad Pacyfikiem, jako Sierra del Espiritu Santo, która ku północy ciągnie się aż do rzeki Tuyra. I w tych okolicach, w południowym końcu wielkiego istmu istniało kiedyś połączenie obydwóch oceanów: nad rzeką Atrato znaleziono trzeciorzędowe pokłady węgla, a nad Tuyra młode trzeciorzędowe warstwy ze zwierzętami morskiemi.

Jakkolwiek podany powyżéj hypsometryczny i geologiczny obraz Ameryki środkowéj jest niedokładny, bo dokładnym przy dzisiejszym stanie badań być nie może, to jednak wystarcza on, aby nas przekonać o prawdzie wypowiedzianego na początku zdania, że Ameryka środkowa była jeszcze w okresie trzeciorzędowym szeregiem wysp, a nie lądem stałym. Rozstrzygnięcie tego pytania

---

(1) Wagner—Lloyd.

jest dla kwestyi kanału stanowczego znaczenia, ponieważ w takim razie możemy mieć nadzieję, że wśród labiryntu grzbietów górskich i wulkanicznych ostrokręgów będzie można odnaleść jaką dolinę, niezapartą granitowym ryglem kordyliery, którą wody oceanów połączyć się dadzą. Uskutecznienie téj myśli musiałoby przekształcić Amerykę środkową. Bo chociaż to dzisiaj kraj dziki i bezludny prawie, ale to nie pustynia, jak sąsiednie kanałowi Sueskiemu okolice, lecz najpiękniejsza i najżyzniejsza część ziemi, jaką pomyśléć można.

Cały kraj leży w strefie gorącéj, to téż temperatura dzienna dochodzi w przecięciu 28—30° C., lecz tylko na niskich wybrzeżach nadmorskich, bo w głębi kraju razem z wzniesieniem się wyżyn, z których przeważnie się składa Ameryka środkowa, zniża się temperatura. Dla tego téż rozróżniają krajowcy straszliwie gorące, wilgotne i niezdrowe, ale najcudowniejszą roślinnością pokryte wybrzeże—tierra caliente; wyżéj aż do 5 i 6000 stóp tiera templada pokryta prawdziwym lasem pierwotnym podzwrotnikowym, ale nie tak gorąca i wilgotna i wyżéj ku górze coraz więcéj północną florę przypominająca; nareszcie na wyżynach chłodna tierra fria, gdzie rośliny zwrotnikowe ustępują miejsca europejskim. Ogromna masa deszczu, w przecięciu 2500 mm. rocznie, przyczynia się do bujnéj wegetacyi; w tiera caliente pada nawet więcéj, bo tam deszcz pada prawie cały rok w niektórych okolicach, jak na wybrzeżach Nicaraguy. Zresztą trwa pora dżdżysta od Maja do Grudnia, albo od Kwietnia do Listopada, stosownie do okolicy, zatém w czasie gdy słońce stoi w zenicie. Rano przy wschodzie słońca jest zwyczajnie niebo pogodne, a powietrze przejrzyste, w miarę posuwania się słońca ku zenitowi chmury coraz gęściejsze zbierają się na niebie, a pomiędzy 2 a 5-tą po południu spada deszcz nawalny, ktory się kończy przed zachodem słońca. Potém następuje pogoda i orzeźwiająca noc. Od Października do Marca huczą na zatoce mexykańskiéj silne burze i po nad istmem amerykańskim wieje północno-wschodni passat, który jest przeważnym wiatrem tych okolic, w skutek czego drzewa na wyżynach środkowo-amerykańskich pochyliły się ku zachodowi i jak chorągiewki na dachu wskazują, z któréj strony wiatr wieje. Wegetacya w takich warunkach musi się rozwijać cudowna. W tierra caliente drzewo manzanillowe, palmy najrozmaitszego rodzaju, olbrzymi aron, którego liście są długie dwa łokcie, a szerokie półtora, olbrzymi espavé (rhinocarpus excelsa), avicennie, rhizophory tworzą gęste lasy, przez których spoistą koronę nieba nie widać, a u których

stóp na metr grubo pokryły ziemię gnijące liście, mchy, paprocie i t. d. Jezuita Acosta, jeden z najdawniejszych przyrodników kastylijskich opisuje, że brat jego błądził przez 14 dni pomiędzy Nombre de Dios a Panamą i nie widział ani światła, ani nagiéj ziemi (1). A pomimo to wśród téj cieni i wilgoci, rośliny pasorzytne i pnące się tak pachną i tak cudowne okazują kolory, jak gdyby nie brakło im ani światła ani ciepła. Mianowicie odznaczają się orchidee białością lilie przypominające, z różowemi plamami, których zapach przywabia motyle (2). Las jest tak gęsty, że nie można inaczéj się przezeń przedostać, jak torując sobie drogę za pomocą noża leśnego „machete,“ bez którego też dla tego żaden Indyanin nie opuszcza swéj chaty. Lecz zaledwie przeszła karawana, a w kilkanaście godzin bujna natura i śladu nie pozostawiła wyrąbanéj ścieżki. Jak na falach morskich ginie natychmiast ślad, który wypruła śruba parowca, tak na tym oceanie zieloności ginie natychmiast ślad nietylko stopy ale i siekiery wędrowca.

Podróż w tych lasach jest nadzwyczaj uciążliwą. „Ponure półświatło, pisze Seebach (3), „jakie panuje w lesie, a którego żaden jaskrawy promyk słońca nie rozjaśni, gorąca i parna atmosfera, cisza majestatyczna, jaka panuje wokoło, pozorny brak wszelkiego zwierzęcego życia, przygnębiają umysł, podczas gdy mozolne posuwanie się naprzód po przegniłym gruncie, w którym stopa grzęźnie głęboko i nie znajduje należytego oparcia, to znowu plącze się w jaką tkaninę korzeni, uciążliwe rozcinanie grubych jak liny lianów, zwisających bambusów i drzewiastych paproci, ciągły kłopot o instrumenta, które tak łatwo stłuc się mogą, a których odzyskać nie można, zaprzątają całą uwagę i wymagają natężenia wszystkich muskułów. Tylko po marszu, gdy wieczorem zatrzymają się podróżni na nocleg nad brzegiem strumyka, po nad którym pomiędzy liściami niebo przegląda i nad którym szepce i świergoce świat zwierzęcy, gdy pod namiotem z liści palmito na prędce skleconym siły fizyczne powrócą, jest człowiek w stanie zdać sobie sprawę z otrzymanych wrażeń. Lecz i wtedy na widok tak zaciętéj walki o byt, tak niepohamowanéj siły twórczéj roślinnego świata

(1) Wagner.
(2) Morelet.
(3) Seebach: Centralamerica etc.

nie może podróżny przez długi czas wznieść się do innéj myśli, jak ponurego podziwu.“

Z wzniesieniem się jakie 1000 metrów nad poziom morza poczyna się krajobraz zmieniać. Las poczyna się robić rzadszym i powoli wstępujemy w słoneczną tierra templada, która, jak np. wyżyna Costa-Rica przedstawia nam się jako wielki ogród plantacyi kawy, kiedy znów w Guatemali całe pola zasiane są nopalem, który żywi koszenille. Podróżny który tygodniami wędrował w ciemni lasu pierwotnego, zostaje zupełnie olśnionym tém morzem światła, które go oblewa na wyżynie. Ale to światło odradza go znowu, nowa otucha i ochota do życia wstępuje w niego, gdy się widzi nagle przeniesionym w krainę, przypominającą najpiękniejsze części Apeninów, łudzącą podobieństwem do słonecznych stoków gór Sabińskich (1). Jeszcze wyżéj poczyna się uprawa kukurudzy, zboża i ziemniaków. Lasy dębowe, a nawet sosnowe szumią na stokach wulkanu el Viejo niedaleko Leonu, i na Altos Guatemali; pomiędzy niemi zielenią się łąki na których pasą się trzody. Możnaby sądzić, że się jest w Europie środkowéj, ale pastuch jest Indyaninem brązowego koloru; a na gałęziach sosen huśtają się papugi“ (2).

Brzegi oceanu spokojnego różnią się zupełnie od brzegów Atlantyckich. Na południowo-zachodniéj stronie pada mało deszczu, ponieważ wschodnie wiatry oddały wilgoć już na stoku atlantyckim wyżyny środkowéj Ameryki i na brzegach zachodnich wieją jako wiatry gorące i suche. To téż wzdłuż całego wybrzeża zmienia się świat roślinny bezpośrednio po za grzebieniem wyżyny. Zmniejsza się rozmaitość rodzajów i gatunków, rośliny w cieniu rosnące i wiecznie zielone krzewy nikną, a na ich miejsce wstępują słoneczne rośliny i drzewa i krzewy, które zimą liście zrzucają.

Znać że mniejsza tu wilgoć, a verano (pora sucha) trwa dłużéj. Niżéj rozległy się sawanny, w Lipcu cudnie zielone, uroczo poprzerywane laskami i pojedynczo stojącemi palmami, na których pasą się trzody półdzikich wołów i koni. Pola trzciną cukrową

---

(1) Morelet.

(2) Seebach.

zasadzone, obok plantacyi bawełny, tam daléj kolącemi agawami i kaktusami ogrodzone ogrody z indigo, albo kakao. Chaty z bambusu, albo białe domki z kamienia chronią się pod koroną palm kokosowych. Dopiéro nad samym wybrzeżem morza, albo nad brzegami rzek wznosi się las palmowy, ale nie tak gęsty i ponury, jak na atlantyckiém wybrzeżu, korony mimosów, tamarindów i palm nie zasłaniają nieba, a we festonach pomiędzy niémi po rozwieszane bejucos nie hamują kroku wędrowca. „Cudowny to kraj, pisze Seebach, „i nie dziw, że go zdobywcy nazwali ziemskim rajem—el Paraiso de Mahomme, bo kto go raz widział, tego ciągnie nieposkromiona tęsknota napowrót w tę stronę i ten doświadczy na sobie prawdy słów, że nikt jeszcze bezkarnie nie przechadzał się pod palmami!“

Nietylko pięknością, ale i bogactwem odznaczają się kraje środkowéj Ameryki. Naturalnie, że płody świata roślinnego stoją tu na pierwszém miejscu. Drzewa zbytkowne i farbujące, jak mahoń, bresil, campeche, różane, sandałowe i t. d.; rośliny medyczne, mianowicie chininą, kauczuk, balsam, tytuń; rośliny włókniste, jak bawełna; także indygo, cukier, wyborna kawa, kakao i t. d. Tylko że te bogactwa nie są należycie exploatowane, brak rąk do pracy, jedyne Costa-rica, które ma najliczniejszą stosunkowo ludność białą, jest dobrze uprawione i wydaje znaczny sprzęt kawy. Indyanie, i mieszańcy, którzy stanowią najliczniejszą część ludności, są rasą zupełnie zdemoralizowaną i leniwą do najwyższego stopnia a i tych leniwców jest nie wiele i setki mil kwadratowych są niezamieszkałe i nieuprawne. Ten brak rąk jest także przyczyną, że i bogactwo kruszcowe Ameryki środkowéj, prawie żadnego nie przynosi pożytku. Wszędzie nieledwie znajduje się złoto, miedź, żelazo, ołów i t. d., ale nikt ich nie szuka. Inżynier Gourmez mówił do Squiera (1) u nas łatwiéj o kopalnie, jak o robotnika, a przecież Honduras może rywalizować z Peru i z Mexykiem. Gdyby w rzeczy saméj został zbudowany kanał pomiędzy oceanami przez Amerykę środkową, gdyby w skutek tego potoczył się tamtędy gorączkowy ruch europejsko-azyatyckiego handlu, gdyby ta gorączkowa czynność jaka charakteryzuje dzisiejsze spo-

(1) Squier. Notes on Central-America. New York. 1855

łeczeństwo, zatoczyła swe kręgi, aż w głąb zatoki Honduras i na wyżynę Guatemali, czyżby nie musiało to stanowczego wywrzéć wpływu na losy tych ziem! A czyż nie byłoby wielkiém dziełem wyrwać z ospałéj martwoty ten cudowny świata zakątek? Możeby on się wówczas stał tém, czém go już przed półtrzecia wiekiem nazwał twórca banku angielskiego Paterson „kluczem świata."

(dok. nast.)

St. Warnka.

SPINOZA

I

JEGO NAUKA

NA TLE OGÓLNEGO ROZWOJU MYŚLI FILOZOFICZNÉJ.

Virtutem incolumem odimus,
Sublatam ex oculis quaerimus invidi.
(Horatius).

W duiu 21 Lutego r. b. obchodzono w Hadze 200 ą rocznicę śmierci filozofa Spinozy. Wiek nasz jest wiekiem rozmaitych jubileuszów i obchodów pamiątkowych, któremi spółczesna nauka i cywilizacya usiłuje niejako stwierdzić swoję dawność, składając od czasu do czasu hołdy wielkim myślicielom, promotorom i poprzednikom obecnego ruchu umysłowego. W niektórych jubileuszach (jak to, na małą skalę, bywa i u nas) przeważają pobudki drobiazgowe, okoliczności przypadkowe i względy narodowe lub prywatne, niekiedy doprowadzając do przesady i przecenienia zasług wielkich, mniejszych i niezbyt wielkich działaczów; w ogólności jednak obchody jubileuszowe, zwłaszcza międzynarodowe, mają tę dobrą stronę, że stwierdzają łączność i wspólność duchowego rozwoju ludzkości. Niejednokrotnie zdarza się przy tém, że dopiéro po upływie lat wielu oddajemy hołd pamięci mężów, za życia prześladowanych i długo jeszcze po śmierci zapomnianych, gdyż „nie lubimy cnoty kwitnącéj; dopiéro wtedy zazdrośnie jéj poszukujemy, gdy zniknie nam z oczu“, jak opiewa przytoczony dwuwiersz Horacego, właśnie do Spinozy dający się zastosować w zupełności.

Na obchód jubileuszowy zgromadziło się paręset uczonych, przeważnie z Niderlandów i z Niemiec. Dla czego i czy zupełnie słusznie uczony świat niemiecki, hołdujący zasadzie „siła przed prawem“, uczuł nagle taką miłość dla pamięci Spinozy — wykaże się to przy końcu niniejszéj pracy — w ostatecznéj ocenie systematu tego filozofa. Niemało jednak do tego zapału Niemców przyłożyła się i ta okoliczność, że Spinoza był filozofem bezwyznaniowym i że w jedném z pism swoich wystąpił pierwszy z racyonalną krytyką Biblii. Ztąd—dziwne koleje losu—dziś palą kadzidła pamięci Spinozy nawet i ci z pomiędzy kulturtregerów, którzy są wspólnego z naszym filozofem pochodzenia i których przodkowie obarczyli go przekleństwem i wyrzucili ze swojéj społeczności za to właśnie, co tak uwielbiają w nim dzisiejsi ich potomkowie. Bezwyznaniowość Spinozy zjednała mu także sympatyą dzisiejszych liberalnych Francuzów, zresztą mało interesujących się oderwanemi akstrakcyami filozoficznego systematu tego myśliciela.

Obchodowi przewodniczył ks. Aleksander niderlandzki; otworzył go zaś jenerał Limburg-Styrum mową pochwalną na cześć domu Orańskiego, który zawsze dawał opiekę uczonym i przytułek wolnym myślicielom. Następnie zabrał głos znany oryentalista Ernest Renan, członek Akademii. Mowa jego sprawiła wielkie wrażenie; wkrótce potém wyszła z druku w Paryżu w osobnéj odbitce. Słynny autor „Życia Jezusa“ okazał się jednak w téj mowie jako błyskotliwy orator, panegirysta bezwyznaniowości czyli religii, jak się wyraża, „wolnéj od wszelkich żywiołów nadzmysłowych“ i wreszcie jako dość mierny myśliciel i bardzo powierzchowny znawca filozofii. Wypowiedziana na początku mowy dość szumna pochwała plemieniu żydowskiemu i jego ideom religijnym nie przeszkodziła mówcy wraz potém uderzyć na wszelkie wyznania religijne, pojmowane jako całość zamknięta, która „nie znosi, ażeby ktokolwiek niewyłącznie spoczywał na jéj łonie i nazywa odstępstwem wszelki polot swobodnéj myśli.“ Dalej uwielbia ogrom pojętéj przez Spinozę idei Boga, a choć przytém mówi o panującym jakoby obecnie „wstręcie do systematów i formułek abstrakcyjnych“ (co jakoś nie bardzo dobrze odbija w panegiryku na cześć filozofa, którego systemat był najbardziéj abstrakcyjnym), wszelako ustrzegł się błędu, którego dopuszczają się (jak to poniżéj zobaczymy) ci, którzy Boga Spinozy uważają za jedno z naturą. Tu nawet wymknęły się Renanowi trafne następujące słowa: „Bóg jest myślą absolutną, sumieniem uniwersalném (la pensée absolue, la conscience universelle). Jest więc ideał i on tylko posiada prawdziwe istnienie; reszta jest tylko pozorem i złu-

dzeniem“ (str. 8). Następnie wysławia Rénan wzorowe życie Spinozy, widzi prawdziwą religią rozumu w abstrakcyjnym panteizmie filozofa, który, według wyrażenia Novalisa, „upajał się Bogiem“ i uznaje Spinozę za „poprzednika tych teologów liberalnych, którzy za dni naszych wykazali, że chrześcianizm może zachować cały swój urok bez żywiołu nadzmysłowego.“ Ostatnie te słowa są przezroczystą aluzyą do samego Rénana, który zajmuje dość wybitne stanowisko pośród owych „teologów.“ Mieniąc się uczniem Spinozy pod tym względem, Rénan wysławia także liberalne przekonania filozofa i nawet, co jest zapewne anachronizmem w zbytecznem uniesieniu popełnionym, nazywa Spinozę republikaninem. Zaznacza daléj, w słowach przypominających przedmowę do Życia Jezusa, że Spinoza nie był gwałtownym nowatorem, ani zwolennikiem radykalnych przewrotów w pojęciach religijnych, i po kilku jeszcze wycieczkach przeciwko dogmatyzmowi wzywa do składek na pomnik dla filozofa (na który już wyznaczono konkurs), ażeby potomność spoglądając na ten hołd pamięci mędrca, mogła powiedzieć „ztąd być może najbliżéj widziano Boga.“

I.

Życie i pisma Spinozy.

Baruch Spinoza (mianujący się po łacinie Benedyktem) urodził się w Amsterdamie 24 Listopada roku 1632. Pochodził z rodziny żydowskiéj, któréj nazwisko (z łacińskiego *spinosus* ciernisty, co dało nieraz pochop przeciwnikom filozofa do złośliwych kalamburów) wskazuje na kraje południowe, jako jéj kolebkę. Istotnie Spinozowie mieszkali niegdyś w Portugalii, ale wypędzeni ztamtąd w epoce prześladowania żydów za religią, osiedli w Holandyi, gdzie trudniąc się handlem, doszli do pewnéj zamożności. Ojciec Barucha przeznaczał swego syna do powołania rabina i w tym celu usiłował dać mu gruntowne wykształcenie w naukach talmudycznych i Biblii; studya nad temi przedmiotami odbywał młody Baruch pod kierunkiem słynnego mistrza Morteiry. Żądny wiedzy, bystry i przenikliwy umysł Spinozy nie poprzestał jednak na uczoności rabinicznéj: owszem już w 16 roku życia Baruch uczuł wstręt do téj martwéj mądrości, do dzikich przesądów i zacofanego obskurantyzmu talmudu. Zaczął więc studyować języki nowożytne i starożytne, filozofią, a potrosze umiejętności przyrodnicze i matematykę; kierownikami jego początkowych studyów nad temi

przedmiotami był jakiś nieznany z nazwiska Niemiec i lekarz izraelita van dem Ende. Ten ostatni utrzymywał szkołę publiczną, do któréj uczęszczała także i własna jego córka Olympiada. Młody Spinoza zakochał się w pięknéj koleżance i podobno był już bliskim dostąpienia wzajemności, ale, na nieszczęście przyszłego filozofa, zjawił się spółzawodnik bogatszy, który ofiarą pięknego naszyjnika z pereł pozyskał serce panny i godził nawet na życie Barucha, ale poszarpał mu tylko odzież puginałem. Nieszczęśliwa ta miłość wywarła wielki wpływ na usposobienie Spinozy i była może powodem, że aż do końca życia pozostał bezżennym. Swobodne poglądy na judaizm i krytyka przesądów talmudycznych, które młody Spinoza wypowiadał otwarcie, ściągnęły nań wkrótce prześladowania żydów, zwłaszcza gdy młodzieniec stanowczo wzbraniał się zostać rabinem: wyłączono go na czas jakiś ze społeczeństwa żydów, ale pomimo to, już to pogróżkami, już to obietnicą znacznéj sumy pieniężnéj i dobréj pensyi starano się wpłynąć na zmianę jego postanowienia i sposobu myślenia, ale bezskutecznie. Przyszło więc nakoniec do tego, że roku 1656 (albo 1658) rzucono na Spinozę w synagodze amszterdamskiéj wielką klątwę, która wyłączała go na zawsze ze społeczności żydowskiéj i zabraniała współwyznawcom mieć z nim jakiekolwiek stosunki. W skutek tego młody Spinoza ujrzał się na świecie samotnym, pozbawionym rodziny i dotychczasowych stosunków; przyjął to jednak zupełnie obojętnie. Żydzi obwołali go za bezbożnika i tą potwarzą usiłowali mu zaszkodzić także i w oczach chrześcian: chociaż bowiem Holandya uchodziła w owych smutnych czasach, gdy jeszcze niecałkiem wygasły wojny i prześladowania religijne, za kraj używający największéj swobody religijnéj, za przytułek wolnomyślicieli i prześladowanych za wiarę, zawsze jednak zarzut ateizmu był w XVII w. bardzo jeszcze groźnym i niebezpiecznym, gdyż częstokroć prowadził na stos, nawet w krajach protestanckich. Magistrat Amsterdamu dał posłuch insynuacyom i wpływom żydowskim i zabronił Spinozie przebywać w murach miasta: młody filozof wydalił się więc na czas jakiś na wieś do znajomych; potém mieszkał w Rhynsburgu, następnie na przedmieściu Hagi Voorburg, a nakoniec w saméj Hadze, gdzie go już pozostawiono w spokoju aż do śmierci. Z łatwością mógłby był Spinoza, nietylko uniknąć prześladowania dawnych spółwyznawców, ale nawet pozyskać wziętość i znaczenie: dość mu byłoby przyjąć wiarę chrześciańską. Nie uczynił jednak tego i do końca życia pozostał *bezwyznaniowym*—pierwszym może takim w Europie, gdyż wówczas nie wymyślono jeszcze dzisiejszéj urzędowéj bezwyznaniowości.

Badał jednak z ciekawością Nowy Testament i w listach do przyjaciół powoływał się nań często, szczególniéj z upodobaniem przytaczając listy św. Pawła, którego naukę mienił pokrewną swojéj. Powiadają nawet, że bywał czasem w kościołach i uważnie przysłuchiwał się kazaniom. Przyjaciołom, którzy namawiali go do przyjęcia chrztu, odpowiadał, że darami Ducha Św. są miłość i prawda, a kto je posiada, ten jest prawdziwym chrześcianinem, i dodawał słowami św. Pawła, że niekoniecznie znać Chrystusa wedle ciała—dość jest znać prawdziwego Syna Bożego, to jest mądrość wieczną. Że Spinoza nie był ateuszem, zobaczymy to dowodnie niebawem, przy rozbiorze jego nauki: przeciwnie, żaden z filozofów nie mówił tak często o Bogu, o potrzebie miłości boskiéj, o kontemplacyi Boga. Bardziéj uzasadniony, jak to również zobaczymy poniżéj, zarzut w panteizmie Spinoza, choć dość słabo, odpiera w listach do przyjaciół i do ks. Oldenburgskiego, przytaczając i rozwijając słowa apostołów: „Bóg jest życiem świata" (św. Jan) i „Żyjemy i poruszamy się w Bogu" (św. Paweł).

Pędząc w odosobnieniu życie samotne, Spinoza utrzymywał się z pracy ręcznéj: szlifował szkła do okularów i przyrządów optycznych i sprzedawał takowe za pośrednictwem przyjaciół, których szczupłe grono sobie pozyskał. Jednocześnie zgłębiał filozofią Kartezyusza i spisywał wyniki własnych rozmyślań, pracując tym sposobem dla światła we właściwém i w przenośném tego wyrazu znaczeniu: „światło zaprzątało go stale" (das Licht beschäftigte ihn stets), mówi o Spinozie Hegel w swoich odczytach o historyi filozofii. Przez czas jakiś Spinoza wykładał pewnemu młodzieńcowi filozofią Kartezyusza; z notat używanych przy lekcyach, powstało pierwsze jego dzieło „Zasady filozofii kartezyańskiéj" (Principia philosophiae Cartesianae), napisane, jak i wszystkie inne utwory Spinozy, po łacinie w roku 1661 (1). Już tutaj zastosował Spinoza metodę geometryczną, która w późniejszych jego dziełach panuje wyłącznie. Nie jest to wszelako przedstawienie saméj tylko nauki Kartezyusza, gdyż i tu już przebijają własne pomysły Spinozy.

W Hadze Spinoza mieszkał początkowo u wdowy van Velden, pracując zawzięcie i często po dni kilka nie widując się z nikim; późniéj najął sobie pokoik u malarza van der Spyk, gdzie

(1) Nie wiemy, zkąd wziął p. K. Kaszewski wiadomość, jakoby „Spinoza otworzył u siebie rodzaj szkoły, nadzwyczaj licznie, nawet przez znakomite osoby w kraju uczęszczanéj" (w artyk. Baruch-Benedykt Spinoza Gaz. Polska r. 1877 Nr. 42).

mieszkał do zgonu. W roku 1670 wydał „Traktat teologiczno-polityczny“ (Tractatus theologico-politicus), w którym po raz pierwszy podjął się racyonalnéj krytyki Biblii. Dzieło to sprawiło wiele wrzawy i było źródłem wielu nieprzyjemności, a nawet niebezpieczeństwa dla jego autora; w skutek tego Spinoza postanowił nie ogłaszać już za życia żadnych innych swych pism, nad któremi ciągle pracował.

Z tych, „Traktat polityczny“ (Tractatus politicus) i „Traktat o poprawie rozumu“ (Tractatus de emendatione intellectus), które pozostały niedokończone, wraz z zupełnie ukończoném główném dziełem, zawierającém cały systemat Spinozy — „Etyka wyłożona sposobem geometrycznym“ (Ethica more geometrico demonstrata) zostały ogłoszone po śmierci autora (1). W bieżącém stóleciu dzieła Spinozy wydali w oryginale Paulus, Gfrörer i Bruder, a w tłómaczeniu niemieckiém—Ewald, Auerbach, Wolff, Schmidt i Kirchmann (Philos. Bibliothek Etyka 2 wyd. 1869).

Życie Spinozy było życiem prawdziwego mędrca — cnotliwe i umiarkowane. Pieniędzy nie cenił, podarunków nie przyjmował: gdy po śmierci rodziców siostry ofiarowały mu część spadku, Spinoza wziął tylko nieco pościeli. Od Simona van Vries, który chciał go uczynić spadkobiercą, przyjął jedynie lichą pensyą po 300 guld. rocznie. Elektor—Palatyn ofiarował mu posadę profesora filozofii w Heidelbergu, ale Spinoza nie przyjął, ceniąc nadewszystko swobodę myśli i słowa. Gdy sława jego mądrości rozeszła się po Europie, wielu cudzoziemców przyjeżdżało do Hagi, ażeby go ujrzéć, ale Spinoza niezbyt był rad tym odwiedzinom i zaprosin nie przyjmował. Nie był jednak wcale mizantropem: przeciwnie, domownicy i znajomi uwielbiali jego słodycz, łagodność i delikatność, a ubodzy—jego dobroczynność. Powtarzał często, że niepodobna nienawidzieć ludzi, nawet złych, gdyż występki pochodzą z nieświadomości—trzeba więc raczéj usiłować poznać ich i poprawić. W sprawach pieniężnych był bardzo regularnym i akuratnym; całego majątku zostało po nim 300 talarów, które przekazał dla ubogich. Poprzestawał chętnie na pożywieniu mléczném i roślinném; wino pijał rzadko; niekiedy palił tytuń. Czasami bywał bardzo rozmownym i wesołym; niekiedy—dziwna sprzeczność z dobrocią serca—rzucał muchy do pajęczyny i śmiał się głośno, przy-

---

(1) W r. 1862 ogłoszono po raz pierwszy nowo odkryty traktat Spinozy „O Bogu i człowieku“ (po łacinie i po holendersku).

glądając się walce muchy z pająkiem. Umarł z suchot 21 Lutego roku 1677.

Dzieła Spinozy początkowo najwięcéj narobiły wrzawy pomiędzy teologami. Ogół czytelników z trudnością mógłby je zrozumiéć, a uczeni i filozofowie, bezpośredni następcy Spinozy, czytali i korzystali z nieh mało. W Niemczech na polu filozofii zapanowali Leibnic i Wolf, potém Kant i Fichte, we Francyi—Malebranche, a późniéj encyklopedyści; w Anglii królowali już to Locke, już to filozofowie szkoccy.

Systemata tych wszystkich myślicieli nic prawie nie mają wspólnego z nauką Spinozy, która w lat kilkanaście po jego śmierci zupełnie prawie poszła w zapomnienie. Dopiero niewięcéj jak 100 lat temu wskrzesili pamięć Spinozy Lessing i Jacobi, potém Szelling i Hegel.

II.

Rzut oka na rozwój myśli filozoficznéj przed Kartezyuszem.

Chociaż ani w historyi filozofii, ani w dziejach ludzkich w ogólności, niepodobna uznać ciągłego, wszechstronnego postępu według formuły matematycznéj, albo idei Heglowskiéj; chociaż nie można utrzymywać, że wszystko nowe wysnuwa się jedynie z materyałów dawnych i tylko sposobem doskonalszym—owszem utwory i budowle potomków, w jedném lepsze, w inném znowu bywają gorszemi od utworów przodków, co jest wynikiem nienależytego jeszcze oswojenia się z nowemi, nieznanemi przodkom materyałami i tysiącznych oscylacyj, hamulców, przeszkód i chwilowych aberacyj; wszelako niemożna zaprzeczyć, że żadne zjawisko w sprawach ludzkich nie da się należycie pojąć i ocenić, a nawet i przedstawić pojedynczo, wyrwane ze związku i łączności z jednorodnemi, a nawet i różnorodnemi zjawiskami bliższéj i dalszéj przyszłości. Walące się w gruzy gmachy przodków dostarczają znacznéj części cegiełek do budowli potomków, a i sam kunszt budowniczy potomków—umiejętność i sposób zużytkowania dawnych, odziedziczonych i nowych, własnych materyałów. Co się tyczy w szczególności pochodu myśli ludzkiéj, łączność i zależność następców tu najwidoczniejsza, choć myśl nie płynie przez stólecia równą wstęgą, ani nawet, jak potok górski, coraz to szerszą i obfitszą, im daléj od źródła: pochód jéj raczéj możnaby przyrównać to do linii zygzakowatéj, to do

nieforemnéj plątaniny linij krzywych, już to zakreślającéj szerokie koła, już to snującéj się dalej zaledwie dostrzegalnym wężykiem. Generacye, narody i wieki nie mają ściśle zakreślonych dla siebie szranek umysłowych: umysły myślicieli tego lub owego narodu, lub stólecia, nie były zamknięte nigdy w pewném ciasném kółku myśli, którego przekroczyćby nie zdołały. Przeciwnie, od czasu do czasu, zjawiają się umysły genialne, które orlim polotem wznoszą się na wyżyny, dla innych spółczesnych nieprzystępne, wyprzedzają wiek swój i jego zadania, przewidują w jasnowidzeniu zadania wieków przyszłych i docierają do krańców wiedzy ludzkiéj w tém przynajmniéj znaczeniu, że wiedzą, gdzie są te krańce. Takie to umysły zakreślają owe olbrzymie i świetne koła, choć niezaraz korzysta z tego potomność: z wielkich ojców rodzą się często niedołężni synowie, nieumiejący z ich puścizny korzystać, zaniedbujący dalszego prowadzenia pracy przodków, niezdolni dokończyć gmachu, przez nich rozpoczętego. Po wielkich więc i szerokich kołach nastają nieznaczne wężykowate zygzaki myśli; olbrzymie fundamenta gmachów przodków dostarczają tylko cegieł do nowych lepianek, jak gruzy koloseum do chatek mieszczańskich, aż póki znowu myśl nie wybuja i nie wzniesie gmachów okazałych, przypominających w tym lub owym szczególe koloseum naddziadów i służących jako nowe koloseum dla potomności.

Z powodu tego to właśnie związku pomiędzy wytworami myśli ludzkiéj, a więc i pomiędzy systematami filozoficznemi—związku, który usiłowaliśmy przedstawić jak najjaśniéj przy pomocy użytych powyżéj przenośni, dla należytego zrozumienia stanowiska Spinozy i zadań, których rozwiązanie wziął na siebie ten niepospolity umysł, jest rzeczą konieczną rzucić okiem na stanowisko poprzednich filozofów i na wytwarzanie się i sformułowanie zadań filozofii, które ta nauka w kilkunastowiekowym swym rozwoju pojmowała i stawiała coraz to jaśniéj. Ponieważ nadto sformułowanie zadań filozoficznych sięga jeszcze czasów filozofii greckiéj, któréj stanowi wiekopomną i niepożytą zasługę, i ponieważ pośród myślicieli greckich znajdziemy właśnie takich, których teorye były zarodem nauki Spinozy i przedstawiają najwięcéj z nią pokrewieństwa, musimy więc koniecznie sięgnąć aż do pierwocin myśli filozoficznéj w starożytnéj Grecyi. Na kilku stronicach nie podobna wprawdzie zawrzéć dziejów kilkunastowiekowéj filozofii i o to téż wcale kusić się nie myślimy; nie jest jednak niepodobieństwem przedstawić w krótkości główne punkta i wyniki badań rozmaitych pierwszorzędnych (a więc niezbyt licznych) myślicieli i przy-

tém w związku organicznym, o ile takowy, z uwagi na wypowiedziane powyżéj zastrzeżenia, istnieć tu może.

Znaném jest popularne i treściwe określenie filozofii, jako nauki o świecie, Bogu i człowieku. W zaraniu swego rozwoju, myśl filozoficzna nieodrazu postawiła sobie to olbrzymie zadanie w całéj jego zupełności. Jak młodzieniec najwięcéj i najpierwiéj zajmuje się tém co go otacza—przyrodą, światem zewnętrznym, tak i myśl ludzka najpierwiéj zajęła się zbadaniem świata zewnętrznego. Najdawniejszą więc częścią filozofii była filozofia przyrody, zwana wówczas fizyką: téj to fizyki podwaliny założyli filozofowie jońscy, zwani przez Arystotelesa fizykami, których poglądy, zresztą tylko niedokładnie i ułamkowo nam znane, jeszcze nie zdołały się uwolnić od wpływów mytologii. Pomysły i fikcye mytologiczne, często szczytne i poetyczne, znajdujemy we wszystkich systematach filozofii greckiéj, bo jeszcze u Platona. Z tém wszystkiém, samo już badanie rozumowe, choć początkowo dziecinne i chwiejne, było pierwszym krokiem wyzwolenia się rozumu: skoro tylko człowiek postawił sobie pytanie *dla czego*?, już tém samém zaświadczył, że chce *pojąć* to, co ma *przyjąć* za prawdę— uznał więc swój rozum za kryteryum wyższe nad wszelkie powagi, pomimo chwilowych tradycyjnych ustępstw na rzecz poglądów mytologicznych.

Punktem wyjścia dla rozumowych badań pierwszych greckich fizyków szkoły jońskiéj było proste spostrzeżenie nieustannéj zmienności w przyrodzie, gdzie wszystko rodzi się, zmienia kształty, wielkość i barwy, ginie lub wchodzi w skład innych ciał, stanowiąc wiecznie płynący potok, w którym trudno pochwycić coś stałego i niezmiennego.

W skutek więc powierzchownych obserwacyj, popartych rozumowaniem, za takie stałe jądro wszech rzeczy, za niezmienny żywioł Tales uważał wilgoć, Anaksimenes—powietrze, ciała, które nawet nie są prostemi pierwiastkami. Miał to być jakiś stały, określony żywioł bytu. Już Anaksimander wystąpił przeciwko téj dziecinnéj fizyce, dowodząc, że ponieważ ten sam żywioł, istniejący we wszystkich rzeczach, jako ich niezmienne jądro i prawdziwa osnowa, przedstawia się nam w rozmaitych kształtach i z rozmaitemi własnościami, przeto należy przypuścić, że ten stały żywioł jest w sobie czémś nieokreśloném, nieskończoném, niemającém żadnych własności. Pojęcie o pierwiastkowéj *materyi* przechodzi tym sposobem, choć jeszcze niejasno, w pojęcie o pierwotnéj sile. Był to już zwrot pierwotnéj fizyki na drogę rozumowéj filozofii, która wkrótce zapanowała w dochodzeniach istoty

i przyczyn zjawisk, gdy fizyka niepoparta obserwacyami zdobyła się tylko jeszcze na atomistyczną teoryą Demokryta i na niéj zatrzymała się, zbankrutowawszy ostatecznie. Jednocześnie coraz to wybitniéj zaczęło występować poczucie dualizmu materyi i siły, dawnym myślicielom nieznane. Pytagoras za prawdziwe jądro wszech rzeczy uważał liczby, jako coś pośredniego między rzeczą zmysłową i myślą; była to myśl genialna, wyrażająca pragnienie matematycznéj ścisłości prawdziwéj wiedzy — pragnienie, dotychczas niezaspokojone. Jednocześnie Herakleitos z Efezu, jeden z najgenialniejszych, choć najmniéj znanych i najmniéj zrozumianych myślicieli Grecyi, rozwinął rzucone przez Anaksimandra pojęcie pierwotnéj siły i za takową uznał sam proces zmian, samę owę genezę, nieustannie obserwowaną, która właśnie, jak powiedziano, była punktem wyjścia i pobudką filozoficznych dochodzeń. Sam ten potok zmian, proces ten zmienności w naturze stanowi, według Herakleita, podstawę wszech rzeczy: jest to, podług zawikłanéj, nawpół alegorycznéj i nawpół mytologicznéj terminologii tego filozofa, słynnego z ciemności swéj nauki, wiecznie wybuchający i wiecznie gasnący ogień, w którym łączą się stałe istnienie z ruchem przemian czyli byt z niebytem. Wtedy to po raz pierwszy filozofia zestawiła byt z niebytem i po raz pierwszy wydała z siebie dwa równoległe, dotychczas sprzeczne kierunki: realizm i idealizm. Jedni bowiem uznali za byt niezmienne atomy materyi, przecząc wszelkim innym objawom i uważając wszystko inne za niebyt: rzucili się więc do atomizmu Demokryta i zasklepili się w materyi; zrozpaczywszy o możliwości wiedzy wszechstronnéj, poprzestali na wiedzy o przedmiotach zmysłowych i dotykalnych; drudzy, przeciwnie, wzgardzili materyą, jako niebytem, na téj zasadzie, że prawdziwa wiedza musi być udziałem myśli czyli rozumu, nie zaś obserwacyi zmysłowych. Głębsze zastanowienie się przekonało już Herakleita, że zmysłom dowierzać nie można; idealiści więc, zwani odtąd filozofami kat'exochén—gdyż ich przeciwnicy materyaliści, dawniéj jak i teraz wypierają się miana filozofów i mają w pogardzie filozofią—poczęli z umysłowych rozumowań czyli a priori snuć pojęcia o wszechświecie, usiłując dotrzéć do bezwzględnéj prawdy czyli do bezwzględnego bytu. Jeszcze trwalsze niż Herakleitos fundamenta idealizmu założyli filozofowie elejscy — Ksenofanes, a przedewszystkiém Parmenides. Oni to stwierdzili rozumowaniem, że proces zmian nie da się pogodzić w myśli z pojęciem o prawdziwym bycie—o buchającym ogniu Herakleita; że jest on jedynie złudzeniem zmysłów i niebytem, jak

i same zmysłowe przedmioty, w których się objawia—jest to ogień gasnący, świat zjawisk zmysłowy.

Ksenofanes już około 500 r. przed Chr. wypowiedział zasadę, ciekawą dla nas ze względu na naukę Spinozy, że „wszystko jest jedno i to jedno jest Bóg,“ a Parmenides stanowczo i ostatecznie ustalił różnicę między ułudnym światem zjawisk zmysłowych *(to phainómenon)*, jako niebytem, a światem prawdziwego bytu, istniejącego w myśli i pojmowanego myślą (*to noúmenon).* Drogą logicznego rozumowania daje Parmenides określenia owego metafizycznego bytu; dowodzi, że prawdziwy byt nie może ani zrodzić się ani zniknąć; że musi być jednolitą całością, usuwającą wszelkie pojęcie wielości i różnorodności; że prawdziwy byt, czyli rzecz prawdziwie istniejąca, musi być tylko jedna; że jest nieruchomą i niezmienną, niezależną od czasu i przestrzeni, wieczną i nieśmiertelną. Tak więc Parmenides, myśliciel potężny i tak mało znany, choć oceniony należycie przez Platona, który od niego wiele skorzystał, wytknął i sformułował cele, a także wypowiedział w ogólnych zarysach ostateczne wyniki idealistycznéj filozofii i nawet określił w zarodzie wszystkie rozwinięte późniéj części filozofii. Tak, co do celów i zadań, pozostawiwszy dochodzenie żywiołów i pierwiastków materyalistycznéj fizyce, Parmenides uznał rozumowe dochodzenie czystego bytu za przedmiot i cel filozofii, pokazał *jak* o tym czystym bycie logicznie myśléć potrzeba i stanowczo wyłączył z pojęcia bytu cały świat zjawisk zmysłowych. Wypadało jednak dotrzéć jeszcze do źródła owéj różnicy świata bytu od świata zmysłowego, gdyż bądź co bądź, trudno zupełnie zbyć ten ostatni bezwarunkowém zaprzeczeniem praw do bytu; wypadało wynaleść jakieś przejście od bezwzględnego bytu do świata zjawisk i wytłómaczyć stosunek obojga. Tego Parmenides nie dokonał, pozostawiając to zadanie, jasno sformułowane i z jego nauki logicznie wypływające, usiłowaniom przyszłych myślicieli. Wszelako przytoczone powyżéj zdanie jego mistrza Ksenofanesa i własne określenia Parmenidesa niejako już zabiegają naprzód i przesądzają ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi w duchu monistycznym i panteistycznym, to jest takim właśnie, jaki wkrótce wykryjemy w systemacie Spinozy. Co się zaś tyczy części filozofii, późniéj ostatecznie odgraniczonych i określonych przez Platona i Arystotelesa, już u Parmenidesa widzimy *dyalektykę* czyli umiejętność rozumowego dowodzenia, która, w zastosowaniu do kwestyi bytu we wszechświecie, została późniéj nazwana *metafizyką*, a jako stronę formalną, wydzieliła z siebie *logikę*. *Bóg* i *wszechświat* zlały się raz jeszcze w filozofii idealistycznéj, jak niegdyś u przesiąkłych poję-

ciami mytologicznemi jońskich fizyków, ale zlały się w dziedzinie czystéj myśli, prowadząc do panteizmu niezmysłowego, jak dawniéj, lecz metafizycznego. Co się tyczy trzeciego przedmiotu dochodzeń filozoficznych — *człowieka* i ten, jako stanowiący cząstkę wszechświata, bywał uwzględniany coraz to bardziéj i teoretycznie i praktycznie — w *etyce*, zasadniczéj części filozofii praktycznéj, nieobcéj już Pytagorasowi i Herakleitowi. Do wysunięcia wszelako etyki na pierwszy plan w filozofii najbardziéj przyczyniły się nadużycia następców Parmenidesa — ostatnich Eleatów, którzy wkrótce zleli się z sofistami. Rozwijając pojęcia mistrza, Zenon z Elei puścił wodze subtelnym rozumowaniom, dowodził niemożliwości ruchu, czasu i przestrzeni i nadużywając dyalektyki, doprowadził swych naśladowców do zawikłania się w zewnętrznych stronach elejskiego idealizmu, bez istotnego pożytku dla nauki. Doktryna o niemożliwości pochwycenia prawdziwego bytu przeszła u sofistów w naukę o bezwzględnéj podmiotowości (subjektywności), według któréj niemasz prawdy, tylko jednemu jedno, innemu drugie wydaje się prawdziwém, a wyostrzona dyalektyka pozwalała im wszystkiego dowodzić i wszystko zbijać. Gdy te bakchanalie dyalektyczne zwrócono i na pole pojęć i zasad moralnych, dotychczas jeszcze, w braku właściwéj moralności religijnéj u Greków, nieustalone przez filozofią, na któréj barki spadło to zadanie, wówczas Sokrates wystąpił na ratunek upadającéj moralności i z niesmakiem do wszelkich dyalektycznych rozumowań o naturze wszech rzeczy, sprowadził jak mówi Cycero, filozofią z nieba na ziemię, to jest obrał etykę za główny przedmiot swych nauk i za istotną część filozofii.

Platon uzupełnił budowę gmachu, rozpoczętego przez jego poprzedników i był poniekąd następcą Parmenidesa, a zarazem twórcą najzupełniejszego i najbardziéj zaokrąglonego systematu filozofii greckiéj. Można śmiało powiedzieć, że mąż ten genialny wziął od poprzedników wszystko, co mu się zdało najlepszém i najprawdziwszém, co godziło się z jego własnemi wspaniałemi pomysłami i z nauką, zaczerpniętą przezeń z popularnéj mądrości Sokratesa. Zadanie filozofii, przez Parmenidesa pojęte, Platon rozwinął i pojął wszechstronnie, ale rozwiązał je przy pomocy szczytnych i poetycznych, lecz zawsze fikcyjnych hypotez. Trzymając się ściśle podanego przez Parmenidesa wyróżnienia *istoty rzeczy* od *zjawisk zmysłowych*, a więc stojąc na gruncie idealizmu, od jego to właśnie nauki, jak wiadomo, tak nazwanego, Platon upatrywał owę istotę rzeczy w przedwiecznych i doskonałych pierwowzorach czyli *ideach*, a przyczynę zamglenia się idei i istnienia

złudnego świata zjawisk tłómaczył poetyczną fikcyą o upadku dusz o życiu poprzedniém i o demiurgu (stworzycielu świata zmysłowego, czyli raczéj kopiście wiecznego świata idei). Wybitna różnica nauki Platona od teoryi Parmenidesa zależy głównie na tém, że według Parmenidesa, byt jedyny jest zarazem wszystkiém *(hen kai pân)*, Platon zaś widział istotę rzeczy w mnogości pierwowzorów czyli idei — byt, według Platona, jest jeden w mnogości (*hén kai pollá*). Platon zarzucał Parmenidesowi, że jego byt jest czémś zanadto już bezwzględném, absolutném, martwém i nieruchomém: sam on wymagał, ażeby treść wszech rzeczy czyli byt istotny rozumiano nie jako stan martwego spoczynku, ale jako krystalizacyą, czyli skupienie życia duchowego, z zasadniczych idei świata powstałą. Wszelako i ideom Platona zarzucał Arystoteles nieruchomość, bo chociaż są one niby wynikiem rozwoju duchowego, ale same wyłączają wszelkie pojęcie ruchu i rozwoju. Systemat Platona był szczytem i ostatnim wyrazem idealizmu greckiego. Przyjąwszy w zastosowaniu do czystego bytu zasadę „jedność w mnogości," rozproszył on właściwie ten monizm duchowy na niezliczoną ilość odłamów, a umieściwszy byt rzeczywisty w nadzmysłowych, tylko intuicyi poetycznéj przystępnych sferach idei, wzmocnił jeszcze i rozszerzył przepaść pomiędzy światem myśli i rzeczywistym światem zjawisk zmysłowych. Dualizm bytu i zjawiska, czyli ducha i materyi, ustalony został w platonizmie; o monizmie czyli dążności sprowadzenia obojga do jednego źródła, nie może być tu mowy, gdyż u Platona nawet i monizm w dziedzinie czystego bytu, uznawany przez Eleatów, rozprysnął się na nieskończoną ilość jednostek bytowych czyli idei.

Ostatni z samodzielnych myślicieli greckich — Arystoteles próbował z kolei nawrócić do monizmu powszechniejszego i szerszego, niż monizm Eleatów — monizmu rdzennego, łączącego w sobie ducha z materyą. Jeżeli monizm materyalistów można nazwać czysto-realnym, monizm Eleatów wyłącznie idealnym, to monizm Arystotelesa był zarodem kierunku idealno-realnego. Wprawdzie systemat Arystotelesa dalekim jest od wykończenia i zaokrąglenia, co po części przypisać należy zaginieniu niektórych dzieł tego myśliciela; wprawdzie, wyrzekłszy się czysto idealistycznego uznania za niebyt zjawisk zmysłowych i odrzuciwszy ideologią Platona, Arystoteles więcéj poświęcał się pojedynczym gałęziom najrozmaitszych nauk, z których jedne stworzył, a w innych położył nieśmiertelne zasługi, więcéj w ogóle troszcząc się o badanie szczegółów niż o całość ogólnéj metafizyki; o ile jednak z niezamąconych źródeł wiedzieć możemy, za zasadniczą myśl filozofii

Arystotelesa i za główną jego różnicę od Platona musimy uważać należycie rozwiniętą znaną już nam myśl Herakleita. Widzieliśmy, że Herakleitos uznał sam proces zmian za istotę rzeczy; tak samo i Arystoteles. Eleaci, jak wspomniano powyżéj, wyszli także z zasady Herakleita, ale pojęli jego „ogień płonący“ jako byt duchowy i myślowy, „gasnący“ zaś—jako materyą; Arystoles zaś mniema, że istotą rzeczy, godzącą wszelkie różnice i usuwającą dualizm Platona, jest, że wytrwamy przy przenośni Herakleitowéj, „rozpalanie się“ owego ognia. *Materya*, jako bezkształtna, przybiera *formę*, a z nią razem myśl czyli ducha, który właściwie Arystoteles i nazywa formą. Niemasz więc dualizmu, niemasz materyi, jako niebytu i ducha, jako bytu: jest tylko ciągły rozwój bytu, rozwój, w którym *materya* przybiera *formę*, nabiéra pewnéj siły, działalności (*enérgeja*, *entelechia*). Miejsce materyi i ducha, odrębnych i niedających się pogodzić, zajmuje *rozwijająca się* materya, którą w swym rozwoju nabiéra formy czyli ducha, inaczéj siły, działalności lub energii, gdyż wszystkie te wyrażenia są u Arystotelesa jednoznaczne. *Materya* jest *możliwością*, a *forma* (duch) *koniecznością;* proces powszechnych zmian jest, wedlug Arystotelesa, rozwojem od możliwości do konieczności. W nauce więc tego filozofa tkwią zarody monizmu ogólnego, rdzennego, ale *monizmu w rozwoju*. Jestto więc, powtarzamy raz jeszcze, gdyż różnica ta jest dla naszego przedmiotu bardzo ważną, trzeci rodzaj monizmu, bardziéj, należy to wyznać, zbliżony do monizmu materyalistów, niż do monizmu połowicznego Eleatów. Wszelako różnicę nauki Arystotelesa, zresztą niecałkiem, jak to już powiedzieliśmy, zaokrąglonéj, od teoryi materyalistów stanowi jego nauka o najwyższym rozumie, o najwyższéj przyczynie wszech rzeczy — Bogu, któremu Arystoteles przypisuje zupełną samodzielność, zamkniętą w sobie i nieruchomą, od warunków czasu i przestrzeni niezależną doskonałość i któremu nadto przyznaje istnienie osobowe. Stosunek tego Boga do świata materyi i formy, zależnego od czasu i przestrzeni, pozostał niewyjaśnionym i stanowi jednę z najsłabszych stron nauki Arystotelesa. Gdybyśmy bowiem i zgodzili się, że wielki ten filozof dał popęd do połączenia w jedno tych dwóch zjawisk, które przed nim nazywano duchem i materyą, wszelako zastanawia i zadziwia nas uznanie jednéj jeszcze substancyi — Boga, który jest wyższym po nad formę i materyą, nie jest zbytecznym, gdyż jest, podług Arystotelesa, ostateczną przyczyną wszech rzeczy, ale stanowisko jego nie jest wyjaśnionem.

Takie były zasadnicze wnioski filozofii greckiéj w dziedzinie metafizyki. Z upadkiem świata starożytnego i cywilizacyi klasycznéj, skończył się pierwszy wielki okres rozwoju filozofii ludzkości — okres, który nietylko nie był bezowocnym, ale przekazał wiekom następnym dziwnie bogatą puściznę. Nietylko bowiem, jak to już wykazaliśmy powyżéj, filozofia grecka w swoim samodzielnym, niemal organicznym rozwoju wytknęła i sformułowała istotę zadań filozoficznych i wzniosła podwaliny wszystkich swych części, ale nadto utorowała koleje dla wszystkich głównych kierunków filozoficznych, doprowadziła do wysokiéj doskonałości logikę i pozostawiła przyszłym pokoleniom wskazówki, jak należy zabiérać się do zgłębienia najwyższych zagadnień. Wszelako miała filozofia Greków wielkie braki; z tych główne są: brak naukowych podstaw, tak przyrodniczych, jak matematycznych, wiedzy o świecie, a nawet wiedzy o duchu ludzkim, czyli brak naukowéj psychologii. Skoro bowiem zadaniem filozofii jest rozwiązanie zagadki istotnego bytu i jego stosunku do zewnętrznego świata zjawisk, niezbędną jest rzeczą poznać prawa tych zjawisk, tak, jak one przedstawiają się badawczéj myśli ludzkiéj, a nadto prawa i objawy saméj działalności badającego i obserwującego ducha — drogę, na któréj dochodzi on do wytworzenia wrażeń, odźwierciadlających cały świat zewnętrzny. Nadto i etyka filozoficzna Greków prędko zachwiała się w swych podstawach. O téj części filozofii praktycznéj mówiliśmy najmniéj na tém miejscu, dla tego, że chociaż główne dzieło Spinozy nosi właśnie tytuł „Etyki,“ ale jego etyka wyłącznie i jedynie wypływa z jego metafizyki. Poprzestaniemy tu więc na przypomnieniu, że filozoficzna etyka grecka, oparta od czasów Sokratesa na czterech cnotach zasadniczych (męztwo, wstrzemięźliwość, roztropność i sprawiedliwość) rozprysła się wkrótce na rozmaite sprzeczne kierunki, z których epikureizm był niejako materyalizmem, a stoicyzm — krańcowym idealizmem etycznym. Ta ostatnia doktryna zdołała wprawdzie podnieść się do niektórych szczytnych pomysłów, pokrewnych chrześciańskim pojęciom, ale paraliżował ją zawsze ciasny widnokrąg pojęć obywatelsko-arystokratycznych — brak idei humanitarnych powszechnego braterstwa i powszechnéj miłości. Te idee wydało na świat dopiéro chrześciaństwo, które głównie i najpierwiéj opanowało etykę, wciągnąwszy ją do zakresu swojéj nauki.

Wpływ chrześciaństwa, nie poprzestając na etyce, musiał odbić się z kolei i na innych częściach filozofii, która przewlókszy swój żywot pod panowaniem Rzymian bez zmian istotnych, zetknęła się w dobie upadku świata klasycznego z nową opanowu-

jącą świat nauką. Nastał nowy okres dla filozofii — okres przejściowy, w którym filozofia i religia chrześciańska rozmaicie na siebie wzajemnie oddziaływały i zostawały w stosunku chwiejnym, przez tysiąc z górą lat niemogącym ustalić się należycie. Dla braku wielkich myślicieli, a także w skutek upadku nauk i oświaty, oraz w skutek wybujałych pretensyi przedstawicieli nauki chrześciańskiéj — duchowieństwa — drugi ten okres dziejów filozofii niewiele przyniósł dodatnich owoców dla téj nauki. Zdawałoby się na pozór, że wnosząc w dziedzinę myśli filozoficznéj nowy czynnik, nowe nawet źródło wiedzy — objawienie, zupełnie starożytnemu grecko-rzymskiemu światu nieznane, chrześciaństwo przyczyni się znakomicie do postępu filozofii; w rzeczywistości jednak prędko uwydatnił się rozbrat pomiędzy religią i filozofią, pomiędzy objawieniem i rozumem, co przyczyniło się niebawem, w skutek reakcyi, do wybujałych wybryków zazdrosnego o swą niezależność rozumu, który wziął odwet za poniżenie i niewolę, których doznał od średniowiecznéj teologii. W gruncie rzeczy religia powinna być tylko uzupełnieniem filozofii: nie krępując w niczém swobody rozumu, ma ona tylko koić rozpacz tego ostatniego, zaspokajając ostatecznie te jego pragnienia, których urzeczywistnić o własnych siłach nie zdoła — dając mu rozwiązania najwyższych zagadnień, o ile takowe, pomimo wszelkich wysiłków i dobijania się rozumu, pozostają dlań nieprzystępnemi.

W zaraniu wieków średnich, czyli raczéj jeszcze na schyłku starożytności, gdy tradycye filozofii greckiéj i cywilizacyi klasycznéj jeszcze żyły, niektórzy z ojców kościoła (św. Justyn, Klemens Aleksandryjski i t. p.) głosili wprawdzie powyższą zasadę *o religii, jako uzupełnieniu filozofii*, uznając tém samém pożytek i konieczność swobodnego, od religii niezależnego, rozumowego dochodzenia; ale ten kierunek chrześciańsko-filozoficzny prędko zaginął i nie wydał żadnych owoców. W tychże czasach, pod wpływem uroku klasycznéj literatury i oświaty, powstał był nawet kierunek wprost przeciwny pierwszemu: Orygenes śmiał utrzymywać, że *filozofia jest uzupełnieniem religii* i chciał tym sposobem obrócić na korzyść chrześciaństwa kombinacye neo-platońskie, w których dogorywające pogaństwo szukało ostatniéj ucieczki; ale i ten kierunek, potępiony przez kościół, jako heretycki, znikł wkrótce, ustępując miejsca dwom innym, bardziéj przez duchowieństwo popieranym. Jeden z tych nowych kierunków, przenosząc wstręt ku bóstwom Olympu na całą cywilizacyą i naukę starożytności, zależał na bezwarunkowém *potępieniu filozofii*, jako sprawy diabelskiéj i przewrotnéj. Przedstawiciel tego kierunku, gorący Afrykanin Tertu-

lian, w godnym pożałowania zapędzie, niebaczny na obosieczność swojéj zasady, jął głosić, że religia jest zupełnie sprzeczną z rozumem, a że jest lepszą i do zbawienia konieczną, przeto rozum jest rzeczą naganną i szkodliwą, a rozumowania żadnéj wartości nie posiadają: owszem, według Tertuliana, im co jest niedorzeczniejsze i z rozumem sprzeczniejsze, tém na większe uznanie i przyjęcie zasługuje! Z obosieczności téj zasady skorzystali późniejsi przeciwnicy religii, powtarzając za Tertulianem, choć w innych zamiarach i dążnościach, że religia sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi. Nakoniec ostatni i najpóźniejszy pogląd na stosunek filozofii do religii, który stał się podstawą tak zwanéj filozofii scholastycznéj wieków średnich, streszcza się w słynném zdaniu: „*filozofia jest służebnicą teologii.*“ Trzymając się téj zasady, średniowieczni myśliciele zwrócili wszystkie swe usiłowania do tego, aby na drodze rozumowań rozwijać i uzasadniać dogmata religijne, które, w rzeczywistości, dowodów nie potrzebują i z natury swojéj dowiedzionemi być nie mogą. Filozofia scholastyczna obracała się więc w zakreśloném kółku subtelnych rozumowań i czczych wysiłków, ażeby dowodzić tego, co już z góry uważane było za pewniki, które nie mogły być niedowiedzionemi. Dogmata były zarazem i aksyomatami i przedmiotami rozumowań i najwyższemi kryteryami i ostatecznemi argumentami—ztąd chaos pojęć, poplątane definicye i zaklęte kółko formułek. W obec treści danéj w dogmatach, jedyna iskierka filozoficznego myślenia pozostała w formie—ztąd jedynie tylko logika skorzystała nieco z mozolnych wysiłków i zawiłych dysputacyj scholastycznych. Arystoteles miał wielką wziętość u scholastyków głównie dla tego, że pojęcie i znaczenie Boga w jego filozofii najbardziéj zbliża się do pojęć chrześciańskich w tym przedmiocie, a także dla tego, że Arystoteles najbardziéj wydoskonalił logikę, tak niezbędną dla średniowiecznych szermierek. Zresztą do wziętości Arystotelesa przyczyniły się okoliczności czysto przypadkowe: z upadkiem znajomości języka i literatury greckiéj, a nawet i klasycznéj łacińskiéj, zkąd możnaby było zaczerpnąć poglądy starożytnych filozofów, nie miano wyobrażenia o innych myślicielach, a i dzieła Arystotelesa znano tylko w przekładzie łacińskim z przekładu arabskiego, a więc z trzeciéj ręki. Jedyny oddźwięk teoryi Platona znajdujemy w szkole scholastyków, zwanych *realistami* (co po naszemu oznacza *idealistów*), którzy utrzymywali, że pojęcia ogólne czyli idee mają byt niezależny od świata zmysłowego (*uniwersalia ante rem*), wówczas gdy panujący kierunek (umiarkowanie realny) trzymał z Arystotelesem, że pojęcia ogólne istnieją tylko w rzeczach i razem z niemi (*universalia in re*),

a opozycya—*nominaliści* (zaród dzisiejszych *empiryków*) sądzili, że pojęcia ogólne są to tylko abstrakcye, z samych rzeczy zmysłowych wyciągnięte (*universalia post rem*). Spór zwolenników tych trzech kieruków nie był w gruncie tak czczym, za jaki przywykliśmy go uważać: przebijało się tu poczucie metafizycznych zadań filozofii i kiełkowała kwestya *wrodzonych* pojęć, która zaprzątała późniéj filozofów XVII i XVIII stólecia; ale w średnich wiekach spór ten zakończył się błahemi subtelnościami i owoców nie wydał. Scharakteryzowana powyżéj dążność scholastyki do przybrania dogmatów religijnych w sukienki filozoficznych rozumowań nosiła już ukryty w swém własném łonie zaród upadku i reakcyi: skoro bowiem scholastycy uważali za potrzebne dowodzić dogmatów drogą rozumowania, tém samém już uznawali niejako rozum za coś wyższego nawet nad dogmata, wymagający dowodów i przekonania, ażeby mógł uznać dogmata za prawdziwe.

Gdy w skutek odrodzenia się znajomości literatury klasycznéj i owych sprzeczności, tkwiących w zasadzie scholastyki, nie bez spółdziałania wiadomych wypadków historycznych (upadek duchowieństwa, reformacya i t. d.) w końcu scholastyka upadła, filozofia musiała zacząć swą pracę na nowo, ażeby związać zatraconą nić łączącą z filozofią starożytną. Odświeżono w pamięci nabytki filozofii greckiéj, zapoznano się z jéj puścizną, a choć próbowano dochodzeń samodzielnych, bezwiednie wszelako spotykano się nieraz z wynikami filozofii greckiéj. Duch ludzki i myśl ludzka zawsze i wszędzie jest jedna, i jak dzieci, którym nie udają się gmachy karciane, burzą je z gruntu, a stawiając na nowo i w sposób odmienny otrzymują podobne kształty, tak samo—porównanie to nie przesądza ważności zadań—częstokroć ma się rzecz i z filozofami.

Z upadkiem scholastyki rozpoczyna się trzeci okres w dziejach filozofii. Wyzwolony rozum wzbija się do nowego polotu, ale myśliciele zaczynają zwracać więcéj uwagi na zaniedbane w starożytności, jak wspomnieliśmy wyżéj, podstawowe czynniki i pomocnicze środki badań filozoficznych. Umiejętności matematyczne, przyrodnicze i psychologia doświadczalna rozwijają się i wnoszą swą cząstkę do filozofii, przeważnie do tego jéj kierunku, który pod nazwą empiryzmu, sensualizmu i materyalizmu wznawia kierunek teoryi Demokryta i starożytnych materyalistów; wszelako i kierunek idealistyczny musi rachować się z owemi umiejętnościami. Przygotowawcze te prace, które trwały przez XVI i XVII stólecia, dozwoliły wzmocnić się kierunkowi sensualistycznemu nie

prędzéj jak w teoryach Locka i encyklopedystów francuskich; tymczasem zaś filozofia par excellence pozostała idealistyczną, to jest poszukującą prawdy a priori, ale stała się już *racyonalną*, to jest rzeczą samego rozumu, nieuznającego wyższych nad siebie powag.

Pierwszym filozofom nowożytnym chodziło przedewszystkiém o ustalenie *metody*. Podobnie jak Bakon ustalił metodę badań i wywodów empirycznych, mającą przydać się późniejszemu kierunkowi filozoficznemu téj nazwy, tak równocześnie prawie Descartes czyli Kartezyusz ustalił metodę filozofii idealistycznéj. Wyrobiona w starożytności, a przez scholastyków wydoskonalona logika dawała wprawdzie nić przewodnią dla rozumowań, ale smutne doświadczenie, począwszy od sofistów aż do scholastyków, przekonało Kartezyusza, że i logika może prowadzić na manowce: postarał się więc ten wielki myśliciel o wynalezienie metody, która a priori doprowadziłaby i do samych zasad logicznych i dała trwałą podstawę racyonalnemu idealizmowi. Kartezyusz był więc z tego względu, ojcem filozofii nowożytnéj, a ponieważ nauka Spinozy była uzupełnieniem nauki Kartezyusza, którego nasz filozof sam mienił się uczniem, wypada więc nam teraz obeznać się z głównemi podstawami filozofii Kartezyusza.

III.

Nauka Kartezyusza.

Na początku swego dzieła „O metodzie“, Kartezyusz powiada, że szukał prawdy w księgach, ale jéj tam nie znalazł; następnie zwrócił się do świata i ludzi, ale i ci nie zaspokoili jego pragnienia wiedzy; zmuszony więc został w końcu zagłębić się w sobie i szukać prawdy w swoim duchu. Odrzuciwszy więc wszelkie powagi, doktryny i świadectwa, zaczął przedewszystkiém zastanawiać się, *jaką* ma być ta prawda i *jaką drogą* duch do niéj dojść zdoła? Zastanawiając się, uznał za konieczne: 1) ażeby pojęcia, jeśli mają być prawdziwemi, były *jasne* i ściśle określone, odróżnione od innych, niepomięszane z innemi; 2) ażeby pojęcia *złożone* dały się rozłożyć na *proste*; 3) ażeby, odwrotnie, z pojęć *prostych*, dały się uformować *złożone* i 4) ażeby każdą *całość* rozpatrzéć i zbadać dokła-

dnie we wszystkich *szczegółach*. Tak więc, jasność i określoność, analiza, synteza i badanie szczegółowe (zwane w metodzie empirycznéj *mikroskopijném*)—oto cztery podstawy metody badań filozoficznych. Ustaliwszy je, Kartezyusz zadał sobie pytanie: *co jest* rzeczywiście, co na prawdę istnieje? Wątpliwość jest początkiem wszelkiéj umiejętności i Kartezyusz rozpoczyna od zupełnego sceptycyzmu, *wymiotłszy* ze swego umysłu, jak się wyraża, wiarę w istnienie czegokolwiek, coby nie dało sprawdzić się rozumowaniem. Poczyna więc z niczego, różniąc się tém od dawnych np. jońskich myślicieli, że ci zapytując *co jest stałego* w potoku zmian, uznawali już tém samém, że *jest coś* co się zmienia, a od Eleatów i krańcowych idealistów jak Platon—tém, że tamci zadawali sobie pytanie *jakim jest byt prawdziwy*, a więc już z góry przyjmowali, że ten byt istnieje. Kartezyusz niczego z góry nie przyjmuje; tylko *poczucie wewnętrzne* powiada mu, że pierwszą niezawodną prawdą jest to, że on sam istnieje, a to dla tego, że szukając prawdy wątpi, a wątpiąc myśli, a zatém każdy człowiek może powiedzieć o sobie: *myślę więc jestem* (*cogito ergo sum*). Bez uznania tego pewnika niemasz ani prawdy, ani badania, ani dochodzenia, ani zwątpienia: wszystko to bowiem byłoby zupełnie niemożliwém, gdyby przedewszystkiém nie istniał ten, kto szuka prawdy, bada, dochodzi i wątpi. Takie ma znaczenie słynny ten pewnik i podwalina filozofii Kartezyusza. Niewszyscy go należycie zrozumieli. Gassendi np. drwiąco powiada: „przechadzam się, a więc jestem“ (*ambulo, ergo sum*), a Büchner, również przedrzéźniając Kartezyusza, mówi: „pies szczeka, a więc jest.“ Obydwa nie zrozumieli czy téż nie chcieli zrozumiéć myśli filozofa: dowodem istnienia człowieka nie jest i być nie może żadna czynność zewnętrzna i zmysłowa, ale jedynie *wiedza*, czyli *myśl* o téj czynności, wewnętrzna samowiedza, poczucie siebie, jako podmiotu *świadomego* swojéj czynności, nie zaś jedynie takową *wykonywającego*. Błędne więc byłyby wnioski: *chodzę więc jestem*, *śpię więc jestem*, *piszę więc jestem* i t. d. ale prawdziwe będą takie wnioski: *wiém, że chodzę* (myślę o tém), *więc jestem*, *wiém że piszę*, więc jestem i t. p. Sama czynność może być złudzeniem, myśl może być błędną, ale *samowiedza*, jako poczucie, że czynność ta jest moją i do mnie się ściąga, ale samo *myślenie* i *powątpiewanie* jest faktem niezawodnym, dowodzącym istnienia myślącego i powątpiewającego podmiotu. Źródłem więc owéj słynnéj zasady *myślę, więc jestem* jest bezpośrednia intuicya duchowa, wewnętrzne poczucie *samowiedzy* po raz pierwszy tak trafnie i głęboko wyrażone w dziejach filozofii przez Kartezyusza,

po raz pierwszy uznane słusznie za kamień węgielny filozoficznego dochodzenia. Jako bezpośredni wypływ samowiedzy, owa zasada nie została téż bynajmniéj wyprowadzoną przez Kartezyusza, jakby to komu zdawać się mogło, z takiego np. sylogizmu: *kto myśli*, *ten istnieje*; *ja myślę*, *a więc istnieję*, gdyż rozpoczynając poszukiwanie prawdy od zupełnego i ogólnego sceptycyzmu, nie mamy żadnych danych, na których moglibyśmy oprzéć pierwszą ogólną premisę, *kto myśli ten istnieje*, ażeby z niéj wyciągnąć wniosek o indywidualném naszém istnieniu: przeciwnie, ten właśnie wniosek jest pierwszą prawdą, którą zdobywamy i ona to chyba mogłaby zostać premisą niedokładnego sylogizmu, ze szczegółu wnioskującego o ogóle w téj np. postaci: „*ja istnieję dla tego że myślę*, *a więc i wszystko to co myśli*, *także istnieje*.“

Tak więc *istnienie człowieka* czyli *ducha*, poznawanego *w myśleniu* (gdyż *ja* myślące nie zawiera w sobie pojęcia ciała, nie jest więc ciałem)—pierwszy pewnik filozoficzny. Dopiéro następnie przechodzi Kartezyusz do pojęcia *Boga*; nie zaczyna zaś od tego pojęcia z powodu że byłoby ono niepewném i błędném, gdybyśmy nie zdobyli pierwiéj pewności, że rzeczywiście istnieje podmiot, posiadający pojęcie o Bogu. Do pojęcia o Bogu przechodzi Kartezyusz przy pomocy kilku oczywistych logicznych aksyomatów, których tu przytaczać nie będziemy—nie możemy tu bowiem przedstawiać we wszystkich szczegółach téj doktryny—a skonstatowawszy, że pojęcie o Bogu tkwi w duchu ludzkim, rozumowaniem dowodzi rzeczywistego istnienia Boga. Rozumowanie to, którego również szczegółowo przedstawiać nie będziemy, postępuje dwiema drogami: z jednéj strony, Kartezyusz wykazuje, że idei Boga nie moglibyśmy ani wysnuć z siebie, ani wyprowadzić ze świata zewnętrznego, głównie dla tego, że ta idea zawiera w sobie treść daleko obfitszą i wyższą niż to, co mamy w sobie lub w świecie, a z rzeczy niedoskonałéj nie może wyniknąć idea doskonała; z drugiéj zaś strony, filozof dowodzi, że istnienie Boga nie jest tylko *możliwém*, gdyż rzeczy możliwe zależą od przyczyn, a Bóg przyczyny swego bytu mieć nie może (bo to jest sprzeczne z ideą Boga, która uważa go za ostateczną przyczynę); istnienie Boga musi więc być *rzeczywistém* i *koniecznem*, gdyż *konieczność* jest to brak przyczynowości, jest to ostateczna przyczyna. Obydwa te słynne *metafizyczne* dowody istnienia Boga rozwinął i udoskonalił Spinoza; niewątpliwie zaś są one lepsze i wyższe od używanych w scholastyce dowodów *teologicznego* (z objawienia), *ontologicznego* (który właściwie jest koniugacyą słowa *być*) i *teleologicznego* wraz z *kosmologicznym* (opartego na mądrém urządzeniu i celowości przyrody).

Następnie przechodzi Kartezyusz do idei *świata*: duch ludzki posiada i tę także ideę, równie jak i pojęcie o Bogu. Odrzucając świadectwo zmysłów, jako zwodnicze, filozof zastanawia się, *co* mianowicie jest w świecie *prawdziwém*, *rzeczywistém* i dochodzi do wniosku, że *rozciągłość* czyli *przestrzeń* jest właśnie to, o czém najjaśniejsze pojęcie duch nasz posiada, a że pojęcia najjaśniejsze są prawdziwe i że przytém niepodobna przypuścić, aby Bóg oszukiwał człowieka, więc istotą świata czyli rzeczy materyalnych, zmysłowych, musi być *przestrzeń* czyli *rozciągłość*, zupełnie tak samo, jak istotnym objawem ducha ludzkiego jest *myślenie*.

Tą drogą, w głównych zarysach scharakteryzowaną, Kartezyusz zdobywa dla swojéj filozofii trzy prawdziwe istności—trzy *substancye*, jak się wyraża, a temi są: *człowiek* (duch), *Bóg* i *świat* (materya). Z dawnego dualizmu Kartezyusz zrobił trójcę, a usiłując wytrwać przy chrześciaństwie i nadać cechę chrześciańską swojéj doktrynie, w określeniu *co jest substancya* czyni wyróżnienie na korzyść Boga, mówiąc, że *substancya* właściwie jest to istność, która do swego bytu nie potrzebuje niczego; wszelako taką doskonałą substancyą jest tylko Bóg, dwie zas pozostałe do swego bytu koniecznie potrzebują Boga—jego twórczości i spółdziałania. *Myślenie*, jako istotny objaw *ducha* i *rozciągłość*, jako istotny objaw materyi, są to *atrybuta* tych dwóch substancyj czyli ich *własności*, w których my ludzie je poznajemy—jedyne pewne i rzeczywiste. Same substancye są dla nas nieprzystępne: *ducha* znamy tylko w atrybucie myślenia, a *materyą*—jedynie w atrybucie rozciągłości—wszystko jest albo *myślące* (*res cogitans)* albo rozciągłe *(res extensa*). Wszelkie inne wrzekome przymioty i własności są to tylko ułudne, znikome postaci, zjawiska czyli sposoby *(modi*): tu należą np. w dziedzinie ducha uczucia, chęci, namiętności i t. p. a w dziedzinie materyi—ruch, barwa, kształty i to wszystko, co zwykle licznemi własnościami rzeczy nazywamy.

Taką jest istotna treść systemu Kartezyusza. Nie zamierzając tu przedstawiać zupełnego obrazu wszystkich szczegółów jego doktryny, wspomnimy tylko jeszcze o niektórych ważniejszych wynikach powyższych podstaw zasadniczych.

Tak *popierwsze*, co się tyczy *Boga* Kartezyusz nie zastosował do téj substancyi swoich pojęć o *atrybutach* i *postaciach* (modi), ażeby nie oddalić się zbytecznie od wyobrażeń chrześciańskich. Wyprowadza więc tylko z pojęcia o Bogu te same jego przymioty i własności, które podaje religia. Wszelako niektóre jego określenia były powodem niesnasek z duchowieństwem: tak np. Kartezyusz, wbrew teologii, która utrzymuje, że wszechmoc boska jest

ograniczona boską mądrością, dowodził, że moc Boga nie jest niczém ograniczona, tak że Bóg może sprawić nawet że np. 2 razy dwa nie będzie 4. Mniemał także Kartezyusz, że Bóg tworzy wiecznie—„jest to ostateczna przyczyna, prosta siła, podtrzymująca świat ciągłém i nieustanném tworzeniem“—i że w tworzeniu nie ma celu: cele w ogólności ma tylko stworzenie niedoskonałe, jak np. człowiek, a to w skutek ułomności woli, to jest braku harmonii pomiędzy myślą i chęcią. Zasada o rozciągłości, jako istocie materyi, nie podobała się również duchowieństwu, które widziało w niéj atak przeciwko dogmatowi eucharystyi.

Po drugie, co się tyczy *człowieka*, Kartezyusz odrzucał zupełnie wzajemne oddziaływanie ducha i ciała: dwie te substancye, jako całkiem odrębne i samodzielne, nie mogą wywierać na siebie żadnego zgoła wpływu. Ponieważ jednak ten wywód logiczny zostaje w zupełnéj sprzeczności z codziennem doświadczeniem, świadczącém o wpływie np. myśli i woli na ruchy ciała i o wpływie stanu ciała na stan ducha, dla objaśnienia przeto tych faktów Kartezyusz wymyślił teoryą *boskiego spółdziałania* (concursus divinus), według któréj pozorna zależność ciała od ducha i odwrotnie jest wynikiem bezpośredniéj interwencyi Boga: gdy np. chcę pisać, Bóg niezwłocznie pośpiesza mi z pomocą i sprawia odpowiedni ruch ręki. Jeden to z najsłabszych punktów teoryi Kartezyusza, gdyż czyni on Boga sługą ludzkim na każde zawołanie. Następcy Kartezyusza (Heilings) zbudowali na téj podstawie teoryą *okazyonalizmu*, według któréj jedno zjawisko jest powodem, okazyą dla Boga do wywołania drugiego zjawiska, tak że właściwie wszystko w przyrodzie i człowieku jest dziełem Boga: nic nie działa samo lecz wszystko sprawia Bóg. Stan niemowlęcy fizyologii i doświadczeń psychologicznych w owych czasach sprzyjał tym dziecinnym teoryjkom, które nic nie wyjaśniają. Co do etyki, Kartezyusz niewiele się nią zaprzątał: nawet o kwestyach wolnéj woli i początku złego mówi krótko i niestanowczo.

Po trzecie, co do przyrody czyli świata, Kartezyusz mało troszczył się o fizykę. Zaprzecza nawet wręcz niektórym prawom fizyki jak np. zasadzie, według któréj z powiększeniem ciśnienia zmniejsza się tylko objętość ciała, a masa czyli materya pozostaje ta sama. Kartezyusz dowodzi, że w takim razie zmniejsza się także i masa, gdyż *rozciągłość*, według jego nauki, stanowi istotę masy czyli materyi. Dla téj saméj przyczyny filozof nasz odrzuca teoryą atomów, słusznie nie wierzy w próżnię i powstaje przeciwko przyjmowanemu przez atomistów pierwiastkowemu ruchowi, jako źródłu wszech rzeczy, gdyż niepodobna odróżniać materyi od roz-

ciągłości i przestrzeni: materya poruszająca się w przestrzeni byłaby to materya, poruszająca się sama w sobie, gdyż przestrzeń to sama materya, nie zaś jakaś szufladka dla materyi. Według tego, zdawałoby się, że Kartezyusz powinien nie uznawać także i ruchu, jak Zenon z Elei: mówi on jednak o ruchu pierwotnym, nadanym materyi przez Boga. Uznając ducha i materyą za dwie odrębne substancye, Kartezyusz w przyrodzie nie widzi nigdzie myśli ani ducha: ztąd, pomimo swego idealizmu, skłania się do czysto mechanicznego na świat poglądu, choć go nie wyrobił ostatecznie. Mniema że świat jest jeden, gdyż jedna jest materya i że wszystkie twory żyjące, z wyjątkiem człowieka, są zupełnie pozbawionemi ducha machinami, czysto mechanicznemi automatami. Ostatecznie więc, pomimo swojéj trójcy substancyi, Kartezyusz zachował i ugruntował odwieczny dualizm—przeciwieństwo i niezależność ducha od materyi: jedyném przejściem od jednéj z tych substancyi do drugiéj, jedynym łącznikiem jest bezpośrednie działanie, wywierane na obie przez substancyą trzecią i najwyższą—Boga.

Największą zaletą nauki Kartezyusza, oprócz niepożytéj zasadniczéj maxymy, jest dziwna jasność i matematyczna prawie ścisłość, zwłaszcza w części czysto metafizycznéj. Wytknięte przez nas przy sposobności braki, sprzeczności i wahania się téj teoryi w pochodzie do ostatnich jéj konsekwencyi uwydatnią się nam teraz jeszcze lepiéj, gdy przypatrzymy się, jak usiłował uzupełnić te braki i do jakich krańcowych wniosków z zasadniczych podstaw nauki Kartezyusza doszedł jego następca Spinoza, którego doktrynę teraz już na tle kartezyanizmu najłatwiéj nam będzie przedstawić w krótkości.

L. S. W.

(*dokończenie nastąpi*).

ZŁOTO I SREBRO,

JAKO ŚRODKI OBIEGOWE.

Współczesne zelżenie srebra. — Stopa jedyna i dwoista.

(Dokończenie).

Nierównie dotkliwiéj niż krajom Unii Monetowéj Łacińskiéj dało się uczuć zelżenie srebra W. Brytanii, chociaż państwo to od r. 1817 jedyną złotą stopą posługuje się. Pamiętajmy, że nietylko Londyn jest główném targowiskiem drogich kruszców, lecz że Królowa Wiktorya jest zarazem Cesarzową Indyjską, a Indye Wschodnie najogromniejszą zamorską posiadłością jéj korony. W Indyach Wschodnich obowiązuje stopa srebrna jedyna, tak samo jak i na całym dalszym Wschodzie, i ten system pieniężny nie dałby się żadną miarą na wzór kraju macierzystego i innych jego osad niezależnie od Chin, Japonii i t. d. zreformować. Seciny milionów ludności tego niezmiernego świata, który od tysiąców lat chłonie w siebie bajeczne ilości srebra z różnych tam stron płynące, nie dałyby sobie żadną miarą narzucić innego kruszcu, prócz tego, do którego je siła odwiecznych obyczajów i nawyknień, religią w części uświęconych przywiązała. O ścisłości zaś, ważności i ogromie stosunków i interesów, Anglią z jéj wielkiém panowaniem azyatyckiém łączących, nie mamy tu potrzeby rozwodzić się. W pierwszych latach poprzedniego dziesiątka tego wieku, gdy z przyczyny wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj a ztąd nagle podnieconego rozwinięcia uprawy bawełny w Indyach, niezwykle wielkie ilości srebra do

tych krajów wysyłać było trzeba, zakłopotany trudnościami tych wypłat olbrzymich handel angielski usiłował tam złotą monetę rozpowszechniać; lecz skutek był bardzo ograniczony. Państwo Wschodnio-Indyjskie samo w sobie z jedyną swoją srebrną stopą mogłoby było zapewne bez wielkich dolegliwości zniżenie ceny srebra wytrzymywać, gdyby znowu nie owe jego wieloliczne i ścisłe z W. Brytanią połączenie. To ostatnie sprawia, iż dwa kraje, które na pierwszy rzut oka powinna była jedyna stopa monetowa—tu złota, tam srebrna—od szkód teraźniejszego przesilenia zabezpieczyć, najmocniéj właśnie od tego przesilenia cierpią. Bilans wprawdzie obrotów handlowych Indyj Wschodnich z Anglią był zawsze i jest dotąd na korzyść pierwszych plusowy; uboga, niewielkie mająca potrzeby życiowe ludność indyjska nie spożywa wyrobów angielskiego przemysłu w takiéj mierze, aby się tam indyjski wywóz, naturalnych po największéj części produktów (ryżu, pszenicy, herbaty, bawełny, juty, drzewa, skór i t. d.) pokrywał; ale bunt Sepojów w r. 1857, a następnie budowa kolei na wielką skalę, to znowu powtarzające się klęski głodowe zniewoliły skarb wschodnio-indyjski do ogromnego zadłużenia się Anglii; co pociąga naturalnie potrzebę znacznych tam wypłat. Wypłaty dochodzą temi czasy do 15 milionów funtów sterlingów rocznie; zważywszy więc naprzykład, iż cena przecięciowa srebra w Londynie była w ciągu roku 1875 między 56½ a 57½ pensów za uncyą, co stanowi różnicę od ceny normalnéj (60⅞) sześć do siedmiu procentów, wypada więc ztąd od 900 tysięcy do miliona z górą funtów sterlingów straty dla wschodnio-indyjskiego skarbu, który dochody swoje w srebrze otrzymuje, a w Londynie naturalnie według kursu uiszczać się musi. Nie obowiązuje go to wprawdzie względem emerytów i pensyonowanych urzędników w Anglii mieszkających; lecz za to téż ci ostatni, w zelżonéj walucie należność swą otrzymując, dotkliwą stratę ponoszą. Ma się rozumieć, iż gorzéj jeszcze stały rzeczy przez większą część roku ubiegłego, gdy srebro w Londynie o 12 do 14 procentów niżéj ceny normalnéj odchodziło. I w handlu wreszcie stanowi szerokie kołysanie kursów wexlowych przeważny czynnik losowości, wcale dla obrotów międzynarodowych niekorzystny. Im] powolniejsze są te obroty z przyczyny wielkiéj odległości Indyj Wschodnich od Europy, tém dotkliwiéj zmienność kursów wexlowych uczuwać się daje.

Tak ciężkie okoliczności spowodowały rząd W. Brytanii do wyjednania w Parlamencie (3 marca r. 1876) komisyi z łona tegoż,

którąby się zbadaniem stanu zelżenia srebra i przyczyn onego zajęła. Wynajdywanie środków zaradczych nie było wcale od téj komisyi żądane; to téż trzymając się ściśle wskazanego sobie zakresu, nigdzie ona zdania swojego o możności i sposobach przywrócenia normalnego stosunku cen dwóch drogich kruszców, lub usunięcia szkód przez zelżenie srebra spowodowanych nie wyraziła. W ogóle nie pozwalała ona sobie prawie wniosków nawet żadnych z zebranego przez siebie obfitego materyału faktów i dat wyprowadzać.

Prócz tego materyału sam referat Komisyi, wyszły z pod pióra jéj przewodniczącego, p. Goschen (ministra Marynarki w poprzednim gabinecie), zajmuje pięćdziesiąt stronic druku w wielkiéj ósemce. Z téj przyczyny nie powtórzyły go gazety, ani nawet pisma fachowe mniejszych wymiarów, jakie nam są dostępne; dla dania więc wyobrażenia czytelnikom poprzestać musimy na krótkiéj onego treści, z kilku sprawozdań dziennikarskich zebranéj.

Komisya wychodząc z upowszechnionych przypuszczeń o przyczynach zelżenia srebra, zwróciła główną uwagę swoję na produkcyą tego kruszcu, na ilość onego skutkiem zdemonetowania w niektórych krajach rozporządzalną, i wreszcie na zmniejszony popyt na srebro w Indyach Wschodnich; w związku zaś z temi trzema okolicznościami na popyt i konsumpcyą srebra w innych krajach.

Co do pierwszego punktu, t. j. produkcyi srebra, stwierdziła Komisya nadzwyczajny wzrost onéj od lat piętnastu, mianowicie na terytoryum Unii Północno-Amerykańskiéj—w innych bowiem stronach świata produkcya srebra nie zwiększyła się, a nawet częściowo zmalała—lecz zarazem i ten fakt, odwrotną stronę rzeczy znamionujący, że w przeciągu upłynionych trzech ćwierci XIX-go stólecia stosunek ilości wydobytego srebra do takowéjże ilości złota zmienił się o cztery piąte in minus w pierwszéj z nich, t. j. że prawie pięć razy mniéj wydobywa się dziś srebra w stosunku do złota, niż na początku naszego wieku. Oba zaś fakta w następujących wyrażają się cyfrach.

Produkcya srebra na terytoryum Stanów Zjednoczonych A. P., która w roku 1859 wartowała wszystkiego około sta tysięcy dolarów, czyli półmiliona franków, a zatém była w stosunku do ogółu współczesnéj produkcyi tego kruszcu na kuli ziemskiéj, na 202 i pół milionów franków (według Reinacha) wycenionéj, nie wchodzącym prawie w rachubę ułamkiem, doszła w roku 1875 do

olbrzymiéj wartości 40 z górą milionów dolarów i stanowi (od lat trzech) przeszło połowę produkcyi ogólnéj świata (1).

Co zaś do drugiego faktu, okazało się z dochodzeń Komisyi, że gdy w pierwszych latach naszego wieku wartość wszystkiéj produkcyi srebra miała się do wartości wszystkiéj produkcyi złota, jak 3 do 1, to ku połowie już wieku tego zeszła na 0,68 do 1, a w pięćdziesiątych latach aż nawet na 0,27 do 1; w poprzednim dopiéro i bieżącym dziesiątku stólecia, częścią skutkiem wyzyskiwania nowo odkrytych kopalni srebra w Stanach Zjednoczonych A. P., częścią skutkiem zmniejszenia się produkcyi złota, stosunek wartości rocznego wyzysku pierwszego z tych kruszców do drugiego podźwignął się znowu od 0,68 do 1.

„Słusznie ztąd wnioskować można—słowa są raportu Komisyi —że zelżenie srebra nie wynikało z nadmiernéj obfitości produkcyi onego w stosunku do złota; faktycznie wpływowa przyczyna tkwić musi raczéj w odmiennêm z dwóch kruszców użytkowaniu. Złoto powszechniéj w użycie wchodzi niż dawniéj, i w saméj rzeczy

(1) W materyi tak trudnéj do ujęcia w cyfry, rozmaitość podań naturalną jest rzeczą. Pomiędzy temi, jakie Komisya zebrała, następująca statystyka produkcyi srebra na całym świecie za ostatnie lata uznana została za najbardziéj do prawdy zbliżoną:

1872	Stany Zjednoczone A. P. . .	5.750.000 fst.		
	Mexyk i Ameryka Południowa	5.200.000		
	Inne kraje	2.060.000	razem	12.950.000 fst.
1874	Stany Zjednoczone A. P. . .	6.400.000		
	Mexyk i Ameryka Południowa	5.000.000		
	Inne kraje	2.000.000	„	13.400.000 fst.
1875	Stany Zjednoczone A. P. . .	8.000.000		
	Mexyk i Ameryka Południowa	5.000.000		
	Inne kraje	2.000.000	„	15.000.000 fst.

Cyfra ogólna za rok 1872 zgadza się prawie zupełnie z obliczeniami Reinacha, które w pierwszéj części niniejszéj pracy były przywiedzione. Za rok 1874 podaje ten publicysta cyfrę wyższą (14.300.000 fst.), a za rok 1875 dużo niższą (12.400.000 fst.).

Produkcyą roku przeszłego 1876 w samych Stanach Zjednoczonych A. P. szacowała Komisya przybliżenie w raporcie swoim na 9 milionów fst.; co za dodaniem reszty świata, przypuściwszy ilość onéj taką samą jak w r. 1875, uczyniłoby 16 milionów fst. Reinach w niedawnym artykule swoim o stanie sprawy srebrnéj (w *Debatach* z d. 2 Lutego r. b,) utrzymuje, że ilość wydobytego w Stanach Zjednoczonych A. P. srebra w ciągu roku przeszłego nie wartowała więcéj nad 40 milionów dolarów, a zatém około 8 milionów fst. Szczególny przytém fakt przytacza ten publicysta: że Unia Północna Amerykańska była nietylko dostawcą srebra na targ londyński, lecz i nabywcą takowego; w Listopadzie mianowicie r. p. zakupiono w Londynie i wywieziono do Stanów Zjednoczonych 375 tys. funtów srebra. Cena tego kruszcu przez cały Listopad trzymała się stale na 53 pensach za uncyą.

stosunki handlowe i położenie licznych krajów, srebrem i złotem posługujących się zupełnemu uległy przeobrażeniu. Argumenta więc na stosunkowym wyzysku złotych i srebrnych kopalni oparte, do mylnych zaprowadziłyby zapatrywań."

Swoją drogą jednakże produkcya srebra w ogólności, t. j. na świecie całym—mianowicie przez przybytek północno-amerykańskiéj—wzmogła się bezwzględnie, i w przeciągu ostatnich lat kilkunastu prawie zdwoiła. W r. 1862 wartowała ona 225 milionów franków, czyli 9 milionów funtów sterlingów; w r. 1875 według obliczeń Komisyi 15 miiionów fst., czyli 375 milionów franków (Reinach podaje, jak widzieliśmy, znacznie niższą cyfrę 310 milionów). Komisya trafnie uważa, ze prócz kopalni północno-amerykańskich, których wyzyskiwanie dla ich nadzwyczajnéj wydajności pomimo zniżenia ceny srebra zawsze jeszcze bardzo jest korzystne, produkcya srebra w innych stronach świata nie będzie się mogła opłacać, gdyby zelżenie teraźniejsze wprędce nie ustało. Nastąpiło to już nawet w Niemczech, a w niebardzo długim czasie, jeżeli przesilenie obecne potrwa, to i w kopalniach Mexyku praca zaniechaną być musi. Co do ogólnéj zawartości całego srebrodajnego gór łańcucha w Newadzie, Comstock Lode zwanego, to po licznych poszukiwaniach i obliczaniach oszacowano ją na 150 milion. dolarów, czyli 30 milionów funtów sterlingów. Odtrąciwszy z tego wartość zawierającego się w srebrze owém złota, aż do 45 procentów całkowitéj wartości stanowiącą (co odpowiada mniéj więcéj trzem procentom ilości wszystkiego kruszcu: przymieszka nadzwyczajnie bogata), pozostanie około 17 milionów fst. wartości samego srebra, a zatém niewiele więcéj nad półtrzecia raza wziętą ilość i wartość produkcyi srebra w Unii w roku zaprzeszłym 1875.

Opinia więc najkompetentniejszych w Europie specyalistów, na możliwie dokładnych datach oparta, zaświadcza nam te pierwszorzędnego znaczenia okoliczności: że od długiego już czasu produkcya srebra na świecie mniejszą ma wartość niż produkcya złota, a powtóre, że wysławione skarby Newady, o ile do téj chwili rozpoznać je zdołano, nietylko nie mogą się uważać za niewyczerpane, lecz owszem za ulegające wyczerpaniu w bardzo niedługim czasie. Zarzucają na to pesymiści i stronnicy jedynéj złotéj stopy, że argument taki statecznym nie jest: lada chwila bowiem na tylu niezmiernych i niezbadanych Unii Północno-Amerykańskiéj obszarach mogą być nowe i niemniéj bogate od newądzkich pokłady srebra odkrytemi.

W drugiéj sferze dochodzeń Komisyi, to jest w badaniu, jakie téż ilości srebra stały się rozporządzalnemi i niejako zbędnemi skutkiem zdemonetowanią tego kruszcu w Niemczech i innych krajach, stwierdzony został fakt, dla wielu może zadziwiający, że Niemcy sprzedały do owego czasu (raport Komisyi nosi datę 15 Lipca 1876) zdemonetowanego srebra swojego nie więcéj jak za 120 milionów marek, czyli sześć milionów funtów sterlingów (1). Zapewne, że po uchyleniu obowiązującego charakteru sztuk talarowych ilość zbędnego srebra niemieckiego daleko większą się okaże; lecz się rządowi berlińskiemu z wycofaniem téj monety wcale nie śpieszy. Pomimo urzędowe przejście na złotą stopę od początku roku 1870 i wycofanie z obiegu wszystkiéj monety srebrnéj niepruskich krajów Państwa Niemieckiego, jako téż wyrugowanie gęsto tam kursujących florenów austryackich, utrzymane zostały, jako równoprawne ze złotem pieniądze, sztuki talarowe i dwutalarowe, ponieważ nowa ustawa monetowa Niemiec z roku 1873 (art. 15) wyraźny dla nich od ogólnéj demonetyzacyi zastrzegła wyjątek. Wyjątek ten, jakkolwiek czasowym w ustawie nazwany, nie miał jednak i nie ma dotąd żadnego wyraźnego w czasie ograniczenia: bo i zapadła w dniu 6 Stycznia 1876 r. uchwała Sejmu Niemiec, upoważniająca Radę Związkową do obrócenia rzeczonéj grubéj srebrnéj monety za czterotygodniowém zapowiedzeniem na użytek zdawkowy (jako wstęp do zupełnego wycofania) nie może się jeszcze nazwać wskazaniem terminu. Na mocy téj to uchwały wyszło w roku przeszłym rozporządzenie Rady Związkowéj, degradujące sztuki dwutalarowe od d. 1 Listopada 1876 do znaczenia monety zdawkowéj: t. j. że przyjmowanie ich w wypłatach jest od owego dnia obowiązującém tylko do wartości 20 marek. Wszekże rozporządzenie to, dogadzające niby złotostopowemu dążeniu, jest w gruncie bardzo małéj jeżeli nie żadnéj nawet doniosłości. Sztuk dwutalarowych po wszystkie czasy było arcy niewiele; obliczano, że nie mogło ich być więcéj w chwili wydania

(1) Według raportu złożonego Sejmowi Niemieckiemu pod dniem 11 Listopada 1876 za sprzedane do owéj pory 1.743.672 funty czystego srebra, otrzymano 143.994.675 marek, a zatém po 82,58 marek za funt.

W roku ubiegłym 1876 zbywanie srebra z Niemiec na większą skalę było prowadzone. W cytowanym artykule Reinacha znajdujemy, iż w ciągu pomienionego roku dostarczyły Niemcy na targ londyński kruszcu tego za 5 milionów funtów sterlingów, gdy ogólna ilość przywozu wartowała 12 milionów f s. Wywóz ogólny w tym roku wartował tyleż; zapasów nie bywało prawie żadnych.

owego dekretu Rady Związkowéj nad jedenaście milionów sztuk, a większa połowa téj ilości spoczywała w kasach instytucyj rządowych; tak iż rzadko się zdarzało dwutalarówkę w obiegu spotkać. Można być pewnym, że się Rada Związkowa nie prędko w tym sposobie z talarami ułatwi. Te jak były tak i są popularną w Prusiech zwłaszcza monetą. Organa rządowe utrzymują, że po przebiciu pewnéj ich ilości, na zdawkowe pieniądze potrzebnéj, pozostanie około 250 milionów marek; lecz Soetbeer i inni przedniejsi finansowego fachu publicyści, wyceniają wartość ogółu sztuk talarowych, dotąd w obiegu będących, na 400 do 450 milionów marek, czyli do 22 z połową milionów funtów sterlingów. Ma się rozumiéć, że rzucenie na targ takiéj masy srebra, choć niejednorazowe lecz tylko rozłożone, zawszeby musiało nowy upadek cen tego kruszcu spowodować; z tego względu więc nie można powiedziéć, że reforma monetowa w Niemczech już wszystkie swoje skutki wywarła. Szczęściem jednak dla ogólnych monetowych stosunków, a zwłaszcza dla krajów Unii Łacińskiéj, polityka Państwa Niemieckiego ma we wszystkich kierunkach na widoku i względzie przedewszystkiém interesa szczególne Pruss; boć Prussy przecie w szerszéj niemieckiéj ojczyźnie władają. Ale wystawiając wszędy jéj wielkość, jéj dobro i pożytki, rachuje się z nią rząd berliński zawsze w ten sposób, żeby mu się jego patryotyczne posłannictwo jak najsowiciéj opłaciło. Dla tego to przeprowadzając reformę monetową w duchu niemieckiéj jedności, energicznie naglił wszystkie współzwiązkowe kraje o wywoływanie z obiegn ich srebrnéj monety; żwawo téż wyrugował popularną w Południowych Niemczech takąż monetę austryackiego stempla, i przez to pośpieszne pozbywanie się srebra, sprawił nawet pewne zakłócenie na londyńskim targu,— z wycofaniem atoli własnych talarów pilno mu wcale nie było; zawarował owszem dla nich, jak wspominaliśmy, w saméj ustawie monetowéj wyjątkowe stanowisko. Tak tedy jest, że pomimo codzienne powtarzanie o przejściu na jedyną złotą stopę, pomimo codzienną admiracyą dla tak mądréj i prawdziwie narodowéj reformy, mają Niemcy de facto do téj chwili stopę dwoistą. Prawda, że i sprzedaż talarów temi czasy nie mogłaby bez ciężkich nastąpić strat, podobnie jak to mówiąc o Francyi w przybliżeniu wycenialiśmy. Strata trzydziestu, dwudziestu, a choćby i kilkunastu milionów marek byłaby dla skarbu Niemiec cięższą jeszcze, niż stosunkowo większa dla Francyi. Można więc być dostatecznie pewnym, że się rząd Państwa Niemieckiego z wykonaniem uchwały z d. 6 Stycznia r. 1876 kwapić nie będzie; zwłaszcza że ma i inną w tém racyą. Wybita do

początku roku bieżącego ilość nowéj złotéj monety Państwowéj wynosi prawdopodobnie blisko półtora miliarda marek wartości; ale kwestya jest wielka, czy wszystka ta ilość znajduje się w obrębie Państwa, zważywszy niepomyślne jego bilanse handlowe międzynarodowe; a nawet bez wahania twierdzić można, że dużo już niemieckiego złota za granicę odpłynąć musiało: część może szósta lub więcéj, — choćby tu policzyć i 120 milionów Skarbca wojennego w Szpandawskiéj twierdzy leżących, które dla obiegu są dziś stracone. Skoro zaś tak jest, nieroztropnością byłoby wielką demonetować talarowe sztuki, ów brak dostatecznego obiegu złotego zapełniające.

Prócz Niemiec przyczyniły się i inne państwa Europy do zelżenia srebra. Skandynawskie kraje w następstwie przejścia swego na złotą stopę, zresztą nie zupełnie téż jeszcze dokonanego — pozbyły się srebra na wartość dwóch milionów funtów sterlingów; królestwo Niderlandzkie (jak to niżéj w szczególności wyłożymy) zawiesiło u siebie wybijanie grubéj srebrnéj monety pod koniec roku 1873, a w krajach Unii monetowéj łacińskiéj zostało ono znacznie ograniczoném; z Austryi wreszcie wyszło srebra w ciągu lat czterech 1872—1875 na summę około czterech milionów funtów sterlingów na wyrównanie bilansów handlowych i opłatę służby długowéj za granicą (1). Wywóz jednakże tak wielkiéj stosunkowo ilości srebra z tego państwa przypisać wypada i temu, że Bank Narodowy w Wiedniu wymieniał w tym przeciągu czasu część swojego zapasu kruszcowego w srebrze na złoto (2). Włochy téż w czasie od roku 1859 do 1873 (późniejszych wiadomości nie mamy) wyzbyły duże ilości srebra do Francyi; w jednym roku 1873 na blisko cztery miliony funtów sterlingów. Słowem, w ostatnich kilku latach przybyło na targ zbędnego z różnych przyczyn srebra na kilkanaście milionów funtów sterlingów. Musiało to naturalnie wpływ ujemny na ceny tego kruszcu wywierać. Gdy jednak zważymy, jak nieraz w dawniejszych czasach obieg srebrny wielkich państw ustępował w ciągu lat kilku przed papierowym, i ogromne téż ilości srebra na zbycie po za ich gra-

---

(1) Dodać tu jeszcze należy kursującą w Niemczech Południowych dużą ilość austryackiéj srebrnéj monety, która skutkiem reformy z obiegu wyrzucona została: co do jéj ilości żadnych dat nie mamy.

(2) Pod koniec roku 1865 posiadał bank ten w srebrze 120 milionów florenów, w złocie tylko półtora miliona; zaś w końcu roku 1875 w srebrze 66,56 milionów, w złocie 67,85 milionów.

nicami były wystawiane, albo jakie miewały miejsce przeskoki w stosunku produkcyi dwóch drugich kruszców,— a przecię ani pierwsze ani drugie z tych wstrząśnień znacznego w stosunku ich cen przerzucenia nie sprawiły — to niepodobna przypuścić, żeby tym razem głębokie zelżenie srebra, jakie widzieliśmy, mogło być następstwem kilkunastu milionów funtów sterlingów nadmiaru tego kruszcu, i to jeszcze na lat kilka rozkładającego się. Niepewność chyba tylko mogących się zjawić na targu mas zdemonetowanego kruszcu, wisząc jak groźna nad targiem chmura przejmowała obawą nagłych katastrof, a przez to albo demoralizowała, albo nazbyt podniecała spekulacyą.

Ogólna ilość srebra tak nowo wydobytego, jak i z drugiéj już ręki z różnych krajów na targu świata na sprzedaż wystawionego, wynosiła według sprawozdania komisyi parlamentowéj angielskiéj w czteroleciu 1868—71 około 42 milionów funtów sterlingów; a w następném 1872—75 przeszło półtora raza tyle, bo 65 milionów funtów sterlingów. Pytanie zachodzi, gdzie się ta mnogość srobra podziała.

W szukaniu odpowiedzi na to pytanie nastręczają się nasamprzód Indye Wschodnie. Odpływ srebra do tego państwa znacznie się w ostatnim dziesiątku lat zmniejszył, i to nie z przyczyny zmniejszenia się wywozu produkcyi wschodnio-indyjskiéj do Anglii i Europy w ogóle, gdyż ten owszem ciągle wzrastał, (nie biorąc ma się rozumieć w rachunek anormalnego ogromem swym wywozu podczas „głodu bawełnianego“ skutkiem wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych A. P.), ani z przyczyny wzrostu przywozu towarów z Anglii i Europy, który się aż nadto wzmaganiem wywozu kompensował (1); lecz z przyczyny jak już nadmieniliśmy rosnącego zadłużania się skarbu Indyj względem Anglii, spowodowanego przez powstanie bengalskie w roku 1857, przez klęski głodowe, a głównie przez budowę kolei, tudzież inne dzieła użyteczności publicznéj; zkąd wynikła dla Indyj potrzeba co rok to większych w Londynie wypłat na rzecz prowizyi i umorzenia. Wypłaty te naturalnie uskuteczniają się z należności za przywiezione do Anglii indyjskie produkta i wyroby; za czém znowu idzie, że część tych należności w srebrze do Indyi przesy-

(1) W czteroleciu finansowém od 1868—69 do 1871—72 wywóz wschodnio-indyjski szacowany był na 224 miliony funt. sterlingów, przywóz do Indyj na 135 i pół milionów; w następnym zaś od 1872–73 do 1875—76 wartość pierwszego wyceniano na 223 miliony, drugiego na 140 i pół.

łająca się coraz jest mniejsza. Gdy więc jeszcze w czteroleciu 1868—71 zabrały Indye, jako dopłatę za swój wywóz 24 miliony funtów szterlingów w samém srebrze, co uczyniło przecięciowo po 6 milionów f. s. rocznie, w czteroleciu na stępném 1872—75 przesyłki srebra z Londynu na rzecz Indyi (ściśle mówiąc plus wartości takowych nad wartość wywiezionego srebra z Indyi) wynosiły już tylko 9,5 milionów f. s. czyli w przecięciu rocznie 2.375.000 f. s. (1). Z przywiedzionéj więc powyżéj ogólnéj ilości srebra, za 65 milionów funtów sterlingów w ciągu czterolecia 1872—75 do zbycia będącéj, po odciągnięciu przesyłek do Indyi, o których dopiéro co była mowa, pozostało jeszcze tego kruszcu za 55,5 milionów f. s. Ilość ta rozeszła się między kilka krajów: większą polowę, 33 miliony, zabrała Francya; około siedmiu milionów poszło do Chin; prawie tyleż zatrzymała u siebie Ameryka z własnéj produkcyi; resztująca ilość około 10 milionów rozdzieliła się między Anglię, Hiszpanię i Rossyą.

Że jednak uszczuplenie odpływu srebra do Indyi nie mogło być przyczyną zelżenia srebra, mamy tego dowód w zestawieniu cyfr tego wywozu z notowaniami cen srebra na londyńskim targu. W roku finansowym 1870—71, kiedy wszystek wywóz srebra do Indyi Wschodnich wartował 2.662.249 f. s. cena uncyi srebra w Londynie była normalną 60⅞ pensów, i nie schodziła niżéj 60⁴/₈; w roku 1872—73, gdy wartość wywiezionego do Indyi srebra całych dwóch milionów nie dosięgała (1.934.214), kołysanie ceny uncyi zawierało się między 59⅞ i 58 pensów; w roku zaś 1874—75, gdy za sześć z górą milionów srebra wywieziono, cena uncyi nie sięgała wyżéj 59⅜, a zniżała się do 57²/₈ pensów. Takież zestawienie cen srebra ze statystyką przywozu onego na targ londyński prowadzi również do wniosku, że nie wielkość lub małość tego przywozu na cenę kruszcu wpływała. I tak pozostając w zakresie ostatnich lat ośmiu wyżéj zaznaczonych znajdujemy, że w roku 1871 zwieziono srebra na targ londyński 16.500.000 f. s., cena zaś jego przecięciowa w tym roku była 60⅝ pensów; w następnym 1872 przywóz wartował tylko 11.138.000 f. s. a przeciętna

---

(1) Według ściślejszego obliczenia w ciągu czterolecia finansowego od 1868—69 do 1871—72 wypadnie plus w mowie będący na 23.376.123 f. s. a w ciągu następnego od 1872—73 do 1875—76 na 9.453.229 f. s. Rok finansowy angielski liczy się od 1 Kwietnia do 31 Marca; różnica więc między obliczeniem w tekscie a niniejszém jest o kwartał odjęty z początku czterolecia, a inny dodany w końcu.

cena zniżyła się do 59 pensów; w 1874 dostarczono więcéj znacznie bo za 12.300.000 f. s., a cena przeciętna spadła do 57½ pensów — tym razem w stosunku mniéj więcéj do zwiększonego przywozu— lecz w 1875 takowy zmalał znowu blisko o jednę czwartą w porównaniu z rokiem poprzednim, gdyż szacowany był na 9.506.000 f. s., a pomimo to cena srebra zamiast się odpowiednio podźwignąć, zniżyła się przeciętnie do 55½. Za skwapliwym byłby atoli i za śmiałym wniosek z tych faktów, że zwiększanie się i zmniejszanie ilości kruszcu na sprzedaż wystawionéj jest w obecnym stanie pieniężności międzynarodowéj, mianowicie prawodawstw i różnych w téj sferze rozporządzeń, okolicznością zgoła względem cen onego obojętną. Oto naprzykład podźwignięcie się ceny srebra z najgłębszego upadku w Lipcu roku przeszłego (46⅞) przez ciąg drugiego półrocza tegoż roku (do 58¼ w Grudniu) przypisywane jest zgodnie przez fachowych publicystów bardzo znacznemu wzmożeniu się wywozu tego kruszcu do Azyi, który to wywóz przez pierwsze dziewięć miesięcv roku 1876 dwakroć był większy niż w ciągu całego roku poprzedniego, a zatém około sześciu milionów funtów sterlingów wartować musiał. Ale w dziedzinie faktów tak do śledzenia i zbadania trudnych, a osobliwie zbiorowemu ujęciu i porządkowaniu opierających się, gdzie tyle niedobrze poznanych a często i niespodzianych wpływa czynników, nieostróżnością byłoby chcieć któremu z nich wyłączne, albo bezpośrednie przypisywać następstwa; gdy działanie tego czynnika, choćby téż i bardzo przeważnego, zawsze prawie przez inne, po większéj części niedocieczone lub nieobliczone okoliczności bywa krzyżowane

Dalsze pytanie w Komisyi roztrząsane było — jakie są nadal widoki odbytu srebra? Obok zaświadczonego już, przez pewien czas potrwać mogącego uszczuplenia popytu na ten kruszec ze strony Indyi (Komisya nie mogła jeszcze wiedzieć o dużych znowu wysyłkach srebra do Indyi w r. 1876, dopiéro wyżéj tu wspomnianych), zwróconą jednak została uwaga na udzielenie byłego dyrektora mennicznego w tém państwie, półkownika Hyde, że w niektórych okolicach onego użycie pieniędzy wcale jeszcze nie jest znaném, i obrót codzienny między ludnością odbywa się w pierwotnéj postaci wymiany przedmiotów. A daléj okazała to grasująca przed dwoma laty plaga głodowa w Bengalskich prowincyach, że stan komunikacyj tamecznych bardzo jest jeszcze niewystarczającym dla potrzeb tak obszernego i gęsto zaludnionego kraju; że zatém duże jeszcze summy wydaćby należało, ażeby te strony w ile tyle odpowiednią sieć komunikacyjną dróg lądowych i wodnych zao-

patrzyć. Zdaniem jednego z członków Rady Wschodnio-Indyjskiéj, p. Makenzie, można liczyć na większy w przyszłości odpływ srebra do Indyi nie tyle w skutku wzmagania się potrzeby tego kruszcu tam, gdzie moneta zeń wybijana jest w obiegu, ile raczéj dla nieodzownego prędzéj czy późniéj wprowadzenia onéj do tych zakątów, gdzie jéj dotąd nie używają.

Te okoliczności i widoki przywiodły do wyrażonego w raporcie wniosku, że można w przyszłości liczyć na równie znaczny do Indyi odbyt srebra, jak bywał dawniejszemi laty, zwłaszcza gdy i upodobanie do srebrnych wyrobów widocznie w tamtych krajach nie ustaje, i mnóstwo wciąż srebrnéj monety na rozmaite ozdoby, kobiece zwłaszcza i dziecinne przerabia się, a tém samém z obiegu ustępuje. W każdéj niemal większéj wsi nawet indyjskiéj, według podania tegoż p. Makenzie, znajdzie się majster srebrniczy, który monetę jaką mu znoszą topić, i rozmaite z otrzymanego kruszcu przedmioty według gustu swojéj publiki wyrabiać umié. Jest to zresztą najpospolitsza i zwykła u tamecznéj ludności postać oszczędzania.

Niemniéj obiecujące są téż w bezpośrednio następujących latach widoki wielkiego spotrzebowania srebra w Ameryce. Postanowił jak wiadomo Kongres Unii Północno-Amerykańskiéj wycofanie asygnat, części dolara przedstawiających, w sumie ogólnéj 40 milionów dolarów, i zastąpienie tego obiegu papierowego przez monetę srebrną. Że zaś w połowie roku przeszłego 1876 posiadał skarb Unii rozporządzalnego srebra nie więcéj, jak za 15 milionów dolarów, potrzebować więc będzie na przywiedzenie do skutku pomienionéj uchwały Kongresu jeszcze za 25 milionów tego kruszczu. Prócz tego postanowił Kongres, że gdy skarb powróci do wypłat kruszczowych (w znanym terminie 1 stycznia 1879), to obok przyjętéj (a właściwie zadekretowanéj tylko) w roku 1873 jedynéj złotéj stopy w większych wypłatach, sztuki dolarowe srebrne mają mieć obieg prawny obowiązujący w wypłatach niżéj 50 dolarów, czyli aż do téj kwoty exclusive. Dla zadosyć uczynienia téj potrzebie grubéj srebrnéj monety sądzi Komisya, że rząd Unii będzie musiał wybić 75 milionow sztuk dolarowych, a zatém w odpowiednią ilość srebra zaopatrzyć się. Dodawszy do tego wyżéj zaznaczone 25 milionów na monetę ułamkową, wypadnie iż same Stany Zjednoczone w przeciągu bliskich lat kilku potrzebować będą srebra za 100 milionów dolarów, czyli 20 milionow funtów sterlingów, a przeto więcéj niż dwakroć tyle, ile wszystka roczna produkcya srebra na ich teritoryum wynosi.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że ten wywód Komisyi nie jest ścisły: wychodzi bowiem oczywiście z tego przypuszczenia, że jest dziś w materyi obiegu kruszcowego Unii tabula rasa;tak że nic a nic z dawnéj srebrnéj monety Federalnéj nie pozostało, coby od owego preliminarza odciągnąć można. Niepodobieństwem jest jednak, ażeby ciało tak kompetentne mogło okoliczność podobną ominąć; uznać więc raczéj należy, iż podczas tych lat papierowego w Unii gospodarstwa, musiała ułamkowa srebrna moneta zupełnie z obiegu zniknąć i uledz przetopieniu; co zaś do sztuk dolarowych, te wywędrowały przeważnie do Azyi, na dopłaty obrotu handlowego z Japonią i Chinami. Od roku już 1874 wybijają się w mennicach Unii, a głównie w San-Francisko, dolary srebrne umyślnie dla potrzeb tego obrotu, dolarami handlowemi zwane, różne od zwykłych Federalnych przez większą w nich ilość czystego kruszcu; co poniekąd świadczy także o wyczerpaniu dawnych zapasów monety. Spotkaliśmy nawet w pismach fachowych niebezzasadny jak się zdaje zarzut, że preliminowane ilości srebrnéj monety po powrocie Unii do wypłat kruszcowych nie będą dla potrzeb obiegu wystarczającemi. Skoro bowiem w W. Brytanii, gdzie przyjmowanie srebrnéj monety w wypłatach tylko do jednego funta sterlinga obowiązuje, gdzie więc takowa w bankach nie leży, będąc im w bardzo niewielkiéj mierze potrzebna, i wszystka w nieustannym jest obrocie, — suma jéj ogólna 19.500.000 f. s. wynosi, co czyni około dwunastu szylingów, a zatém trzech dolarów na głowę ludności,—skoro Niemcy, po dokonaném przejściu na złotą stopę, gdy obowiązkowe przyjmowanie srebra do téj saméj mniéj więcéj kwoty (20 marek) co i w Anglii ma być ograniczone, ustanowiły u siebie ilość srebrnéj monety w stosunku 10 marek, czyli półtrzecia dolara na głowę ludności,—to trudno przypuścić, ażeby z warunkiem prawnym co do popłatności srebra, jaki w Unii został przyjęty (t. j. do 50 dolarów) mogła być dostateczną wyżéj przywiedziona tego kruszcu ilość, według któréj wypadłoby dla czterdziestumilionowéj ludności Stanów Zjednoczonych mniéj srebrnéj monety na głowę niż w Anglii. Nie ma więc wątpliwości, że potrzebne skarbowi Unii 100 milionów dolarów, czyli 20 milionów f. s. w srebrze za minimum uważać należy. Pamiętajmy nadto, że na przeszłoroczném sesyi Kongresu stanęła była w jego Izbie Deputowanych uchwała, uznająca srebrny dolar (nie handlowy o 0,95 czystego kruszcu, lecz zwyczajny o 0,90) za obowiązującą nieograniczenie monetę we wszystkich wypłatach, które nie były wyraźnie w złocie umówione. Byłoby to więc przywrócenie stopy dwoistéj pra-

wie w zupełności. Uchwały téj wprawdzie Senat nie zatwierdził; tak jak odrzucił już był dawniejszą, pod koniec sesyi roku 1875-76 w Izbie Deputowanych przeszłą, o bezwzględném wprowadzeniu dwoistéj stopy. Te jednak usiłowania mogą się jeszcze ponowić, i cel swój osiągnąć, jeśli skutkiem zmian w składzie Senatu stronnicy stopy dwoistéj większość w nim stanowić będą.

Wielka Brytania potrzebuje według obliczeń Komisyi za milion funtów sterlingów srebra rocznie, i po tyleż mniéj więcéj wypada na Rossyą i na Hiszpanię. Co się tyczy Niemiec godna jest zastanowienia opinja Komisyi w przedmiocie ich zdawkowego obiegu srebrnego. Stosunek takowego został, jak wiemy, ustanowiony po 10 marek na głowę ludności, a zatém znacznie mniejszy od istniejącego w Anglii, gdzie przecięż przy bardzo upowszechnioném użyciu czeków potrzeba brzęczących pieniędzy do minimum zredukować się musiała. Ogół ludności w Niemczech nie zna prawie czeków, i w detalicznym obrocie wszyscy się monetą posługują; a tém więcéj potrzebować jéj będą, gdy skutkiem nowéj ustawy bankowéj wzbroniony jest całkiem obieg mniejszych niż na 100 marek biletów bankowych. Otóż Komisya wyraża w swym raporcie zdanie, iż obieg zdawkowy srebrny w Niemczech powinien być przynajmniéj o połowę, to jest do 15 marek na głowę ludkości pomnożony. W takim razie, przyjąwszy nawet maxymalne wycenienia zbędnéj w Niemczech ilości srebrnéj monety (patrz wyżéj), a właściwie mającéj być zbędną po rzeczywistém kiedyś wycofaniu sztuk talarowych, takowa co najmniéj o połowę byłaby zmniejszoną.

Zdumiewająca konsumpcya srebra przez Francyą była już wyżéj zaznaczoną, a w pierwszéj części niniejszego studyum przywiedliśmy daty okazujące, że dotąd żadne objawy przesycenia w obiegu monetowym nie zostały tam dostrzeżone. Zwrot wszakże nastąpiony w roku przeszłym, a o którym także mówiliśmy, opowiedziawszy wypadki trzech konferencyj monetowych w Paryżu, jest arcy ważną dla odbytu srebra okolicznością. Zawieszenie bicia sztuk pięciufrankowych było ze strony Francyi środkiem obronnym, którego ani słuszności, ani trafności zapewne zaprzeczyć na teraz nie można; gdyby jednak stan taki potrwał, widoki przywrócenia normalnego stosunku cen drogich kruszców bardzoby się zaciemniły. Konferencya monetowa krajów Unii Łacińskiéj nie miała miejsca dotychczas, i zdaje się że zwoływaną już w tym roku nie będzie: to znaczy jak mniemamy, że gdyby nawet rząd francuski zmienił swoje zapatrywania, gdyby uznał możność dowolnego według prawa wybijania grubéj srebrnéj monety, to zwią-

zany uchwałami ostatniéj konferencyi (1876 roku), jużby aż do zwołania nowéj żadnego w tym kierunku kroku uczynić nie mógł; czyli że wybijanie monety w mowie będącéj faktycznie dziś we Francyi ustało, i przed nową konferencyą przywróconém nie będzie. Jest to jak się rzekło arcy ważna okoliczność. Dowolne według prywatnych potrzeb wybijanie grubéj srebrnéj monety w krajach Unii Łacińskiéj, a szczególniéj we Francyi, i obieg nieograniczony tamże téj monety bez żadnego miennego był do roku 1874 główną rzec można rękojmią normalnego wzajem stosunku srebra i złota; to jest przynajmniéj zabezpieczeniem tego stosunku od zbyt wielkich przerzutów. Francya była jakby uniwersalną kasą wymiany, gdzie zawsze po stałéj cenie za 15½ funtów srebra jeden funt złota, a nawzajem za jeden funt złota 15½ funtów srebra dostać było można. Téj podobno statecznéj posadzie Francyi i innych o dwoistéj stopie krajów wypada przypisać owo nieprzewidziane utrzymanie się złota w cenie normalnéj względem srebra po odkryciu kalifornijskich i australijskich usypów. Prąd złota z dwóch nowych części świata w czasie od 1853 do 1856 roku nawalnie płynący zamienił się we Francyi w prąd srebra, który za pośrednictwem głównie Anglii na daleki Wschód się obrócił i wsiąknął tam, rozlawszy się szeroko między seciny milionów Indusów, Chińczyków i Japonów. Podobnież przed laty kilku (1872-75) zdemonetowane w Niemczech i Skandynawii srebro, wraz z tem co kraje produkujące ten kruszec wydały, kierowało się przeważnie ku Francyi, jak przytoczone tu niejednokrotnie cyfry okazują. Ma się rozumiéć, że skutkiem uchwał konferencyj monetowych napływ ten od roku przeszłego stanowczo zatrzymać się musiał. Dla czegóż Francya i jéj monetowa liga postąpiły dziś inaczéj, niż przed dwudziestu laty? Nie napotkaliśmy w znanéj nam literaturze przedmiotu żadnych téj kwestyi roztrząsań, wyjąwszy narzekania konsekwentnych stopy dwoistéj stronników na nielogiczne rzekomo uchwały konferencyj Paryskich, a następnie Zgromadzenia Narodowego w Wersalu. Naszém zdaniem przyczyna téj różnicy postępowania Francyi ztąd pochodzi, że w czasie złotego nawału miała ona jednego, lecz lepszego niż wszyscy dzisiejsi sprzymierzeńca, to jest Anglię, która jest sama wielką i po cenie stałéj złota konsumentką. Według przepisu Statutu Banku Angielskiego (słynnego aktu Bankowego Sir Roberta Peel'a z r. 1844) „obowiązany jest ten Bank nabywać wszelkie złoto, w jakiejkolwiek ilości ktobądź je przyniesie, i choćby go zgoła nie potrzebował, po niezmiennéj cenie 3 funtów sterlingów 17 szylingów i 9

pensów za uncyą, (1) a płacić za takowe monetą w stosunku 3 f. 17 s. i $10\frac{1}{2}$ pensów: t. j. liczyć sobie po półtora pensa od uncyi za wymianę. Rzecz jak sądzimy widoczna, że tak potężne mając oparcie, nie mogło złoto przy największéj obfitości znacznéj doznać zniżki, i mogła za nie Francya bezpiecznie swoje srebro bez żadnéj oddawać straty. Inaczéj rzecz się ma wśród przesilenia srebrnego: z takimi sprzymierzeńcami jak Włochy, które się papierami obywają, jak Szwajcarya obcą posługująca się monetą, jak zamożna wprawdzie i przemysłowa lecz drobna Belgia i zupełnie uboga Grecya, nic dziwnego że się rząd francuski do restrykcyjnéj uciekł polityki. Jakie są na przyszłość jego w sprawie monetowéj widoki, o tém żadnych nie mamy wskazówek; lecz pozwalamy sobie przypuszczać, że dalsze zachowanie się jego będzie zależało od konjunktur zagranicznych, a mianowicie od postanowień Kongresu Unii Północno-Amerykańskiéj. Uważny czytelnik łatwo tę zależność zrozumie: skoro Stany Zjednoczone dwoistą u siebie stopę wprowadzą, Francya śmiało do normalnych w monetowéj dziedzinie stosunków powrócić może.

Postępując daléj w rozwinięciu możliwych dróg odbytu srebra, wypada wziąść w rachubę coroczną w ogóle ilość tego kruszcu, potrzebną wszędzie na zastąpienie téj, jaka sie zużyła lub zatraconą została; znaczne potrzeby przemysłu złotniczego i innych; niezbyt daleki, bo koniecznością naglony powrót do kruszcowego obiegu tych prócz Unii Połnocno-Amerykańskiéj krajów, które się papierowym posługują; wreszcie nieuchronną również w przyszłości potrzebę srebra w Chinach, gdy te prędzéj czy późniéj własny u siebie system monetowy zaprowadzą. Dziś mają one tylko zdawkową monetę miedzianą i mosiężną, a srebro w miastach portowych obcego jedynie stempla; w prowincyach zaś wewnętrznych obiega ono, i najpospoliciéj drobne, w postaci gładkich blaszek, grube zaś (taele albo lany, wartości około dwóch talarów) w postaci gładkich także sześcianów, przeważanych przy każdéj tranzakcyi na małych ważkach, jakie każdy handlujący, lub interesa pieniężne mający przy sobie nosi. Zaspokojenie téj tylko potrzeby odciągnie znakomitą część ogólnéj srebra produkcyi.

Wdawać się w przypuszczalne cyfrowe oznaczania tych spotrzebować się mających kiedyś, albo i dziś spotrzebowywanych ilości srebra byłoby usiłowaniem jałowem; tak niedostateczną jest

---

(1) Cena ta odpowiada stosunkowi srebra do złota jak 1 do 15,32 (z dalszemi eszcze dziesiętnemi).

i chwiejną, a prawdę mówiąc niemożliwą statystyka tego rodzaju faktów. Dosyć dla przykładu zacytować, że kiedy Mac Culloch wylicza zatratę srebra w Anglii na saméj monecie na półtora do dwóch procentów rocznie wszystkiego jéj obiegu, a zatém na 290 do 390 tysięcy funtów sterlingów, powoływany tu przez nas publicysta Seyd twierdzi w studyach swoich monetowych, że na ten użytek nie odchodzi srebra więcéj nad wartość 14 tysięcy funtów sterlingów. Gdzież podobna sprzeczności takie godzić.

Te są główne rysy raportu angielskiéj komisyi parlamentowéj, o ile nam się ich nakreślenie udało. Nie rozstrzyga ten raport głównéj, palącéj że tak powiemy kwestyi:—jakiemi środkami dałby się stosunek wzajemny dwóch drogich kruszców do dawniejszéj przywrócić stopy: a zarzucają nawet Komisyi, że przystąpiwszy do dzieła pod wpływem wyrobionych w opinii uprzedzeń, zacieśniwszy sobie sferę dochodzeń przez uznanie jakoby z góry za niewątpliwe trzech powszechnie ogadanych i powtarzanych punktów—zbyt obfitéj produkcyi srebra w Ameryce, nadzwyczajnego przypływu z Niemiec i zmniejszenia odpływu do Indyi—nie trafiła na główne faktów zaświadczonych przyczyny. Skoro się bowiem z wykazów przywozowych równie jak i zeznań expertów (handlarzy kruszców, bankierów, dyrektorów mennic i t. d.) okazało, że dowozy srebra na targ londyński w jednym tylko 1873 roku większe były o 5 milionów funtów od przecięciowéj ilości rocznéj w ostatniéj ćwierci wieku, a w zaprzeszłym i przeszłym roku są mniejsze o przeszło jednę piątą, niż były naprzykład w roku 1862, gdy srebro do najwyższéj swéj ceny 61⁶/₈ pensów za uncyą dosięgło (1),—skoro ilość rzuconego na targ srebra zdemonetowanego, objęta już w wykazach przywozowych dopiero wspomnianych, połowy jego rocznéj produkcyi w ostatnich pięciu latach (1871—75) nie przewyższała,—skoro wreszcie odpływ srebra do Indyi Wschodnich, jakkolwiek rzeczywiście uszczuplił się w ciągu lat trzech 1873—75 w porównaniu z rokiem 1872, lecz był w latach 1874 i 1875 większy dużo niż w roku 1871, gdy srebro wyżéj 60 pensów płaciło się,—słuszny więc wniosek, że owe trzy oklepane okoliczności do wytłomaczenia upadku cen srebra nie wystarczają. Wymknęły się jednak Komisyi następujące uwagi, które znalazłszy w jednym z dzienników dosłownie z jéj raportu zacytowanemi, tak je też przytoczymy:

„Co się tycze Europy, wiele zależéć będzie od postanowień rządów rozmaitych państw, gdzie kwestya monetowego systemu

---

1) Przywóz srebra na targ londyński w r. 1862 wyceniony był na 11.750.000 f. s.

rozwiązaną jeszcze nie została. Komisya wasza nie sądziła, iżby należało do niéj wywiadywać się o intencyach tych rządów; chociaż napotykały się wskazówki co do tego w urzędowych dokumentach, dostarczanych Komisyi przez Ministeryum Spraw Zagranicznych. Ogranicza się więc Komissya w tym względzie na uwadze, iż widoczną jest rzeczą, że jeżelí złoto wprowadzone zostanie w miejsce srebra do krajów, gdzie taka zamiana da się wykonać, i jeżeli złoto ze względu na właściwe mu w obrotach międzynarodowych zalety, stanie się kruszcem górującym nawet pośród narodów, które do srebra przywykły, i to ostatnie wyzute będzie ze swojéj po wszystkie czasy pełnionéj funkcyi wymiennego i obiegowego środka na przestrzeni równéj z tą co najmniéj, jaką złoto zajmowało, *wtedy niepodobna już oznaczyć granic nieuchronnemu srebra zelżeniu.* Komisya wasza ma sobie za powinność powściągnąć się od wyrażania opinii tak co do pożytku, jakotéż i konieczności takiéj zmiany.“

Szkoda zaiste: bo dopiero w powyższym ustępie odsłoniła Komisya najprostszą do znalezienia prawdy drogę.

Jeden z gruntownych w materyi skarbowości i pieniężności publicystów niemieckich Nasse (prof. uniwersytetu w Bonn), rozbierając raport Komisyi i przeszedłszy owe rzekome trzy główne przyczyny współczesnego zelżenia srebra, powiada daléj—a słowa jego dobrym są komentarzem i wyraźnym dopełnieniem tego, o czém raport tylko napomyka:

„Najważniejszym jednak z pewnością czynnikiem jest gruntowne i jak się zdaje długotrwałe przekształcenie w stosunkach popytu na srebro. Szlachetny ten kruszec nie może być obecnie ani w żadnym z krajow Europy, ani w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj w nieograniczonéj ilości na monetę obracany. Wybijanie grubéj srebrnéj monety jest wszędzie albo zawieszone, albo bardzo ograniczone. W jednych państwach ustało ono całkiem z przyczyny wprowadzenia złotéj stopy jedynéj, w innych z przyczyny papierowego obiegu... Przed niewielu jeszcze laty wszelka jakabądź ilość srebra, na targ londyński przywieziona, mogła być w Paryżu czy Bruxelli, w Amsterdamie czy Berlinie za opłatą jedynie kosztów mennicznych na monetę tych krajów przebitą, lub téż bankom tamecznym z niewielkim rabatem sprzedaną. W największéj części cywilizowanego świata mogło się srebro w dowolnych ilościach obiegowym stawać środkiem; gdy dziś na równi z innemi towarami na artykuł handlu zamieniło się. *Stałość wartościowego dwóch drogich kruszców stosunku zależy na użyteczności onych jako powszechny środek płacenia.*

„Widzimy to oddawna w tych krajach, gdzie asygnaty złoto i srebro razem z obiegu wyrugowały. W granicach tych krajów stały się oba drogie kruszce oddawna już tylko towarami, jak srebro stało się dziś towarem na świecie całym. W handlowych ogniskach krajów z papierowym obiegiem nagłe wydarzają się zmiany w stosunku ceny papierowych pieniędzy do drogich kruszców; których to zmian jednak nie widać w stosunku ceny tych pieniędzy do największéj liczby innych towarów, jakoteż usług... Ztąd w pojęciu ogółu traci złoto i srebro charakter miary niezmiennéj; nabierają zaś takowego asygnaty; i umowy na dłuższy termin między krajowcami, o ile nie dotyczą przywozowych lub wywozowych interesów, zawierają się daleko częściéj w pieniądzach papiérowych niż w kruszcowych... Gdzie te ostatnie w powszechném są użyciu, jako środek płacenia, tam ich téż bywa podostatkiem i w ciągłym na targu obrocie; większy lub mniejszy na nie popyt czuć się prędko nie daje: bo szybkość obrotów może ilość zastąpić, a ułatwienie lub utrudnienie kredytu także miarkujące w tym lub owym kierunku wywiera wpływy. Wiadomo téż z doświadczenia, iż wzmożenie dowozu lub wywozu drogich kruszców oddziaływa nasamprzód nie na masy monety w obiegu będące, lecz na zbywające od potrzeby obrotu zapasy téjże monety: na gotówki kas, a szczególniéj na gotówki banków; te mianowicie napełniają się pierwsze w porze dużego przypływu drogich kruszców z zagranicy, i pierwsze téż wypróżniają się w porze odpływu. Tym sposobem nie dochodzi do zakłóceń w stosunkach cen w ogólności, i zwolna tylko, po podwyższaniu lub zniżaniu stopy skupowéj dostrzega świat handlujący i ogół publiki niestarczenie gotówki lub onéj obfitość. Zupełnie co innego, gdy kruszec szlachetny nie obraca się na monetę i środkiem płacenia być przestaje: ani jego podaż nadmierna nie ma się gdzie podziać, bo go kasy i banki nie potrzebują, ani wzmożony nań popyt nie ma zkąd czerpać. Dla tego to przeskoki cen w takim stanie rzeczy daleko muszą być gwałtowniejsze... To téż nam objaśnia wielkie dziś kołysania cen srebra, któremu prawie całkiem zatamowaną została możność przybierania postaci monety, czyli zamieniania się na środek obiegu i wypłatności, we wszystkich niemal cywilizowanych krajach."

Z większą nierównie stanowczością i wyrazistością wskazuje napomkniętą tylko w raporcie parlamentowym angielskim przyczynę zelżenia srebra, raport komisyi monetowéj, wyznaczonéj przez Kongres Unii Północno-Amerykańskiéj (do którego w dalszym ciągu wrócimy): „Przyczyną niedawnéj zmiany w stosunku ceny srebra i złota jest głównie zdemonetowanie srebra w Niemczech, w Sta-

nach Zjednoczonych i innych krajach, i idące za tém nieprzyjmowanie srebra w mennicach. Komissya jest tego zdania, że skoro Stany Zjednoczone stopę dwoistą u siebie przywrócą, zelżenie srebra ustać musi. Skutki dotychczasowych demonetowań, mianowicie zakłócenie, ze zmienności stosunku cen złota i srebra w handlowych obrotach dolegające, są niemniéj dla interesów produkcyi i dla finansów krajowych szkodliwe. Fakta te, wszędzie okazujące się, z jednéj muszą pochodzić wywierającéj się wszędzie przyczyny; a jest nią przechodzenie z dwoistéj stopy na jedyną złotą. Klęska ta datuje od prawa Unii z dnia 12 Lutego 1873 i od ustawy federalnéj Niemieckiéj z 9 Lipca 1873 (będącéj rozwinięciem dawniejszego prawa sejmowego z 4 Grudnia 1871) ustanawiających jedyną złotą stopę. Zatamowanie monetowéj funkcyi jednego z dwóch kruszców musiało naturalnie podwyższyć cenę drugiego, a zatém ceny innych produktów i towarów zniżyć.“

Raport komissyi parlamentowéj angielskiéj nad którym i ex re którego takeśmy się rozszerzyli, nie był przedmiotem żadnych rozpraw ani w Izbie Gmin, ani w Izbie Parów, i żadnych téż nie spowodował dotychczas ze strony rządu angielskiego rozporządzeń ani przepisów prawodawczych. Zdaje się że i w Anglii czekają na to, jaki weźmie obrót ważąca się dziś kwestya pieniężna za Atlantykiem.

Potrącaliśmy o nią nie raz w ciągu tego studyum; dla dopełnienia ogólnéj choć charakterystyki wypada obejrzéć się na czas przeszły, i niektóre najświeższe podać wiadomości, jakie nas w ciągu pisania (pierwsza połowa Kwietnia) doszły.

Aktem Kongresu z roku 1792 przyjęła u siebie Unia Północno-Amerykańska stopę dwoistą; lecz jak zawsze pragnieniem odrębności i wyróżniania się od Europy pobudzana, ustanowiła stosunek ceny srebra do złota jak 1 do 15 bez ułamku. Tak trwało przez lat czterdzieści z górą; aż przekonawszy się dowodnie o fałszywości tego stosunku na niekorzyść złota, uchwalił Kongres w r. 1834 zmianę onego; lecz nie chcąc być i tym razem posądzony o stosowanie się do Europy, miasto ustalonego stosunku 1 do $15^1/_2$ oznaczył, iż złoto ma być 16 razy od srebra cenniejsze. I ta próba samodzielności nie powiodła się; lecz owszem z przyczyny daleko liczniejszych niż przedtém i szybszych pomiędzy Ameryką i Europą obrotów, błąd prędzéj i dotkliwiéj dał się uczuć. Jak poprzednio wymykało się z krajów Unii na drugą stronę Atlantyku niedocenione względem srebra złoto, tak teraz z większą szybkością i w potężnych sumach przeprawiało się do Europy zelżone srebro; a spekulacya pomimo niebardzo jeszcze wtedy tanie i szybkie komunikacye nieźle się opłacała. Dla na-

prawy tego zboczenia przestano od r. 1853 całkiem grubą srebrną monetę wybijać; bo rzeczywiście w cenie względem złota jak 1 do 16 daremne to były koszta i fatyga. We dwadzieścia lat póżniéj (1873), jak już tu mieliśmy sposobność wspominać, zadekretował Kongres jedyną złotą stopę; ale że się to stało pośród powszechnego i wyłącznego papiérowego obiegu, dekret mniéj więcéj na papierze pozostał. Uchwała wreszcie z dnia 14 Stycznia roku 1875, stanowiąca powrót do kruszcowego obiegu od d. 1 Stycznia r. 1879, poleciła zarazem, ażeby, nie czekając tego terminu, wycofane zostały asygnaty, ułamki dolara przedstawiające, i srebrną zastąpione monetą; ponowiona i rozwinięta w Kwietniu r. p. od téj dopiéro pory w życie wprowadzaną być zaczęła. Jedno z jéj rozporządzeń orzeka, iż sztuki całodolarowe mają być przyjmowane w wypłatach na równi ze złotem do cyfry 50 dolarów, a ułamkowe do 25.

Przepis o sztukach całodolarowych wykonanym dotąd być nie może; do wybijania téj monety (prócz wspomnianych tu dolarów handlowych dla specyalnéj potrzeby wywozu) jeszcze nie przystąpiono: raz dla tego, że pilniejsza sprawa monety zdawkowéj musi być najprzód załatwioną, a czynność to jest, jak widzieliśmy, ogromna; powtóre zaś, nie zdecydowany jest jeszcze w Kongresie stosunek ceny przyszłéj srebrnéj grubéj monety do złota. Według wiadomości z pierwszéj połowy Marca r. b. komisya monetowa mieszana, t. j. z członków obu Izb Kongresu złożona (wyznaczono ją zapewne w następstwie odrzucenia uchwały Izby Deputowanych, o któréj wyżéj była tu mowa na str. 500) oświadczyła się większością pięciu głosów przeciwko trzem za całkowitém przywróceniem stopy dwoistéj; ale członkowie większości różnili się w zdaniu co do ustanowienia stosunku ceny srebra do złota: trzéj oświadczyli się za uznanym w Europie 1 do $15^1/_2$, dwaj za zbliżonym bardzo do dawniejszego w Unii 1 do 15,98. Co ważne jednak, to że większość Komisyi zgodnie pochwaliła rzuconą z Europy myśl konferencyi monetowéj *międzynarodowéj* powszechnéj, przekładając, ażeby Stany Zjednoczone były koniecznie na téj naradzie reprezentowane. Kongres odroczył się w dniu 17 Marca, nie powziąwszy, o ile wiemy, postanowienia w tym przedmiocie (1).

(1) Z raportu większości Komisyi Monetowéj (z daty 2 Marca r. b.) zalecającéj przywrócenie stopy dwoistéj za uprzedniém porozumieniem się z innemi państwami, taki podają dzienniki ustęp: „Informacye Komisyi dostarczone upoważniają ją do przypuszczenia, że opinia europejska przychylniejszą jest obecnie remonetowaniu srebra, niż

Odrębne zgoła względem srebrnego przesilenia, i do innych krajów niepodobne jest położenie Królestwa Niderlandzkiego, czyli jak je zwykle zowią Holandyi. Stanowi ono, równie jak i zachowanie się rządu i parlamentu tego kraju od początku zakłóceń monetowych, epizod wcale oryginalny i szczególnie nauczający.

Było tu już wspominane, jak przed laty blisko trzydziestu trwożną powodowany przezornością pospieszył rząd holenderski zdemonetować swoje złote pieniądze i przejść na stopę srebrną jedyną (prawo z dnia 26 Listopada r. 1847), ażeby uniknąć zelżenia słynnych dukatów, nieuchronnego jak się wtedy zdawało z przyczyny nadzwyczajnéj wydajności nowoodkrytych w Kalifornii złota pokładów. Tak samo zatrwożone spadaniem srebra i wieściami o nieprzebranych jego ilościach w Newadzie nie omieszkało ministeryum niderlandzkie w Październiku już r. 1873 wnieść na parlament krajowy (czyli tak zwane Stany Generalne) projekt téj treści, ażeby z dotychczasowéj stopy srebrnéj jedynéj przejść na jedyną złotą, pozostawić jedyną srebrną w osadach wschodnio-indyjskich, a zaprowadzić dwoistą w antylskich. Argumenta główne— reforma monetowa w Niemczech i krajach Skandynawskich, jako też groźna srebra obfitość, nie przekonały Drugiéj Izby Stanów Generalnych: pamiętała ona lepiéj od rządu doświadczenie przed ćwiercią wieku nabyte i odrzuciła projekt, uchwaliwszy jedynie— było to w Lutym r. 1874 zaraz po pierwszéj konferencyi monetowéj Łacińskiéj—ażeby bicie grubéj srebrnéj monety na prywatny rachunek powstrzymane zostało. Nie ma wątpliwości, że na takie postanowienie reprezentacyi krajowéj niderlandzkiéj wpłynęły rozprawy i uchwały wspomnianéj konferencyi obok podnoszących się jednocześnie cen srebra. Główną jednak racyą był zdrowy, próżnemi obawami niezamącony pogląd na własne tak wewnętrzne jak i międzynarodowe położenie.

Z ustaw monetowych Państwa Niemieckiego wywiązały się różnorodne w dziedzinie pieniężnéj i handlowéj stosunki, w żadnym przyczynowym związku z produkcyą drogich kruszców niezostające, lecz jedynie z forsownego popytu na złoto wynikłe. Popyt był bowiem tak nagły i ogromny, że złoto, jak każdy inny towar nadmiernie pożądany, musiało iść w górę, chociażby nawet pro-

---

było przedtém; że więc wyszłe od rządu Stanów Zjednoczonych zaproszenie na konferencyą znalazłoby życzliwą ze strony rządów Europy gotowość, i prawdopodobnie pomyślne wydałoby rezultaty."

dukcya jego była daleko obfitszą. Wytworzył się stan rzeczy nienaturalny: gdyż gdyby zaszłe wstrząśnienia były skutkiem samych tylko stosunków produkcyi, toby złoto musiało wszędzie na świecie wysoką swą cenę utrzymać, a przy szybkich dzisiaj środkach komunikacyi musiałoby i srebro również wszędzie do mniejszéj wartości produkcyjnéj się zniżyć. Gdyby zaś to ostatnie rzeczywiście miało miejsce, wtedy naturalnie żaden kraj nie mógłby się ze srebrnym swym obiegiem przeciwko złotu ostać.

Dokazała przecięż tego Holandya, skoro sobie tylko z rzeczywistego stanu stosunków swoich sprawę zdała. Że podnoszenie się ceny złota w stosunku do srebra nie było faktem zupełnie naturalnym, i że w dobrze urządzonéj samoistnéj finansowości danego kraju może się dlań znaleść granica, przekonywa o tém tabela przecięciowych cen miesięcznych srebra sztabowego na targu londyńskim, jaką mamy przed oczyma za czas od początku roku 1872 do Maja r. 1876 — więc i w najkrytyczniejszym peryodzie zelżenia tanże tego kruszcu—obok takiéjż tabelki kursów złota na targu amsterdamskim. Widzimy z niéj, że srebro kosztujące przecięciowo w roku 1872-gim $60\frac{1}{3}$ pensów, trzymając się jeszcze w ciągu roku 1873 między $59\frac{6}{8}$ a $58\frac{1}{16}$, zaczęło następnie daléj spadać, i pomimo chwilowe podskoki (jak w Styczniu, Lutym i Czerwcu r. 1874, i w czasie od Sierpnia do Października r. 1875) zeszło w Maju do $52\frac{1}{2}$; zdawałoby się więc, że ceny złota powinny były w tym przeciągu czasu odpowiedniemi krokami w górę postępować. Tak jednakże nie było. Tabela wykazuje przecięciowy kurs funta sterlinga w Amsterdamie za rok 1872 12,03 florenów srebrnych holenderskich (wartości 51 kopiejek z ułamkiem), a w roku następnym przecięciowa ta cyfra nietylko że się nie podwyższyła, lecz owszem zniżyła cokolwiek, bo do 12,02 florenów; począwszy zaś od Stycznia r. 1874 spadł funt sterling na 11,88 florenów, i aż do Września r. 1875 rzadko tę cyfrę przechodził, a często po za nią się cofał, i to dosyć daleko (w Marcu r. 1875 aż do 11,67 fl.). We Wrześniu dopiéro r. 1875 z przyczyny, o któréj niżéj będzie mowa, wróciła na targ amsterdamski dawna mniéj więcéj cena funta sterlinga; w Styczniu następnego r. 1876 podniosła się nawet do 12,04, w Marcu aż do 12,10; w Kwietniu jednak widzimy zniżenie do 12,09; w Maju wreszcie wykazują notowania przecięciowo 12,07 florenów.

Świetny to zaiste dowód siły i samodzielności finansowéj, a zjawisko zresztą zupełnie naturalne! Handel Niderlandów z obcemi państwami, jak zwykle tak i w latach owych bilansował się wielkiemi po ich stronie plusami wywozu nad przywóz; w skutek

czego musiały być odpowiednie dla nich dopłaty z zagranicy. Ponieważ dzięki energicznemu i roztropnemu zachowaniu się wśród nienaturalnego zwichnięcia stosunku cen drogich kruszców, dopłaty pomienione w srebrze żadnéj dla obcych nie przedstawiały korzyści— skoro złoto, jak widzieliśmy, nie przybierało w cenie na amsterdamskim targu, lecz owszem dosyć znacznie się zniżyło—woleli więc dłużnicy Holandyi uiszczać się w funtach sterlingach, lub innéj złotéj monecie. W takiéjże monecie przybywały do Amsterdamu duże sumy, jakie przypadają holenderskim kapitalistom corocznie z prowizyi od pożyczek zagranicznych, których obligacyi są oni w wielkich ilościach posiadaczami. Naturalne to więc, jak powiadamy, było zjawisko, że przy nienaruszoném utrzymaniu srebrnéj stopy złoto pomimo gwałtowne onego podbijanie w sąsiedztwie, nietylko że się u Holendrów nie podnosiło w cenie, lecz przeciwnie w skutek obfitości podaży, a mniejszego popytu w normalnym nawet swym do holenderskiéj srebrnéj monety stosunku przez długi czas utrzymać się nie mogło. Stan rzeczy nie do uwierzenia, gdyby najjawniejszym nie był faktem.

Okazuje się z tego, jak stanowczym w ekonomii państwowéj i w międzynarodowych stosunkach czynnikiem jest bilans handlowy, którego wpływowi nawet i system monetowy w pewnéj mierze ulegać musi. Dla państwa z bilansem plusowym zawsze się mogą okoliczności i stosunki korzystnie ułożyć; gdy przy minusowym bilansie kruszec wyższéj wartości nieprzepartą siłą za granicę się usuwa, i trzeba go ustawicznie i ze stratami od obcych nabywać, dopóki kraj więcéj ma do wypłacania niż do odbierania. Doświadczyły tego na sobie szczególniéj Niemcy, raźnie postanowiwszy swoję reformę monetową, lecz wcale nieraźnie i nietrafnie onę przeprowadzając, z przyczyny nieobliczenia się z własnym stanem i zewnętrznemi stosunkami, pod wpływem, jak to staraliśmy się wyżéj przedstawić, nie ekonomicznych i finansowych, lecz politycznych widoków. Utrzymanie talarów pruskich na równi ze złotem obok wymiany w kasach na złoto al pari wszelkiéj innéj wywołanéj z obiegu srebrnéj monety miało przy ogromnych minusach w handlu zagranicznym nowego Państwa Niemieckiego ten skutek, że bankierzy niemieccy wywozili państwową złotą monetę, co ledwie z pod stempla była wyszła, za granicę dla uiszczania wypłat, a srebrną dla wewnętrznych wypłat zostawiali. Rząd zaś musiał własne złoto za granicą odkupywać na wymianę srebra, które z obiegu wycofywał, a srebro to ze stratami w Anglii albo w Indyach zbywać; lecz z tém wszystkiém, jak widzieliśmy, do rzeczywistéj jedynéj złotéj stopy nie doszedł.

Przywiedzione wyżéj stosunki kursowe amsterdamskie wielce się Niderlandom przysłużyły. Zaopatrywanie się w złoto było jak najłatwiejszém i nic nie kosztującém: nawet zysk przynosiło. Napływało ono samo w drodze międzynarodowego obrotu. Jak z funtami sterlingami, tak téż analogicznie miała się rzecz i z inną obcą monetą złotą i srebrną, czyli z wexlami w obcéj monecie na holenderskim targu pieniężnym. Talary pruskie, wartujące właściwie 1,75 florenów holenderskich, płaciły się w Amsterdamie 1,71; a na odwrót wexle holenderskie we florenach zyskiwały prymę na obcych targach. Za 100 florenów, równych normalnie 170 markom państwowym niemieckim, trzeba było dawać w Berlinie 174 marki.

Ten wszakże świetny stosunek holenderskiéj waluty po za granicami kraju i owo zelżenie złota na targu wewnętrznym dało powód stanowi handlującemu w Niderlandach do trosk o to, aby obcy kuntmani, zrażeni drogością holenderskich pieniędzy, nie zaczęli szukać gdzieindziéj dogodniejszych stosunków, a Holandyi o ile można unikać. Nie była, przyznać trzeba, troska ta bezzasadną; jasną bowiem jest rzeczą, iż kursa wexlowe, ile możności równomierne, normalnemu stosunkowi monet odpowiednie, są dla obrotów międzynarodowych najprzyjaźniejsze i najpożądańsze. Wzgląd tak ważny, poparty głośnemi naleganiami kupiectwa, spowodował władzę krajową do wystąpienia w Maju r. 1875 z nowym projektem monetowym, który w obu Izbach parlamentu przychylne znalazł przyjęcie i zamienił się w prawo, noszące datę 5 Czerwca pomienionego roku. Utrzymując stopę srebrną, ustanawia to prawo dla Niderlandów równoprawną ze srebrem monetę złotą w postaci sztuk dziesięciuflorenowych, 6,048 gramów, i pięciuflorenowych 3,024 gramów czystego kruszcu w dziewięciu dziesiątych całkowitéj wagi zawierających. Zawieszenie wybijania monety srebrnéj na prywatny rachunek pozostawiło prawo to w swéj mocy, a stosunku wartości nowéj złotéj monety do srebrnéj wcale nie ustanowiło. (Nazwa dziesięciu-florenowych i pięciu-florenowych sztuk złotych stosuje się nie do srebrnego florena, lecz do idealnego złotego, czyli ilości 0,6048 grama czystego złota). W motywach do prawa przy wniesieniu onego oświadczył Minister Skarbu, że Rząd nie ma wcale zamiaru wybijania wprowadzić się mających złotych pieniędzy, zostawiając to przemysłowi prywatnemu, a zatém i wymiany onych na srebro nie podejmuje się.

Reforma taka była widocznie tymczasową tylko, przez naglące potrzeby handlu spowodowaną; była ona zmianą położenia

dogodniejszą dla wyczekiwania dalszego sprawy srebrnéj w świecie obrotu. Holandya obawiając się zostać sama na jedynéj srebrnéj stopie pomiędzy Anglią i Niemcami, widząc zaś z drugiéj strony jak chwiejnie i rozlaźle prowadzi się reforma monetowa w Niemczech, nie odważyła się ani systemu dawnego niezmiennie utrzymywać, ani téż w nowy się rzucać. Do tego ostatniego wielką okazywał wprawdzie pochopność sam Rząd; ale go roztropność krajowéj reprezentacyi na wodzy trzymała i trzyma. Wprowadzono więc stopę dwoistą, lecz tak zwaną kulawą: z powstrzymaniem bicia srebrnéj monety na prywatny rachunek, z dozwoleniem natomiast bicia złotéj, lecz bez otaryfowania takowéj, t. j. bez oznaczenia stałéj jéj wartości względem srebra, i bez poręczenia wymiany. Jakkolwiekbądź praktyczne cele prawa z d. 5 Czerwca r. 1875 zostały, jak się zdaje, osiągnięte. Wybijanie złotéj monety przez prywatnych poszło tak raźnie, że w połowie roku przeszłego 1876 miała jéj już Holandya na 57 milionów florenów; kursa wyrównały się; funt sterling odzyskał, jak wyżéj zaznaczyliśmy, swoję rzetelną na targu holenderskim cenę, a dewizy (nazwa wexli w stosunku międzynarodowym) holenderskie odpowiednio spadły, tak na angielskim, jak i na niemieckich targach. Czy i w jakiéj mierze wpłynęło to na obrót holenderskiego handlu międzynarodowego, o kwestyi téj dla braku dat nic powiedzieć nie możemy; lecz prawdopodobnie musiały tu odpowiedzieć oczekiwaniom rezultaty, dla których przecię i głównie reforma czy téż półreforma w mowie będąca podjętą została.

W ogóle położenie finansowe i stosunki pieniężne Holandyi, tak się dobrze ułożyły, że trudnoby zaprawdę powiedzieć, czegoby sobie ona w tym zakresie życzyć jeszcze mogła. Kursa drogich kruszców, jak się rzekło, choć i bez otaryfowania, wyrównały się same; ani wywóz złota, ani srebra żadnego nie sprawiał zakłócenia; stopa skupu wexli nie przewyższała od lat dwóch półczwarta procentu, a schodziła często i do trzech; mieli więc Holendrzy najstalszą w świecie taniość kapitału i pieniędzy obfitość; Bank Narodowy suto w drogie kruszce zaopatrzony; zapas jego brzęczący wzmógł się do półtorasta z górą milionów florenów, z czego część blisko trzecia w złocie; a zapas ten bez żadnych nagromadził się ofiar. Tysiąco-florenowe akcye tego banku przyniosły posiadaczom w latach 1872—75 z kolei 200.286.197.214 flor. dywidendy.

Wśród tak pomyślnych jednak skutków tymczasowego prawodawstwa, i po niespełna roczném onego trwaniu już minister Skarbu van der Heim, stanowczy zwolennik złotostopowéj zasady,

i pod wpływem zapewne szybkiego spadania cen srebra, w piérwszéj połowie roku przeszłego pośpieszył przedstawić Stanom Generalnym nowe projekta w przedmiocie monetowości tak macierzystego kraju jak i kolonii (9 maja i 1 czerwca 1876), których treścią było przejście na jedyną złotą stopę samego królestwa Niderlandzkiego, a pozostawienie stopy dwoistéj tymczasowéj w osadach. W motywach do piérwszego z tych projektów przyznawał w prawdzie p. van der Heim, że nic niepomyślnego nie zaszło; że w ogólnych stosunkach pieniężnych żadnego objawu chorobliwego nie widać; że obieg srebrny żadnych niedogodności nie przyczynia; że skutkiem prawa przeszłorocznego (t. j. z r. 1875) dostatek złota do Holandyi napłynął.... że jednak ponieważ srebro wypchnięte już zostało z Niemiec i krajów Skandynawskich, a przez to znakomicie po za granicami Holandyi na wartości straciło, więc może to w bliskiéj przyszłości niekorzystnie na kursa wexlowe wpłynąć, i w ogóle pieniężność krajowa nie może się na czas dalszy za stateczną i zabezpieczoną uważać, dopóki zelżone wszędy srebro jéj podstawę będzie stanowiło.

Była to jak widzimy najczystsza z ust Ministra pochwała dotychczasowego stanu rzeczy, ze sprzeczną konkluzyą, będącą widocznie wynikiem tak teoretycznych p. van der Heima przekonań, jako téż przesadzonéj troskliwości o dalsze koleje monetowego w świecie procesu, i możliwych niekorzystnych dla Holandyi następstw.

Nie zdołaliśmy powziąść informacyj, jaką o powyższych projektach Ministra Skarbu dała opinię wyznaczona do ich rozbioru komisya Izby Deputowanych w raporcie dotyczącym z d. 13 Lipca 1876. Ze współczesnych korespondencyj miarkujemy, że Izby Handlowe, jako téż prasa i opinia kraju przechylały się widocznie na stronę jedynéj złotéj stopy w Królestwie Niderlandzkiém, lecz co do wprowadzenia złota, jako kruszcu równoprawnego ze srebrem w koloniach, były zapatrywania bardzo podzielone. Zarzucano między innemi, że gdy główną przyczyną i jedyną nawet wyraźną, reformy tymczasowéj w czerwcu 1875 roku była obawa, iżby wysoki kurs florenów srebrnych nie naraził Hollandyi na stratę rozmaitych dostaw za granicę — to w obec stałego plusowego bilansu jéj handlu pytanie zachodzi, czy jeżeli takie obawy były uzasadnione przy taniém srebrze, nie ziszczą się one rychléj i dotkliwiéj przy droższém dziś daleko złocie, gdy to ostatnie jedynym środkiem wypłaty dla dłużników Hollandyi pozostanie. Dla krajów zwłaszcza o srebrnéj stopie, czyż nie będzie weksel na złoto wystawiony droższym od dotychczasowego na srebrne floreny,

pospolicie już tylko o pół procentu, lub najwięcéj o procent wyżéj pari idące? Prawda, że handel W. Brytanii kwitnie pomimo częstą drożyznę złotych weksli, ale jest to tam stan rzeczy dawny; co zaś najważniejsza, to że angielskie kolonie nie są w tak ścisłym z krajem macierzystym stosunku, a raczéj połączeniu handlowo-ekonomiczném. Mają one wolny i bezpośredni obrót ze wszystkim światem; gdy z holenderskich cztery piąte co najmniéj ogółu ich produkcyi nie gdzieindziéj jak do kraju macierzystego wywożone być mogą, a przynajmniéj faktycznie dotąd się wywożą. Czemużby więc kraje o srebrnéj stopie nie miały próbować zawiązania stosunków handlowych wprost z osadami niderlandzkiemi bez pośrednictwa ich europejskiéj władczyni, jeżeli caeteris paribus osady te srebrną stopę zatrzymają, a sama Hollandya złoto tylko przyjmować zacznie? Wielka jest wątpliwość azali Hollandya potrafiłaby tak łatwo przenieść podobną stratę swego kupieckiego zarobku, jak to potężna Anglia przeniosła.

Takie zapewne, jak pozwalamy sobie domniemywać się, musiały być główne argumenta raportu komisyi parlamentowéj; wywarły one bowiem ten skutek, że nie czekając rozpraw na plenum Izby Deputowanych, sam Minister Skarbu projekt swój cofnął, i po kilku miesiącach, w październiku roku przeszłego w bardzo już zmienionéj wniósł go postaci.

Ponieważ nowy ten projekt, lubo przeszedł w Izbie Drugiéj, odrzucony został w Izbie Pierwszéj Stanów Generalnych, nie mamy więc potrzeby utrudzać czytelników jego szczegółami. Zamierzał on wprawdzie niejakie ukonsolidowanie tymczasowego prawodawstwa przeszłorocznego, wprowadzając formalnie stopę dwoistą: to jest ustanawiając stałą cenę złotéj monety względem srebrnéj i upoważniając Rząd do onéj wybijania; lecz zarazem przebijał się w nim zamysł powolnego wyrugowania srebra; gdyż przy zawieszeniu i nadal wybijania sztuk srebrnych żądał on upoważnienia dla Ministra Skarbu do wycofywania z obiegu srebrnéj monety, przetapiania onéj na sztaby i sprzedawania, tudzież zakupywania złota dla mennicy — wszystko to według jego własnego uznania, bacząc na stan kursów. Minister motywował te rozporządzenia tém, że skoro Hollandya ma mieć stopę dwoistą, a posiada wszystkiego złota (w Listopadzie r. p. gdy się rozprawy toczyły) dopiéro na 86 milionów florenów obok 461 milionów florenów w monecie srebrnéj, więc słuszną jest rzeczą przyprowadzić obieg obu kruszców do pewnéj równowagi, i w wypadkach jak temi czasy zwłaszcza częstych, gdy kurs weksli zagranicznych w złocie tak się okaże wysokim, iż korzystniéj będzie złoto wy-

wozić, powinien mieć Rząd możność zapełniania tych ubytków przez nabywanie złota i wybijanie zeń monety obok uszczuplania obiegu srebrnego. Argument ten, który i w Drugiéj Izbie bardzo drobną tylko zjednał dla projektu większość, nie przekonał opozycyi w Izbie Pierwszéj; a że ta nie może poprawek wnosić, lecz ryczałtem tylko projekta zatwierdzać lub odrzucać, więc i w mowie będący z przyczyny owego jednego przepisu, o dążenie okolne do wyłącznéj złotéj stopy podejrzanego, upadł na posiedzeniu dnia 18 Grudnia r. p.

Hollandya pozostała tedy pod tymczasowém prawem z dnia 5 Czerwca 1875, bo nie ma rzeczywiście żadnych pilnych pobudek do wyjścia z teraźniejszego stanu i spokojnie czekać może na dalszy przebieg srebrnego przesilenia, i mianowicie na postanowienia państw możniejszych.

Opowiedziawszy historyą srebrnego przesilenia o ile nam zebrane daty starczyły, przedstawimy na zakończenie treść kontrowersyi o stopie jedynéj i dwoistéj w ogólnym jéj charakterze. Rozumiémy iż wykład ten byłby pożyteczniejszym na początku niniejszéj pracy; lecz nie mogliśmy takiego uszykowania z planem téjże pogodzić. Że jednak przedmiot ten w okolicznościach położenia kraju naszego nie zwracał na siebie ogólnéj uwagi, i o ile wiémy prócz Przeglądów Finansowych w Gazecie Polskiéj nie był w piśmiennictwie tutejszém traktowany, więc i w tém miejscu zarys onego czytelnikowi się przyda.

Przez stopę monetową (po francusku *étalon*, po angielsku *standart*, po niemiecku *Muenzfuss*, albo więcéj dziś używane *Waehrung*) rozumie się kruszec lub kruszce, z których wybijana moneta ma w danym kraju przyznaną urzędownie i przyjętą powszechnie stałą wartość, a zatém we wszelkich wypłatach obowiązkowo przyjmowana być musi; służy więc za podstawę całego pieniężnego systemu. Podstawa taka czyli stopa bywa albo jedyna, albo dwoista (Teoretycznie mogłaby być wieloraka: troista, poczwórna i t. d.; ale ponieważ liczba kruszców na monetę przydatnych dosyć jest ograniczona, nie było zdaje się w dziejach przykładu kraju, mającego więcéj niż dwie stopy monety, czyli stopę dwoistą). Stopa więc jedyna znaczy, że jeden tylko metal ma przymusowy obieg w stale oznaczonéj wartości: to jest że nikt pod karą w prawie zapowiedzianą nie może odmawiać przyjęcia należności w monecie z tego metalu, i w cenie jaka jest na niéj oznaczona — i że wypłaty pieniężne, uiszczane w monecie z tego tylko metalu wybitéj, są ostateczne i żadnéj nie ulegające kwestyi. Przyznanie takiego przymusowego obiegu i takiejż urzędo-

wéj stałéj wartości dwom metalom będzie stopą dwoistą. Przy istnieniu tedy dwoistéj stopy ma dłużnik prawo spłacić swój dług monetą z tego kruszcu z dwóch uznanych, który jest dlań dogodniejszym, i zastrzeżenia przy umowach pieniężnych, że wypłata ma być koniecznie w jednym z nich uskuteczniona, mocy prawnie obowiązującéj nie mają. Przeciwnie, dzieje się przy stopie jedynéj. Jeżeli nią naprzykład jest złoto, wypłata długu ofiarowana w srebrze może być nieprzyjętą, lub przyjętą pod pewnemi tylko warunkami, jakie wierzyciel nałoży, a dłużnik poddać się im będzie zmuszony. W krajach o jedynéj stopie dozwala jednak zawsze prawo posiłkować się innemi kruszcami w wypłatach drobniejszych, których cyfrę oznacza, lub dla dopłat takowéj cyfry nieprzewyższających. Rozumie się bowiem, że jedyna stopa nie znaczy to nigdy, jakoby z jednego tylko kruszcu moneta obieg prawny miała; wybija się owszem i inna dla codziennego w małych obrotach użytku: t. j. z wyżéj wymienioném ograniczeniem, że do wypłat większych tylko za zgodą wierzyciela użytą być może. Tak również i przy dwoistéj stopie prócz złota i srebra obiega bilon, moneta miedziana, niklowa i t. p.

Zasadniczą przywarą stopy dwoistéj jest konieczność oznaczenia stałego stosunku wartości dwóch kruszców, mianowicie złota i srebra — gdyż o nie tylko spór się toczy — pomimo iż w rzeczywistości, to jest na wolnym targu metali, stosunek ten jest zmiennym, jak wszelkich innych na świecie wartości. Przestałby on być takowym wtedy tylko, gdyby się prawodawstwa świata wszystkiego, a przynajmniéj świata cywilizowanego, na stałe onego i jedne powszechne oznaczenie zgodziły; wtedy bowiem i na wolnym targu żadnychby zakłócających kołysań ani znacznych nieprawidłowości być nie mogło. W dzisiejszym stanie rzeczy — to jest gdy jedne kraje mają stopę jedyną, a drugie dwoistą — kołysania owe i nieprawidłowości są polem łatwych dla spekulacyi zysków. Bo gdy się na wolnym targu prawnie ustanowiony stosunek ceny dwóch drogich kruszców mocniéj zachwieje, gdy jeden z nich wyraźnie tańszym się stanie, dłużnicy w krajach o dwoistéj stopie temi tylko tańszemi pieniędzmi z ewentualną krzywdą wierzycieli uiszczać się nie omieszkają, a spekulanci tym czasem starają się gromadzić kruszec podrożały, i albo go stapiają na sztaby, aby w téj naturalnéj postaci właściwą cenę wyższą zań otrzymać, albo wywożą w tymże celu za granicę. Na jego miejsce sprowadzają oni lub wybijają monetę z kruszcu tańszego, która jednak równą ma prawną wartosć z tamtą, a zysk z tego

obrotu otrzymany jest naturalnie stratą ogólnego kapitału krajowego.

W obecnym téj kwestyi stanie, gdy nie o jedyną i dwoistą stopę w ogólności spór się toczy, lecz stoją przeciw sobie stronnicy mianowicie stopy złotéj wyłącznéj i stronnicy stopy dwoistéj, nie małą gra rolę i ten argument, że złoto jako kruszec w mniejszéj objętości większą daleko od srebra wartość mający, znakomicie jest dogodniejszym w większych wypłatach i w obrotach międzynarodowych, czemu rzeczywiście zaprzeczyć nie można. Argument ten popiéra się tém historyczno-filozoficzném uogólnieniem, iż cywilizacya ludzka dąży w zakresie materyalnych czynności i spraw do ulżenia, uproszczenia, a zatém do wygody i wykwintności. Zacząwszy od pokarmów i ich przyrządzania, gdzie ukształcenie, dobrobyt i gust starają się ile możności jakością ilość zastępować, aż do parasolów i zegarków, wydoskonalenie wszystkich artykułów potrzeb ludzkich i wszystkich przedmiotów, będących w ręczném użyciu człowieka, w tym odbywa się kierunku. Powszechny środek wymiany pieniądz nie może tu wyjątku stanowić: i on powinien być lżejszy i delikatniejszy i w mniejszéj objętości więcéj warty. Pierwotne społeczności Grecyi i Włoch posługiwały się ciężkiemi pieniędzmi z żelaza i miedzi (łacińska nazwa pieniędzy *aes* oznaczała pierwiastkowo podły kruszec, a w szczególności miedź), a te z czasem ustąpiły srebru, którego dawne nazwy— angielski funt sterling, francuski *livre*, także funt— gruby podział i ciężkość wskazują. Tak obecnie z postępem cywilizacyi musi srebro treściwszemu ustąpić złotu.

Racye te, wymowne z pozoru i prostotą uderzające nie przekonywają jednakże po ściślejszym onych rozbiorze, nawet na polu ogólném i teoretyczném. Bo choćby w dziedzinie ekonomiczno-pieniężnéj mogła stać się pod tym względem tabula rasa, to jest: gdyby mogła być nieścieśniona żadnemi poprzedniościami, żadnemi istniejącemi faktami swoboda wyboru, początkowania i urządzania jednocześnie na świecie całym, to i w tedy ustanowienie jednego kruszcu jako środka wymiany i obowiązujących wypłat z wyłączeniem drugiego, mającego widocznie tożsamo od natury przeznaczenie, byłoby krokiem niebezpiecznym i do urzeczywistnienia niemożliwym. Potrzeba środków obiegowych, ustawiczna i coraz wzmagająca się, zależałaby od jednego tylko źródła, którego obfitość od woli ludzkiéj nie zależy; a zatamowanie lub niedostateczność tego źródła narażałaby stosunki materyalne społeczeństw na wstrząśnienia nierównie szkodliwsze, niż chwiejność kursów srebra w stosunku do złota i nawzajem. Ale na tym

punkcie teoretycznym zatrzymywać się nie warto. Prostota nie jest zaletą bezwzględną, a rzeczywisty bieg i układ spraw tego świata rzadko wymaganiom logiki umysłowéj odpowiadają.

Zwolennicy stopy dwoistéj powołują się zasadnie na praktykę wieków i na niezbitą rzeczywistość. Chwiejność w stosunkowéj cenie srebra i złota nie dawała się do tych lat ostatnich nigdy i nigdzie do tego uczuwać stopnia, iżby namacalne jakie i znaczne ztąd straty wykazać było można. Wiadoma rzecz, iż niezaprzeczona zresztą chwiejność owego stosunku w tak ciasnych do niedawna zawierała się granicach, że spekulacya na bardzo wielką tylko skalę mogła z téj chwiejności zyski osiągać, i to już samo było i będzie zawsze skutecznem złego powściągnieniem. Brak chyba korzystniejszego zajęcia mógł zniewalać wielkie kapitały do obrotów tak małe przynoszących zyski; dla kapitałów mniejszych było to pole całkiem jałowe. Co zaś do korzyści, jakie ze zmiany w stosunku cen drogich kruszców osiągają niesłusznie przy stopie dwoistéj dłużnicy kosztem wierzycieli, wystarczy uwaga, że w dziedzinie obrotów i wypłat pieniężnych i stosunków pieniężnych w ogóle, stałe dzielenie społeczności na dłużników i wierzycieli jest w dziewięciu dziesiątych co najmniéj fikcyą; jest przypuszczeniem dajmy na to przydatnem w rozumowaniu, ale nie rzeczywistością, w któréj liczba wyłącznych wierzycieli i wyłącznych dłużników arcy małe chyba może mieć znaczenie.

A daléj, i to argument główny, faktem jest, wykazanym przybliżenie przez słynnego niemieckiego ekonomistę Mohl'a, że ilość obiegającéj w świecie srebrnéj monety równa się mniéj więcéj ilości takiéjż monety złotéj. Wyobrazi sobie każdy, coby więc za katastrofy pociągnęło za sobą wywołanie z obiegu połowy wszystkiéj massy tego wymiennego, że tak powiémy materyału; jak ogromne zelżenie srebra, a zatém te właśnie i na nierównie większą skalę ogólne i individualne straty, które mają być nieodłączną dwoistéj stopy plagą; tym razem byłaby to plaga, jakiéj świat jeszcze nie widział. Gdzie obok złota równoprawnem jest srebro, łatwiéj tam bywa i ubogim ludziom przyjść do pewnego zapasu monety, do wszelkich, choćby największych wypłat przydatnéj; tworzy się tym sposobem mnóstwo chociaż i małych źródeł, któremi się w razach potrzeby wielki handel zasilać może. W krajach o jedynéj złotéj stopie wyłącznie uprawniony kruszec wywozi się niekiedy w tak wielkich przez krótki przeciąg czasu ilościach, że gwałtowne skutkiem tego następują pieniężne przesilenia, jak tego w Anglii mamy przykład.

W liczbie złożonych angielskiej komisyi śledczej parlamentowéj dokumentów, memoryałów i wypracowań statystycznych różnego rodzaju znajdowały się i poniższe tabele, złożone przez wspomnianego w niniejszém sprawozdaniu p. Seyd'a, wykazujące stosunek trzech systemów monetowych do ludności świata,—wyjąwszy ma się rozumiéć strony zupełnie po za wszelką cywilizacyą będące. Tabela pierwsza przedstawia w mowie będący stosunek do roku 1871, t. j. do czasu, w którym Niemcy i inne za ich przykładem kraje przedsięwzięły zmianę monetowego systemu; ludność oznaczona w milionach tylko:

a) na stopie złotéj

Anglia . .	32,0
Portugalia ,	4,0
Turcya . .	27,0
Persya . .	4,4
Australia .	1,9
Przylądek i inne osady	4,3
Brezylia . .	10,2
Argentyna .	1,8
Razem ludności	85,6 m.

Na stopie srebrnéj

Niemcy . .	41,1
Niderlandy .	3,7
Dania , , .	1,8
Szwecya . .	4,3
Norwegia .	1,7
Austrya . .	36,0
Rossya . .	70,0
Egipt . . .	4,5
Mexyk . .	9,2
Inne kraje Ameryki Środkowéj	2,6
Boliwia . .	1,8
Równikowa	1,3
Peruwia . .	3,1
Japonia . .	33,0
Chiny . . .	425,0
IndyeWschodnie . .	195,0
Razem ludności	834,1 m.

Na stopie dwoistéj

Francya . .	36,2
Belgia . .	5,1
Szwajcarya .	2,7
Włochy . .	26,8
Hiszpania . .	16,4
Grecya . .	1,4
Rumunia . .	4,0
Unia Północno-Amerykańska	38,0
Kolumbia . .	2,9
Venezuela .	1,6
Chili . . .	1,9
Urugwaj . .	0,4
Paragwaj .	1,2
Razem ludności	139,2

Kraje wyróżnione w powyższém zestawieniu italikami mają albo papierowy obieg, albo też w ogóle nie uregulowały swojego systemu pieniężnego. Taką więc rzeczą z ogólnéj cyfry 85,6 milionów ludności złotą niby stopą posługującéj się można śmiało usunąć przeszło 43 miliony: bo tylko dla pozostałych 42 (Anglia ze swemi osadami i Portugalia) była złota stopa prawdziwym faktem i obowiązującém prawem.

Takie ugrupowanie krajów miało miejsce do roku 1871, i pomiędzy powyższe trzy grupy rozdzielała się wszystka ilość istnie-

jącéj wówczas kruszcowéj monety (przybliżenie na 750 milionów funtów sterlingów złotéj, a na 850 m. f. s. srebrnéj wyceniona).

Od roku 1871 zaszły w tém ugrupowaniu zmiany: t. j. wydane zostały prawa, mające na celu takowe zmiany, według poniższego wykazu:

b) Na stopie złotéj

pierwotnie jak wyżej		postanowiły przejść		gotują się do przejścia.	
Anglia . .	32,0	Niemcy .	41,1	Francya . . ,	36,2
Portugalia .	4,0	Dania . .	1,8	Belgia . . .	5,1
Turcya . .	27,0	Szwecya .	4,3	Szwajcarya .	2,7
Persya . .	4,4	Norwegia .	1,7	*Włochy* . . .	26,8
Australia .	1,9	Unia Północno Amerykańska . .	38,6	Niderlandy .	3,7
Przylądek i inne osady	4,3	ludności	87,5	ludności	74,5
Brezylia . .	10,2				
Argentyna .	1,8				
ludności	85,6 m.				

Razem w powyższych trzech gruppach 247,6 milionów ludności:

Na stopie srebrnéj:		Na stopie dwoistéj:	
Austrya	36,0	Hiszpania . . . , .	16,4
Rossya	70,0	Grecya	1,4
Mexyk	9,2	*Rumunia*	4,0
Inne kraje Ameryki Środkowéj	2,6	Kolumbia	2,9
Peruwia	3,1	Venezuela	1,6
Boliwia	1,8	Chili	1,9
Równikowa	1,3	Uragwaj	0,4
Egipt	4,5	Paragwaj	1,2
Chiny ;	425,0	Japonia	33,0
Indye Wschodnie . .	195,0	Razem ludności	62,8
Razem ludności	748,5		

c) W samèj zaś Europie stosunki tak wyglądały:

	na stopie złotéj	na srebrnéj	na dwoistéj.
	l u d n o ś c i:		
do roku 1871	36,0 milionów	158,6 milionów	92,6 milionów.
po roku 1871	159,4	106,0	21,8

Rozpatrując się w tych zestawieniach cyfrowych należy naturalnie miéć na względzie odznaczone italikami kraje nie tylko pod złotą, lecz i pod srebną stopą; powtóre że w tabeli drugiéj

i trzeciéj zaliczone już są do złotéj stopy kraje Unii Monetowéj Łacińskiéj, gdzie się jeszcze wcale na tę zmianę nie zanosi. Autor ułożył i przedstawił swą pracę w drugim kwartale roku 1876, a więc w porze najgłębszego upadku cen srebra i najgłośniejszych wołań alarmistów złotostopowych, którzy już sprawę swoję prawie za wygraną poczytywali. To zapewne spowodowało p. Seyd'a do przyznania im niejako z z góry téj wygranéj, i aby ze swéj demonstracyi wszelkie choćby najmniejszéj kwestyi (ulegające daty usunąć. Potrzecie zważyć i to potrzeba, że ze wszystkich krajów, które po roku 1871 złotą stopę u siebie postanowiły nigdzie ona jeszcze zupełną rzeczywistością nie jest. Kraje Skandynawskie nie zdołały się dotąd w potrzebną dla téj reformy ilość złota zaopatrzyć, a przodujące w niéj Niemcy, pomimo mnogości zdobytego na Francyi złota i wybicie przeszło na półtora miliarda marek złotéj monety, utrzymują na równi z nią sztuki talarowe, a zatém do téj chwili za będące aktualnie na złotéj stopie uważać się nie mogą. A przecież gdyby już w saméj rzeczy do tego przyjść mogło, że 159 z górą milionów europejskiéj ludności znajdowałoby się pod prawem obowiązującém jedynéj złotéj stopy, to pozostałoby jeszcze nie o bardzo wiele mniéj, bo blisko 137 milionów na stopie srebrnéj i dwoistéj. Rzuciwszy zaś okiem na rozleglejszą dziedzinę stosunków świata wszystkiego, od których wpływu Europa żadną miarą wolną być nie może, widzimy z tabeli b), że po dokonaniu owéj reformy w tych krajach, gdzie ona zwolenników znajduje, i przypuściwszy że na to złota wystarczy, zawszeby trzykroć z górą większa liczba milionów ludności na kuli ziemskiéj przy jedynéj srebrnéj lub przy dwoistéj pozostała stopie.

Produkcya złota na kuli ziemskiéj po kilku latach nadzwyczajnéj obfitości pod koniec piątego i w początkach szóstego dziesiątka naszego stulecia uszczupliła się znacznie, i jak już wykazywaliśmy do równowartości z produkcyą srebra się zbliża. Wedlug obliczeń Rejnacha wartowała ona w roku 1856 737 i pół milionów franków, i odtąd nigdy już cyfry 700 milionów nie dosięgała; w następnym dziesiątku do 1866 kilkakroć przewyższała 600 milinów, lecz również często do cyfry téj nie dochodziła, i dużo nawet niższą od niéj bywała; w ostatnim zaś dziesiątku do roku 1875 dwa razy już tylko wartość wszystkiéj produkcyi złota około 600 milionow franków wynosiła; od roku 1871 coraz bardziéj od téj wartości oddalała się: w roku 1872 było 507 i pół milionów, w 1873 nieco więcéj, 517 i pół; w 1874 zeszło do 452 i pół, a w 1875 do 407 i pół. Wartość zaś produkcyi wszystkiéj srebra wykazuje Rej-

nach jak widzieliśmy we wspomnianych czterech ostatnich latach na 325, 350, 357 i pół, i 310 milionów franków.

Jakimżeby więc sposobem mogła produkcya złota nastarczyć potrzebom obiegu monetowego chociażby tylko saméj Europy, gdyby wołaniom złotostopowych rzeczników zadosyć stać się miało? Do czegoby doszło, gdyby kraje Unii Monetowéj Łacińskiéj, a daléj Austrya, Rossya, Hiszpania o złoto współubiegać się chciały? Sama Francya, jak się wykazało, dla zastąpienia swojéj grubéj srebrnéj monety, i po odliczeniu srebra na zdawkowy obieg, potrzebowałaby złota za jaki miliard franków mniéj więcéj; co znaczy wartość wszystkiéj produkcyi złota na świecie przez półtrzecia roku! Cóżby poczęły kraje uboższe, a zwłaszcza téż te, które mają obieg papiérowy, niemogący trwać wiecznie; owszem coraz dla nich dokuczliwszy? Zkądby wzięły owego pożądanego dla wszystkich kruszcu? Czyżby produkcya jego dotrzymywała kroku wzrostowi ludności świata i szybszemu odeń rozwijaniu się interesów i obrotów? Do jakiejż ceny doszłoby złoto, czyli jaki byłby upadek wartości wszelkiéj innéj produkcyi i pracy ludzkiéj—nie mówiąc już o srebrze, którego cena kosztów wydobycia i oczyszczenia pokryćby nie mogła.

W takim to ucisku i braku środków obiegowych zaczęłyby gwałtownie wołać sfery pieniężne o ich pomnożenie: tylko nie przez powrót do dwoistéj stopy,—bo to byłaby idea przestarzała i „reakcyjna“ dla bankierskiego liberalizmu i wtórującéj mu prassy, a i nie dająca się wtedy rychło urzeczywistnić—lecz przez emissye papiérowe. Oto jest jak mniemamy najgłówniejszy argument złotostopowy; zamysł wprawdzie dotąd przez zwolenników złota niewypowiedziany, a doskonale w interesie bankierstwa i spekulacyi pieniężnéj zrozumiały. Ile jest złota, to w sklepach i kufrach banków, a w obiegu papiérki, przez téż banki wypuszczane: oto ideał i sens ukryty złotostopowéj agitacyi, któréj dopomagają, w części zapewne bezinteresownie, ludzie uczeni, hołdujący prostocie i logiczności systemu. Ideał ten odpowiada doskonale owéj wspomnianéj tu nieco wyżéj teoryi postępowéj, wykazującéj dążenie cywilizacyi do rzeczy i użytkowań mniejsze mających wymiary, lżejszych i wykwintniejszych. Cóż lżejszego zaprawdę jak papiérek!

W licznych polemikach jakie dla niniejszego studyum odczytywaliśmy, nie zdarzyło nam się po stronie zwolenników jedynéj złotéj stopy żadnego téj najważniejszéj strony kwestyi napotkać rozbioru. Unikają jéj oni widocznie, jako niedającéj się niczém osłonić słabizny, a w ostatecznéj niemożności wyminięcia w lekki sposób zbywają. Tak naprzykład pierwszorzędny systemu złoto-

stopowego bojownik, bankier i członek Sejmu Niemieckiego Bamberger, który się do przeprowadzenia reformy monetowéj niemieckiéj w tym sejmie bardzo czynnie przyłożył, w najświeższéj o ile nam wiadomo rozprawie swojéj w tym przedmiocie p. t: *Entthronung eines Weltherschers* (listopadowy numer przeszłoroczny pisma berlińskiego *Deutsche Rundschau*), ażeby jak powiada żadnego zarzutu stronników stopy dwoistéj bez zbicia nie pozostawić, wspomniawszy o przywiedzionych tu przez nas obliczeniach p. Seyd'a, i o ważnym fakcie papierowego obiegu w kilku wielkich państwach Europy i Ameryki, z których każde chcąc wrócić do wypłat kruszcowych i tylko w złocie, potrzebowałoby dla siebie kilkuletniéj z całego świata produkcyi tego metalu—załatwia się z całą trudnością w następujących kilku słowach:

„Nie wdając się w bliższy rozbiór jego (Seyd'a) cyfr, to jego hypotezę (o nadzwyczajném wstrząśnieniu w stosunkach ekonomicznych w razie dalszego demonetowania srébra, jakaby nastąpiła gdyby się wszystkie kraje za złotem uganiać musiały p. R.) jako tak jeszcze daleką od ziszczenia uważamy, iż możemy téż spokojnie przyszłości to pozostawić, że ona na taki wypadek środki sobie znajdzie. Austrya, Włochy, Rossya, a nawet i Stany Zjednoczone, które są przecięż najbliższe, nie kwapią się zbyt niecierpliwie z usunięciem papierowego obiegu.“

Oto jest wszystko, literalnie wszystko, na co się w tak poważnym punkcie sporu głośny finansista i sejmowiec niemiecki zdobyć potrafił na ostatniéj już stronnicy cytowanéj owéj rozprawy. Czyż nie wychodzi to zupełnie na znane francuskie powiedzenie-- Après nous le déluge! Trzebaż na to, że nie daléj jak w kilka miesięcy po tém upewnieniu dzieło powrotu do kruszcowego obiegu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północéj posunęło się o ważny krok, wyżéj tu wspomniany, a we Włoszech także na jedném z kwietniowych posiedzeń Izby Deputowanych oznajmił minister Skarbu (i Prezes Gabinetu zarazem) p. Depretis, że ma zamiar przystąpić do wycofania asygnat, i przedstawił w ogólnych rysach plan tego przedsięwzięcia, na którego wykonanie pięciu tylko lat czasu (ma się rozumiéć wojną niezakłóconego) potrzebuje; na dowód zaś postanowienia swego dodał, że zrzeka się wypuszczenia 60 milionów lirów asygnat, brakujących do miliarda, przed kilku laty uchwalonego, i cyfrę dotychczasowéj cyrkulacyi papierowéj 940 milionów za ostateczną jéj granicę uważa. Więc hypoteza Seyd'a nie tak jest daleką od próby.

Widzimy z tego, że gdyby Włochy chciały przyjąć jedyną złotą stopę, potrzebowałyby złota prawie tyleż co i Francya: wy-

czerpałyby wszystką onego w świecie produkcyą z dwóch mniéj więcéj lat. Cóż dopiero Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj, Austrya, Rossya! Potrzebaż się tu dłużéj nad tém rozwodzić, jak sobie złotostopowa teorya lekko rzeczywisty stan rzeczy traktuje, bijąc jedynie w przywary dwustopowego systemu i w zelżenie srebra. Uważne zastanowienie się nad wszystkiém cośmy przedstawili, naprowadzi każdego na myśl, iż główna dwoistéj stopy ujemność, jaką jest kołysanie stosunku ceny dwóch kruszców, zniknęłaby zupełnie, gdyby system dwustopowy powszechnie został przyjęty: przytaczanie zaś zelżenia srebra jako objawu, mającego dowodzić, iż kruszec ten wyzuł się z naturalnego głównego swego przeznaczenia monetowego, jest braniem skutku za przyczynę.

Jakkolwiek obracamy się tutaj na ogólném polu, nie godzi nam się pomijać pewnego wielkiego faktu, który w zapatrywaniach rzeczników złotostopowych i w całéj téj kontrowersyi arcy wydatną gra rolę: oto że Anglia, najprzemysłowszy, najhandlowniejszy i najbogatszy kraj świata, jest od lat sześćdziesięciu niemal na jedynéj złotéj stopie, dawszy pierwsza téj wyłączności przykład, i że jéj się z tém bardzo dobrze dzieje. Jest to prawda. W roku 1816 postanowiwszy się uwolnić od przymusowego obiegu biletów Bankowych niewymienialnych, do którego w ucisku wielkich wojennych wysileń poprzedniéj epoki uciec się był zniewolonym, przeprowadził rząd angielski uchwalenie jedynéj złotéj stopy. Jakie go pobudki do tego kroku spowodowały, czy były i jakich mianowicie krytyk przedmiotem w Parlamencie, o tém informacyi powziąść nie mogliśmy. Pozwalamy sobie atoli domyślać się, że główna pobudka musiała być przygodna tylko: prawdopodobnie większa w konjunkturach ówczesnych łatwość zaopatrzenia się w złoto niż w srebro. Żeby zaś téj nowości winna była Anglia niezmierny od owego czasu wzrost swojéj produkcyi, uniwersalnych obrotów i bogactwa, tego chyba nikt utrzymywać się nie ośmieli. My zauważymy, iż nie doznając u siebie niedogodności zmiennego stosunku cen dwóch drogich kruszców, cierpi za to przemysł i handel angielski w stopniu daleko dokuczliwszym od pewnéj przywary jednostopowéj, jaką jest uderzająca zmienność stopy skupu w Banku angielskim, instytucyi naczelnie regulującéj stosunki kredytowe Wielkiéj Brytanii. Zmienność ta rzuca się zwłaszcza w oczy przy porównaniu z krajami Unii Monetowéj łacińskiéj; szczególniéj zaś z równie potężnym i kierowniczym jak Bank Angielski zakładem, t. j. Bankiem Francuskim. Stopa skupu w tym ostatnim jest od blisko dwóch lat (od 4 Czerwca 1874) niezmienną na 4 od sta; podobnéj stałości daremnieby szukać w historyi Banku Angielskiego

od czasu wprowadzenia złotéj wyłączności. Daremnie znowu szukać w dziejach Banku Francuskiego takich skoków, jakie widzieliśmy w Banku Angielskim: gdy od Października 1873 do końca Lutego 1874 r. z 3-ch procentów kroczyła stopa skupu aż do 9-ciu, a następnie od 9-ciu znowu na trzy zbiegła. W tym samym burzliwym roku 1873 stopa skupu w Banku Francuskim, trzymając się do jesieni około 5 procentów, pod koniec roku chwilowo do 6 i 7 co najwyżéj dochodziła; w piérwszych miesiącach 1874 zniżyła się do 5, a następnie do półpiąta i czterech. Były to więc przejścia i łagodne i w daleko ciaśniejszych zawarte granicach. Jakaż tego przyczyna? Oto że Bank Angielski, złotem jedynie swój obieg biletowy zabezpieczać mogąc, musi go ścieśniać za pomocą szruby skupowéj, jak tylko ubywanie swego zapasu kruszcowego widzi. Obowiązuje go do tego ustawa jego z r. 1844 akt bankowy Peel'a, którą jednak w wypadkach gwałtownéj potrzeby rozszerzenia kredytu Rząd na przedstawienie dyrekcyi Banku w tym punkcie zawiesza, jak to już ze trzy razy miało miejsce. Rzecz naturalna, że gdyby srebro uważało się w Anglii jak we Francyi za równowarte zabezpieczenie biletowego obiegu, mniejszą byłaby troska Banku Angielskiego o dostatek kruszcowego zapasu; szruba zatém skupowa nie potrzebowałaby być tak często zakręcaną i odkręcaną; koszt kredytu téj dźwigni handlowéj byłby jednostajniejszym, a więc byłby pewniejszym obrotów czynnikiem. Pomimo rozmiłowanie sfer pieniężnych angielskich w zaprowadzonym od pół wieku z górą stanie rzeczy, sądzimy iż z okazyi obecnego srebrnego przesilenia fakta i prawdy powyższe zaczynają sobie i w Londynie drogę do uznania torować. Jedyna złota stopa nie zasłoniła Anglii od dotkliwych zelżenia srebra następstw; owszem nigdzie się to zelżenie tak mocno uczuć nie dało. Powiedział ktoś, że słuszna to rzecz, iż kraj, co piérwszy dał przykład zdemonetowania srebra, piérwszy téż i najboleśniéj za tę zdrożność pokutuje.

Jakkolwiek zresztą na tę stronę przedmiotu zapatrywać się kto zechce, śmiało wyrazimy zdanie, że przykład Anglii z roku 1816 w kontrowersyi o jedynéj i dwoistej stopie monetowej, dużo dziś nie zaważy. Przejście jéj wówczas na jedyną złotą stopę żadnego w stosunku cen drogich kruszców nie sprawiło zakłócenia, i nie sprawiło go trzymanie się jéj na tej stopie aż do lat ostatnich; rzecz to pospolita w wielkich i małych sprawach, że jeden od reguły lub ogólnego położenia wyjątek téj reguły i tego położenia nie wywróci, ani nawet znacznie naruszy: nie znaczy to jednak, że wyjątek jest zaletny i do naśladowania możliwy. Na ławie naprzykład dla dwudziestu przeznaczonéj osób może ktoś za-

siąść i w grubem futrze, więcéj przeto nad przecięciowe miejsce zajmując, i to się dla reszty sąsiadów uczuć nie da; ale co innego jak sobie takiéj wygody drugi i trzeci z siedzących pozwolić zechce; a jakby wszyscy zechcieli, toby miejsca zabrakło. Przypuściwszy więc konieczną siedzenia potrzebę, musiałoby się skończyć na ogólném futer zdjęciu, a wtedy i ów pierwszy co z początku spokojnie tego przywileju używał, musiałby go się prawdopodobnie téż wyrzec.

Być może, że i świeża złotostopowa reforma w Niemczech—żadnemi ekonomicznemi, lecz jedynie politycznemi pobudkami spowodowana—nie sprawiłaby niniejszego w srebrze przesilenia, gdyby się nie zeszła z innym faktem pierwszorzędnego w dziedzinie pieniężności znaczenia: 170 milionów cywilizowanéj ludności świata (Unia Północno-Amerykańska, Włochy, Austrya i Rossya) papiérową obywa się cyrkulacyą. Fakt ten choć wcale odmiennéj postaci i z innych wynikły przyczyn niż zdemonetowanie, téż same widocznie pociąga za sobą skutki, lub skutki tamtego potęguje. Demonetowanie téż srebra, nietylko o ile spełnione fakta, lecz w ogóle jako dążność, jako wywierający się przymus ekonomiczny, za najcelniejszą zelżenia tego kruszcu przyczynę uważać należy. Ta nawet jedna pozostaje widocznie, choćby tylko jako argumentum relictae categoriae, skoro inne okoliczności, jak się wykazało, do wytłómaczenia turbującego świat zjawiska nie wystarczają. Rzecz naturalna, że gdy się srebro od głównego jego przeznaczenia i użytku, t. j. posługiwania jako moneta, odwraca, cena jego musi spadać; a spadanie to niekoniecznie jest w stosunku miary, do jakiéj użycie ograniczone zostało, czyli w stosunku podaży do popytu. Wiadomo przecię, że w kołysaniach cen wspomniany ostatnio stosunek jest tylko pierwszym motorem i wskazownikiem kierunku, a domniemania, losowość, spekulacya, dalszą grają rolę. Jak obecnie ze srebrem, tak mogłoby być i z każdym innym produktem. Gdyby naprzykład kawa, herbata, cukier i t. p. zostały ograniczone w użyciu—naprzykład przez wyłączenie z jakiego obszernego targu skutkiem przerwania stosunków handlowych z przyczyny wojny, lub w jakibądź zresztą sposób—spowodowałoby to nieuchronnie zelżenie produktu takiém wyłączeniem dotkniętego. Zelżenie to trwałoby dopóty, dopóki albo nie ustałaby jego przyczyna, albo się produkcya do zmniejszonego nie zastosowała popytu.

Wynika z tego jak mniemamy, że główną dziś drogą do przywrócenia srebru jego wartości i normalnego do złota stosunku byłoby pozbycie się papierowego obiegu przez kraje, które się nim posługują. Byłaby to droga trudna wprawdzie, lecz najpro-

stsza, z ogólném prawem ekonomiczném podaży i popytu najzupełniéj zgodna, a i najpewniejsza przytém, skoro zważymy ten górujący i niezbity fakt w dyskusyi która nas tu zajmuje, że złoto samo żadną miarą potrzebom obrotów handlowych i innych niezliczonych w stosunkach między narodami i jednostkami nastarczyć nie może.

Obok tego jaknajwiększą przywiązujemy wagę do poruszonéj myśli konferencyi międzynarodowéj monetowéj, jakkolwiek myśl ta żadnych jeszcze wyraźnych nie przybrała zarysów. Ze wszystkich czynników i interesów ludzkich nic nie ma kospolityczniejszego, nic bardziéj do międzynarodowéj powszechnéj regulacyi napraszającego się, że tak powiemy, jak pieniądz. Za takiém powszechném porozumieniem się wszelkie przemawiają względy, i niemniéj wymowne, jak za jednostajnością telegraficznych i pocztowych opłat, już przecię dokonaną. Nie sięgając zaś na teraz aż do zupełnéj w monetowéj dziedzinie jednostajności—rzecz to za daleka—to samo tylko rozstrzygnięcie pilnéj dziś kwestyi równouprawnienia dwóch drogich kruszców wielkiém byłoby konferencyi takiéj dobrodziejstwem.

Ale sprawa to nie łatwa zaprawdę, choć jak mniemamy łatwiejsza jeszcze, niż powrót do wypłat kruszcowych we wszystkich krajach w papiérowym pogrążonych obiegu. Wystąpienie jednakże i przykład Unii Północno-Amerykańskiéj tak w jednym, jak i w drugim kierunku, byłoby z pewnością bardzo stanowczém, i zasadowe przynajmniéj rozstrzygnięcie kwestyi sprowadzićby musiało.

Czy tak będzie, niedaleka to przyszłość okazaćby powinna. Lecz jak pozwoliliśmy sobie na początku sprawę srebra do sprawy Wschodniéj przyrównać, więc pracę naszą wyrażeniem tego domniemania zakończymy, iż wielka burza na Wschodzie bez względu na to, czy się ostateczném skończy rozwiązaniem czy nie, może załatwieniu i tamtéj kwestyi bardzo zawadzać.

A. A. K.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a,

przekład

Maryi Faleńskiéj.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IX.

„Na zawsze! Na zawsze!"

Zapewne nie wiedziała ona sama dokładnie, jakim sposobem przyszło do tego wszystkiego; jak się stało, że wśród powszednich zaprzątnień życia i rozrywek letniéj wycieczki, owo tragiczne fatum pochwyciło ją z tak niesłychaną szybkością w moc swoję; ale dziś pokonana już przez nie i obłąkana bólem krwawiącéj rany, na tyle tylko siły umiała się zdobyć, że siebie przynaglała do stanowczego myślenia i działania. Przyznać należy, że chociaż ta młoda dziewczyna miała dużo niebezpiecznéj egzaltacyi, posiadała téż dosyć zdrowego rozsądku, a nadewszystko delikatne poczucie własnéj godności. Gdy w tym unoszącym ją gwałtownie porywie szlachetnéj rozpaczy, postanowiła koniecznie oswobodzić człowieka, którego ukochała z całém poświęceniem dziewiczéj miłości, od cierpień których stała mu się powodem, myśl o samobójstwie nie przedstawiła jéj się ani na chwilę. Drażliwe w niéj uczucie dumy odrzuciłoby było natychmiast środek, w użyciu którego widziała poniżające tchórzostwo. Ale jakimże innym sposobem mogła spełnić to, co już w głębi jéj serca zostało postanowioném?

Pewnego wieczoru, w dawnych i szczęśliwszych czasach, James Drummond zabawiał swe domowe kółko opisami dziwnéj jakiéjś krainy. Daleko gdzieś miała leżéć po za morzami ta ziemia

bez nazwiska, do któréj podążyli wszyscy ci, którzy kiedykolwiek tajemniczo z pomiędzy nas poznikali: niewypłacalni kupcy, co pozostawiali po nad brzegiem jakiéj rzeki swoje kapelusze i okrycia; młodzieńcy, którzy zawiedli miłosne nadzieje swych oblubienic; mniemani rozbitkowie, co z zamorskich wypraw nie popowracali; żonaci żołnierze, którzy skorzystali ze sposobności bitwy, aby się oswobodzić od małżeńskich więzów; i tak daléj i tak daléj. W zwykły sobie sposób, nawpół poetyczny, nawpół żartobliwy, opisywał Drummond ów kraj tajemniczy, ów raj ziemski, gdzie swobodnie przechadza się dłużnik, oswobodzony od swych zobowiązań, gdzie narzeczony nie lęka się pozwu za niedotrzymanie danego słowa, gdzie żołnierz, którego zabrakło do apelu, w końcu znalazł żywot spokojny. Była to chwilowa igraszka jego umysłu; zapewne nazajutrz nie potrafiłby sobie przypomniéć, że kiedykolwiek czynił wzmiankę o czémś podobném. Ale słuchał go onego wieczoru ktoś, co większą o wiele wagę niż on sam przywiązywał do jego przywidzeń i rozumowań. Słowa w roztargnieniu rzucone padły w głąb' serca młodéj dziewczyny, bo je wyrzekł człowiek, którego kochała.

Dziś, Violetta North przyszła do przekonania, że nic lepszego nie ma do zrobienia, jak udać się do téj nieznanéj krainy, po za morza szerokie; a gdy przeminie wrażenie smutku, jakiego doznają jéj przyjaciele na wieść, że utonęła, wkrótce o niéj zapomną, i ten, który droższy jéj jest nad wszystko, odzyska ów spokój i wesołość, jaką u niego widywała w dawnych czasach. Cóż lepszego może ona uczynić? A jednak prawie oczu nie zmrużyła w ciągu téj nocy, w któréj sam na sam była ze swém postanowieniem.

Wstawszy z rana bardzo wcześnie, ubrała się pocichu. Na chwilę zbliżyła się do okna i przejął ją rodzaj trwogi, gdy spojrzała na świat mroczny jeszcze i uśpiony. Morze, na podobieństwo czarnego jeziora, rozpływało się wzdłuż wybrzeży, jak daleko oko zajrzéć mogło; góry miały odcienie ciemno purpurowe, i ciemne téż było w dali niebo; a na nim miejscami groźne chmury się kłębiły. W górze wprawdzie, czerwonawy brzask już się mięszał z szarą pomroką, ale dziwną to i rażącą sprzeczność sprawiało, tak, iż z dreszczem cofnęła się Violetta od tego widoku.

Wsunęła się pocichu do pokoju, w którym spoczywała Amy i zbudziła ją nawpół.

— Czy się wybierasz do kąpieli? spytała jéj przyjaciółka, zauważywszy, że miała w ręku torebkę.

Przyszłam ci powiedzieć Amy, odrzekła spokojnym głosem Violetta, że lepiéj zrobisz, jeśli dziś w domu zostaniesz. Zimno jest i pochmurno, a nawet zdaje mi się, że na deszcz się zabiéra.

— Dla czego więc sama się wybiérasz?

— Muszę się wykąpać. Byłam jakaś kwaśna i nieswoja ostatniemi czasami; czuję, że się potrzebuję orzeźwić, aby mi wrócił dobry humor. A teraz odchodzę; śpij sobie znowu.

Przez chwilę stała jednak w miejscu, wahając się. Byłaby wszystkie skarby świata za to oddała, aby módz dotknąć ręki swéj przyjaciołki, aby ją uściskać i pożegnać, żegnając w niéj całe to domowe ognisko; ale nie odważyła się tego uczynić. Ostróżnie drzwi za sobą zamknęła i zeszła ze schodów; zanim chwila upłynęła, już jéj w domu nie było.

Teraz, gdy się sama znalazła wśród téj pomroki zalegającéj ląd i morze, góry, lasy i posępne tonie opływające wybrzeża opustoszałe,—nietyle ją ona trwogą przejmowała, ile milczenie tych zamarłych przestrzeni. Nawet świergotu ptaka żadnego nie było słychać. Cisza wszędzie panowała, przerywana tylko szelestem zaledwie dosłyszanym liści, które chłodny powiew chwilami poruszał na sąsiednich drzewach.

Z żywo bijącém sercem, zeszła ze wzgórza ścieżką wiodącą ku dolinie, przez którą droga była ku morzu. Żadne uczucie urazy nie podtrzymywało jéj w czynie, jaki spełniała. Gdyby doznała była jakiéj krzywdy, będąc pod opieką tych, z któremi się teraz rozstawała nazawsze, znalazłaby dziś we własnéj dumie podporę. Krzywdy! mogłaż tu być mowa o tém?... U wejścia doliny obejrzała się na biały ten domek, stojący na wzgórzu, który w sobie mieścił wszystko, co jéj drogiém było na ziemi; ale niewiele mogły dostrzedz jéj oczy, gorzkiemi łzami zalane. Wszystkie uczucia jéj serca spłynęły wtedy w jednę gorącą modlitwę; błagała nią, aby spokój niebios zstąpił na to domowe ognisko i w niém zamieszkał, i aby wybrany jéj serca nie dowiedział się nigdy, z jak ciężką boleścią ona mu dziś posyła to ostatnie pożegnanie.

Potém, zwróciwszy się znowu w stronę morza, szła daléj ku niemu. A tymczasem — zaledwie to spostrzegała, wśród zamętu umysłu, w którym rozpacz wszystko zagłusza—że tło tego posępnego obrazu rannéj pomroki poczęło mglistemi osłonami deszczu się zasnuwać; dalsze góry, jedna po drugiéj odsuwały się niby dla oka, ustępując miejsca złowrogiemu tumanowi szaremu. Ziębiące podmuchy wiatru zalatywały od morza, parę chłodnych kropel deszczu padło na twarz Violetty; spójrzała przed siebie;—wyspy

naprzeciw w coraz mglistszą toń zapadały, a wrzosy i chwasty w pobliżu dróżyny rosnące całkiem mokre już były. Szła dalej, jakby na oślep; może od chłodu pochodziły dreszcze, które nią wstrząsały od czasu do czasu.

W końcu, doszła do miejsca, gdzie wznosiły się na wybrzeżu duże bryły skaliste, tworząc przylądek, w części drzewami zarosły, który osłaniał sobą niewielką zatokę drobnym piaskiem wysłaną. Na krańcu jéj, tam gdzie miękkie to łożysko schodziło się ze skałą, ustawiona była mała łazienka. W téj wczesnéj godzinie, nigdzie oko nie spostrzegało tu żadnéj ludzkiéj istoty.

Okrążywszy ów przylądek i dostawszy się do strony jego zwróconéj ku morzu, Violetta usiadła na odłamie skały, całkiem zakryta drzewami, których tu było dosyć dużo. Zdjęła z głowy kapelusz i zastąpiła go kapturkiem, z gęstą bardzo zasłoną. Potém siedziała czas jakiś nieruchoma, w myślach swych pogrążona.

O czém ona wtedy myśléć mogła — jeśli myśleniem można nazwać szalone, błędne kołatanie się wśród ciemności ostatecznéj rozpaczy? Czy o czasach dalekiéj przeszłości, postrzelonéj i wesołéj pensyonarki, rozzuchwalonéj pełnią życia, którą w sobie czuła; czy też spokojnych a tak miłych wieczorach, nieraz spędzonych przy tém skromném, nieświatowém, a tak uroczém domowém ognisku, gdzie czczoną była każdą rzecz dobra i szlachetna, gdzie nie było niczego poniżającego, lub choćby pomniejszającego ludzką istotę;—czy może o jutrzence téj błogiéj nadziei, która chwilowo tak dziwnych blasków i barw dodała jéj życiu? Jeśli te cudne obrazy przesuwały się teraz przed jéj oczami, to je oglądać chyba musiała jakby przez szkło zaciemnione. Ponury cień padał na jéj umysł; w owéj godzinie była prawie nieżyjącą już istotą.

Bezwiedny instynkt zwrócił jednak jéj myśl ku godzinie, jaka być mogła, i spójrzała na zegarek. Parowiec odbywający codzień drogę od Hebryd do Glasgowa miał nadejść za godzinę; zaledwie jéj wystarczało tego czasu, aby dojść do przystanku. Wstała więc z miejsca.

Obrzęd jéj pogrzebu mało wymagał zachodu. Położyła poprostu swą torebkę na odłamie skały, tuż przy jéj krawędzi, tak, że można było wnosić, iż ją upuściła w chwili, gdy pośliznąwszy się, padła i zsunęła się w otchłań po stroméj pochyłości;—potém rzuciła w morze swój kapelusz. Popatrzała na niego podczas gdy płynął, bystrym prądem pochwycony;—czy daleko ztąd będą oni

zwłok jéj szukali? kto to wie? może na ponurych wybrzeżach Lismoru lub Morwenu?

Spuściła sobie na twarz gęstą zasłonę i śpiesznie szła ku przystani, przy któréj zatrzymywał się parowiec; drobny lecz nieustający deszcz jéj towarzyszył. Silniejszą się teraz czuła na duchu; miała postanowienie dźwigać mężnie swoję dolę, odkąd w obec świata całego ujrzała siebie samę jednę; wysiłkiem woli tak daleko zachodziła, że zapatrując się na tę sprawę ze strony jéj pociesznéj zapytywała siebie, coby też powiedzieli podróżni na parowcu, gdyby się kiedy dowiedzieli, że umarłą kobietę mieli z sobą w owéj przeprawie. Dla nadania sobie postawy zgodnéj z męstwem, jakie sobie nakazywała, spróbowała nawet zanucić piosnkę jakąś wesołą; ale to jéj się wcale nie powiodło, gdyż w téj saméj właśnie chwili, z pomiędzy wzgórz zielonych, wyjrzał ku niéj biały domek, wysoko wznoszący się po nad doliną; i śpiew zamarł w jéj piersiach, dotkliwém uczuciem bólu zdławiony. Odwróciła głowę, i więcéj nie chciała spójrzéć w tamtą stronę.

Wielki ruch już zastała w przystani, gdyż właśnie przybył parowiec, a z nim też wiele pakunków, które należało jak najśpieszniéj odbierać. W tym ogólnym zamęcie, łatwoby jéj było przemknąć się nie zwracając niczyjéj uwagi, nawet gdyby tu napotkała kogo znajomego; w każdym razie jednak, wolała jak najkrócéj zatrzymywać się na wybrzeżu; zaraz tedy udała się na statek i, zszedłszy na dół, pozostała tam dopóki trwało ładowanie i wyładowywanie pakunków. Sama jedna była w przestronnéj kajucie parowca, gdyż podróżnych było mało. Na wszelki jednak wypadek, siedziała w kąciku bardziéj zaciemnionym, z twarzą zakrytą zasłoną, dopóki statek z miejsca nie ruszył, i wtedy dopiéro odważyła się wyjść na pokład.

Czy nie czas by jeszcze odrobić tego co uczyniła? Gdy parowiec zawracał w przystani, widziała, że łatwoby jéj przyszło z niego przeskoczyć na kamienną krawędź, o którą się prawie ocierał; i o mało nie rzuciła się ku niéj, wszelką moc nad sobą straciwszy w téj chwili, pod strasznem wrażeniem swego osamotnienia. Ale chwyciwszy prawie bezwiednie za żelazną sztabę, którą pod ręką znalazla, trzymała się jéj silnie. Zaraz potém statek oddalił się od przystani, ku pełnemu morzu odpływając.

Okropny ten poranek, zdawał się Violecie z lat całych złożony. Czyż nie lata upłynęły odkąd z dreszczami nieokreślonéj trwogi patrzała na czerwone odblaski jutrzenki, zaledwie widniejące wśród pomroki i milczenia przejmującego grozą duszę? O, dawno to być musiało, bo wspomnienia te jakby gęsta mgła już zasnuwała. I jak

to dawno temu, siedziała ona na skale, wyobrażając sobie swoich przyjaciół, szukających ją po wybrzeżu i znajdujących tu jéj torebkę na saméj krawędzi otchłani jako pewny dowód, że tu śmierć znalazła. Potém, odbywała znowu pamięcią tę smutną, rozpaczliwą wędrówkę, ścieżkami wilgotnemi, pod szarém niebem słotnego poranku, którego ciszę deszcz tylko przerywał. Teraz, otoczona była mnóstwem ludzi, rozmawiających z sobą dzikim jakimś językiem; wszystko to sprawiało na niéj wrażenie snu bezładnego. Nie płakała już wcale. Myśli jéj zmącone i niewyraźne, zatrzymywały się kolejno na różnych tuzinkowych przedmiotach; zastanawiała się nad obojętnością, z jaką mokli na deszczu ci biedni Highlanderowie, nad bydłem przewożoném na statku, nad niewygodą nocnych podróży koleją pomiędzy Greenock i Londynem; nad dwoma pięciofuntowemi papiérkami, które miała w portmonetce, wraz z niewielką ilością drobnych pieniędzy. Otaczające ją osoby zajęte były własnemi sprawami; gdyby nie to, dziwiłyby się może, dla czego ta wysmukła młoda kobieta, otulona płaszczykiem i z twarzą zasłonioną, tak nieruchoma jak posąg stoi na pokładzie, zwrócona ku wybrzeżom, które za sobą zostawiali.

Ale wkrótce silniejsze jeszcze wzruszenie poczęło ją opanowywać, albowiem oddalając się od brzegu, statek dopływał do miejsca zkąd widzieć można było dolinę, po nad którą znajdowało się Castle-Bandbox. Jednak dostrzédz białego domku nie zdolała Violetta, po przez mglistą zasłonę, jaką go deszcz obrzucał. Zdało się jéj, iż teraz dopiéro traci bezpowrotnie swych jedynych na świecie przyjaciół, i serce jéj rwało się ku tym brzegom z tak gwałtowną przemocą, że sądziła, iż pęknąć musi w téj chwili. Owo duchowe konanie, jakie przebywała, było jéj straszliwszém od śmierci saméj; tę ostatnią z radościąby powitała, w zamian za owo zamarłe życie, jakie miała przed sobą na dalszą przez świat wędrówkę. Zdawało się jéj, że świat cały wié o tém co ją spotkało; wokoło wszystko się zachmurzyło, jakby zasępiając się żalem, a w zimnych powiewach wiatru, który ją dreszczem przejmował, dolatywały ją niby zdaleka słowa: Na zawsze! na zawsze!

W końcu brzegi zniknęły jéj zupełnie z oczu, coraz bardziéj przysłaniane deszczowym tumanem; zwróciła się wtedy ku szarozielonawym falom rozkołysanym przed nią niespokojnie, ku tym falom—co niedługo miały uchodzić za jéj grób bezimienny; i w głębi serca modliła się gorąco do Boga o to, aby jak najprędzéj mogło z niéj być zdjęte brzemię żywota.

ROZDZIAŁ X.

W Londynie.

Wietrzno było i wilgotno na dworcu kolei, gdzie nazajutrz rano Violeta wysiadła z wagonu, uczuła jednak pewną ulgę, doczekawszy się wreszcie końca tej nocy, którą spędziła bezsennie. Rada była wciągnąć w pierś świeższego powietrza. Spoglądała wokoło siebie z niejakiem zdziwieniem, idąc ku bramie dziedzińca; nie oswoiła się była jeszcze z widokami miejskiemi, od dawna z oczu straconemi.

— Powóz do najęcia, proszę pani!

Zapytała siebie na co się też mógł przydać powóz istocie już nieżyjącej, i poszła daléj w swą drogę.

Nie wchodziła jednak bezmyślnie i na oślep w zamęt Londynu. Przez całą tę noc tak długą, rozważała co jéj należy daléj uczynić i, dzięki niezwykłemu hartowi duszy, czuła się na siłach podołania swemu położeniu. O ile to podobném było, potrafiła ułożyć sobie na przyszłość plany praktyczne i zręcznie obmyślane. Wiedziała, że mając w kieszeni wszystkiego dziesięć funtów i kilka szylingów, nie ma co myśléć o wyprawieniu się w ową odległą krainę, gdzie nowe życie rozpoczynają ci, co ztąd odeszli w sposób tajemniczy, trzeba jéj było pozostać w Londynie, dać sobie rady jakokolwiek i starać się pieniądze zebrać na zamorską wyprawę. Przed szukaniem stanowiska, wypadało jéj poszukać mieszkania, a na początek musiała obrać je sobie w hotelu. Tam zaś, dla niezwrócenia na siebie uwagi, wypadało jéj przywieść z sobą jakikolwiek pakunek. Dobrze to dla niéj było, że musiała obecnie myśléć o tém wszystkiém.

Ale w tém, opanowała ją chęć dziwna rzucenia jeszcze okiem na swe dawne domowe ognisko, dogadzając jéj, nie naraziłaby się na nic złego prawdopodobnie; twarz miała bowiem starannie zasłoniętą, a przytém wiedziała, że o téj godzinie, rodzina jéj jest przy śniadaniu.

— Wprawdzie nie wiedzą jeszcze, że żyć przestałam, powiadała sobie; inaczéj mogłabym pokazać się w oknie i przerazić straszliwie Anatolią.

Dochodziła właśnie do zakrętu ulicy, kiedy o mało nie wpadł na nią mężczyzna jakiś z białą brodą, idący z wielkim pośpiechem. Zaledwie miał czas w bok się rzucić i, mruknąwszy parę słów przeproszenia, daléj podążył, nie zauważywszy wcale Violetty.

Ale ona przelotném spojrzeniem pochwyciła wyraz smutku i niepokoju, którym twarz tego człowieka była napiętnowana.

Popatrzała za nim z uczuciem trwogi. Czy nie odebrał właśnie tylko co telegramu? Może śpieszy na dworzec kolei. Albo też doniesiono mu o bezskutecznych poszukiwaniach czynionych po wybrzeżach, i wysyła telegram aby go wyprzedził. Błędny wyraz rozpaczy jaki widziała w rysach ojca, wzruszył ją do głębi; byłaby całą duszą chciała módz za nim pobiedz i wszystko mu wyznać; ale powstrzymała siebie wysiłkiem woli i nie dała się zachwiać w powziętém postanowieniu.

— Żal mi ciebie, biédny ojczulku, mówiła sobie, stojąc w miejscu i patrząc za ową postacią oddalającą się coraz bardziéj; żal mi was wszystkich, bo wiém, że przez czas jakiś każde z was będzie tém zasmucone. Ale w końcu wyjdzie to wam na lepsze. Za jaki rok lub dwa, wszyscy uczujecie się szczęśliwszęmi, a tymczasem zapomnicie o tém co we mnie było złego, i jeśli mię kiedy wspomnicie, to już tylko w sposób przychylny.

Poszła tedy daléj, wmawiając sobie że dobrze postąpiła; a przed oczami jéj stała ciągle postać tego człowieka, śpiesznie biegnącego i roztrącającego ludzi, z wyrazem tak ciężkiego rozżalenia na twarzy.

Na Tottenham Court Road, nabyła sobie spory i dosyć ciężki kuferek podróżny, który niemałą zrobił szczerbę w jéj pieniężnych zasobach, ale takiego jéj właśnie było potrzeba, aby uchodziła za zwykłą podróżniczkę, nie zaś za istotę co się wybiéra w tajemnicze krainy nowego żywota. Siadła potém do najętego powozu i zawieść się kazała do niewielkiego i skromnego hotelu na ulicy Great-Portland, gdzie będąc kiedyś z ojcem, dla odwiedzenia znajomych przybyłych z Kanady, zauważyła była uprzejme obejście właścicicielki.

Zastała ją teraz w sieni, równie uśmiechniętą jak wtedy i również też dbałą o zadowolenie swych gości. Nie trudną było rzeczą, co prawda, dogodzić téj pięknéj młodéj osobie, która oświadczyła od razu, że byle jaki pokój będzie jéj dobrym, ponieważ zamierza przenieść się do prywatnego mieszkania, skoro je tylko sobie upatrzy. Przez chwilę właścicielka hotelu patrzała na nieznajomą z pewném zdziwieniem, które tę ostatnią bardzo zaniepokoiło, budząc w niéj przypuszczenia, że może poczciwa kobiecina zapamiętała jéj powierzchowność. Ale obawa ta okazała się płonną; zresztą, w żadnym razie nazwisko Violetty nie mogło tu być znaném i myśl ta uspokoiła ją niebawem; poprosiwszy tedy, aby zaniesiono herbatę do jéj pokoju, zaraz tam się udała.

Ujrzawszy się samą, młoda dziewczyna usiadła w krześle i w myślach swoich się zatopiła. Straszliwe to było dla niéj wrażenie, czuć się tak osamotniałą, w tym obcym domu, wśród obcych całkiem ludzi.

Zapytywała siebie czy podobna, skoro już teraz cierpi tak okropnie, aby późniéj potrafiła skazać się na wygnanie do tego dalekiego kraju, gdzie zamierza w ukryciu spędzić resztę życia. A może téż te pierwsze chwile najtrudniejsze jéj są do przebycia— któż to wié? może daléj droga choć trochę będzie łatwiejsza?

Lekkie zapukanie do drzwi zatrwożyło ją, i serce jéj silnie bić poczęło. Była to poprostu służąca, przynosząca herbatę i sucharki. Zanim odeszła, Violetta rzekła jakby się w niéj myśl jakaś nagle zbudzała:

— Proszę odemnie poprosić pani, żeby była tak grzeczna przyjść tu na chwilę.

Rumiana twarz gospodyni domu zwróciła była uwagę Violetty swym wyrazem dobroci; teraz więc—popędem kobiecego serca szukając wokoło siebie czyjegoś współczucia w swém osamotnieniu—postanowiła opowiedzieć jéj tyle o sobie, ile to uczynić mogła, i zażądać od niéj porady, któréj z pewnością spodziewała się od téj istoty tak poczciwie wyglądającéj.

Pani Roberts pojawiła się wkrótce, trochę zdyszana wejściem na schody, gdyż dosyć była otyła. Poprosiła zatém Violetty, aby jéj wolno było usiąść, do czego została najuprzejmiéj zachęcona; a zarazem usłyszała z pewném zdziwieniem, iż proszona jest o poradę w rzeczy dosyć wielkiéj wagi. Ale zdziwienie to stawało się u pani Roberts coraz większém i czarne jéj oczy nabierały wyrazu żywego zaciekawienia, w miarę jak się dowiadywała, że ta prześliczna młoda osoba, tak wytwornego obejścia i tak elegancki nosząca strój podróżny, znagła przywiedziona została do konieczności zarabiania na własne utrzymanie i pragnie znaleść zajęcie, któreby jéj dało środki do tego. Poczciwa kobiecina nie umiała jakoś oswoić się z tą myślą. Nieznajoma ta pani wydawała się jéj koniecznie istotą wyższego stanu, i przypuszczenie, aby mogła zostać nauczycielką, lub panną sklepową, było w jéj oczach czemś wielce pociesznem. Ale skoro jéj się Violetta poczęła rozpytywać jakie wynagrodzenie pobierają naprzykład kobiety pracujące przy telegrafach, uwierzyła potroszę że mowa tu o postanowieniu stale powziętém, i że któryś z owych przewrotów życiowych, jakie nieraz dosięgają nawet osoby wysokiego stanowiska i doprowadzają je do zupełnego ubóstwa, rzucił poniekąd pod jéj opiekę tę młodą kobiétę, tak ujmującéj i szlachetnéj powierzchowności. Dziwném

przeczuciem, owa kobiéta, przez sam zawód swój nazwyczajona do ostróżności względem nieznajomych jéj ludzi, nie podejrzywała ani na chwilę chęci oszukaństwa w téj młodéj dziewczynie. Zaledwie jéj w oczy spójrzała i usłyszała dźwięk tego sympatycznego głosu, już była dla niéj jak najlepiéj usposobiona. Z chęcią powierzyłaby jéj opiece, co miała w domu najkosztowniejszego.

— Jeśli tak jest, panno... poczęła mówić.

— Main, dokończyła Violetta, biorąc sobie nazwisko jakiéj najpierwéj przyszło jéj na myśl.

— Jeśli w istocie pragniesz pani jakiego zajęcia, miło mi będzie dopomódz ci w tym razie; ale niełatwo to pomieścić się jakkolwiek dzisiaj, kiedy każda młoda dziewczyna ma sobie za poniżenie zostać służącą i szuka zajęcia po kantorach, po sklepach i innych miejscach tego rodzaju. Mój szwagier ogłaszał niedawno temu, że potrzebuje młodéj osoby do swego zakładu fotograficznego na Regent-Street. Może téż będzie to posada stosowna dla pani. Jeśli zechcesz, możemy się tam wybrać, skoro się tylko z domową robotą załatwię.

Prawdziwie, niemała to dobroć ze strony pani, odpowiedziała młoda dziewczyna, któréj świat wydał się na chwilę mniéj posępnym, gdy od razu napotkała tyle uczynności w osobie któréj była całkiem nie znaną. Gotowa będę towarzyszyć pani, dodała gdy znajdziesz chwilkę wolnego czasu, a tymczasem położę się trochę, gdyż czuję się zmęczoną po całonocnéj podróży.

Pani Roberts odeszła, mając na twarzy pewien wyraz poczucia własnéj godności. Czuła się zadowolona myślą, że się opiekuje osobą, należącą wyraźnie do wyższych warstw społecznych. Niepodobna jéj było o tém wątpić; sam już spokój z jakim nieznajoma przyjmowała objawy jéj dobrych chęci, przy całéj wdzięczności jaką za nie okazywała, świadczył iż nazwyczajona była do uprzedzających względów. Co to za dobra rzecz mieć piękne czarne oczy, w ustach wyraz łagodności i dumy zarazem, a w całéj postaci niewinny wdzięk pierwszéj młodości! Gdyby mniéj hojnie została Violetta North uposażona od natury, nie tak by jéj łatwo przyszło z pewnością pozyskać od razu przychylność pierwszéj osoby, jaką napotkała w Londynie.

Było już po południu, gdy wyszły obie z hotelu. Ulice zalane były słońcem pięknego dnia wrześniowego; po dżdżystym poranku rozpogodziło się zupełnie i ruch panował wielki na mieście, gdyż każdy rad był skorzystać ze sposobnéj chwili dla załatwienia swoich interesów. Pani Roberts ustrojona na tę wycieczkę dosyć

okazale, z zadowoleniem kroczyła wśród tylu ludzi obok téj pięknéj pani, tak dystyngowanéj powierzchowności.

— Czy wiész panno Main, rzekła z uśmiechem do swéj towaszyszki, że z ubrania twego niktby się nie domyślił, iż szukasz zajęcia, które ci da zarobić co najwyżéj kilkanaście szylingów na tydzień?

— Skoro tylko zacznę pracować, odpowiedziała łagodnie Violetta, postaram się o suknie stosowne do mojego nowego stanowiska.

Ulgi doznała, gdy się wreszcie wydostały z tłumu zapełniającego Regent-Street, gdzie co chwila lękała się napotkać kogo ze znajomych ojca. Minąwszy na wpół ciemną sień wchodową, obie kobiéty weszły do obszernego pokoju, gdzie kandydaci do własnych podobizn, wyczekiwali cierpliwie swojéj kolei.

Ten sam los dostał się w udziale naszym dwom paniom, i nie mało czasu upłynęło, zanim mogły rozmówić się z właścicielem zakładu, bardzo w téj porze zajętym. Gdy się wreszcie pojawił na chwilę, dowiedziały się od niego, że nie ma obecnie żadnego miejsca do obsadzenia u siebie.

— Ale zdaje mi się, dodał, spojrzawszy na Violettę, że potrzebuje kogoś do utrzymywania sklepowych rachunków Dowse, którego skład mebli i ozdób pokojowych do mojego zakładu przytyka. Zapewne masz pani ładne pismo, dodał, czy nie chciałabyś skréślić mi tu parę wyrazów?

— Piszę bardzo dobrze, rzekła Violetta zmięszana obejściem trochę obcesowém tego człowieka, ale w téj chwili ręka drży mi cokolwiek...

— Mniejsza zresztą o to, rzekł z pośpiechem, spostrzegłszy, że go z góry wzywają do fotograficznéj pracowni; przepraszam Panią, przepraszam cię Sally, ale nie mam chwili czasu do stracenia, bo już klisze na mnie czekają.

Poczciwa pani Roberts wcale się nie zniechęciła tym pierwszym zawodem.

— Pójdziemy więc zaraz do pana Dowsa, powiedziała bez chwili namysłu.

— Ileż to ja pani sprawiam kłopotu! rzekła Violetta.

— No, no, pomówimy o tém późniéj, zawołała wesoło poczciwa kobiecina, a teraz myślmy tylko o interesie.

Każdemu w Londynie znanym jest dobrze,—a nie jeden małżonek światowéj kobiéty dosyć znacznym kosztem okupił tę znajomość—skład mebli, obić, oraz materyj i brązów służących do ozdoby pomieszkań, firmy Dowse i Syn. Nawet na Regent-Street, tak obfitującym w sklepy wspaniałe, zakład ten zarówno wielko-

ścią swoją, jak wytwornym smakiem i bogactwem urządzenia, zwraca koniecznie na siebie uwagę. Zewnętrzny zaś przepych słabe tylko daje pojęcie o zbytku i o komforcie, jakie oko napotyka w tych rozlicznych salonach, gabinetach i sypialniach do najrozmaitszych upodobań zastosowanych. Naprawdę, tak tam o wszystkiém umiano pamiętać, tak potrafiono odgadnąć wszelką możliwą zachciankę ludzi mających wiele pieniędzy do wyrzucenia, że pochodziwszy czas jakiś po tych pokojach, gdzie każdy przedmiot był dziełem sztuki, pomieszczoném w najkorzystniejszém dla siebie otoczeniu, dojść można było do przekonania, że główném zadaniem życia jest umiejętność urządzenia sobie pomieszkania; reszta zaś, jak naprzykład ludzie mający je zapełniać, mało już tylko znaczącym dodatkiem. Rzecby można, że kunszt zbytku, doprowadzony tu do najszczytniejszych wyżyn, zeszedł się na nich z pogardą teoryi Schopenhauerowskich, dla pozbawionego wszelkiéj wartości rodu człowieczego.

Sam zaś pan Dowse był krzepkim mężczyzną, średniego wzrostu, twarzy rumianéj, z białemi włosami i z wyrazem przenikliwym, zarazem wesołym w wejrzeniu. W interesie, bystry był niezmiernie, ale téż i często hojny; pieniądz łatwo mu przychodził i chętnie był téż przez niego wydawany; stał już dziś na czele znacznego majątku, a dorabiając się go, umiał zawsze pamiętać o dawaniu szczodrego udziału w swych zyskach artystom i rzemieślnikom, którzy dla niego pracowali. Sprawiedliwym był i umiejętnym nad nimi kierownikiem; znał się na dobréj robocie i płacił za nią jak należy; ale téż tego co się jemu należało, w zupełności wymagał od swoich podwładnych. Od pierwszéj chwili, potrafił ocenić szlachetny wdzięk młodéj osoby która się do niego zgłaszała, a gdy po krótkiéj z nią rozmowie zapytawszy panią Roberts o warunki wynagrodzenia, usłyszał że żądano funt jeden na tydzień, wcale się nie okazał tém zrażony i zaraz przystał na owę cyfrę. Tak samo byłby z pewnością zgodził się na podwójną; ale tego domyślać się nie mogła opiekunka Violetty i tak bardzo zadowolona z układu nadspodziewanie korzystnego. Stanęło więc na tém, że panna Main ma odbyć tygodniową próbę w zakładzie, którego opis szczegółowy ozdobiony rycinami, został jéj doręczony, aby obeznać się z niego mogła z technicznemi wyrażeniami swego przyszłego zawodu. Co zaś do mieszkania przyrzekła téż postarać się o nie dla swéj protegowanéj poczciwa pani Roberts. Poprosiła ją Violetta o wyszukanie jak najskromniejszego, dając za powód, że potrzebując tylko kącika na nocny wypoczynek, poprzestać może

na najmniejszym pokoiku, a raczéj woli jak najwięcéj módz zaoszczędzić z pobieranego wynagrodzenia.

— Ciekawa téż jestem, rzekła, o któréj godzinie bywa zamykany ten zakład?

Nie wiedziała nic o tém pani Roberts, ale sądziła, że podobnego rodzaju sprawunki mało kto załatwia wieczorem.

— Mam jednak nadzieję, że mnie nie będą nadto wcześnie odprawiali do domu, rzekła Violetta.

— Dla czegoż się tego pani obawiasz?

— Bo wolę mieć mniéj czasu do przesiadywania u siebie w samotności.

— Jakto? zapytała jéj ze zdziwieniem pani Roberts, więc nikogo tu pani nie masz ze znajomych, u kogo byś mogła bywać wieczorami?

— I owszem, odpowiedziała z uśmiechem panna Main, będę przychodziła czasem do pani, jeśli na to pozwolisz.

— Nikogo więc nie znasz tu więcéj?

— Nikogo. Bliżsi moi znajomi stale przebywają w Szkocyi. Spodziewam się, że w pobliżu mojego mieszkania, znajdzie się jaka czytelnia, zkąd będę mogła brać sobie książki.

Pokoik, który Violetta tegoż samego dnia zajęła, mieścił się w domu będącym przy ulicy Great-Titchfiald. Gdyby którego poranku pani Roberts miała sposobność jéj towarzyszyć, gdy się udawała do zakładu gdzie pracowała, zauważyłaby pewnie, że oprócz tego iż nosiła zawsze grubą zasłonę na twarzy, nie szła nigdy najprostszą drogą przez Oxford-Street, ale bocznemi i ciasnemi ulicami wychodziła na Regent-Street, dopiéro w pobliżu domu do którego się udawała.

Gdy pierwszy tydzień upłynął, pan Dowse oświadczył pannie Main swoje zupełne zadowolenie. Dodał, że ma nadzieję, iż ona także znajduje znośném swe położenie, a nawet napomknął, że w razie gdyby życzyła jakiéj zmiany co do godzin swych zajęć, lub innych szczegółów tego rodzaju, gotów byłby uwzględnić jéj żądanie. Co prawda, zajęcia Violetty nie były wcale uciążliwe: każdy bowiem przedmiot w zakładzie opatrzony był numerem, do którego odwoławszy się w księdze zawierającéj cennik ogólny, pewna być mogła że się niepomyli w zapisywaniu zapłaty odbieranéj od kupujących. Ładne miała biórko, wyłącznie dla siebie przeznaczone i ustawione w głębi kantoru, tak że mogła widzieć osoby przechodzące dla rozmówienia się z panem Dowsem, lub z jego synem, nie zwracając na siebie ich uwagi. Ze swéj strony, właściciel zakładu rad był z pozyskania osoby, która, oprócz tego

że pięknie pisała, umiała wyrazić się dobrze po włosku i znała wybornie francuską ortografią. Zarówno on jak i jego syn weszli wkrótce w bardzo przyjaźny z nią stosunek i nieznacznie nazwyczaili się do zasięgania u niéj porady, co do kolorów obić lub materyj meblowych i w tym podobnych rzeczach; tak iż przyszło niebawem do tego, że w pewnym zakresie interesu, nie obchodzono się wcale bez jéj zdania. Pewnego nawet razu, Dowse ojciec tak przyjemnie został zdziwiony jakąś uwagą przez nią uczynioną, iż rzekł do niéj:

— Muszę wyznać, panno Main, że wydajesz mi się osobą gruntownie obznajmioną z bardzo wielu rzeczami.

Młoda dziewczyna spuściła wzrok ku ziemi.

— Przebyłam czas jakiś, rzekła nieśmiało w domu przyjaciół, ludzi bardzo światłych, których rozmów słuchałam z korzyścią dla siebie.

— Odniosłaś jéj też pani niemało, odpowiedział uprzejmie.

W ogóle jednak, życie jakie wiodła Violetta było trochę nurzące jednostajnością swoją, ale znosiła je cierpliwie, a nawet Bogu wdzięczném sercem dziękowała za to, że ją twardszą dolą nie dotknął. Gdy wieczorem zmęczoną się już czuła czytaniem w swéj samotnéj izdebce, zwykła była światło gasić i zasiadać przy oknie. Wzrok jéj błąkał się po ulicy, gdzie rzadko już tylko pojawiał się jaki przechodzień, po gazowych latarniach i po iskrzących się oknach pobliskiéj cukierni, ale mało co z tego wszystkiego widziała. Niby senne widziadła przed jéj oczami stawały w takich chwilach, i zamiast wysokich kamienic przeciwległych miała przed sobą cudowny krajobraz nadmorski, księżycowém światłem oblany. Poznawała znajome sobie góry, a w zatokach zdawało sie jéj słyszéć wyraźnie plusk fal uderzających o brzegi.

Wtedy myślała o utraconych przyjaciołach swoich i o tym, który więcéj był daleko dla niéj niżli przyjacielem. Zdawałoby się, że obecnie zerwawszy wszelkie węzły łączące ją z przeszłością i żyjąc w całkiem nowém otoczeniu, Violetta uledz musi tym świeższym wrażeniom i że przez to samo osłabnie w niéj siła dawnych wspomnień. Ale nic podobnego nie miało tu miejsca. Niewidzialne te wpływy rządziły nią; cała jéj istota była niemi przejęta. Miłość jéj dla tego człowieka przybierała postać czci bałwochwalczéj dla wszystkiego, czego jéj uczył, dla każdego zdania, jakie słyszała kiedyś od niego. Więcéj niż kiedykolwiek czuła dziś w nim mistrza swego, czuła, że życie swe duchowe jemu zawdzięcza, że oczami jego wszystko widzi, teraz nawet w tym świecie, tyle już dla niéj obojętnym. W podziw ją zawsze dawniéj wprawiało to

żajęcie, jakie każdy przedmiot obudzał w owym badaczu ludzi i obyczajów, chętnie zwracającego gdziekolwiek bądź swe kroki, bo miał pewność, że wszędzie coś pouczającego lub zajmującego napotka. Niepodobna jéj teraz było w sobie obudzić owego bystrego i nieustannego zaciekawienia, albowiem świat dziwnie stał się martwym dla niéj; w każdym razie jednak nad wrażeniami jéj tak jeszcze silnie panowały wpływy tego człowieka, jak gdyby był ciągle przy niéj obecny. Pewnéj nocy, strudzona wpatrywaniem się w opustoszałe ulice zapaliła na nowo światło u siebie i wyjęła z kieszeni pugilaresik, służący jéj do zapisywania notatek. Chciała próbować przypomnieć sobie i spisać wszystko, co jéj powiadał różnemi czasy owe zdania i uwagi jakie mu się wypadkowo nastręczały, podczas wędrówek jego myśli wśród mnóstwa rozlicznych przedmiotów; to miało być jedyną po nim pamiątką, jaką pragnęła módz zabrać z sobą, gdy opuści Anglią na zawsze.

Ale jakbądź pamięć jéj wiernie przechować umiała niejeden ustęp z owych monologów, w których każda myśl jego tak szczerze się wyrażała, jakże te same słowa dziś się inaczéj wydawały, gdy je tu kreślić poczęła, jak chłodną i sztywną miały postać, pozbawione życia jakie im nadawało rozjaśnione i bystre wejrzenie tych oczu, dzwięk tego głosu tak bogatego w odcienia, tak wiernie oddającego wszystkie wrażenia duszy! Były to jakby zeschłe liście, postrząsane z drzewa żyjącego; patrząc na nie, trudno było uwierzyć, że te nędzne i powiędłe szczątki jaśniały kiedyś zielenią przy świetle słoneczném.

Przewracając kartki téj książeczki, Violetta doszła do kawałka drukowanego papiéru, pomiędzy nie włożonego i zdającego się być wycinkiem z jakiejś gazety. Był to ustęp opisujący „Smutne zdarzenie w Highlandach“; donoszono tam jako młoda osoba będącą córką Sir Aktona North, znanego przedsiębiercy kolejowego, bawiąc czasowo w Highlandach u swych przyjaciół i wybrawszy się pewnego poranku na miejsce, gdzie zwykle używała morskiéj kąpieli, nie powróciła ztamtąd więcéj; zkąd przypuszczano, że upadłszy, zsunęła się po stroméj pochyłości do morza i tam utonęła. Znaleziono bowiem torebkę, którą z sobą miała na krawędzi skały; kapelusz zaś jéj pływający na falach, złowili rybacy przy brzegu, o jaką milę daléj.

— I ani słowa przychylnéj wzmianki o mnie!—powiadała sobie patrząc na ów zużyty już kawałek papieru.—Przecięż, zaraz po śmierci, każdy sie może spodziewać od ludzi pochwały, a ci tutaj nie wspominają nawet o wyjątkowéj łagodności mojéj, którą prze-

cięż znajomi moi i bliscy—głównie zaś Lady North—uznawali ogólnie dopóki byłam przy życiu. Ale może też kiedy napiszą coś jeszcze o mnie, a wtedy, ma się rozumieć, że mię stawić będą za wzór grzecznym dzieciom i pensyonarkom.

Odrzuciła na bok swoję książeczkę; w oczach miała wyraz zmęczenia i smutku, będący w sprzeczności z konceptami na które się siliła. Położywszy obie ręce na stole, wsparła na nich głowę, i zdawalo się że ją sen zmorzył! Tym to sposobem dawała ona duchowi swemu wymykać się od czasu do czasu ze swego więzienia; już wtedy nie było jéj w Londynie; myślą przebywała na wyspie Ornsay, wśród słonecznego dnia letniego, otoczona błękitnemi falami, owiana wonnemi powiewami od gór zalatującemi. I dni tam niegdyś przebyte powracały dla niéj, ze wszystkiemi swemi szczegółami, a najdrobniejszy z pomiędzy nich odtwarzał się najdokładniéj; bo cóż tam nie miało znaczenia? co nie było cząstką jednego, ogromnego szczęścia, na które każda chwila tych dni czarownych się składała? Ale dosyć już tego! Violetta podnosi się z miejsca; wokoło niéj samotność ubogiego pokoju, który sobie najęła; rozgląda się po nim oczami tak zamglonemi od łez, że nie jest pewna czy się całkiem rozwiało jéj rajskie widzenie.

ROZDZIAŁ XI.

Pobyt na wsi.

Rodzina Dowse mieszkała w willi podmiejskiéj, koło Wombley-Flat, i co wieczór dwaj kierownicy firmy przybywali tam na obiad, we właściwéj godzinie. Był to obszerny pałacyk nieodznaczający się stylem budowy, ale natomiast urządzony nadzwyczaj wygodnie, z werendami zdobiącemi go na zewnątrz i z cieplarnią, oraz z wielu szklanemi drzwiami, wychodzącemi na ogród starannie utrzymywany i dającemi obfitość światła i powietrza pokojom, w których znaleść można było to wszystko, czém ludzie dostatni uprzyjemnić sobie mogą swe pomieszkanie.

Pewnego piątku, ojciec, matka i syn znajdowali się zebrani jak zwykle przy obiedzie. Pani Dowse, niegdyś zwinna i powabna aktoreczka komiczna, którą mąż odebrał scenie, dając jéj swe nazwisko, była obecnie poważną osobą już niemłodą, z bladą twarzą, miłego wyrazu, i srebrzystemi włosami, która bardzo sobie cenila smaczne śniadanie południowe, z wyborowém do niego pi-

wem, a wieczorem lubiła nosić okazałe brosze i kolczyki. Syn jéj, tak samo jak ona był blady; włosy swe płowe rozczesywał na dwie strony i na skronie je sobie nagarniał. W interesie zakładu miał wydział obmyślania doboru barw w urządzaniu pokojów; wkładał w to uroczystą zarozumiałość, którą hamowały wprawdzie nieraz przenikliwe spojrzenia i żartobliwe koncepta jego ojca. Zkądinąd jednak, starszy firmowy umiał oceniać korzyść jaką przynosiło zakładowi owe poważne badanie tajemnic dobrego smaku, które własną wiarę udzielało kupującym, dla tego w obec ludzi, słuchał wyroków wygłaszanych przez syna z wielkiém uznaniem i z chęcią mu pozostawiał zadanie zużytkowywania w urządzeniu pomieszkań powierzonych jego pomysłowości, materyałów, jakich mu dostarczał obficie i w jak najlepszym gatunku.

— Matko odezwał się Edward Dowse owego wieczoru, rozmawiałem dziś z naszym sąsiadem, panem Roberts, o téj młodéj osobie, którą mamy w naszym zakładzie od pewnego czasu.

— O pannie Main?

— Tak jest; o niéj właśnie. Otóż dziwnie tajemnicza zdaje się to być istota, według tego com od niego usłyszał. Bratowa powiedziała mu, że ta młoda dziewczyna prowadzi żywot pustelnicy; wraca prosto od nas do domu każdego wieczoru, nie bywa u nikogo, a u siebie czas spędza na czytaniu lub pisaniu. W niedzielę z rana, kiedy każdy jest na nabożeństwie, ona się wybiéra na przechadzkę do Regents-Parku; po południu zaś, gdy wszyscy w domu siedzą, lub są na ulicy, ona idzie się modlić do kościoła. Wesołe to życie, wszak prawda?

— Cóż w tém jest za tajemnica, jak ci się zdaje Teddy? spytała pani Dowse, w któréj mowie był lekki odcień, zdradzający irlandskie pochodzenie.

— Pan Roberts nic mi nie umiał więcéj powiedziéć. Pokazuje się, że wcale nie znał téj młodéj osoby, zanim weszła do naszego domu. Czy wiedziałeś o tém, ojcze?

Starszy Dowse zawsze był usposobiony do zapatrywania się na każdą rzecz w sposób jaknajbardziéj zadawalniający; teraz zaś, po dobrym obiedzie, mniéj niż kiedykolwiek miał ochoty, wysilać sobie umysł nad zapełnianiem braków mogących istniéć w biegu dziejów panny Main.

— Nic nie wiedziałem, odpowiedział. Przypuszczałem, że musi to być jakaś znajoma Robertsa. Ale cóż mię to z resztą może obchodzić? Po owocach sądzę o drzewie. Panna Main wybornie odpowiada temu, czego od niéj żądamy.

— Nie o tém wcale chciałém mówić, odparł młody Dowse; na bladą twarz którego wystąpił teraz słaby rumieniec, wywołany myślą, że mógł słowami swemi wywołać niekorzystne dla panny Main przypuszczenia. Wcale co innego miałem na celu. Zastanawiałem się nad smutném życiem, jakie wiedzie ta młoda osoba. Wyraźnie nie ma ona w Londynie zadnego bliższego znajomego.

— Więc cóż tedy? rzekł na to jego ojciec, z widoczném roztargnieniem, spowodowaném myślą o dobrém cygarze jakie sobie zapali przeszedłszy do saloniku, gdzie mu żona zaśpiewa jaką starą pieśń Irlandską,

— Czy nie dobrze by to było, matko, żebyś się jutro rano wybrała do miasta i namówiła pannę Main, żeby tu z tobą przyjechała i zabawiła z nami do poniedziałku? Będzie to prawdziwie miłosierny uczynek; a z innéj strony, zapewnić cię mogę, że ta młoda osoba z obejścia całkiem wygląda na kobietę z wyższego świata.

— Zrobię to z chęcią, Teddy, skoro takie jest twoje życzenie, odpowiedziała mu matka, oglądając się zarazem na męża, jak gdyby go pytała o zdanie.

Stary Dowse z usposobienia żartobliwy; zwykł był najczęściéj swe koncepta zachowywać dla siebie, nie dzieląc się niemi z żoną ani z synem, którzy oboje mało mieli w sobie wesołości; tym razem jednak skusiła go chęć podrażnienia się z niemi, chociaż nic nie miał przeciw ich żądaniu.

— Wytłómacz się jasno, Teddy, rzekł, co do téj młodéj dziewczyny. Nie sprzeciwiam się wcale temu, aby miała parę dni wakacyi, na które, co prawda, dobrze zasłużyła. Ale koniec końcem o cóż ci tu chodzi w istocie? Czy nie masz czasem zamiaru wprowadzić do firmy Dowse i syn, dodatku: z synową?

— Do czegóż przydać się może wkładanie podobnych niedorzeczności w głowę tego chłopaka? ofuknęła go pani Dowse, uśmiechając się jednak; widywała bowiem nieraz piękną pannę sklepową i nie bardzo dziwném jéj było, że się może roić po głowie jéj synowi taka ładna żona.

Młodzieniec zaś, jakbądź mocno zaczerwieniony, udał iż wiele śmieszném znajduje to przypuszczenie.

— Nie warto nawet o tém mówić, rzekł; a zresztą panna Main już jest zaręczona z jakimś Szkotem, wiem to prawie napewno.

— Jakimże sposobem dowiedziałeś się o tém? spytała go matka.

— Najprostszym w świecie, odpowiedział, niemało zadowolony ze swéj przenikliwości. Często bardzo przytacza ona zdania jakichśtam przyjaciół swoich; łatwo zaś domyśléć się, że są to zdania mężczyzny, gdyż w sądzie kobiety nie pokładałaby inna kobieta tyle zaufania. Że zaś panna Main nie ma znajomych w Londynie, prosty ztąd wniosek, że ów przyjaciel musi być Szkotem.

— Ale zkądże wiesz, że jest z nim słowem związana?

— Zkąd? alboż podobna przypuścić, że tak piękna dziewczyna nie ma kochanka? Rzecz to nie możliwa, wierzaj mi matko.

Istotny cel młodego Dowsa; w owém żądaniu ku któremu przychylili się bez trudności jego rodzice, nie ograniczał się jednak ściśle na życzliwéj chęci urozmaicenia cokolwiek jednostajnego życia panny Main, jakbądź i ta miała w tém niejaki udział. Ale wiedzieć trzeba, iż pewne nieokreślone żądze wywyższenia się i rozgłosu wałęsały się po głowie tego młodzieńca; zewnętrznym tylko jego zawodem, były badania tajemniczych harmonii barw i oświetlenia. Niekiedy, marzyło mu się że mógłby zostać znakomitym malarzem; czasami znowu, jakaś żyłka poetycznego uczucia, mieszczącego się w nim niezaprzeczenie, nęciła go do układania sonetów, lub lirycznych urywków, umiarkowanéj dosyć wartości. Pragnienia te jednak nie przybiérały w nim nigdy rozmiarów i wyraźnych kształtów namiętności; przeszkadzała temu może krytyczna ocena na jaką umiał się zdobyć względem własnéj istoty; prawdopodobnie, porównywając siebie z drugimi, za słabym się czuł do rozpoczęcia śmiało utworu samoistnego i do pracowania nad nim wytrwale, wzrok mając ciągle w jeden cel utkwiony. Bądź co bądź, zachcianki te błąkały się bez wyraźnie wytkniętéj drogi w umyśle, który nęciła nadto wielka liczba połowicznych upodobań. Teraz zaś, im się bardzióGj rozpatrywał Edward Dowse w téj młodéj dziewczynie, tém go bardziéj wabiło ku niéj przypuszczenie, że za jéj sprawą mogą się skupić rozpierzchłe pryzmata jego wyobraźni. Zdawało mu się, że sił w sobie czuje więcéj, gdy na nią patrzy; było w niéj coś szlachetnie nieustraszonego, co zdolném było męski duch natchnąć bojowym i patryotycznym poematem. Przytém, otaczała jej losy tajemnica jakaś tragiczna może, a w każdym razie niezwykła, któréj wykrycie pożądaném mu było wśród tuzinkowości życia powszedniego. Nie pragnął pokochać się w téj kobiecie, ale siła jakaś ciągnęła go ku niéj i czuł się coraz bardziéj zaciekawiony tém co się kryć mogło po za jéj wyniosłém zamknięciem się w sobie.

Z niemałą trudnością przyszło pani Dowse namówić Violettę do owéj zamiejskiéj wycieczki, Ale nie nadarmo wybrała

się była po nią ta poważna osoba do Londynu. Nie wiedząc już jak się bronić jéj naleganiom, panna Main dała w końcu za powód swéj odmowy, że nie ma torby podróżnej, to jednak więcéj zaszkodziło jéj sprawie niż ją poprawiło; gdyż niebawem dostarczony jéj został przez Edwarda elegancki kuferek i zanim się mogła opatrzéć, już jechała z panią Dowse do swego mieszkania dla zabrania z niego rzeczy potrzebnych na tę krótką wyprawę. Okazywano jéj tyle życzliwości, że nie widziała już sposobu odpowiadania na te dobre chęci oporem, co najmniéj, niegrzecznym.

Jeśli jednak ci nowi jéj przyjaciele już przedtém przeczuwali w niéj coś tajemniczego, domysły te nie zostały osłabione większém z nią zbliżeniem. Dziwnie zdawała się obznajomiona ze zwyczajami życia, które pozostawało całkiem po za zakresem pojęć zwyczajnéj panny sklepowéj. Zrazu rozmiawiała jednak bardzo mało w wagonie, towarzysze jéj rozumiéć nie mogli, dla czego była taka smutna i milcząca, mając przed sobą parę dni przyjemnego wypoczynku.

Po raz to pierwszy była na wsi, odkąd Highlandów cudne krajobrazy zeszły jéj z oczu; po raz pierwszy wymykała się na chwilę z więziennych murów stolicy. A jednak, to wszystko na co teraz patrzała dziwném jakoś jéj się wydawało, jakby świat zewnętrzny przeistoczył się był, odkąd po raz ostatni oglądała błękitne niebo i łąki zielone. Wprawdzie i teraz niebo było rozpogodzone, gdy wyjeżdżali z Londynu; słońce jasno świéciło po nad polami i drzewami; ale zieloność wilgotno jakoś wyglądała, chłodem zimy przejęta. Minąwszy Ealing i Hanwell, pociąg przebywał przestrzenie zasadzone owocowemi drzewami; gałęzie ich, z liści ogołocone, czarne były i jakby martwe. Daléj jednak krajobraz weselszym się stawał, napotykane przy drodze dęby zachowały liście, tylko że miały one teraz barwę ciemno brunatną; odbijały od nich wiązy złotem jesieni przystrojone i jodeł ciemna zieloność; jeszcze daléj znaleźli się już całkiem na wsi; pociąg mijał kolejno, to pola świéżo zorane, to znowu łany zieleniejące świéżo wschodzącém zbożem, lub łąki na których widać było tu i owdzie stada owiec. Chociaż to był Listopad, powietrze miało łagodność prawie wiosenną i chmur nie było na niebie; — czyż więc tylko wyobraźnia jéj widziała świat tyle zmienionym od paru miesięcy?

Na stacyi w Windsorze, czekał na nich odkryty powóz zaprzężony dwoma ładnemi siwemi końmi; pani Dowse zasiadła na koźle i wzięła cugle w ręce; obok niéj zajęła miejsce Violetta, a dwaj mężczyzni pomieścili się z tyłu. Powóz ruszył szybko

przez miasto, i dalej mostem ku staroświeckim ulicom Etonu. Violetta raźniejszą się teraz uczuła. Powietrze dziwnie wonném jéj się tu zdawało, a przytém niezmiernie lubiła powozić.

— Jak uważam, rzekła do swéj towarzyszki, z wyrazem twarzy swobodnym, jakiego zwykle nie miewała, jeden z tych koni żywiéj daleko ciągnie od drugiego. Należałoby na to zwrócić uwagę; tym sposobem u mojego ojca bardzo piękny koń powozowy zniszczył się w krótkim czasie.

Powiedziała to, nie zastanowiwszy się; ale znaczenie tych słów nie uszło uwagi pani Dowse. Więc ojciec téj panienki miał powóz i piękne konie.

Gdy dojechali na miejsce, a Violetta już odeszła do pokoju, który jéj przeznaczono, pani Dowse nie omieszkała powtórzyć mężowi swemu i synowi owego urywku z rozmowy jaką miała z ich panną sklepową. Ale stary Dowse nie podzielał wcale przypuszczeń swéj żony.

— Bez sensu pleciesz, moja Florciu, rzekł. Jéj ojciec mógł być stangretem, który się postarał o dobre wychowanie dla córki. Nierzadko w Szkocyi napotkać wykształcenie w najuboższych warstwach społecznych.

— Ależ ona nie jest Szkotką.

— Niechże i tak będzie. Z pewnością, jéj ojciec był księciem; już na tém stanęło. Czy nie będziemy jéj może tytułowali Lady Violettą?

— Co do mnie, odezwał się Edward Dowse, nie zdziwiłbym się wcale gdyby mi powiedziano, że się wcale nie nazywa panną Main.

— Cóż to więc znaczy? rzekł z żywością jego ojciec. Czy chcesz przez to powiedzieć, żeśmy sobie do domu przywieźli jakąś podejrzaną osobę, która nam tu naprowadzić może w nocy złodziei, co nas okradną a może i pomordują? Ślicznie nas wykierowałaś twoją litością dobroduszną.

Pan Edward Dowse nie rad był, aby sobie ktokolwiek z niego żartował; otworzył tedy szklanne drzwi salonu i wyszedł przejść się.

Gdy wróciła po chwili Violetta, pani Dowse zabrała ją z sobą dla pokazania jéj ogrodu i oprowadzenia jéj po całéj posiadłości. Tu także okazała panna Main niemały zasób wiadomości, jakich trudno było spodziewać się po niéj. Znała najrzadsze kwiaty w cieplarniach i wiedziała jak mają być pielęgnowane; zapytywała także swych towarzyszy czy słyszeli o nowéj roślinie z Jawy sprowadzonéj, którą posiada jeden tylko handel kwiatowy, sprze-

dający ją po trzydzieści funtów za sztukę? Doszli tego wszelako, że oczywiście nie chowała się na wsi. Nie znała się wcale na gołębiach, ani też na gatunkach drobiu. Także hodowla winogradu była jéj całkiem obcą, równie jak i wszystko co dotyczyło warzywnego ogrodu. Niemniéj jednak, i to także żywo ją zajmowało; popołudniowe godziny bardzo im wszystkim zeszły przyjemnie, i dopiero za nadchodzącym zmrokiem chłód im przypomniał, że czas powracać do domu i ubierać się na obiad.

Im więcéj poznawał Edward Dowse tę młodą dziewczynę, tém go ona żywiéj sobą zaciekawiała. Siedząc naprzeciw niéj przy obiedzie, śledzić mógł na jéj twarzy wrażenie wszystkiego co słyszała. Z razu, zdawała się cokolwiek zmięszana; ale to wkrótce przeminęło i teraz rozmawiała swobodnie a nawet wesoło, mimowoli podniecona wpływem rozrywki umysłowéj, któréj była długo pozbawioną. Każde zaś jéj odezwanie się stanowiło dla niego pewien rodzaj odkrycia, i obmyślał sobie według owych danych dzieje téj zagadkowéj istoty.

Studya te, a raczéj rojenia, przerwane zostały dla Edwarda Dowse dziwném, aczkolwiek drobném zdarzeniem. Mówiąc o pewnym znajomym sobie artyście, wspomniał wypadkowo o klubie Judoeum. Violetta podniosła natychmiast oczy i żywo spytała:

— Czy panu.... znany jest ten klub?

— Jestem jego członkiem, odpowiedział.

Usłyszawszy to, milczała przez czas jakiś; ale on nie zapomniał nigdy jak żywy wyraz niepokoju —że nie powiemy trwogi— miała chwilowo na twarzy, czyniąc to zapytanie. Niewątpliwém było, że znała kogoś należącego do tego klubu, i także że ten ktoś był w związku jakimś z dziejami jéj przeszłości. Tu nastręczało się młodzieńcowi pole do najrozmaitszych domysłów.

Ale nagłe przerażenie, jakiém została przejęta Violetta, dowiadując się że młody Dowse należy do tego samego klubu co i Miller, nie odebrało jéj wszelako poprzedniego ożywienia w dalszym ciągu tego wieczoru. Upłynął on dla niéj wcale przyjemnie, jakbądź chwilami przypominał inne, których pamięci lepiéj było teraz nie wywoływać z przeszłości. Wesoły ogień płonął w saloniku o białém obiciu ze złotem i dymu tam także cygarowego nie brakło. Pani Dowse zaśpiéwała kilka starych pieśni irlandzkich, słabym i zużytym głosem, którego braki wynadgradzała jednak do tyla wyborna metoda, że słuchać jéj można było z prawdziwą przyjemnością. Potém na żądanie jéj, syn także dał się słyszeć. Były to rzewne pieśni, dosyć mdłe co prawda, o różach i o księżycu, które, nie bez słuszności może, wydawały się Viole-

cie być jego własnego utworu. Mało ją zachwycały tego rodzaju rzeczy; chowała się bowiem wśród wpływów do całkiem innych wrażeń usposabiających. Gdy pani Dowse uczyniła jéj uwagę, że na nią teraz przyszła koléj zasiąść do fortepianu, nie dała się prosić ani chwili, a gdy brała pierwsze akorda, przebiegał po jéj twarzy uśmiech złośliwy.

Jakbądź Violetta miała wcale niekorzystne zdanie o swoim śpiéwie i, skutkiem tego, byłaby w każdym innym razie odmówiła popisywania się z nim, obecnie jednak opanowała ją psotna zachcianka dania wybitnego przeciwstawienia owym omdlewającym kwileniom, które uważała za nędzny wytwór francuskiego sentymentalizmu. Owiana jeszcze rzeźwemi górskiemi powiewami, znieść nie mogła téj sztucznéj atmosfery cieplarniowéj. Z werwą tedy trochę ironiczną, zaśpiewała starą pieśń szkocką na wpół miłosną, na wpół wojenną, osnutą na tle rycerskich czasów średniowiecznych. Po pierwszych jéj zwrotkach, Edward Dowse począł przeczuwać, że piękna śpiewaczka w duchu sobie żartuje z jego tęsknot nieokreślonych i z jego westchnień do księżyca; a zanim wstała od fortepianu, domysły te w pewność już przeszły, wcale dla niego nie miłą. Podczas gdy pani Dowse dziękowała Violecie za przyjemność jaką sprawiła swym słuchaczom, syn jéj zabiérał się do zaczepnego wystąpienia przeciw literaturze i muzyce szkockiego pochodzenia; już właśnie rozpoczynał nawet szermierkę na tém polu, gdy ją na szczęście przerwało wejście służącéj, przynoszącéj dla każdego lichtarzyk ze świécą, co było hasłem do rozejścia się na nocny spoczynek.

Edward Dowse odszedł więc także do siebie, jak i drudzy, ale sam się znalazłszy, myśléć nie przestał o tém, co go przed chwilą spotkało. Uczucie urazy początkowo w nim zbudzone uciszało się coraz bardziéj, a raczéj przeistaczało się w inne wrażenia. Czuł, że ta kobiéta posiada siłę rozniecenia żywszego płomienia w jego duchu, dotąd czczemi marzeniami zamglonym; i teraz przypominając sobie tę pieśń bohatérską z takim zapałem przez nią wypowiedzianą, zapytywał siebie czy on także nie byłby zdolnym wysnuć z siebie czegoś, coby miało moc zagrzewać serca żądzą chwały, na podobieństwo odgłosu trąby wojennéj. I w myśli jego wytwarzać się poczęły zarysy poematu, którego pewne ustępy kształtowały się już nawet w rymy. Wychylił szklankę wina, przyrządzanego zawsze w jego pokoju, by się mógł pokrzepiać przy nocnéj pracy, i zasiadł do pisania, pewniejszy siebie niż kiedykolwiek.

Ale chwilowe to podniecenie zbyt się mało godziło z naturą młodzieńca, aby wpływ jego mógł w nim wywołać trwalsze siły. Zrazu, wiersze wymykały się z pod jego pióra, z gorączkowym kreślone pośpiechem; ale po pewnym czasie, pióro to coraz się częściéj poczęło zatrzymywać w swym biegu; i gdy po kilkogodzinném czuwaniu, zapełnioném naprzemian pisaniem i przechadzaniem się po pokoju wśród twórczych rozmyślań, Edward zabrał się wreszcie do odczytania wstępu swojego utworu, znalazł w nim tak mało tego bohatérskiego nastroju, który zdawało mu się w sobie uczuwać, że nie wiele myśląc, rzucił arkusz w ogień, wraz z rozpoczętém cygarem; sam zaś spać się położył, i tym sposobem świat pozbawiony został może wspaniałego jakiegoś poematu.

ROZDZIAŁ XII.

Spotkanie.

Następnego poranku, Violetta weszła w oznaczonéj na śniadanie godzinie do ładnego jadalnego pokoju, którego urządzenie tém się korzystniéj przy świetle dzienném wydawało. Słońce świeciło wesoło w dużych oknach, dających widok na zieloną murawę i na złotawo żółte liście dębów ogrodu. W kominku, płonął ogień wesoły; na stole, zasłanym obrazem śnieżnéj białości, przyrządzone było dostatnie a nawet wytworne śniadanie;— jakże we wszystkiém odmienny był ten niedzielny poranek, od życia Violetty w Londynie.

Gdy o tém pomyślała, uczucie trwogi ją przejęło. Żałowała że ją los zbliżył z temi ludźmi, tak dla niéj przychylnymi. Wolałaby była nie zakosztować tego miłego życia domowego, przed opuszczeniem Anglii nazawsze. Świat tyle stał się dziś dla niéj posępnym, że niczego więcéj nie pragnęła, jak usunąć się z niego najzupełniéj; na cóż jéj więc było zawiązywać nowe stosunki, po to aby się z niemi z pewnym żalem wkrótce rozstawać? Lepiéj o wiele przystawało do jéj usposobienia samotne mieszkanko, w którém wieczory spędzała w Londynie.

Pani Dowse wkrótce téż nadeszła, bardzo wystrojona, i tłómaczyć się poczęła Violecie ze swego opóźnienia, różnemi żartobliwemi konceptami, dotyczącemi chęci jaką miała — niby młoda jaka mężatka — dogodzenia upodobaniu swego Roberta, lubiącego

widziéć ją od rana starannie ubraną. Tyle poczciwéj myśli przebijało w tém co mówiła, że brosza jéj ogromna i złoty łańcuch przestały wydawać się śmiesznemi Violecie.

Przy śniadaniu, panna Main nie okazywała wiele chęci wybrania się zresztą towarzystwa na nabożeńswo do miasteczka, ale zmieniła od razu swe usposobienie, skoro Edward Dowse, który, nawiasem mówiąc, wyglądał jakiś blady i zmęczony tego poranku, wspomniał o pobliskim wiejskim kościołku, dokądby można powozem się dostać. Że zaś ten ostatni już był gotów jego staraniem, niebawem wybrano się na tę wycieczkę.

— Czyż będziesz pani nosiła woalkę nawet na wsi przy kapeluszu? spytała pani Dowse swéj towarzyszki.

— O ile mi się zdaje, nie ma w tém nic niezwyczajnego, odpowiedziała Violetta.

Skromny był w istocie i bardzo stary, ów kościół ustronny, do którego przybyli po półgodzinnéj prawie jeździe. Na zewnątrz czepiały się jego ścian bujnie rosnące bluszcze; wnętrze zaś, nieco zaciemnione i wilgocią przejęte, miłe jednak wrażenie spokoju dawało. Po ławkach, widać było dosyć nabożnych, po większéj części wieśniaków starych i przygarbionych. Pastor, człowiek twarzy rumianéj, tchnącéj dobrodusznością, czytał modlitwy głosem, którego jednostajne dźwięki posępnie się wśród ciszy rozlegały.

Ale Violetta z roztargnieniem słuchała nabożeństwa, albowiem duszę jéj napełniał smutek dotkliwy. Zdawało się jéj, że ten stary wiejski kościołek, jest cząstką owéj „dawnéj“ Anglii, tyle drogiéj jéj sercu, którą ma wkrótce pożegnać. Pożegnać Londyn było jéj niczém. Ale gdzież ona znajdzie w téj dalekiéj krainie do któréj się wybiera, staroświecki taki kościołek i ten ludek prostaczy i takiego pastora? Wszystko to stanowiło cząstkę obrazu, do którego nawykły jéj oczy od lat dziecinnych; każdy tam szczegół, każdy niemal człowiek, zdawał się znajomy. Czyż nie znane jéj były twarze tych rumianych dziewcząt, co tam stały na chórze, i te ciężkie ławki dębowe i te bluszcze zdobiące zewnętrzną postać owego ubogiego domu modlitwy? Nieraz w Londynie, bywając po wspaniałych kościołach, podziwiała piękność ich budowy; z zachwytem słuchała tam pięknéj muzyki, kazań zaś, z uwagą i z przejęciem. Ale ani razu tam nie pomyślała z żalem, że ma rozstać się z tém wszystkiém. Tutaj, chociaż, słów pastora prawie nie słyszała, całkiem w myślach swych zatopiona, czuła, że gdy daleko gdzieś będzie od rodzinnéj ziemi, zabierze tam z sobą wspomnienie tego jéj zakątka, jako czegoś wielce drogiego, co po za nią zostało i zwróconém jéj nie będzie,

w żadnéj innéj świata krainie. Coraz więcéj żałowała teraz, że się dała skusić do porzucenia, choćby na dzień jeden, odrętwiałego trybu życia jaki wiodła w Londynie.

Inny jeszcze wzgląd sprawiał, że pragnęła powrócić jak najprędzéj do swéj kryjówki. Któż mógł zaręczyć, że w tém obcém miejscu znajdując się i wśród obcych ludzi, nie napotka lada chwila kogokolwiek ze znajomych swojego ojca? W Londynie zaś, czuła się zabezpieczoną od tego, a nawet doświadczała pewnego wrażenia swobody w tém życiu, które uważała jako najlepiéj zastosowane do swych dalszych widoków. Nawykła już była do tego półcieniu, w którym przebywała nieprzerwanie. Za gęstą swoją zasłoną, nie lękała się niczyjego wzroku, gdy bocznemi uliczkami powracała na Oxford-Street, a raz dostawszy się do swego pokoiku, wiedziała, że nikt jéj tam odszukać nie potrafi.

Ale tu, przejeżdżając się odkrytym powozem i koleją podróżując, czyż nie mogła lękać się wszystkiego? Doznała już niemałego niepokoju, dowiedziawszy się, że Edward Dowse należał do klubu Judaeum. Wprawdzie, przypuszczać było wolno, że członkowie stowarzyszenia, liczącego ze sto kilkadziesiąt osób, nie mogą znać się wszyscy z sobą; wszelako pozostawało niepewném, ażali młody Dowse nie ma jakich stosunków z Millerem. W razie zaś gdyby tak było, na nic mogło pójść od razu wszystko to, co dotąd zrobiła Violetta. Dopóki pozostawała w Londynie, rozmowy jéj z Dowsem i jego synem dotykały wyłącznie interesów zakładu; nie byłoby tam nigdy przyszło do głowy Edwardowi wspomnieć przed nią o klubie do którego należał, a także w jéj sprawy nie miał żadnego powodu się wdawać, choćby go nawet do tego skłaniała życzliwość. Byli sobie nawzajem całkiem obcymi i nic ich zbliżyć nie mogło. Tu zaś, położenie zmieniało się cokolwiek; a ponieważ Violetta domyślała się wybornie, że Dowsowie podejrzywają w niéj osobę innego w przeszłości stanowiska, niż to które obecnie zajmuje, czuła się coraz więcéj zatrwożona następstwami przyjaznego zajęcia, jakie w nich obudziły jéj losy.

Uważała także, nie bez przykrego zaniepokojenia, że Edward Dowse w rozmowie z nią z umysłu wyraźnie brał nieraz za przedmiot klub Judaeum. Przy śniadaniu naprzykład, gdy o nim wspomniał, wiedziała, że śledził jéj twarz bardzo bacznie, podczas gdy wymieniając kilku z pomiędzy jego członków po nazwisku, opowiadał rozmaite dotyczące ich szczegóły. Dręczyć ją poczęła obawa, że zauważał jéj pomięszanie poprzedniego wieczoru, wtedy gdy po raz pierwszy wspomniał o tym nieszczęsnym klubie,—

i że teraz próbuje dojść za pomocą tego samego sposobu, kto w nim jest jéj znajomy. Przypuszczenie to bynajmniéj mylném nie było.

Tajemnica, otaczająca tę młodą dziewczynę, pociągała ku niéj Edwarda siłą czaru jakiegoś; być może, iż zajęcie jakie w nim obudzała Violetta wyobraźnią jego tylko nęciło, powabem możliwości dramatu, któryby dał podnietę poetycznym jego popędom; bądź co bądź, stałe miał postanowienie dojścia, jeśli tylko potrafi, kim jest w istocie ta zagadkowa istota. Sposób w jaki brał się do tego, aczkolwiek nie bardzo przebiegły, zdawał mu się w tym razie dobrze obmyślonym; i pewien był, że jeśli tylko trafi wypadkowo na właściwe nazwisko, Violetta mimowolnie będzie musiała się zdradzić.

Jakbądź wszelako, powracał kilkakrotnie w ciągu dnia do tego przedmiotu rozmowy, tyle ztąd tylko odniósł korzyści, iż mógł się przekonać, że Violetta starannie usiłowała odwracać od niego rozmowę. Ale niczego się więcéj nie dowiedział, traf bowiem nieszczęśliwy sprawił, że wśród mnóstwa nazwisk które przytaczał, wplatając je w różne klubowe opowiadania, ani razu nie wspomniał o Jerzym Millerze. Gdy z końcem wieczoru znalazł się znowu sam w swym pokoju, przyznać się musiał przed sobą do przegranéj; osłona ukrywająca przed nim przeszłość Violetty, o tyle się tylko była uchyliła, że wiedział na pewno, iż wychowana została w całkiem innych warunkach stanowiska i bytu, niżli te w jakich się obecnie znalazła, bądź to z musu, bądź z własnéj woli.

W poniedziałek z rana, Violetta bardzo rada się czuła odjeżdżając z powrotem do Londynu. Żegnając się z nią, pani Dowse bardzo uprzejmie jéj oświadczyła, że spodziewa się, iż przyszłe jéj odwiedziny będą dłuższemi, na co panna Main odpowiedziała podziękowaniem pełném wdzięczności, ale nie wiążąc się żadną obietnicą.

Powróciła tedy do swych buchalteryjnych zajęć, do ukradkowych przemykań się co rano i co wieczór przez ludniejsze ulice, do jednostajnych wieczorów, które sama jedna spędzała w swym pokoiku, za rozrywkę mając tylko książki, pozapisywane ćwiartki pamiątkowego pugilaresika i własne marzenia. Coraz ją bardziéj ogarniała niecierpliwość wyjazdu, ale jakbądź wszystkiego sobie skąpiła, kwota jaką mogła zaoszczędzić bardzo się powoli zwiększała; posiadała obecnie odłożonych wszystkiego trzynaście funtów; ale cóż to znaczyło? Nie było co myśléć nawet o puszczeniu

się z tak małym zasobem w podróż choćby do Nowego-Yorku, gdzie najpierwéj chciała się dostać.

Pewnego wieczoru przyszła do niéj pani Roberts; poczciwa kobiécina miała na twarzy wyraz udający zagniewanie, i z żywością rzekła zaraz na wstępie:

— Panno Main, przyszłam rozmówić się z tobą na dobre. Widziałam się z twoją gospodynią i powiedziała mi, że żyjesz prawie powietrzem.

— Kochana pani, jadam z pewnością tyle co i drudzy i nie wyglądam przecię jak gdybym z głodu umierała, odpowiedziała jéj wesoło Violetta.

— Wcale nie wyglądasz pani osobliwie. Może sama tego nie spostrzegasz, ale zapewniam cię, że tak jest. Otóż czy będziesz się o to gniewała czy nie, w każdym razie postanowiłam zbliska cię teraz naglądać; rozumiém, że sama jedna będąc na świecie, radabyś sobie coś zaoszczędzić na wszelki wypadek; ale niepodobna znowu na to od ust sobie odbiérać. Daleko lepszy będzie sposób, zażądać od pana Dowse podwyższenia płacy, i to właśnie radzę, abyś uczyniła.

— Nie przeczę temu, odpowiedziała Violetta, że chciałabym bardzo módz sobie trochę pieniędzy uzbierać. Ale nie mogę żądać podwyższenia wynadgrodzenia, które uważam za dostateczne.

— Pleciesz od rzeczy, moja kochanko. Dowsowie są bogaci i bardzoby mogli płacić ci teraz po trzydzieści szylingów tygodniowo. Zresztą, pewna jestem, że się na to z chęcią zgodzą, bylebyś zażądała korzystniejszych warunków.

— Nie mogę tego uczynić.

— Więc ja cię w tym razie zastąpię.

Violetta sama nie wiedziała co ma zrobić. Z jednéj strony, niczego więcéj nie pragnęła, jak módz co najprędzéj opuścić Anglią; z drugiéj znowu, miała upokarzające przeświadczenie, że jeśli otrzyma podwyższenie płacy, zawdzięczać to będzie politowaniu i przychylności swych nowych znajomych, raczéj niż własnéj zasłudze.

— Mam jeszcze coś do powiedzenia ci, kochana panno Main, ciągnęła daléj poczciwa pani Roberts, z wyrazem zadowolenia na twarzy. Mówił mi właśnie wczoraj mój szwagier o nowym sposobie fotografowania, którego tajemnic nabył w Ameryce; chciałby się wystarać o parę pięknych modeli, na portrety tego rodzaju do swojéj wystawy. Otóż jeśli byś pani chciała pozować którego dnia dla niego — a pewna jestem, że z chęcią uwolni cię pan Dow-

se na jakich parę godzin — to sobie możesz sporo tém zarobić, gdyż wiem, że o zapłatę tam nie chodzi, byleby model korzystnie się przedstawiał.

— Dziękuję ci kochana pani za tyle dobrych chęci dla mnie; ale tego zrobić nie mogę, odpowiedziała Violetta zarumieniona wrażeniem dosyć jednak przyjemném. Pan Roberts znajdzie z łatwością kogo innego co mnie w tym razie zastąpi bez żadnéj dla niego krzywdy.

— Ależ on właśnie powiada, że byłabyś dla niego modelem jakich mało; zwłaszcza przy stroju trochę fantazyjnym, a dobranym umiejętnie.

— W żaden sposób zgodzić się na to nie mogę, kochana pani, odparła żywo Violetta. Umiém oceniać twoję przychylność, ale nic z tego być nie może. Mówmy lepiéj o czém inném. Czy znasz pani kogo w Nowym Yorku?

— W Nowym Yorku? powtórzyła pani Roberts, bystro na nią spoglądając. Alboż się tam wybierasz?

Zapytania tak wyraźnego trudno było zbyć wymijającą odpowiedzią.

— Tak jest, odrzekła Violetta; chcę wkrótce w tę podróż się puścić.

— Nie mam tam wcale stosunków, odpowiedziała pani Roberts, z pewnym niepokojem. I jeśli mi wolno dać ci radę, kochana panno Main, to powiém ci, że nie uważam za rzecz bardzo bezpieczną dla tak młodéj jak ty osoby, wyprawiać się saméj jednéj, gdzieś w świat daleki.

— Zapewne, ale cóż na to poradzić, skoro ta młoda osoba nie ma nikogo coby z nią pojechał? odparła Violetta, bez żadnéj jednak goryczy.

— Widzisz przecię sama, kochana panno Main, rzekła poczciwa kobiécina, mocno zafrasowana, z jaką ci łatwością przychodzi pozyskiwać sobie przyjaciół, ilekroć tego zapragniesz; ale jakże możesz wytworzyć sobie stosunki, przenosząc się tak ciągle z miejsca na miejsce?

— Czy nie zna czasem kogo szwagier pani w Nowym-Yorku.

— Zapytać go mogę o to; ale mam jeszcze nadzieję, że się wyrzekniesz pani tego zamiaru.

Pragnąc o ile to było w jéj mocy, wpłynąć na tak pożądaną zmianę, pani Roberts w miejsce zasięgnięcia u szwagra wiadomości potrzebnych Violecie, udała się wprost do pana Dowse i oświadczyła mu, że jego buchalterka wybiéra się potroszę do Ameryki, i że chcąc ją u siebie zatrzymać, musiałby natychmiast podwyż-

szyć jéj płacę. Dowse nie miał nic przeciw temu; uczynił tylko uwagę, że zanim panna Main powzięła zamiar podobny, mogła była otrwarcie mu powiedzieć, że znajduje niedostateczném swe wynagrodzenie. Ale gdy go zapewniła pani Roberts, że od swéj protegowanéj najmniejszéj wzmianki o tém nie słyszała, i że z własnego domysłu radzi mu spróbować tego sposobu odwiedzenia jéj od téj podróży, zgodził się zaraz na podniesienie płacy panny Main do wysokości trzydziestu szylingów tygodniowo, co w każdym razie stanowiło warunki bardzo dla niéj korzystne.

Odtąd kwota na bok układana przez Violettę poczęła zwiększać się cokolwiek widoczniéj, a razem z nią wzrastała w sercu młodéj dziewczyny posępna nadzieja, że się wkrótce potrafi oswobodzić dobrowolném wygnaniem od dręczącéj ją nieustanie obawy zostania wykrytą; co stać się mogło lada chwila dopóki przebywała w Anglii. Patrzała teraz z większą ufnością w przyszłość, gdyż dotychczas urzeczywistnienie jéj planów na dobréj było drodze.

Ale dotychczas tylko. Pewnego wieczora, gdy śpiesznie do domu wracała, zatrzymaną znagła została przez człowieka jakiegoś, który nie chciał ustąpić jéj z drogi. Podniosła oczy, przykro zdziwiona, i wtedy wykrzyk trwogi o mało nie wybiegł z jéj piersi. Przed nią stał Jerzy Miller, blady cokolwiek, ale dosyć spokojny; gdy na niego spójrzała wyciągnął ku niéj rękę i rzekł tylko:— Violetto...!

ROZDZIAŁ XIII.

Wieści.

Nic w tém nie zdradzało uczucia przerażenia, jakiego doznać musi człowiek spostrzegający niespodzianie przed sobą kobietę, którą od kilku miesięcy miał za nieżyjącą. Po jéj tu stronie zdawała się być wszystka trwoga. Pomimo zasłony zakrywającéj twarz jéj i nawet przy migocącém świetle latarni gazowych, łatwo mu było dostrzedz wyraz pomięszania jaki miała w oczach; a gdy przemówiła, głos jéj ostry, choć stłumiony, nie przypominał w niczém dawniejszéj Violetty.

— Czy się to stało wypadkowo? spytała go wręcz.

— Nie... odrzekł, zawahawszy się nieco. Wypadkowém było to tylko, żem o tobie posłyszał od młodego Dowsa, a raczéj...

— Czy on wié kim jestem? przerwała mu z tą samą co pierwéj szorstkością gorączkową, a mówiąc miała w całéj postawie wyraz rozpaczy i na twarzy bladość śmiertelną.

— Nie, wcale się tego nie domyśla.

— Ani ktokolwiek téż inny?

— Nikt nie wié o tém, oprócz mnie jednego. Ale dla czegożeś to wszystko zrobiła, Violetto?

Zdawała się nie zważać na to co mówił. Przez chwilę milczała, potém rzekła gwałtownie:

— Więc pan jeden wiész o tém? Musisz mi dać na to twoje słowo—musisz mi to zaprzysiądz — że żadna inna ludzka istota nigdy się tego nie dowié!

Cofnął się o krok, w zdumienie wprawiony temi słowy i stanowczością z jaką były wyrzeczone.

— Violetto, rzekł smutno, nie umiém ciebie zrozumiéć. Nie wyobrażasz sobie ile doznaliśmy wszyscy boleści, jesli możesz przypuszczać, że wieścią tak szczęśliwą nie pójdę podzielić się z ojcem twoim i z innemi kochającemi cię osobami. Byłoby to szaleństwem z mojéj strony: nie masz prawa skazywać ich na tyle cierpienia dla niedorzecznéj jakiejś zachcianki, któréj pojąć nie jestem w stanie.

— I któréj nie pojąłbyś pan nigdy, choćbym ci ją tłómaczyła do nieskończoności, przerwała mu z goryczą. Niedorzeczna to zachcianka! Więc sądzisz, że dla własnego tylko zadowolenia, tyle bólu drugim sprawiłam? Ale dajmy temu pokój; mało dziś o to chodzi, co może ktokolwiek o mnie pomyśléć.

Wyrzekła te ostatnie słowa, jakby obojętnie; wszelako brzmiał w nich jakiś oddźwięk tajonéj rozpaczy, który nie uszedł jego uwagi; ale zrozumiéć całkiem nie umiał dziwnego stanu w jakim się znajdowała. Jakaż niepojęta tajemnica w tém się mieściła?

— Posłuchaj mię Violetto, rzekł. Błąd wielki popełniłaś bez wątpienia, ale każdy z nas zapomni ci go z chęcią, pod wrażeniem uciechy jaką nam sprawi to, żeśmy cię odzyskali. Kiedym cię żegnał po raz ostatni, nie byliśmy w bardzo dobrym z sobą stosunku; ale teraz, musisz i mnie dać udział w radości jaką, wszystkim twoim bliskim przyniesiesz. Nikt z nas nie zada ci pytań, na które byś odpowiadać nie miała ochoty. We wszystkiém zostawioną ci będzie zupełna swoboda; nie zażąda nikt od ciebie tego co by ci nie miłém być mogło.

W podniesieniu silném jakiemu w téj chwili ulegał Jerzy, słowa te wymykały mu się z ust mimowoli prawie, bo myśli jego pracowały jednocześnie nad wykryciem istotnéj przyczyny po-

stępku Violetty. Czyż uciekła od swych przyjaciół, czując się przy nich nieszczęśliwą? A może była nią dla tego, że miała w przyszłości zostać żoną Drummonda? Teraz więc, gdy już dała tak oczewisty dowód swojego wstrętu do tego związku, czyż nie jest do przypuszczenia, że może z czasem zwróci swe serce temu, który dawniejsze ma do niego prawa, a nowych téż nabył szczerym żalem z jakim opłakiwał jéj stratę?

— Nie wiész o niczém—nie wiész o niczém, powtarzała smutno, odpowiadajac témi tylko słowy na wszystkie jego nalegania. Odzywasz się do mnie, jak gdybym była zepsutém dzieckiem, które z prostéj fantazyi uciekło z domu. Powiadasz mi, że zostawioną mieć sobie będę zupełną swobodę; — alboż jéj w czémkolwiek nie używałam, przebywając u tych zacnych przyjaciół? Nie o to wcale tu chodzi. Powodem się stałam wielkiego nieszczęścia; dla człowieka którego... którego kochałam; i wreszcie... przyszłam do przekonania, że lepiéj będzie dla niego i dla wszystkich, abym uchodziła za umarłą.

— Pewien jestem że byłaś w błędzie, rzekł, usiłując jeszcze ją przekonać, chociaż widział jak mało wrażenia sprawiały na niéj jego słowa, które ani trochę nie zmieniały posępnego wyrazu, zdającego się już nieodłącznym od téj pięknéj twarzy. Cóż mogło być dla nich większém nieszczęściem od twojéj śmierci?

— Wszystko to z czasem przeminie, odpowiedziała. Zastanawiałam się nad tém rozważnie. Zasmuceni będą przez czas jakiś—gdyż wierzę, że mnie kochali pomimo... pomimo wielu rzeczy;—ale potém wszystko będzie jak należy. A teraz, dodała z tą samą co pierwéj stanowczością, musisz mi pan to przyrzec o co cię prosiłam.

Chociaż Jerzy błąkał się wśród ciemności co do całéj téj sprawy, tyle zachował przytomności umysłu, że czuł iż należy mu oprzéć się temu żądaniu i śmiało też to uczynił. Ale ona także nie dała się zachwiać w swéj woli. W końcu, Miller poprosił ją o zostawienie mu cokolwiek czasu do namysłu; i naznaczywszy przyszły wieczór na spotkanie się z nią znowu, przyrzekł że wtedy da jéj odpowiedź.

— Nie zgadzam się na to, rzekła; muszę otrzymać zaraz tę obietnicę. Nie powinniśmy spotkać się więcéj z sobą.

— Nie masz prawa żądać odemnie czegoś podobnego, rzekł bardzo żywo. Czy przez to rozumiész, że mam zataić przed twoim ojcem, że mi się udało ciebie odszukać?

— A pan nie masz prawa zdradzić mojéj tajemnicy, odpowiedziała gwałtownie.

— Poczekaj więc chwilę i daj mi namyśleć się trochę, rzekł; przedewszystkiém o tém pamiętając, aby coś takiego nie zrobić nierozważnie, co by się potém naprawić nie dało.

Rozmawiając przechadzali się powoli wzdłuż ulicy Great-Marborough, na chodnikach któréj prawie nikogo widać nie było. Wtedy tylko, gdy mijali jaką gazową latarnię, mógł Jerzy przelotne rzucić wejrzenie, po przez gęstą zasłonę Violetty, na tę bladą twarz i na te ciemne oczy, tak dobrze mu znane. Podczas gdy tak w milczeniu szli obok siebie, młodzieniec wszystką moc ducha ku sobie przyzywał, by z nim pozostała w téj chwili tak ważnéj. Wiedział, że na wszystko zdolna jest odważyć się ta zuchwała istota i że nic nie jest w stanie przełamać jéj woli; gdyby trwał otwarcie w swoim oporze, któż wié jakiegoby się nie gotowa dopuścic szaleństwa? Najpilniejszą było mu rzeczą, zdobyć sobie choć trochę czasu. Przyrzekłszy to czego chciała, mógł potem wrócić do tego przedmiotu. Co więcéj, okazawszy się tyle uległym jéj woli, miałby może prawo zażądać, aby ją zmieniła co do uczynionego zakazu szukania z nią więcéj spotkania. Był to koniec końcem człowiek dosyć przebiegły; czuł więc ile korzystne może mieć położenie, stawszy sie jedynym jéj przyjacielem. Postanowił tedy, jak na teraz, okazywać się przychylnym jéj zamiarom, choćby nawet najszaleńszym.

Nie kochał się co prawda nigdy zapamiętale w téj młodéj dziewczynie; ale, o ile stać go na to było, wyróżniał ją z pomiędzy innych kobiet, cenił wysoko zarówno jéj urodę niezwykłą, jak duszę szczerą i wzniosłą; i przez czas długi w wyobraźni przedstawiał ją sobie z przyjemnością, jako przyszłą gospodynię swego domowego ogniska. Obecnie, ponętne to widziadło nawiedzało go znowu; sama jedna teraz była i w ubogim żyła zakątku; wszystko to już było mu znaném, skutkiem poszukiwań jakie przedsięwziął zanim poszukał z nią spotkania;—przytém była kobietą, a zatém koniecznie skłonną do ulegania wpływom wytrwale działającym.

— Violetto, rzekł, zatrzymując się na chwilę, daję ci na to słowo, że nikt się o niczém nie dowié, dopóki mię do tego nie upoważnisz. Cóż? czy tak dobrze będzie?

Uścisnęła jego rękę z żywym uczuciem wdzięczności.

— A teraz, rzekła po chwili, zanim się rozstaniemy na to, aby się więcéj z sobą nie zejść;—bo przyrzec mi musisz, że się o to starać nie będziesz, — powiedz mi jeszcze cośkolwiek o.... o przyjaciołach drogich memu sercu. Po raz to ostatni prawdopodobnie, o nich usłyszę.

— Violetto, rzekł z gorącym porywem, dosyć u niego niezwyczajnym, znieść tego nie mogę, że cię widzę tyle nieszczęśliwą; — nie zasłużyłaś na to, doprawdy....

— Nie jestem bardzo nieszczęśliwa, odpowiedziała;—byłabym nią więcéj, gdybym cierpienie sprawiała tym, których kocham. Co zaś do tego, na co zasłużyłam — któż to ocenić potrafi? Nie znam nikogo na świecie coby to właśnie otrzymywał co mu się należy! Wiém o takich, którzy powinni by mieć wszystko, bo życie ich było samą tylko dobrocią i szlachetnością.

Rozumiał dobrze do kogo się odnosiły te słowa.

— Jnni zaś, których mają ludzie za nieszczęśliwych, nie są ednak nimi tyle ileby się stali, gdyby....

Stłumione westchnienie, którém przerwała sobie mowę, zwróciło jego uwagę. Nie widział po przez zasłonę narzuconą na jéj twarz, że tajone łzy spływały po jéj bladych licach.

— Zasmucasz mię naprawdę, Violetto, rzekł. Nie umiém pojąć dla czego byś miała czuć się nieszczęśliwą. Zdawałoby się, że los chciał zabezpieczyć cię od tego wszelkiemi sposoby.

— Nie skarżę się na moję dolę, odpowiedziała, wysilając się na odzyskanie pozornego spokoju. Powiédz mi pan, co się dzieje z moim ojcem. Czy jest teraz w Londynie? Jak dawno odwiedzałeś moję rodzinę?

Opowiedział co mu było o niéj wiadomém, a mógł dać w tym przedmiocie dokładne objaśnienia, gdyż często dosyć bywał w domu Lady North. Gdy skończył mówić, Violetta rzekła:

— A jak się téż miewa pan Drummond?

Wymówiła te słowa, niby całkiem spokojnie, idąc powoli obok Jerzego.

— Chorował bardzo ciężko.

Stanęła w miejscu; jak gdyby ból dotkliwy siły jéj odejmował.

— Czy jeszcze jest chory? czy téż już zdrowszy?..

Nic o nim nie słyszałem ostatniemi czasami, odpowiedział Jerzy, rozmyślnie nieszczery tym razem. Była to, jak mi się zdaję, gorączka reumatyczna. Podobno całemi nocami zwykł był przechadzać się i przemókł mocno parę razy.

— Ale... ale przypuszczasz pan, że się ma już lepiéj? spytała głosem w którym brzmiała proźba usilna o słowo pociechy.

— Nie mogę ci tego dokładnie powiedzieć. Odkąd ze Szkocyi powrócili, nie byłem u nich, i to co wiém słyszałem tylko od lady North. Ale jeśli tego życzysz, mogę się lepiéj wypytać.

— O, bardzo, bardzo tego pragnę! zawołała z żywością.

— A potém przyjdę zdać ci sprawę z tego co usłyszę.

— Kiedy? może jutro rano? Czy będziesz już pan wtedy coś wiedział?

Jedno tedy potrafił uzyskać. Pozwalała mu zobaczyć się z nią znowu.

— Zapewne, rzekł; mogę zająć się tém zrana, a wieczorem przyniosę ci pozyskane wiadomości. Ale gdzież się mam zejść z tobą? Czy mi pozwolisz przyjść do twego mieszkania, czy téż wolisz abyśmy się z sobą spotkali u kogo z twoich znajomych?

— O nie, odpowiedziała śpiesznie. Sądzę że najlepiéj będzie, aby to miało tu miejsce.

— O téj saméj godzinie?

— Tak jest.

— A teraz, czy pozwolisz, abym cię odprowadził na Fitchfield-Street?

Spojrzała trwożnie na niego i rzekła szorstko:

— Skądże wiesz pan, że tam mieszkam?

— No, przecięż musiałem wywiedzieć się czegoś pewniejszego, zanim postarałem się o spotkanie z tobą. Inaczéj postępując, okazałbym był wielką nierozwagę.

— Poprzestańmy więc na tém i pożegnajmy się na dzisiaj, rzekła podając mu rękę. Pamiętaj pan, że mam na to twoje słowo, iż się nikt nie dowié o tém, co ci się wykryć udało.

— Na tych słowach rozeszli się, ale ona zamiast się udać do swego mieszkania, skierowała swe kroki z zadziwiającą szybkością ku hotelowi pani Roberts. Zastawszy na szczęście tę ostatnią niezajętą, Violétta poprosiła ją o chwilkę rozmowy na osobności, a gdy się same znalazły, natychmiast poczęła wypytywać pani Roberts, czy nie wié jakiego jest rodzaju chorobą gorączka reumatyczna. Czy niebezpieczna; lub téż długotrwała? Czy wielkie w niéj cierpienia? i co ją téż może sprowadzić?

Podobna w tém do wielu kobiet podżyłych, poczciwa opiekunka Violetty bardzo się chełpiła swemi lekarskiemi wiadomościami i lubiła o nich rozprawiać. Rozpoczęła tedy od razu rodzaj prelekcyi w przedmiocie gorączki reumatycznéj i jéj właściwości, niepomału jednak zdziwiona nadzwyczajném zaniepokojeniem, jakiego nie była w stanie zataić Violetta.

— Ale... ale nie rozumiész jednak pani przez to, odezwała się wysłuchawszy jéj młoda dziewczyna, że choroba ta koniecznie po sobie zostawia długie osłabienie, lub zarody sercowego cierpienia?

— O nie; nie zawsze to bywa.

— Można wyszedłszy z niéj, odzyskać w zupełności dawne siły?

— Jak najbardziéj.

— A tém prędzej wolno się tego spodziewać dla człowieka, który był zawsze zdrów i większą część czasu spędzał zwykle w ruchu i na świeżém powietrzu. Wszak prawda pani?

— Tak i mnie się zdaje, odpowiedziała pani Roberts, coraz mocniéj zdziwiona.

Młoda dziewczyna zamilkła na chwilę i siedziała zamyślona.

— Czy to bardzo, bardzo bolesne cierpienie, kochana pani? rzekła znagła, ręce trzymając zaplecione na kolanach, a sama naprzód pochylona, z wyrazem niespokojnego zaciekawienia na twarzy. Co tu zrobić? Czy nie ma czego takiego, coby można kupić dla człowieka dotkniętego tą chorobą, żeby mu ulgę jaką przynieść?

Zdawało się téż bogaczce, posiadającéj za całe mienie piętnaście funtów, że gotowaby świat cały zakupić, byleby tém mogła złagodzić jego cierpienia.

— Jeśli jest to biedak jaki, odpowiedziała pani Roberts, w takim razie potrzeba postarać się dla niego o lekarza i o środki pozyskania wygód potrzebnych choremu. Nic innego nie możesz tu pani uczynić.

— Tego on odemnie nie potrzebuje, rzekła Violetta jakby w roztargnieniu.

Zaraz potem pożegnała panią Roberts, podziękowawszy jéj za udzielone objasnienia. Udała się wprost do swego mieszkania; a gdy doszedłszy na miejsce napotkała na schodach syna swojéj gospodyni, dziesięcioletniego chłopaka, rzekła mu:

— Tomciu, chcę cię o coś poprosić. Chodź no ze mną do mojego pokoju.

Zapaliwszy gaz, przygotowała na stoliku papiér, kałamarz i pióro, potem rzekła:

— Oto, jeśli dobry z ciebie chłopaczek, mój Tomciu, to coś tu za mnie napiszesz, a potem wypijesz za to ze mną herbatę.

Chłopak nie bardzo rozumiał o co chodzi, ale w każdym razie zasiadł chętnie przed stołem i wziął w rękę pióro.

— Pisz porządnie na téj ćwiartce: „Kwiaty te posyła panu Drummond ...."

Nie bardzo kształtnemi i nadto dużemi głoskami nakreślił wymawiane przez nią wyrazy. Ona daléj mówiła:

— „Ktoś co otrzymał od niego niemało dowodów przychylności."

Dyktując mu te słowa siedziała za nim na sofce, tak że jéj nie widział, mając głowę nad papiérem pochyloną! Gdy się więcéj nie odzywała, czekał przez chwilę; ale potém, nic nie słysząc, odwrócił się i spójrzał na nią. Spostrzegł wtedy, że osunęła się była i na wznak padła na sofkę, gdzie leżała jakby nieżywa, z twarzą śmiertelnie bladą i z rękami po obu stronach zwieszonemi. Chłopczyna przeraził się straszliwie, pędem wybiegł z pokoju i puścił się po schodach, śpiesząc do matki pokoju.

— Mamo! ona umarła! zawołał, bez tchu prawie tam wpadając.

— Kto taki? kto umarł? krzyknęła w najwyższej trwodze.

— Ta pani co u nas mieszka. Leży nieżywa w swoim pokoju.

Nie było to prawdą jednak, aby Violetta już życie zakończyła. Nie dostało się jéj podobne szczęście w udziale.

ROZDZIAŁ XIV.

W Teatrze.

Miller posiadał bardzo świéże wiadomości o Drummondzie, chociaż uznał był za stosowne nie przyznać się do tego w obec Violetty; teraz jednak, po widzeniu się z nią, postanowił pójść do państwa North, aby się dowiedzieć, czy coś jeszcze nowszego nie wiedzą o stanie chorego. Nazajutrz tedy po południu, udał się do nich; na powitanie jego wyszła Anatolia, mówiąc:

— Mama tylko co pojechała odwiedzić pana Drummond. Jest podobno bardzo chory.

— Muszę się także wybrać do niego, rzekł Jerzy, trochę wzruszony. Niekoniecznie dobrze rozstaliśmy się z sobą w Highlandach, ale w podobnych okolicznościach nie należy o tém pamiętać.

— Już to opłakana była cała owa wyprawa do Szkocyi! rzekła Anatolia z westchnieniem szczerego żalu; albowiem serce miała tkliwe, pomimo mało ujmującéj powierzchowności.— Biedna Violetta! Nie wiedzieliśmy wszyscy ile ją kochamy, dopóki nam nie została odjęta. Zawsze to tak pewnie bywa na świecie. Od tego czasu, ojciec mój stał się jakby innym człowiekiem; nie wiém doprawdy, czy ostatecznie potrafi przenieść ten cios. Więcéj mu była ona drogą, niż którakolwiek z nas. A także i pan

Drummond — czy wiesz pan co nam powiedziała jego siostra?— oto że odkąd utonęła Violetta, nikt nie widział uśmiechu na jego ustach.

Miller czuł, że pomięszanie jego zdradza się rumieńcem na twarzy i spróbował rozmowę odwrócić od tego drażliwego przedmiotu.

— Czy to prawda, rzekł, że nabawił się téj choroby nocnemi przechadzkami?

— Tak sądzi jego siostra. Powiada, że stawał się zawsze niespokojniejszy ku wieczorowi, o godzinie w któréj zwykli byli zbierać się na wesołą pogawędkę około kominka, wtedy gdy z niemi przebywała Violetta. Nie mógł w téj porze w miejscu wytrzymać; musiał koniecznie wyjść z domu i wybiérał się w świat czy pogoda była, czy słota; a nikt już wiedziéć nie mógł o jakiéj porze powracał nad rankiem. Nieraz odzienie jego znajdowano nazajutrz na wskróś przemokłe.

— No, przecięż dosyć tego, aby o śmierć przyprawić najzdrowszego nawet człowieka, rzekł Miller z przyzwoitą miarą współczucia; musiał przecię i on o tém wiedziéć. Nie umiém zdać sobie sprawy z podobnéj nierozwagi. Ale pełno jest takich ludzi, co sobie dobrowolnie zdrowie niszczą różnego rodzaju szaleństwami. Teraz, musiał się wreszcie przekonać pan Drummond, że z własnéj winy zapadł w tę chorobę.

— Dziwna to rzecz, rzekła Anatolia, jak namiętnie była do tych ludzi przywiązana ta biedna Violetta. Zdawali się oni stanowić dla niéj świat cały. Jakże to smutno pomyśléć, że przyjaźń jaką dla niéj mieli przyczyniła się poniekąd do smutnego jéj końca. Otóż to właśnie najwięcéj ojca rozżala, że sobie nieustannie wyrzuca, iż ją samę jednę z niemi wyprawił tam w góry; ale mama zawsze mu powtarza, że taki wypadek mógł każdego spotkać i to niekoniecznie w takich okolicznościach. Zdaje mi się nawet, że pani Warrener zawsze była przeciwna tym morskim kąpielom.

— Ależ to wcale nie podczas kąpieli się stało, odrzekł, wkrótce potém, zadawszy jéj kilka jeszcze pytań, pożegnał ją i odszedł.

Napotkał Violettę na ulicy Great-Marlborough i łatwo mu było dostrzédz w niéj od razu niepokój i silne podniecenie.

— Jakże się ma? spytała z gorączkowym pośpiechem.

— W każdym razie, nie jest mu gorzéj przynajmniéj, odpowiedział młodzieniec. Ale posłuchajno mnie Violetto. Odkąd rozstałem się z tobą wczoraj, myślałem ciągle o tém, że niepodobna abyśmy sią tu razem przechadzali; w takich warunkach tru-

dno mi z tobą rozmawiać, a przytém, może nas kto podpatrzéć lada chwila. Otóż, chcąc temu zaradzić, wziąłem dziś lożę do jednego z pomniejszych teatrów, znajdującego się w pobliżu twego mieszkania;— czy chcesz się tam wybrać ze mną, na jakie pół godziny?

Pomysł ten miał w sobie coś zatrważającego, przed czém cofnęła się instynktowo. Wybiérać się do teatru?— jéj, co poślubiła była smutek na resztę życia?

— Nie mogę tego uczynić, odpowiedziała, dreszczem na samą myśl tę przejęta.

— Zastanów się jednak Violetto; nikt cię tam zobaczyć nie może; będziemy swobodnie z sobą rozmawiali, nie zważając wcale na to co się dzieje na scenie.

— Ależ przy wejściu może mię kto poznać, rzekła.

— Nie masz co lękać się tego. Przez tę zasłonę tak gęstą, nikt nie potrafi dostrzedz twojéj twarzy; na to aby ją odgadnąć, trzebaby tak jak ja znać każdy ruch twój. Zaledwie będziemy mieli kilkanaście schodów do przebycia i zaraz znajdziemy się w loży, całkiem od obcych oczu zabezpieczeni. Usiądziesz tam sobie wygodnie i wysłuchasz wszystkiego co ci mam do opowiedzenia.

Wahała się jeszcze, ale koniec końcem, z dwojga złego, to ostatnie zdawało się być raczéj do wybrania. Bardzo jéj nie miłém było owo przechadzanie się po chodniku ulicy, tam i na powrót, w towarzystwie młodego człowieka, przy jaskrawém świetle gazowych latarni. Bezpieczniejszą być mogła w istocie, w teatrze. Przytém, wzruszenia poprzedniego wieczoru, pozostawiły ją osłabioną i rozgorączkowaną; w téj chwili, czuła się tak bezsilną, że ledwie stać mogła na nogach. Tak więc, nadto strudzona ciałem i umysłem, aby zwykłą mogła zachować siłę woli, zaprowadzić się dała do teatru, i wkrótce znalazła się z Jerzym w loży przez niego zamówionéj.

Przedstawienie nie było jeszcze rozpoczęte i niewiele osób znajdowało się w sali; wszelako orkiestra wygrywała hucznego jakiegoś walca, jak gdyby usiłując ożywić opustoszały przybytek sztuki. Jakże rażącemi były dla ucha Violetty te dźwięki wesołe; zdawało się jéj, że tańce śmierci w nich słyszy; niby złowrogie śmiechy skieletów wybuchały dla niéj w tych radosnych odgłosach.

Wśród tego zagłuszającego zamętu tonów, wysłuchała wszystkiego, co miał do powiedzenia jéj Jerzy, a raczéj tego, co uznał za stosowne dać jéj wiedziéć. Nie uważał się za obowiązanego

powtórzyć Violecie to, co pani Warrener powiedziała była Anatolii: nie po tę wiadomość został wysłany; nie miała ona żadnego związku ze zleceniem, jakie miał do spełnienia. Ona słuchała go, w milczącém zasmuceniu, poprzedni jéj niepokój gorączkowy przeistoczył się był teraz w przygnębienie.

Tymczasem kurtynę już podniesiono, i rozpoczęła się scena jakaś bardzo zabawna pomiędzy młodzieńcem mającym kapelusz na głowie i służącą nakrywającą do śniadania w eleganckim saloniku. Tak sądzić było można przynajmniéj ze śmiechów rozlegających się co chwila po sali.

— Więc go dziś pan nie widziałeś? spytała Violetta siedząca w półcieniu, po za firanką loży, z głową spuszczoną i z rękami założonemi na piersiach.

— Nie, odpowiedział. Nie byłem u nich, odkąd powrócili z Highlandów; ale wybiorę się tam jutro i wieczorem opowiém ci jak go zastałem.

Coraz więcéj umiał czynić się jéj niezbędnym; gdy wspomniał o tym zamiarze swoim, zaledwie już pomyślała o tém, ze wypadnie jéj tym sposobem miéć z nim nową schadzkę.

— Cóż mi to za smutek, że go nie mogę sama odwiedzić! rzekła z rozpaczą ręce załamując; jabym życie za to oddała, żeby rękę jego uścisnąć — choćby jeden raz tylko. Może lepiéjby się stało, gdybym odjechała była nie dowiedziawszy się, że on jest chory. Nic tu zrobić nie mogę; a jednak teraz niepodobna mi odjechać, dopóki nie usłyszę, że ma się lepiéj;—inaczéj śmiertelna trwoga nie zostawiałaby mi ani chwili spokoju.

— Gdzież się tedy wybierasz, Violetto? zapytał zdziwiony. Było coś tak niezwykłego w jéj całém zachowaniu się, w dźwięku głosu nawet, że patrzał na nią w téj chwili z nieokréśloną jakąś obawą.

— Wybieram się w dalekie krainy, odpowiedziała spokojnie; opuszczam tak bezpowrotnie Anglią i tych wszystkich, którzy mię znali kiedykolwiek, że mam dla nich pozostać od chwili mego wyjazdu, jakby nieżyjącą już istotą. Gdy mię naprawdę śmierć zabierze, nikt się o tém nie dowié. I ty także, uważaj mnie za umarłą, od dnia odjazdu mego z Anglii...

W téj chwili, zagłuszyły jéj głos śmiechy odzywające się po różnych stronach sali; coś bardzo zabawnego działo się na scenie, gdzie słychać było brzęk szkła potłuczonego. Podobno młodzieniec w kapeluszu, uciekając przed szczotką od zamiatania, którą służąca nieproszonego gościa wypłoszyć chciała, zawadził był

o stolik, z którego pospadały szklanki i kieliszki. Rozweselenie ogólne zostało tém wywołane.

— Ależ to pomysł szalony, Violetto, rzekł Jerzy. Nie dodał jednak nic więcéj, uważając tę chwilę za niestósowną do dłuższego spierania się z nią. Chciał przedewszystkiém wciągnąć ją, o ileby się tylko dało, w częstę z nim stosunki, i w téj chwili właśnie nastręczała mu się myśl, którą uważał za szczęśliwą.

— Czy wiész co ci powiém, Violetto? rzekł. Jest dopiéro pół do siódméj. Jeśli tak pragniesz dowiedzieć się czegoś o nim, moglibyśmy zaraz tam pojechać; zostałabyś w pobliżu, a jabym wszedł do domu i wypytał się o jego zdrowie. Za pół godziny mogę się o wygodny powóz wystarać i sprowadzę go przed twoje mieszkanie, gdzie tymczasem będziesz mogła wypić herbatę. A co? czy zgadzasz się na to?

Silna to była dla niéj pokusa, dręczący niepokój czynił dla niéj tak pożądaną, wieść rychłą i pewniejszą. A przytém nęcący powab dla niéj miała sama myśl zbliżenia się do tego człowieka, zobaczenia raz jeszcze tego skromnego domku,—zajrzenia choćby ukradkiem w okna tych pokoi, które także pokochała. Odpowiedziała tedy, że pojedzie.

— Ale nie potrzeba, abyś pan po mnie zajeżdżał, dodała. O ósméj czekać będę na rogu ulicy Oxford i Great-Portland; czy dobrze tak będzie?

— Wybornie.

Wyszli oboje z loży, co może wydało się objawem znudzenia artystom będącym na scenie, ale tą razą, jak często bywa na świecie, pozory w błąd ich wprowadziły.

O godzinie oznaczonéj, Violetta była na swém stanowisku, gdzie niedługo téż wypadło jéj czekać.

— Obmyślałam sobie, rzekła wsiadłszy do powozu, że lepiéj będzie, abym się do ich domu nie zbliżała. Powiedz pan woźnicy, aby jechał przez Champion-Hill; chcę tam wysiąść i poczekać zanim powrócisz.

— Zrobię wszystko co zechcesz, Violetto, odpowiedział;— choć doprawdy nie wiém czy dobrze czynię przyjmując wspólnictwo w téj dziwnéj tajemnicy, jaką pragniesz się otaczać. W życiu mojém nie słyszałem o niczém podobném! Nie mam pojęcia, co to znaczyć może.

Nie powiedziała mu, miała jednak na myśli, że niejednéj rzeczy nie jest on w stanie pojąć, pomimo całéj swéj przenikliwości i znajomości życia klubowego. Rzekła tylko spokojnie;

— Dałeś mi pan słowo, że mię nie zdradzisz; czyżbyś się teraz zastanawiał nad tém, ażali nie masz prawa go złamać?

— O nie; bynajmniéj o tém nie myślę, odpowiedział jéj z żywością. W istocie związany jestem przyrzeczeniem mojém; tylko że naprawdę, Violetto...

— Może wolałbyś pan nie zabierać mię dziś z sobą na tę wycieczkę? przerwała mu. Jeśliby to miało sprawić ci najmniejszy kłopot,—jeślibyś uważał za lepsze tam nie jechać, w takim razie każ zaraz zatrzymać; mogę powrócić pieszo do domu.

— Violetto, rzekł, patrząc na nią z uśmiechem przyjaznym, tą samą zupełnie dziś jesteś co i dawniéj. Czy pamiętasz pewną przejażdżkę, którąśmy razem niegdyś odbywali? Czy pamiętasz jak żądałaś, aby woźnica zatrzymał, po dziesięciu zaledwie minutach jazdy? Tę samę co dzisiaj miałaś wtedy żywość i dumę drażliwą. Wiész przecię, że gotów jestem we wszystkiém wolę twoję spełnić. Uwagi, jakie ci czyniłem, miały jedynie na celu własne twoje dobro. Dla czego chcesz kraj twój opuszczać? Dla czego chcesz się ukrywać przed tymi, którzy cię kochają? Zapewniam, że ci z chęcią przebaczą wszystko co ucierpieli, pod wrażeniem radości, jaką uczują odzyskawszy cię.

Uczuła się wzruszona łagodnością z jaką do niéj przemawiał, jednak rzekła tylko posępnie:

— Nie znasz pan wszystkich okoliczności, jakie złożyły się na pchnięcie mię do tego kroku; i na nicby się nie przydało wspominać dziś o tém. O tak; przypominam i ja sobie owę wycieczkę naszą—zdaje mi się, że było to dawno, bardzo już dawno temu,—ale zawsze dzień ten do jaśniejszych zaliczam w mojéj przeszłości. Cóż-bo wtedy za niebo mieliśmy nad sobą rozpogodzone, ile w około nas było woni i słońca! A co za dzieci z nas były—sprzeczające się z sobą o byle co, a w duszy uradowane psotą, na którą się zdobyły! Ojciec mój bardzo się wtedy okazał wyrozumiałym względem pana; sądzę, że mu się spodobała otwartość, z jaką wszystko przed nim wyznałeś. Czy nie widziałeś go pan dzisiaj?

— Nie.

— Biedny ten mój ojczulek!

Milczała przez kilka chwil, a tymczasem dojechali do mostu Westminsterskiego! Po raz to pierwszy widziała Tamizę od swego powrotu ze Szkocyi. Zamglone nieco światło księżycowe uwydatniało większe gmachy na brzegach rzeki, iskrzących się od nielicznych latarni gazowych; podczas gdy w dali, domy i kamienne wybrzeża przedmieściowe, ciemnemi odznaczały się smugami od bladego wód koryta.

— Często już widywałam Tamizę tak oświetloną; piękny to bardzo widok, rzekła Violetta, jakby w roztargnieniu; myślała bowiem w téj chwili o tych dalekich krajach, mających jéj wkrótce zastąpić ojczyznę, i chciałaby była módz nazawsze utrwalić w swojéj pamięci ów krajobraz szaro-błękitnawą mgłą zasnuty i złotemi lśniący gwiazdami. Daléj jadąc, napotykała co chwila przedmioty dobrze jéj znane w przeszłości, i na to tylko odnawiała z niemi znajomość, by je na zawsze pożegnać. Sama jeszcze nie wiedziała, czy po raz ostatni ogląda to wszystko, czy téż będzie tu jeszcze, przed samym swoim odjazdem, śpiesząc do tego cichego domku na to, aby na jego progu zostawić kwiatów cokolwiek wraz z kilku wyrazami niewprawną nakreślonemi ręką, na znak milczącego pożegnania.

Na pochyłości wzgórza, w miejscu bardzo zacienioném, wysiadła z powozu.

— Czy nie będziesz się obawiała zostać tu sama? zapytał ją Jerzy.

— O nie—bynajmniéj.

— Może mi wypadnie czas jakiś tam zabawić.

— Zapewne, odpowiedziała z żywością; liczę na to, że będziesz pan mógł zobaczyć się z nim i wolę czekać choćby jak najdłużéj, bylebyś mi opowiedział co mówił i jak wygląda. Spędzę tu cierpliwie całą godzinę, jeśli tego będzie potrzeba;—i doprawdy, wdzięczna panu jestem nad wszelki wyraz...

Pożegnał ją śpiesznie, a ona przechadzać się poczęła pod drzewami, gdzie chłód wieczorny już się czuć dawał. Zaszła tak aż na najwyższą część wzgórza i wtedy ujrzała przed sobą całą obszerną dolinę, zalaną mglistém światłém księżyca i milczącą jak śmierć sama. W téj chwili, słowa poety, dawniéj nieraz przez nią powtarzane, przyszły jéj na myśl, jakby na to, aby dotkliwszym jeszcze uczynić ból ściskający jéj serce: „Tak daleko wśród cudnéj łąk zieleni jest moje domowe ognisko—ileż to razy ztamtąd wybiegałam w tę piękną dolinę! O, ty urocza, cicha dolino, żegnam cię na zawsze. Bywaj mi zdrowa—bywaj mi zdrowa!“

(D. c. n.)

STAN EKONOMICZNY POLSKI

w latach 1782 — 1792.

(Ciąg dalszy).

IV.

Przypatrzmy się teraz rolnictwu i stosunkom rolniczym.

Na roli oparł szlachcic-ziemianin całą egzystencyą swoję; dla roli pogardził innemi źródłami bogactwa krajowego. Był czas, że Polskę miano za powszechny spichlerz całéj Europy, że porównywano ją z dawnym Egiptem i Sycylią — w wieku XVI i XVII jeszcze, jak świadczy Rzączyński, przytaczając wiele miejsc z polskich i obcych pisarzy owéj epoki. Tak chodził około roli szlachcic-rycerz, odbiegający pługa dla harców tatarskich, dla częstéj „potrzeby" wojennéj. Czémże się stał ów jedyny niemal warsztat pracy produkcyjnéj w posiadaniu szlachty XVIII wieku rozpróżniaczonéj, marzącéj o tém tylko, aby „natychmiast słodkiéj używać z rozkoszą spokojności" (1).

„Najpowszechniejsze u większéj części Polaków jest zdanie, że rolnictwo w Polsce jest w bardzo kwitnącym stanie. Prawda, że się z tém chlubić mogą wielkopolskie i sandomierskie nadgraniczne strony, toż niektórych rozumnych obywatelów dobra w Koronie i Litwie, ale nie kraj cały.. połowa gruntów leży odłogiem."

---

(1) Wyrażenie to znajduje się „w Akcie przystąpienia Stanów skonfederowanych W. ks. Lit. do skonfederowanych Stanów Koronnych" r. 1764. Vol. Leg. VII, f. 317, str. 139.

Tak mówi Switkowski (1), a zdanie to bynajmniéj o przesadę posądzoném być nie może. Dwaj bankierowie: Glave i zacny Kaposztas, polemizując o „plantę Banku Narodowego“ jeszcze surowszy wyrok wygłosili. Glave, uznając „że uszczęśliwienie Polski zasadza się najszczególniéj na rolnictwie“ twierdzi, że „dwie trzecie gruntów nie są uprawione, gdyż dobywanie gruntów, potrzebując nakładów, nie może znieść nad miarę wywyższonéj prowizyi w tym kraju; sama nawet uprawa już dobytych gruntów w nikczemnym jest stanie dla tego iż nadto wielki procent opłacać potrzeba.“ A Kaposztas w odpowiedzi swojéj potwierdza zdanie przeciwnika, mówiąc: „Te punkta są wszystkie jak najsprawiedliwsze“ (2). Staszic w poetycznym, lecz pełnym grozy obrazie kréśli stan opuszczenia, w jakim znajduje się ziemia Polski. „Większą jéj połowę zabierają te nieprzedarte czarne lasy, w których nie słońca promienie, lecz nieprzyjazna każdemu użytecznemu stworzeniu wilgoć swoje brzydkie mnoży potwory... W téj powszechnéj ciał zgniliźnie snują się, wiją się żmije, węże, jaszczury; albo skurczone leżą, albo zwolna czołgają się inne, aż grube od jadu gadziny... Gdyby te lasy nie zasłaniały, ujrzałbym tu ztąd zbyteczne pastwiska, nieskończenie zarosłe, oset i chwast rodzące kilkoletne odłogi. Widziałbym każdéj rzeki nadbrzeża milę drogi niedostępne, rokiciną i zgniłym trawiskiem okryte; stawy kilka mil rozległe i zapchane trzciniskiem i zalazłe błockiem, których żyzny namuł, zamiast rodzenia pszenicy, dusi swoim smrodem pobliższe mieszkańce“ i t.d. (3).

Ten obraz, godny pędzla Salwatora Rozy, szczęściem nie jest powszechny. Czytamy przecież i o „nieprzejrzanych okiem polach po większéj części tatarką zasianych“ i o gnijących w polu stertach zboża i o kwietnych łąkach, na których uwijają się roje pszczół litewskich, a szczegolnie ukraińskich i podolskich (4). Toć i gospodarstwo Pana Podstolego nie jest fantastycznym tylko utworem wyobraźni Krasickiego.

Nie poprzestawajmy więc na obrazach, zdaniach ryczałtowych, krzykach boleści lub szlachetnéj rozpaczy. Szukajmy cyfr.

1) Jenerał de Rieule około r. 1764 piérwszy spróbował nakréślić statystykę rolniczą Polski; pracę tę p. Edmund Stawiski uznał

---

(1) Pam. Hist. Polit. 1783, str. 365.

(2) Odpowiedź z uwagami na plantę Bankową p. Karola Glave (do sejmu), dodatek do Dziennika Handl. z r. 1790.

(3) St. Staszica Uw. n. ż. J. Zam. wyd. Turowsk. str. 131—3.

(4) Pam. Hist. 1783, str. 362. Dzien. Handl.

godną dwukrotnego powtórzenia (1). Obliczenie opiera się na autentycznym kadastrze wywozu zboża z Polski do Gdańska od r. 1734 do 1764 oraz na kombinacyach przypuszczalnych.

Rozległość Polski podaje de Rieule na 143 miliony morgów (arpents) z tych pod uprawę zboża, jarzyn, traw etc. odlicza tylko 70 milionów, a więc połowę całéj przestrzeni. Wywóz roczny Wisłą, Dźwiną, Preglem i lądem do Szląska obliczył na 1.208.375 korcy, ztąd wyciągnął ilość zbiorów:

Pszenicy	2.000.000
Żyta	8.000.000
Zboża jarego . . .	10.000.000
Razem	20.000.000 korcy na rok.

Zbiór ten pochodzi przypuszczalnie z 24 mil. morgów; do tych dolicza się 30 mil. morgów pod łąki, resztę pod len, konopie, tytuń, warzywa, etc. „A przebiegając ten kraj zobaczy się tam bydło prawie wszędzie chorowite, chude, nędzne, w zimie bez schronienia i prawie cały rok bez dostatecznego pożywienia.“

Z obliczenia tego wypadły wnioski przerażające—oto, że produkcya rolnicza Polski, owego niegdyś Egiptu Europy, ma się do produkcyi Francyi jak 1 do 4, Anglii jak 1 do 24, Holandyi i Zelandyi jak 1 do 48, i że zbiory tych dwóch ostatnich prowincyj, które stanowią ledwie 93-ą część Polski całéj, przewyższają zbiory całego tego państwa.“

Nie zapominajmy, że obliczenie de Rieul'a stosuje się do Polski całkowitéj, przedrozbiorowéj (2).

2) W granicach piérwszego rozbioru dokonał obliczenia Staszic. Ze 180 albo 200 milionów morgów chełmińskich całego obszaru oddziela téż 70 mil. morgów chełm. na ziemię użyteczną, z téj pod zboża na ziemię orną przeznacza 28 m. morgów.

---

(1) W Rocznikach Gosp. Kraj. z r. 1862 i we Wstępie do Encyklopedyi Rolnictwa r. 1872.

(2) Zresztą de Rieule podał królowi w r. 1774 inne jeszcze cyfry, znacznie wyższe na podstawie „generalnego wysiewu w Galicyi“ (2.321.715 korcy); w proporcyi mil rozległości kraju wyliczył on już 16.989.075 korcy zbóż i jarzyn oprócz prosa na sam wysiew; z tego znów Czacki licząc po 5 ziaren wyliczył 84.945.285 korcy reprodukcyi, a powiększywszy o całą połowę jakoby dla skompensowania postępów uprawy w epoce 1774—1790 r. otrzymuje Czacki na r. 1790 korcy 127.417.927½ już z potrąceniem jednego (6-go) ziarna na odsiew pól. Ale cyfra ta skutkiem dziwnego systematu rachowania w r. 1790 przestrzeni przedrozbiorowéj nie ma dla nas wagi, tém bardziéj, że oparta jest na zbyt wysokim plonie, 6-u ziaren (Czacki o lit. i pol. pr. II, 246).

Zbiór zbóż, rachując po trzy ziarna wynieść powinien	105.000.000
Pożytki z łąk, ogrodów, stawów zamienia na ziarno	52.500.000
Pastwiska i odłogi mają dać dochód odpowiadający	7.000.000
Razem cała produkcya	164.500.000 korcy

czyli 5.500.000 łasztów (brutto).

Są to cyfry bez porównania wyższe od cyfr de Rieule'a. Chociaż Staszicowi idzie o wyszukanie źródeł do podniesienia budżetu i podatków, broni się jednak od zarzutu zbyt wysokiego szacowania produkcyi, zapewnia, że brał zawsze średnią liczbę, przychylając się wszędzie „do mniejszych pożytków." Za podstawę obliczeń służyły mu inwentarze z różnych rozleglejszych majętności w województwach: Mazowieckiém, Ruskiém, Krakowskiém, Wołyńskiém i Podolskiém. Co prawda bierze on najżyźniejsze strony (prócz Mazowsza) i najlepsze, bo wielkie gospodarstwa. Zastrzega jednak, że na dochód czysty, czyli „pożytek" brał 20 korcy ze 100 urodzaju, chociaż w inwentarzach znajdował od 17 aż do 24 korcy ze 100 zebranych.

Potrącając z całéj sumy urodzaju 4.400.000 łasztów na żywność, na potrzeby chłopstwa i bydła roboczego na wysiew etc., wynajduje dochód czysty z całego gospodarstwa w cyfrze 1.100.000 łasztów, czyli 33.000.000 korcy. Nie spuszczajmy jednak z uwagi, że cyfra ta nie odpowiada powyższéj cyfrze de Rieule'a, ponieważ mieści w sobie prócz zbóż wszystkie prawie produkta z roli wyciągane i w korcach wyrażone. Redukując tedy całkowity zbiór (105 m.) podług stosunku 1 do 5, otrzymamy na czysty dochód z płodów roli (już bez łąk, ogrodów, pastwisk etc.) 21 milionów korcy, t. j. więcéj niż wyrachował de Rieule na cały zbiór ziarna bruto w Polsce przedrozbiorowéj. Pomiędzy dwoma obliczeniami mieści się wprawdzie 20 lat czasu, otwierających możność zwiększenia się produkcyi, chociażby skutkiem panującego po pierwszym rozbiorze pokoju, pomimo to jednak ogrom różnicy nasuwa nam wniosek, że jedna z tych dwóch cyfr, albo de Rieule'a, albo Staszica jest niemożliwą. Bezimienny autor „Uwag nad uwagami," polemizując wciąż ze Staszicem, zarzuca mu, że przeszło we dwójnasób powiększył liczbę morgów; na 9.250 a chociażby i 10.000 mil kwadratowych, które według autora stanowią cały obszar owoczesnéj Polski, może być morgów chełmińskich tylko 92.592.529 razem z bagnami, rzekami, drogami, lasami etc.; to też

i owe 1.100.000 łasztów czystego dochodu podaje w wątpliwość (1).

3) Znaleźliśmy w Pamiętniku Hist. Polit. z téj saméj prawie epoki obrachowanie „majątku rocznego“ w Koronie i Litwie „pracowite a na wielu dowodach zasadzone“ (2). Jedna pozycya tego rachunku mieści w sobie produkcyą rolniczą na pieniądze obliczoną, mianowicie: „2/3 produktów krajowych, które obracane bywają na handel tak wewnętrzny jak i zewnętrzny mogą być szacowane do 401.008.724 złt.“ Całkowita zatém cena tych produktów wynosi 601.513.086 złt. W téj cyfrze mieszczą się oczewiście nie same zboża, ale też siano, miody, woski i t. d.; daje się więc ona porównać z sumą całéj produkcyi roślinnéj Staszica podanéj na 164.500.000 korcy, a w któréj to sumie mieszczą się pożytki z łąk, ogrodów, stawów, pastwisk, odłogów. Ponieważ Staszic przyjmuje 5 złp. „za średnią cenę korzec w korzec jakiegokolwiek zboża,“ więc wartość jego produkcyi roślinnéj wyniosłaby 822,500.000. Więc obliczenie Pamiętnika jest mniéjsze od Staszicowego o 220.986.914 złp., czyli o 44.197.382 korce.

Oto są wszystkie materyały, jakie wynaleść byliśmy w stanie. Nie dają one zapewne ścisłych podstaw do wnioskowania, zważywszy jednak, że dziś jeszcze statystyka rolnicza pod względem ścisłości pozostawia bardzo wiele do życzenia, ośmielamy się wysnuć następne konkluzye.

1) Cyfry de Rieule'a usuwamy jako zbyt małe i niemożliwe, ponieważ 20 m. zbioru nie wystarczyłyby nawet na wyżywienie ludności przedrozbiorowéj, chociażbyśmy ją na 10 tylko milionów głów rachowali.

2) Staszica posądzamy o przesadę w przeciwnym kierunku, z pobudek, bez wątpienia nader zacnych; pragnął on wydostać jak najwyższe cyfry intrat, żeby mieć jak najobfitsze źródła do podwyższenia podatków; nadto rachunek jego oparty jest na inwentarzach najwydajniejszych majątków. Więcéj wiary budzą obliczenia Pamiętnika Hist. Polit., które w innych razach okazują się

---

(1) Uwagi nad Uwagami czyli obserwacye nad książką: Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. W Bibliotece Polskiéj Turowskiego, str. 74 i 101. Wspomina się tu, że Staszic z 1.100.000 łasztów oddziela 300.000 na potrzebę dziedziców, a na sprzedaż przeznacza 800.000, to znaczy aż 24 m. korcy. Ustępu tego jednak nie znaleźliśmy. Czacki podaje ilość włók w Polsce przedrozbiorowéj jakąś kolosalną (3.647.094)—zresztą, jak zwykle, dochodząc nie téj ilości, jaka była rzeczywiście, ale téj, jakaby potrzebną była do wyżywienia 36 i 58 miljonów ludzi czyli ludności dotychczas jeszcze nieistniejącéj I, 248.

(2) Pam. Hist. Polit. 1783, str. 486.

niezwykle trafnemi. Z tych przeto względów zmniejszamy Staszicowską cyfrę produkcyi ogólnéj roślinnéj Polski w granicach pierwszego rozbioru mniéj więcéj na rok 1784 do 120.000.000, oraz w odpowiednim stosunku cyfrę *zbioru z roli* do 76.600.000 korcy (w liczbie okrągłéj, prócz łąk, pastwisk etc.). Tą ostatnią cyfrą we wszelkich dalszych kombinacyach i wywodach posługiwać się będziemy. Produkcyi bowiem z łąk, stawów, lasów oraz ilości bydła w r. 1784 wyrachować nie jesteśmy w stanie.

Jakaż tedy treść społeczna, jaka wartość intelektualna i moralna mieści się w owych 76½ miljonach korcy rocznego zbioru zbóż i jarzyn w Polsce z epoki sejmu czteroletniego?

Nie tak straszna, jak mniema de Rieule; siła produkcyjna rolnictwa polskiego stanie do takiéjże siły w owoczesnéj Francyi, Anglii, Hollandyi nie w stosunku $1/4$, $1/24$, $1/48$, lecz 3,8:4, 3,8:24, 3,8:48, a gdybyśmy wprowadzili do rachunku uszczuplenie terytoryum skutkiem piérwszego rozbioru o 0,28, to stosunki de Rieule'a zmieniłyby się na 5,3:4, 5,3:24, 5,3:48. Tych jednak stosunków nie bierzemy za prawdziwe, ponieważ pomiędzy cyframi porównywanemi zachodzi różnica dwudziestoletniego rozwoju obu krajów. Przyznajemy, że Polska owoczesna mogła produkować zboża nieco słabiéj niż Francya, a intensywność jéj gospodarstwa była o wiele słabszą w porównaniu do Anglii i Holandyi, nie zapominajmy przecięż, że ilość bezwzględna produkcyi musiała być większa niż w tamtych krajach, skoro im zboże swoje Polska zawsze sprzedawała w mniejszych lub większych ilościach. Bez handlu zbożowego nie mogłaby istnieć, jako społeczeństwo cywilizowane, bo i czémżeby opłaciła przywóz zagraniczny?

Dla rozstrzygnięcia kwestyi stosowniejszym zdaje się nam inny siłomierz: porównanie produkcyi owoczesnéj z dzisiejszą.

Trzymając się przyjętych przy obliczeniu rozległości pozycyj, zbiéramy cyfry następujące dla produkcyi zbóż i jarzyn, z tém zastrzeżeniem, że cyfry dzielnicy obecnie do Pruss należącéj są obliczone nie podług produkcyi rzeczywistéj, lecz podług produkcyi Królestwa Polskiego ze zmniejszeniem proporcyonalném do rozległości, t. j. w stosunku 386:2312. Otrzymana tym sposobem cyfra jest niezawodnie zbyt małą, lecz posiada tę przynajmniéj zaletę, że nie zawiera w sobie wpływu kulturtregerów niemieckich na podniesienie produkcyi polskiéj (1). Cyfra wypadkowa będzie też

(1) Niepodobna z wykazów statystyki Bióra Pruskiego wyciągnąć ilości produkcyi rzeczywistéj, ponieważ podają się tam tylko ilości wyższe i niższe od zbioru oczekiwanego,

niższą znacznie od rzeczywistéj, już to z powodu metody użytéj przy obliczeniu produkcyi poznańskiéj, już dla tego, że zbiór Królestwa Polskiego w r. 1872 jest mały w porównaniu z rokiem 1873, którego jednak nie braliśmy, mając na względzie we wszystkich pozycyach tożsamość dat.

7 gubernii zachodnich Cesarstwa Rossyjskiego .	62.959.600	korcy
Królestwo Polskie	40.910.366	„
Regencya Poznańska, część Regencyi Bydgoskiéj i m. Gdańsk	6.830.186	„
	110.700.152	korcy
Potrącając: 1) proporcyonalną do rozległości (101:306) część gub. Lubelskiéj na obwód Zamojski	1.421.668	„
2) część gub. Kijowskiéj na obwód m. Kijowa	414.145	„
Otrzymamy produkcyą z roku 1872:	108.864.339	korcy

z pól ornych na przestrzeni objętéj granicami z roku 1775.

A więc produkcya owoczesna, biorąc bezwzględnie, była mniejszą od dzisiejszéj 1,45 razy. Staszic za podstawę rachunku przyjmuje 3 ziarna, gdy dzisiaj rola nasza wydaje w Królestwie 4,77, w guberniach Zachodnich 4,05, a przeciętnie 4,41 ziaren. Gdybyśmy zechcieli rachunkiem wstecznym od cyfry dzisiejszéj przyjść do cyfry 1784 przez proporcyonalne zmniejszenie w stosunku 4,41 : 3 ziaren, pokazałoby się, że powinna wypaść cyfra 74.057.360. A więc ten rachunek sprawdza z dokładnością znakomitą powyżéj wymotywowaną w drodze historycznéj cyfrę 76.600.000. Biorąc na uwagę wartość pieniężną, wiémy, że produkcya owoczesna odpowiadała sumie 383.000.000 złt.; wartość produkcyi dzisiejszéj obliczona podług szczegółowych cyfr zboża, jarzyn i kartofli na r. 1872, z zachowaniem wszystkich pozycyj powyższą tabelką objętych wynosi rs. 377.519.822 kop. 87 (1). Znajdujemy tedy w sumie ilość rubli co

---

a w wykazach gruntowych nie ma wiadomości, ile gruntów jest pod różnemi gatunkami zasiewów (patrz Stat. Jahrbuch 1876. I Hälfte str. 163). Cyfry dzielnicy rossyjskiéj brane są z Załęskiego Stat. Porówn. Kr. Pol. oraz Статистическій Временникъ 1875 Серія I Выпускъ 10; zamiana czetwerti na korce dokonana podług stosunku 1:1,64.

(1) Cyfry szczegółowe zbóż, kartofli i jarzyn brane są ze statystyki Kr. Pol. p. Załęskiego i urzędowej publikacyi Min. Spr. Wewn. (Статист. Временникъ 1875); wartość pieniężna obliczoną jest podług cen targu warszawskiego, wziętych średnio z 4-ch kwartałów podług tablicy P. Aleks. Krajewskiego, podanéj w Encyklopedyi Rolnictwa na r. 1871, I, str. 447, a mianowicie: pszenica 7 rs. 76 kop., żyto 4 rs. 73 kop., owies 2 rs. 70 k., jęczmień 3 rs. 84 k., gryka 3 r. 89 k., inne zboża jare podług cen grochu 5 rs. 35 k., kartofle 2 rs. 44 kop. za korzec. Ceny te mogą być za wysokie dla poje-

do milionów prawie równą ilości złotych w sumie z r. 1784 Gdyby wartość pieniędzy nie zmieniła się, moglibyśmy powiedzieć, że produkcya dzisiejsza większą jest 6½ razy od owoczesnéj. Tak nie jest wprawdzie; badając handel w następnym rozdziale, przekonamy się, że wartość złotego owoczesnego do wartości dzisiejszego jest 1:3,77. Tym sposobem produkcya 1784 ma wartość na dzisiejsze pieniądze 1.447.740.000 złt., gdy produkcya 1872 warta 2,516.798.819 złt.; powiększyła się zatém o całą różnicę tych cyfr czyli 1,7 razy. Ponieważ gospodarstwa naszego w chwili obecnéj do wzorowych liczyć bynajmniéj nie możemy, owszem, dochodzą nas zewsząd głosy „o upadających posiadłościach ziemskich,“ więc stan gospodarstw owoczesnych wypada uznać za bardzo zły, bo gorszy od dzisiejszego, siłę produkcyjną rolnictwa za bardzo słabą, bo słabszą od naszéj.

Jakiemiż przyczynami wytłómaczyć można ten fakt smutny, tém smutniejszy, że rolnictwo podówczas było jedyną prawie podstawą całego bilansu, całego bogactwa narodowego?

Bankierowie, jak np. Glave i Kaposztas, przypisują upadek rolnictwa brakowi pieniędzy i wysokim procentom, pobieranym przy pożyczkach. Położenie takie jużci dla rolników, tak samo jak dla innych stanów, korzystném być nie może, ale były przecięż czasy, gdy kapitały znajdowały się w większéj obfitości, gdy prawo przepisać mogło 6%, jako procent legalny i słuszny. Sądzimy więc, że bankierowie są na ten raz w błędzie, że skutek wzięli za przyczynę, że brak pieniędzy był skutkiem upadku sił produkcyjnych nie zaś przyczyną.

Skrzetuski widzi najważniejszą przeszkodę dla rozwoju rolnictwa w tém, że mieszczanie, zaniedbawszy przemysł, trudnią się

---

dynczych miejscowości i miast prowincyonalnych, lecz można je uważać za średnie, gdy zważymy, że ceny gdańskie, rygskie, a nawet odeskie są znacznie wyższe. Przytém niektóre cyfry szczegółowe urodzaju zdają sie być zbyt małe, tak np. pod r. 1872 znajdujemy, że w gubernii Wolyńskiéj kartofli zasiano 270 tysięcy czetwerti, a zebrano tylko 48 tysięcy; cyfry zaś innych gubernij nie wykazują wcale takiéj klęski kartoflanéj. Przypominamy też, że wartość produkcyi Poznańskiéj jest wyciągnięta z wartości produkcyi Królestwa Polskiego w stosunku 386:2312. Pozycye główne są takie:

7 gubernij Zachodnich	223.249.992	rs.	40 kop.
Królestwo Polskie	137.883.420	„	07 „
Poznańskie	23.012.240	„	54 „
Razem	384.095.653	rs.	01 kop.
Potrącając obwody Zamojski i Kijowski .	6.575.830	„	14 „
Otrzymamy jak wyżéj .	377.519.822	rs.	87 kop.

też rolnictwem, więc nie zakupują produktów z dóbr ziemskich okolicznych. To spostrzeżenie odkrywa bez wątpienia jednę z najboleśniejszych ran organizmu społecznego, ale przyczyn faktu ogólnego nie tłómaczy. Gdyby dwory miały taką, jak w XVI wieku przewyżkę w zbiorach, toby ją sprzedały za granicę drogami wodnemi, albo lądowemi.

Przyczyna główna, powszechna, leżała w urządzeniu gospodarstw samych, w stosunkach dziedziców i posesorów z włościanami.

Od czasu jak Turgot dowiódł kosztorysami inżynierskiemi, że przy reparacyi dróg, Francya traci co roku 40 milionów na pracy pańszczyźnianéj (ponieważ przy pracy wolnego najemnika ta sama reparacya kosztowałaby tylko 10 mil.)—ludzie, obeznani z ekonomią polityczną, nie wątpią, że pańszczyzna jest nader słabém narzędziem produkcyi rolnéj. Ale w Polsce owoczesnéj oprócz pańszczyzny istniała inna jeszcze plaga, wstrętna a niesłychanie trudna do uleczenia—niewola włościan w dobrach szlacheckich, czyli tak zwanych ziemskich dziedzicznych.

Niewola, zarzucą nam może, jestto wyraz niewłaściwy. Stosunek chłopa do pana nazywać należy „poddaństwem". Odpowiadamy na to faktem, że bezimienny „obywatel Brzeski Litewski w r. 1789 w liście, do redakcyi pisanym, proponował w prostocie ducha, żeby reparacyą dróg uskuteczniali posesorowie „swemi ludźmi lub niewolnikami." (1) I to wyrażenie przeszło bez protestacyi ze strony redaktora, nie było więc tak bardzo rażącém dla ucha owoczesnego. Spółczesny prawnik, światły, od przesądów szlacheckich wolny, X. Skrzetuski, określając stanowisko klasy włościańskiéj, powiada: „stan jéj poddaństwa mało co się różni od niewoli". (2) Różni się jednak. Dla zachowania więc dokładności prawniczéj oświadczamy ostatecznie, że niewola chłopa dóbr ziemskich w Polsce XVIII wieku nie dorównywała niewoli starożytnéj rzymskiéj servitus, ale przewyższała srogością spółczesne poddaństwo francuskie (servage), austryackie i pruskie (Leibeigenschaft).

To srogie poddaństwo, zbliżające się do starożytnéj niewoli, gnębiło nie całą masę ludności wiejskiéj pracowitéj. „Do klasy wieśniaków, podług Skrzetuskiego, należą ci wszyscy, którzy, nie będąc szlachtą, w jakiéjkolwiek natury dobrach wiejskich rolnicze

---

(1) Dziennik Handl. 1789, str 47.

(2) Skrzetuski: Prawo Polityczne narodu Polskiego. Wydanie drugie. 1787 tom II. str. 150.

zabawy sprawują, a razem do pańszczyzny lub czynszów, albo innych powinności ku dziedzicom są obowiązani". Dobra zaś dzieliły się na trzy wielkie kategorye: królewskie, duchowne i ziemskie. Owóż w dobrach królewskich robocizny i powinności dworskie były inwentarzami określone, lustracyami zawsze prawie w pięcioletnich okresach zatwierdzane, a starostom ani dzierżawcom nie wolno było zwiększać ich nad zakres inwentarza. W razie nadużyć, włościanie królewscy mogli szukać sprawiedliwości: koronni w sądach referendarskich, litewscy w asesoryach, włościanie ekonomij czyli dóbr stołowych w administracyi królewskiéj. W dobrach duchownych poddani nie mieli opieki prawnéj, ale pańszczyzna ich była mniejszą, niż u szlachty. Nawet u ziemian „w pewnych województwach" utrzymał się zwyczaj, że chłopi mieli „wyznaczoną sobie z umiarkowaniem dzienną robotę bądźto ciągłą, bądź ręczną". Lżejszą była pańszczyzna w województwach ruskich, ale w Krakowskiém, Sandomierskiém i w Wielkopolskich niektórych, ucisk dochodził do maximum. Tam gospodarze nie chcą iść na role kmiece, bo cały zarobek i wszystkie prace muszą obracać na wyżywienie i zapłacenie czeladzi, na zaspokojenie powinności dworskich. Powinności te „w Polsce są daleko cięższe niżeli w innych narodach". (1)

W istocie wiadomo, że w Anglii niewola ludu wiejskiego znikła jeszcze za Tudorów, że we Francyi XVIII wieku chłop był już właścicielem swéj roli, że w Niemczech pańszczyzna dochodziła tylko do trzech dni w tygodniu. Prawda, że i we Francyi i w Niemczech ciążyły na włościanach „prawa feudalne", których dokuczliwość Tocqueville scharakteryzował w kilku wydatnych rysach: „Wyobraźcie sobie, proszę, chłopa francuskiego z w. XVIII lub raczéj takiego, jakiego dziś znacie; bo to jest zawsze jeden i ten sam... tak namiętnie zakochanego w ziemi, że na zakupienie jéj poświęca wszystkie swoje oszczędności i nabywa za jakąbądź cenę. Żeby nabyć musi najprzód opłacić się za prawo, nie rządowi, lecz innym właścicielom z sąsiedztwa, którzy są równie prawie jak on obcy rządowi spraw publicznych i równie prawie, jak on bezsilni. Posiadł ją nareszcie i zakopuje w niéj serce swoje wraz

(1) Skrzetuski: l. c. str. 194—7. S. Staszic powiada, że „chłop więcéj zdaje się płacić w Polsce niżeli u cesarza" (austryackiego). Uwagi n. ż. J. Zamoyskiego str. 118. W pamiętniku Hist. Polit. z r. 1783, str. 366 sam, jak się zdaje, Switkowski powiada: „Stan jego (rolnika polskiego) możeż się zrównać ze stanem rolników pruskich, a dopiéroż angielskich i holenderskich"?

z nasieniem. Ten mały kawał gruntu, który stanowi własność jego na tym szerokim świecie, napełnia go dumą i niezależnością. Przychodzą atoli ciż sami sąsiedzi, odrywają go od pola i zmuszają iść na robotę gdzieś bez zapłaty. Jeżeli chce bronić swego nasienia od dzikiego ptactwa, ciż sami sąsiedzi bronią mu tego, oczekują go przy przeprawie przez rzekę, żeby upomnieć się o myto; spotyka ich znowu na targu, gdzie oni sprzedają mu prawo sprzedawania własnych produktów, a gdy, wróciwszy do domu, chce zużytkować dla siebie resztę swojego zboża, tego zboża, które urosło na jego oczach przez pracę rąk jego, musi posyłać je do młyna i wypiekać w piecu tych samych ludzi.... Cokolwiek zrobi, wszędzie spotyka na drodze swojéj tych nieznośnych sąsiadów, a gdy się załatwi z nimi nareszcie, wtedy przyjdą inni, czarno ubrani, i zabiorą najlepsze snopy z jego krescencyi. (1)

Chłop szlachecki w Polsce nie ma poczucia własności swojéj, a więc nieznaną mu jest duma. Dziedzic nie jest sąsiadem dokuczliwym, lecz panem jego.

Co do rodzajów powinności włościan szlacheckich są one jednakowe prawie z powinnościami feudalnemi Francyi i krajów niemieckich, są nawet mniéj liczne, ale rozmiary ich, zakres, ciężary nie są określone, mogą więc być większe lub mniejsze stosownie do woli, potrzeb, chciwości dziedzica, niepowściąganéj żadną normą prawną. „Przez ostatnie dwa przeszło wieki, powiada Skrzetuski, nic w materyi téj na sejmach nie uchwalono, a nawet podobno ani o niéj wspomniano“. To téż gdybyśmy sądzili tylko z prawodawstwa, dola chłopa polskiego nie wydałaby się tak straszną. Volumina Legum nie zawierają żadnéj ustawy, któraby nadawała panom władzę życia i śmierci nad poddanymi, ani nawet władzy bicia ich, sprzedawania, przenoszenia do innéj wsi i t. p. Owszém, o życie, o głowę człowieka prawodawstwo upominało się zawsze. Utrzymywał na Litwie moc obowiązującą artykuł, w rozdziale VII-m Statutu Litewskiego zamieszczony: „jeśliby który szlachcic z zuchwalstwa, opilstwa, swawolnie, umyślnie lekce poważając prawo pospolite, a pastwiąc się nad stworzeniem Bożém człowieka prostego stanu, nie szlachcica zabił, a był pojmany na gorącym uczynku, w czasie, w tymże statucie na gorący uczynek zamierzonym (rok i 6 niedziel), takowy szlachcic za słusznym dowodem

(1) Tocqueville — L'anc. régime et la révolution. 3-e wyd. 1857 str. 70, porówn 58, 59, 62. Zresztą w Niemczech pańszczyzna dochodziła w niektórych miejscach do 5. dni tygodniowo, jak pisze Beer w swojéj Historyi Handlu (tłom. rossyjskie II, 361).

ma być na gardle karan, krom głowszczyzny." Wśród największego ucisku, w XVIII wieku, Konstytucya r. 1726 dla W. X. Lit. nie wyłącza chłopów, gdy mężobójcom zabrania zasłaniać się kwitami krewnych zabitego z opłaconéj głowszczyzny, lecz nakazuje bezwarunkowo odsiadywanie wieży in fundo, a ta wieża równała się prawie karze śmierci, jak to wytłomaczył Koźmian w swoich pamiętnikach. Nareszcie uchwalone w r. 1768 prawa Kardynalne Rzeczypospolitéj Polskiéj mieszczą wyraźny przepis w art. XIX: „Jus jednak vitae et necis poddanego w ręku dziedzica być nie ma, lecz, gdy poddany kryminał popełni, do sądu ziemskiego lub grodzkiego lub miejskiego w miastach wiekszych oddany być powinien". (1)

Ale prawo to nie miało ostrza, sankcyi: na Litwie, żeby na gardle skarać szlachcica, trzeba było stawić 6-u świadków, w téj liczbie dwóch szlachty; w Koronie zaś prawo nie wskazało, do jakiego sądu kmieć pokrzywdzony ma skargę wnosić. Z tego, jakoteż z wielu innych powodów, szlachcic pewnym być mógł bezkarności i samo nawet prawo kardynalne stawało się czczym, próżnym wszelkiéj siły egzekucyjnéj morałem. Praktyka życia szła sobie samopas, a jakie zjawiska wywołał ów nieokiełznany interes indywidualny—to się najlepiéj uwydatnia w czasopismach, któremi się posługujemy.

Rzeczywistego wykonania kary śmierci przez dziedzica na poddanym nie znaleźliśmy ani jednego wypadku, ale o pogróżkach „obwieszenia" czytaliśmy dwa razy, o złém się zaś obchodzeniu, o ucisku i bezlitośném wyzyskiwaniu często. Fabułą téj tragedyi pańsko-poddańczéj jest, naturalnie, nie walka namiętności politycznych, lub religijnych, lecz borykanie się uzbrojonéj we władzę chciwości z nędzą bezbronną, zrozpaczoną, w końcu zbydlęconą. „Gorzałki, maślanki, serwatki, marchwi, buraków i t. d. pewną miarę, serów i ryb pewną liczbę w cenie niżeli w okolicy wyższéj narzucać; po odrobionych dniach kilku pańszczyzny za przyszłe tygodnie pędzić na robotę póty, póki pańskie pola i łąki obrobione nie będą, a gdy tak dosyć pana nie stanie się potrzebie, po 6 groszy za całodniową narzuciwszy robotę, czyli chcą lub nie chcą, czyli mogą lub nie mogą, łżeniem i biciem wyciskać z domów, napomykających zaś tylko o udaniu się z zażaleniem do Króla Pana a prawdziwego ojca swego w kajdany kuć, dni kilka więzić, wre-

---

(1) Vol. Leg. VI, fol. 484, str. 246, tit. Mężobójstwo, VII, fol. 600 str. 280 tit. Akt osobny drugi.

szcie obwieszeniem na gałęzi grozić, o tyranii w karach cielesnych nic tu nie wspominam: nie jestżeto nieznośniejsza, niż Algerytańskich jeńców niewolą?“ (1) Z Żytomierza prokonsul Lewandowski, donosząc o drożyźnie, upatruje przyczynę jej w tém, że zboże wywożone jest wciąż za kordon austryacki przez żydów, którzy je wykupują na wielką skalę, a wielu obywateli pozawierało z nimi umowy, że chłopi obowiązani będą sprzedawać im wyłącznie krescencyą swoję pod karą śmierci. (2) Stężyczanin wyrzeka, ża arendarze żydzi rozpajają włościan po karczmach, a potém wyznaje szczerze: „ale my sami darliśmy chłopa, tylko żydowskiemi pazurami“. A chłop napominany o pijaństwo, odpowiadał: „wszak ten grosz przez moje gardło powraca do kieszeni pańskiéj“. (3) Żydzi oszukiwali chłopów na mierze i wadze, a panowie tolerowali to. „Byle im żyd kaffę, cukier, korzenie, na domową wagę odważył, byle sukno, płótno, na domowy łokieć odmierzył, niech się co chce dzieje z ubogim ludem i uciemiężonym rolnikiem“. (4) To znów czytamy że „nawet ludzi wolnych wtrącano w niewolę przez ożenienie z poddanką lub objęcie gruntu chłopskiego.“ A gdzie indziéj chłopów wypędzano z chałup i z roli. (5) W Sandomierskiém „w czasie żniw dziedzice, poodbierawszy pola chłopom na dwór i zamieniwszy łąki na grunt, zbiérają zboża Bandosami, płacąc po 2 złp. dziennie. (6)

Gdy zważymy nadto, że bez woli pana chłop nie mógł się ożenić z dziewczyną wsi innéj, że nie mógł żadnéj czynności prawnéj w obec sądu wykonać w imieniu własném, wtedy dopiéro zrozumimy znaczenie słów Fredry, że szlachcic polski był poniekąd małym i absolutnym monarchą dla swego pospólstwa i w dobrach swoich—ale dodajmy: był złym monarchą w ogóle; chociaż sam Fredro broni się od zarzutów tyranii, chociaż szlachetność uczuć i litość nie była obcą wielu dziedzicom, chociaż pewna patryalchalna życzliwość i opieka stanowiła powszechnie uznawaną zasadę stosunku. I tę to władzę niby patryarchalną, ale właści

---

(1) „Uwagi nad wydoskonaleniem rolnictwa w Polszcze.“ Pam. H. P. 1783 str. 1147.

(2) Dzien. Handl. 1787, 656.

(3) Dzien. Handl. 1788, str. 378.

(4) Dz. H. 1788 str. 161. O rujnowaniu chłopów „przez żydków kochanych i obywateli“ pisze też Wilski pocztmistrz Tulczyński, chorąży J. K. M. Dz. H. 1787 S. 660.

(5) Pam. H. P. 1791 str. 347 i 349.

(6) Dzien. Hand. 1791 str. 452.

wie monarchiczną i despotyczną, sejm z roku 68., tym samym XIX artykułem chciał na wieki utrwalić, a więc przepis jego o zabezpieczeniu głowy kmiecia traci w oczach naszych wszelką wartość.

A chłopi? W ogóle cierpliwie i bez szemrania odrabiali pańszczyznę i uświęcone zwyczajem oddawali daniny, jak świadczy Skrzetuski, byle im nad dawne inwentarze, których oni zawsze są pamiętni, ciężarów nie przyczyniano. Na Rusi snać lud był hardziejszy, bo czujemy tam ciągłą obawę buntów chłopskich. Wiadomo, jak przeraziła posłów sejmu czteroletniego sprawa Pohrebyska, jak hojnie wynagrodzony był wierny kozak Daniło Szczerbina: ta trwoga odbija się i na korespondencyach, które nadchodziły z Rusi do czasopism. „Wojsko nasze ściągnięte za Boh, a cała Ukraina otwarta hultajom; jak się obierze jaki herszt, zginie tu szlachta mieszkająca i żydzi... Chlopi ustawicznie żądają buntu z przyczyny uciśnięcia teraźniejszego od panów i posesorów pańszczyznami i podatkami pieniężnemi... Napadli na zamek Pohrebyski, ekonoma zbili... Słychać, że po karczmach.. chłopi już Żydów dławią.“ (1) Były to jednak, jak wiemy, wieści przesadne, wylęgłe z niepokoju sumienia publicznego. Zwykle jednak, gdy ucisk w jakich dobrach stawał się nieznośnym, chłop ratował się ucieczką, a w powiatach nadgranicznych — emigracyą, za kordon!

Niewątpliwie w calėj literaturze polskiėj nie wiele się znajdzie z taką boleścią skreślonych słów, jak ustęp z Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego p. t. Polska: „Czemuż daremna myśli, która wykonaną nie będziesz, przerywasz użyteczniejsze me prace? Czemuż maro miłości ojczyzny, którėj już niemam (bo Staszic mieszkał w Pruskim zaborze) przychodzisz tak rano kłócić mėj duszy spokojność? Na cóż mi się przyda troszczyć o losy tego kraju, który stracilem i który mię bez najmniejszėj obrony w ręku gwałciciela zostawił?“ Pomimo to idzie Staszic ku granicy Rzeczypospolitėj w piękny wiosenny poranek: „polskiego oddech powietrza zdawal mi się wolniejszym, i wiatr ztamtąd niósł z sobą coś milego. Niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zieleńsze, pasterze i pasterki weselsze, chłop nawet za pługiem żwawszym tonem woły poganiał.... Tak sobie rozmyślając, postrzegłem ku polskiėj stronie, pod górą, na dole bydła, koni, wozów, kobiėt, dzieci i mężczyzn gromadę; widząc tamże rozległy na milę zapust, po którym ornych niegdy zagonów jeszcze wzno-

---

(1) Dz. H. 1788, Czerwiec, list z Ukrainy, str. 465.

siły się grzbiety, domyślałem się, że to jest nowa obsada; pobiegłem ku niéj z radością, błogosławiąc, chciałem jéj życzyć szczęśliwego początku: moja radość trwała niedługo! Usłyszałem, że to są ludzie, którzy uciekają z Polski, za granicę; z tych przyczyn, że złych mieli panów, na których sprawiedliwości nie mają; że chłop polski większy daje podatek niźli chłop zagraniczny; że za granicą obronę i bezpieczeńswo majątku ich stanu człowiek odbiéra; przychodnie podatku żadnego przez lat dziesięć nie zapłacą i ich dzieci do żołnierzy brane nie będą etc. Z żałością mówiłem do nich: a komu się uskarżycie, jeżeli nie dotrzymają wam téj obietnicy?— Odezwało się kilku razem: w tym kraju nie dotrzymać nam słowa może tylko jeden monarcha; w Polsce każdy szlachcic! Na to odpowiedzieć nie umiałem. Szczęść wam Boże! rzekłem tylko" (1).

A tymczasem w Polsce ludność była rzadka, brakło rąk do uprawy roli; rozpędziwszy chłopów rodaków, szlachta będzie teraz myślała o zwabieniu cudzoziemców! Cóż robiło w obec takiego stanu rzeczy pokolenie czynne w roku 1782—1792?

Uczuło ono całą grozę położenia. Za dowód już i to starczyć może, żeśmy najjaskrawsze fakta od tych ludzi zaczerpnęli. Pamiętnik Historyczno-Polityczny wystąpił jeszcze przed Staszicem, bo już w roku 1782 zagaił dyskussyą o stanie rolnictwa polskiego, „ale... jeżeli (polacy) gospodarstwo rolnicze tym zechcą prowadzić trybem, którego nas nauczyli ciemni a uporni przodkowie, tedy my sami z naszymi mahometańskimi sąsiadami będziemy tylko w Europie, co w téj mierze nic nie odmienimy." Potém „Myśli pewnego patryoty," znakomitém skréślone piórem, wytknęły śmiało główne grzechy narodowi, a pomiędzy innemi „uciążenie rolników" (2).

W roku 1785 znajdujemy znów „Uwagi nad sposobem wydoskonalenia rolnictwa w Polsce," których autor domaga się oświecenia, zabezpieczenia osób i majątku rolników, twierdząc, że „poddani majątku swego, równie jak ich panowie, są właścicielami" (3). Skwapliwie umieszcza wiadomości i pochwały o Brzostowskim.

---

(1) Str, 128—134. Wszakże autor Uwag nad Uwagami, mieszkający na pograniczu Galicyi, nie postrzegał tego wędrowania chłopów polskich „częściéj widziałem z cesarskich krajów wychodzących ludzi do Polski; zwiedzając zaś w 1781 r. naddnieprowe puste kraje widziałem z niemałém poruszeniem, że z naszéj Ukrainy całe gromady do Siczy na nowosiedliny przychodzili" str. 99 § 118.

(2) Pam. H. P 1782, str. 22, 92, 93.

(3) Pam. H. P. str. 1140.

W roku 1791 autor artykułu p. t. „Powody i środki do zniesienia albo sztucznego umiarkowania poddaństwa,“ wytykając rozmaite nadużycia, zaleca oczynszowanie (1). I w ogóle traktując rozliczne kwestye objęte programatem pisma, Świtkowski korzysta z każdéj sposobności, żeby rzucić słówko serdeczne za gminem kmiecym.

„Autor“ Dziennika Handlowego od razu też występuje jako gorliwy obrońca chłopów, a mniéj posiadając wyrobienia umysłowego, wyraża mniemania i uczucia swoje w formie rubasznéj. Otrzymując wiadomość o jakiémś nadużyciu, jak te, któreśmy wyżéj przytoczyli, lub upatrując w jakiémś rozporządzeniu władz związek z interesem chłopów, zawsze dodaje od siebie przypisek. Tak naprzykład:

Z powodu uwagi Lewandowskiego, burmistrza Żytomierskiego, „aby ten stan rolniczy nie był w takiéj niewoli“, autor Dziennika pisze: „Na poskromienie téj tak nielitościwéj uciążliwości poddanych, nie ma innego sposobu, jak wymienić w tém piśmie tych, co takie kontrakty czynią, i że gotów jestem dopełnić tego sposobu, oświadczam się, jeżeli jeszcze trwać będą takie uciążliwości, abym tylo miał autentyczne o tym doniesienia; bo mimo litość, wrodzoną nad bliźnimi, krzywda ztąd dzieje się całemu krajowi. Kraj każdy póty jest szczęśliwym, póki rolnictwo kwitnie, które jest fundamentem handlu, a jakżeż może rolnictwo kwitnąć, gdy szlachcic chłopa tak uciemięża? Wszakże ani szlachcic, ani pan, ale chłop jest polskiego rolnictwa filarem, a jakżeż chłop ma być dobrym rolnikiem? gdy nie tylko nie jest pewnym właścicielem tego gruntu, który wyrabia, ale nawet swojéj własności i swojego produktu, który krwawym potem uzyskał, gdy pan czyni kontrakt z żydem, że moi chłopi nie komu innemu zboże przedadzą jak tylo tobie. Żyd, mając taki kontrakt, zmusza chłopa do ceny sprzedania takiéj, jaka jemu się podoba, a nie jaka jest na targu. Nie jest że to gwałt przeciwko prawu natury? wydzierać wolność szafowania własnością swoją bliźniemu swojemu? Nie jestże to grzech przeciw prawu nawet krajowemu? Tamować wolności handlu w przedaniu komu chcąc zboża? Gwałty to są haniebne przeciw prawu natury, szkodliwe przeciw prawu krajowemu, a zatym warte zawstydzenia powszechnego. Niechby wiedziała powszechność o takich podłych obywatelach, a widząc ich taką po-

(1) Pam. H. P. 1791, 335, 353.

dłość, niechby się uczyła jak ma zaufać w powierzaniu onym urzędów i w pełnieniu posług publicznych, które zapewne tak podle będą wykonywać, jak podle są teraz dopełniane na biednych ich poddanych, a wszystkich naszych bliźnich" (1).

Komisya Łucka nakazuje wypłatę za dostarczone wojsku podwody; u dołu zaraz znajdujemy przypisek „Żeby tylo opłata za te ceduły nie dostała się dziedzicom, miasto chłopom, a potém dziedzice niektórzy, bez żadnéj gratyfikacyi poddaństwu, opłaty takowe sobie przywłaszczyli, czego zapewne prześwietne Komisye Porządkowe teraźniejsze dostrzegać będą, a znajdujących się tych podłych chciwców własności bliźniego publiczności wytkną na dowód, iż nie wszyscy w ogóle obywatele są tak podli, ale tylo w szczególe" (2).

Naturalnie, że wyczytawszy w korespondencyi Lewandowskiego o pogróżkach kary śmierci, redaktor nieomieszkał dodać przypisku: „Wszelka kara tyrańska, a bardziéj jeszcze kara śmierci, prywatną mocą wkładana, ledwo już słyszana być może w kraju pogańskim, a jakżeż może ona znajdywać się w kraju naszym, gdzie rząd ludzkości panuje, jakżeż może być w wieku 18-m, nazwanym wiekiem nauki, światła i ludzkości. Jeżeli jednak jeszcze znajduje się takie barbarzyństwo u nas, gwałtem trzebaby na wygubienie onego obmyślać środki" (3).

Jedna z Komisyj Porządkowych przeprowadza korespondencyą o poszukiwaniu zbiegłych chłopów; autor protestuje przeciwko łapaniu ich. Inne komisye ustanawiają pasporty, dla przeszkodzenia ucieczkom; wnet przypisek ostrzega „Prawda, że poddanych pewnemi będą, ale téż i to prawda, że przez ten sposób do reszty kraj na populacyi straci, bo dawniéj, chociaż ci nieszczęśliwi ludzie byli poddanymi, przecięż jeszcze mieli sposób salwowania się ucieczką od złego do dobrego pana; teraz, gdy żadną miarą uciec nie mogą, a polepszenia swéj doli od Rządu nie doczekają się, desperacya ostatnia objąć może, która nie tylo w populacyi ale i w innych widokach okropne skutki przyśpieszyć może" (4). Zachęca, aby przykład podała najprzód rzeczpospolita w królewczyznach, tudzież duchowieństwo.

---

(1) Dz. H. 1787, str. 333, 336, przypisek (a).
(2) Dz. Handl. str. 1791. str. 655.
(3) Dz. H. 1787, str. 656.
(4) Dz. H. 1790, str. 521.

„Te dwa przykłady zajmując niemal połowę dóbr w kraju uformowałyby połowę mieszkańców wolnych dotąd będących w poddaństwie acz lżejszém, aniżeli w dobrach ziemskich.... Zatrzem z wielką chlubą przed całym światem tę niesprawiedliwą plamę po różnych zagranicznych peryodycznych pismach rozrzucaną, że w Polsce ile dziedziców gruntu tylu despotów i ledwo milion tylko wolnych, obywateli, a do siedmiu milionów niewolników“ (1).

Że redaktor brał swoje przekonania na seryo, że nie poprzestawał na słowach, dowodzi zamieszczone w jego dzienniku „Doniesienie o znajdowaniu się 50-ciu głów ludzkich, potrzebujących roli do osiądzenia, uchodzących od pewnego ucisku, u jakiego litościwego Pana, ktoby więc miał miejsce do osadzenia tego biednego ludu, niech się zgłosi do Dziennika Handlowego, a dowie się o tych ludziach. Ale wcześnie Dziennik Handlowy ostrzega, że nie pierwéj powie o ich znajdowaniu się, aż się wprzódy dowie istotnie o żądającego rządzeniu się z poddanymi swymi, czy ludzkie? czy sumienne? bo jak skoroby wiedział Dziennik Handlowy, że jest tyrańskie, tedy przez sumienie nie będzie mógł ich miejsca wyjawić, boby z jednego tyraństwa wyszedłszy, pod drugie, a może gorsze dostaliby się. A że wie już Dziennik o znacznéj liczbie tak tyranów jak i pełnych ludzkości panów nad poddanymi swémi, tedy potrafi wybór uczynić dla tego poddaństwa.“

Jakoż w drugim miesiącu potém, znajdujemy zawiadomienie, że ci chłopi są już umieszczeni, a zaraz potém, że jest „sto włók do osiadania“ (2).

Korespondenci Dziennika i Pamiętnika niejednokrotnie wypowiadają swoje uznanie dla dążności redaktorów, a gdy wyszło z druku znakomite dzieło Staszica (w 1785 r.), zaraz odbiło się wrażenie jego silne i sięgające daleko. Cytują je np. burmistrze, jak Tarankiewicz z Mińska; ustęp o emigracyi chłopów był powtarzany w przypiskach i rozumowaniach.

Że praca myśli była w społeczeństwie energiczną i szybką, tego uderzającym dowodem jest fakt, że gdy sejm r. 1780 odrzucił z oburzeniem zacny projekt kodeksu Zamoyskiego z powodu poruszenia sprawy włościan, posłowie sejmu r. 1788 są już przejęci ideami, jakie literatura peryodyczna i ulotna rozniosła.

Był to plon bogaty, jeśli zważymy, że naród, chociaż się pozbył „sarmackiéj srogości,“ chociaż „poczynał mieć serce miękkie

(1) Dz H. 1790, str. 348.
(2) Dz. H. 1788, Maj 391, Lipiec 570.

i duszę dla wszystkich ludzi tkliwą" od bardzo niedawnego czasu dopiéro miał system wychowania Komisyi Edukacyjnéj, a w charakterystyce, jaką Świtkowski podał, „wstręt do nauk" figuruje jako jedna z wybitnych cech szlachty ziemian (1).

Tak więc sprawa stosunków pana z chłopem wystąpiła na widownią z całą prawdą rzeczywistości na głos rozbudzonego w narodzie sumienia, na lat kilka przed wybuchem rewolucyi francuzkiéj, która téż sprawę wywołała w pamiętną noc 4 Sierpnia roku 1789.

Ale teraz właśnie wyszły na jaw niezmierne trudności praktycznego rozwiązania kwestyi, wcielenia uznanych zasad w czyn, w urządzenia i w prawodawstwo krajowe.

Piérwsze usiłowania objawiły się w téj samćj drodze, jaką dawniéj szerzyło się ciemięztwo ludu — w drodze inicyatywy indywidualnéj.

W porządku chronologicznym zaszczyt pierwszeństwa należy się ks. Pawłowi Xaweremu Brzostowskiemu, referendarzowi W. X. Litewskiego; jeszcze bowiem w r. 1769 ogłosił on w Wilnie (w drukarni XX. Bazylianów) „Ustawy stosujące się do dobrego porządku i powinności osiadłych ludzi w dobrach Pawłowie czyli Mereczu," i takowe w dobrach swoich, niedawno nabytych, niezwłocznie wprowadzać zaczął. Celem było: przez stopniowanie zmian dojść do usunięcia pańszczyzny i folwarcznego gospodarstwa, wprowadzenie czynszów i stałych pewnych danin ściśle na pieniądze obliczonych, a nadto podniesienie moralne i umysłowe ludności wieśniaczéj, wyrobienie pojęcia prawa i własności, obudzenie ducha obywatelskiego. Szczegółowe urządzenia 4-ch wójtowstw przedstawił p. Edmund Stawiski w I tomie Encyklopedyi Rolnictwa na podstawie druków i rękopisów autentycznych; tam przeto odsełamy czytelnika. Tu nadmienimy tylko, że utworzone przez Brzostowskiego urzędy, sądy, zebrania gminne roczne i czteroletnie izby wyższéj, oraz bank z 30.000 złp. kapitału zakładowego były czynne przez cały ciąg epoki, którą się zajmujemy. W Dzienniku Handlowym znajdujemy ogłoszenia, że są w Pawłowie grunta do osiadania i kupowania, że się nowa wieś buduje, w Pamiętniku Historycznym sprawozdanie z dzieła de Carosis, który z wielkiemi pochwałami opisał urządzenie dóbr Mereckich po francusku (2), a gdy ustawa 3-go Maja ogłoszoną została, jeden z go-

---

(1) Pam. H. P. 1783, str. 593.

(2) Dz. H. 1791, 200.— Pam. H. P. 1785, str. 855.

spodarzy Pawłowskich miał mowę dziękczynną dla sejmu i króla, któremu nadaje — jest to zapewne ciekawa nowina — miano Wielkiego, „dzień bowiem dzisiejszy, w którym odbieramy wiadomość jednomyślnego od Najjaśniejszych Stanów zasad rządowych zaprzysiężenia w szanownem zadumieniu cały kraj trzymającą, a dla nas w szczególności, pracowitéj garstki, przez wspaniałe tychże Stanów zabezpieczenie łaskawych twoich nadań odnawiającą pamiątkę pod panowaniem Najjaśniejszego Stanisława Wielkiego króla; tego dnia, w którym spojrzéć raczyłeś na tę ziemię, co w czasie uszczęśliwić miałeś...“ (1).

Joachim Litawor Chreptowicz, kanclerz W. Litewski, miłośnik literatury, prawdziwy filantrop, autor Komisyi Edukacyjnéj — jak go nazywa Kołłątaj (2), w województwie Nowogródzkiém w dobrach Szczorse i Wiszniew zniósł poddaństwo, nadał włoscianom osobistą wolność, a za używalność gruntów żądał trzeciéj części plonu; oprócz szarwarków, stróży i podwód zniósł robociznę — szczegóły o nim, jako też o zacnym synu jego hr. Adamie, podali T. X-żę Lubomirski, oraz p. E. Stawiski (3). Dziennik Handlowy dowiaduje się o nim tylko ze słyszenia.

Xiąże Stanisław Poniatowski, starosta Winnicki, generał lejtnant Wojsk kor. Rzplitéj, późniéj podskarbi W. X. Litewskiego wprowadził, poczynając od r. 1777, ustawę czynszu generalnego w dobrach swoich (Korsuń), obejmujących do 400.000 mieszkańców. Do r. 1789 większa ich część była wyzwoloną. Dziennik Handlowy przedrukował wzór jego kontraktu, który „włościaninowi, żonie jego, toż dzieciom i najpóźniejszemu ich potomstwu grunta, łąki, ogrody, dom gdzie mieszka i wszystkie zabudowania, oraz dobytek jego wszelki w wieczystą oddaje posesyą.“ Wszelkie pańszczyzny zniesione, płacił się tylko czynsz w czterech ratach za kwitami, bez żadnych dodatkowych opłat (4).

Stanisław Małachowski, marszałek sejmu 4-letniego „na księstwie Ostrogskiém, Białaczowie, Rękoraju i Moszczenicy hrabia a wielu po szczególnie wypisanych wsiów pan i dziedzic“, uroczystym aktem dnia 17 Listopada r. 1790 wydanym, a przez króla zatwierdzonym, „wiadomo czyni, że... jako każdy żyjący czuje słodycz w użyciu

(1) Dz. H. 1791, str. 186.
(2) Listy Anonyma, Cz. III. str. 175.
(3) Patrz Encyk. Rol. I, 599.
(4) Dz. H. 1791, str. 434. Trochę szczegółów jest w broszurze bazimiennéj in folio z portretem Poniatowskiego, z tytułem: „O ustanowieniu Czynszu Powszechnego, z francuskiego MDCCCXIX“ (w Bibl. Uniw. Warsz. IV, 18 1/160.)

wolności, tak tę przyrodzoną chęć w nich nigdy nie pragnąc uskromnić, lecz bardziéj rozkrzewić zamyśla.“ W tym celu: 1) poddaństwo, które aż dotąd w pomienionych wsiach było, znosi a na to miejsce daje zupełną wolność wszystkim włościanom... we wszystkiém podobną i owszém równą wolnościom, jakiemi się włościanie dóbr królewskich i duchownych w Król. Polskiém zaszcycają... tak dalece; 2) że wolen będzie każden z mieszkańców, do innych nawet obcych dziedzin wynieść się (zostawiwszy grunt nie spustoszony, ale załatwiwszy dwór i gromadę); 3) włościanie wolni będą od wszelkich w dalszym czasie nowo wynaleść mianych pańszczyzn, robocizn, datków i powinności, prócz samych najmów, które dwór podług potrzeby do nich regulować będzie... i prócz tych powinności, które osobnym spisanym inwentarzem przy spisaniu ról, sianożęci sadzib wyszczególnione, a które na teraz dobrowolnie przyjęli i... ze swemi potomkami nazawsze wypełniać będą obowiązani... 5) odstąpionemi dopiero gruntami, sianożęciami, sadzibami, wolen i mocen będzie każdy włościanin, jako chcieć rozrządzać... przedawać... za wiadomością jednak dworu, który na takowe sprzedaże konsensa wydawać będzie.“ Daléj urządza zarząd gromadzki wójtów, księgi i „Pieczęć Państwa Ostrogskiego“ (1). Z inwentarza zaś widzimy, że powinności włościan były jednak dosyć liczne: „z włóki dni 4 na tydzień ciągłém“, rozumiejąc pół pługa, albo sochę, nadto bron parę, wóz parowy, albo za taki dzień ciągły dwa dni piesze odbyć; przędziwa motków 4, matów sztuk 60; podorożczyzny, stróża, szarwarki; najem obowiązujący w zakresie 150 morgów dworskich na 300 włościan z wynagrodzeniem także podług stałéj taksy za dzień ciągły po gr. 26, za pieszy po 13, kobietom po gr. 10. Za to do każdéj siedziby włócznéj daje się pod zabudowania morgów 2, sianożęci morgów 4, na półwłóczną połowę téj ilości; a na czetwertynę ćwierć; przy cerkwi odznacza się morg ogrodu dla dziaka. Włościanie jednak widocznie byli z tych warunków zadowoleni, dowiadujemy się bowiem z Dz. H., że ludzie z dóbr jego nie zbiegają, owszem gruntu tam ledwo nastarczyć można (2).

Urządzony też był stosunek czynszowy w dobrach ordynata hr. Andrzeja Zamoyskiego. Szczęsny Potocki na pamiątkę pobytu

---

(1) Dz. H. 1791, 342. Wzór dobréj ekonomiki St. Małach.

(2) Dz, H. 1792. 41—57 1790 str. 629. Czacki (O lit. i p. pr. II, 164) oznacza zwykłą cenę w r. 1790—2 dnia ciągłego na 26, pieszego na 18 gr., ale na Polesiu, Rusi i Ukrainie dzień ciągły cenił się tylko 18, a pieszy 12 gr.

króla St. Augusta w Tulczynie uwolnił i uwłaszczył mieszczan tulczyńskich. O urządzeniach Stanisława Potockiego, oraz Ignacego Massalskiego w Ihumeniu roku 1774 wiadomości nie mamy. Znanym z dobroci dla włościan swoich był Aug. Aleks. ks. Czartoryski, o którym ksiądz Jezierski powiada, że chciałby jego być chłopem, gdyby miał się chłopem polskim urodzić. Autor Uwag nad Uwagami wspomina téż o innych przykładach, „gdzie w piérwszéj rzewliwości sentymentów ludzkości tych nędzarzów od pańszczyźnianych robót uwolniono, a musiano się do dawnych zwyczajów wrócić, kiedy chłop nietylko daniny oddać nie mógł, ale téż tak się opuścił, że go jeszcze wsparciem od zguby potrzeba było ratować (1).

Ze strony rządu notujemy nasamprzód dobry uczynek króla St. Augusta; jeszcze przed r. 1774 postanowił on i uprzywilejował w Sądach swoich Asesorskich i Referendarskich Patrona ludzi ubogich, który, przyzwoitą pensyą z własnego JKM. Skarbu opatrzony, obowiązany jest utrzymywać sprawy w tychże sądach ludzi ubogich bez brania żadnéj od nich nagrody (2), i z téj obrony korzystano w praktyce. Z Dz. H. dowiadujemy się, że w roku 1788 toczyły się w Asesoryi dwa procesy o tyranią nad chłopami. Referendarya Koronna wydała „ordynacyą o powinnościach, porządku, opłacie włościan wszystkich królewszczyzn,“ którą Dz. Hand. zaleca jako wzór do naśladowania. W istocie, powinności są ograniczone do 8 dni pieszych, lub 4 sprzężajnych z włóki chełmińskiéj; budowle i grunt uznane za własność gospodarza, który je nawet mocen jest sprzedawać za wiedzą dworu, byle nie mniejszemi częściami jak ćwierć włóki (3).

Komisya Skarbu Koronnego, ogłaszając licytacyą na dzierżawy dóbr biskupstwa krakowskiego, dodaje: „gdyby chłop z przyczyny złego obchodzenia się posesora, lub jego rządcy z dóbr uszedł, że posesor odpowiadać skarbowi będzie obowiązanym, komisya ostrzega (4).

Komisya Policyi Obojga Narodów w uniwersale względem emigracyi pisze: „J. Kr. M. zalecił, aby, gdy z powodu nowo

(1) Kraszewski—Polska w czasie trzech rozbiorów, t. II, str. 278, 276. Uwagi nad Uwagami str. 50 § 65,66.

(2) Skrzetuski prawo polityczne II. str. 162 przypisek.

(3) Dz. H. 1790, str. 298—317.

(4) Uniwersał kom. Sk. Kor. 11 Lutego r. 1790.

ogłoszonych za granicą wolności, jako li téż z doświadczanych od niektórych właścicielów i posesorów uciążeń, wielu mieszkańców krajów rzeczypospolitéj za granicą osiada, przesłała téż komisya do Kom. Wojskowych rekwizycye, a do Miast Wolnych Rzeczypospolitéj zalecenia, iżby te zachęcały obywatelów do jak najsprawiedliwszego z włościanami obchodzenia się (1).

Poczucie winy względem stanu włościańskiego i chęć naprawy objawiła się silnie w sejmie czteroletnim, a mianowicie w stronnictwie reformy. Na przekształcenie rządu i na utworzenie wojska nie starczyło zasobów dawnemi budżetami przewidzianych. Ujrzał się przeto sejm zmuszonym zawezwać naród do ofiar dobrowolnych „na naglące potrzeby", dnia 17 Grudnia r. 1788, i otworzyć we wszystkich kancelaryach grodzkich, cechach, kahałach, plebaniach i kantorach, przez komisye skarbowe urządzić się mających, przyjmowanie ofiar. Te miały być przesyłane co miesiąc do Komisyj Skarbowych, a imiona ofiarodawców miały być zapisywane w Voluminach legum. „Dla pospólstwa", wyznaczone były plebanie. Rezultat jednak tych składek był zapewne bardzo mały, w Konstytucyach bowiem sejmu czteroletniego znajdujemy tylko zaznaczone ofiary panów (2). Przekonano się tedy, że taka zbieranina składkowa do kombinacyj finansowo-politycznych wystarczyć nie może, i w r. 1789 sejm przystępuje do podwyższenia podatków, które zresztą noszą przeważnie nazwę ofiar. Tak 28 Stycznia, jednorazowo nakazano dziedzicom i posesorom dóbr wszelkich ziemskich i duchownych w Koronie zapłacić kominowe z zastrzeżeniem, że podatek ten jest nałożonym na dwory, nie na rolników, a na sławném posiedzeniu dnia 6 Kwietnia roku 1789 uchwaloną została jednomyślnie „ofiara wieczysta prowincyów

(1) Dz. H. 1792, Dołączone do zeszytu dnia 1 Marca.

(2) 9-go Grudnia r. 1789 Joachima Potockiego, starosty trębowelskiego 300-tu gemeinów z ubraniem i uzbrojeniem; 24 Sierpnia t. r. Nestor Sapieha zrzeka się funduszów, należnych mu od skarbu W. Ks. Litewskiego; 17 Września t. r. Jan Potocki, poseł poznański, 10.800 złp. rocznie, Radziwiłł regiment piechoty i po dwie armaty do każdego batalionu w nim; 17 Marca r. 1790 Walicki, kasztelan Rawski, 20 procentów dochodu z dóbr Mogilnica; 11 Stycznia r. 1791 Jędrzéj Ordynat Zamoyski 200.000 złp.; Małachowski marszałek Sejmu 12 armat, Szczęsny Potocki 24, Potocki starosta Olsztyński 6 armat. Regiment królewicza 2 armaty. Przy etacie wojska znajdujemy darowanych armat 48; 8 Października 1789; nadto 30 Czerwca 1791 rycerstwo ks. Kurlandyi i Semigalii ofiarowało 12 armat 6-funtowych; 15 Maja 1792 Karol de Manteuffel, obywatel X-wa Żmudzkiego, 12 sztuk 3-funtowych; 31 Maja miasta Kurlandyi i Semigalii 12 armat.

Obojga Narodów na powiększenie sił krajowych," którą opłacać miały wszystkie dobra ziemskie dziedziczne w stosunku $1/_{10}$ części stałych i pewnych intrat. Potém, 27 Lutego roku 1790, uchwalono znów ofiarę podwójnego podymnego z zastrzeżeniem, aby ją tylko dwory płaciły i z nakazem, „aby tego pilnowano." Nie wymieniamy ofiar króla i duchowieństwa, opodatkowanego teraz w wyższym stosunku, bo do 20 i 30%.

Wyraźne wyłączenie rolników od opłaty podwyższonych podatków należy policzyć na zasługę stronnictwu reformy i przytém na zasługę samodzielną, nie czekało ono bowiem na przykład podany przez Stany Generalne francuskie w nocy 4-go Sierpnia, gdy przeprowadziło swoje uchwały już w Styczniu i Kwietniu.

Ogół dziedziców i posesorów, jak łatwo przewidzieć się daje, nie był tak dalece przejęty duchem ofiarności i zasadami sronnictwa reformy; to też dowiadujemy się rychło, że w wielu miejscach zrzucono ten ciężar na poddanych, ale Komisye Porządkowe Cywilno-Wojskowe czuwały już nad wykonaniem prawa, ponieważ sejm zleceniami swojemi (np. 15 Kwietnia r. 1790) napominał je. Dowiedziawszy się o podobném nadużyciu, pociągały one winnych do odpowiedzialności. Tak z sumaryusza czynności Komisyi Łuckiéj dowiadujemy się, że ona w dniu 15 Maja r. 1790 wezwała jednego obywatela do wytłómaczenia się. Pozwany wyjaśnił, że podatek kominowy był przez samych tylko czynszowników zapłacony. W d. 25 t. m. i r. instygator komisyi toczył sprawę z Cyryną Rzążewskim i Mijakowskim o narzucenie podatku na] włościan; dekret nakazał zwrot tego podatku i wykonanie nastąpiło natychmiast. Komisya powiatu Bracławskiego w dniu 14 Kwietnia rozesłała uniwersał o składaniu podatku przez dwory, a nie przez rolników, ułożoną w wyrazach „pełnych ludzkości"; a nawet z morałami dla szlachty (1).

Pomimo to we wzajemnym stosunku dwóch stanów nie dostrzegamy widocznego polepszenia i też same komisye do najpilniejszych zatrudnień policzyły sobie obmyślenie urządzeń paszportowych, któreby przeszkodziły włóczęgowstwu i zbiegowstwu chłopów. Szczególnie komisya powiatu Bracławskiego odznaczyła się finezyą pod tym względem, nakazywała bowiem, aby pasporta były wydawane na rok, na kilka miesięcy lub tygodni, a nawet, żeby jadący powozami mieli w pasporcie umieszczony opis tego

(1) Dz. H. 1790 str. 434, 487, 546, 548.

powozu i traktu, jakim jechać mieli. Na głównym szlaku zalecała stawiać warty dla pytania o pasporty. Kupcy zagraniczni mieli poddawać się formalnościom pasportowym na komorze: „doświadczenia bowiem uczą, iż wielu bez interesu w kraj wjeżdżają z jednym człekiem, albo sami tylko, a tu, ludzi pod pozorem służby przyjąwszy, wywożą zagranicę i na zaludnienie pustych krajów onych zaprzedają... Trafiać się i to zwykło, iż, pod pozorem najęcia podwód, ludzie, wyjechawszy zagranicę, zwykli już do swego domu nie powracać.“ Żądać więc nakazano poręki, że niezawodnie powrócą. Na przedstawienia komisyj i sejm musiał słownie zlecić komisyi wojskowéj, aby komendy na granicach stojące „poddaństwo od wychodu z kraju wstrzymywały.“ Taż komisya Bracławska rozséła „List Sekretny do Obywatelów tegoż powiatu,“ w którym zaleca pomiędzy innemi, aby „nieskwapliwie, nie z gwałtem, ale z roztropną powolnością szukali sposobów odebrania broni od poddaństwa“ (1).

Nareszcie ustawa rządowa, nosząca datę 5 Maja r. 1791, zawiera, pomiędzy innemi, rozdział czwarty p. t.: Chłopi włościanie. Kilkadziesiąt wierszy poświęconych téj olbrzymiéj sprawie obejmują następne zasady: „1) włościan pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc, iż odtąd jakiekolwiekby swobody, nadania lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swych autentycznie ułożyli, czyliby te swobody, nadania i umowy były z gromadami, czyli téż z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, pod opiekę rządu krajowego podpadający... nietylko jego samego (właściciela), ale i następców jego... wiązać będą. 2) Nawzajem włościanie obowiązani będą pełnić wszelkie zobowiązania umową objęte. 3) Zawarowawszy tym sposobem dziedziców przy wszystkich pożytkach od włościan im należących, a chcąc jak najskuteczniéj zachęcić pomnożenie ludności, ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi tak nowo przybywających jako i tych, którzyby, pierwéj z kraju oddaliwszy się, teraz do Ojczyzny powrócić chcieli... jak kto stanie na ziemi Polskiéj, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego jak i gdzie chce, wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę, lub czynsze, jak i dopóki się umówi, wolny jest osiadać w mieście lub na wsiach, wolny jest mieszkać w Polszcze lub do

---

(1) Dz. H. 1790, str. 549, 550, 551, 552, 451, 568, Komisyi Łuckiéj str. 285, 286. Obwieszczenie Komisyi Policyi Obojga Narodów względem emigracyi 1 Marca 1792. O paszportach téż Komisya Chełmska. Dz. H. 1790, str. 463.

kraju, do którego zechce powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął.“

W rozwinięciu Ustawy Rządowéj sejm czteroletni uchwalił prawa p. t.: Sejmiki, Sejmy i sądy sejmowe (d. 8 Maja t. r.), Straż (6 Czerwca), Komisya Policyi (24 Czerwca), Urządzenie wewnętrzne miast wolnych Rzpltéj w Koronie i W. X. Lit. (30 Czerwca), wysadził Deputacyą do zredagowania księgi praw Cywilnych i Karnych (Codicis Civilis i Criminalis tegoż dnia), O sądach miejskich, oraz Asesorskich (6 Października), Komisya skarbowa Ob. Nar. (29 Października), Sąd Ziemiański (10 Stycznia r. 1792), Sąd Trybunalski Kor. i W. X. Lit. (21 Stycznia), Gotowość do obrony pospolitéj (17 Kwietnia) etc. Ustawy jednak specyalnéj, dotyczącéj włościan nie znajdujemy aż do ostatecznéj limity owego sejmu w dniu 31 Maja r. 1792. Są jednak okoliczności, które nie pozwalają uznać przytoczonego wyżéj krótkiego artykułu o włościanach za ostatni wyraz myśli i woli sejmowéj w téj materyi. Sądzimy raczéj, że do wydania prawa szczegółowego zabrakło czasu sejmowi, albo przynajmniéj stronnictwu reformy, tak samo, jak zabrakło na wydanie Księgi Praw Cywilnych, któréj projekta widział Czacki, a nawet na zredagowanie własnych uchwał, chociaż Deputacya Redakcyjna z Kołłątaja, Chreptowicza, Zakrzewskiego etc. była wysadzoną jeszcze w d. 8 Stycznia r. 1792 (1).

Doniosłość praktyczna tych zasad nie mogła być wielką. Ustawa legalizowała drogę prywatnéj inicyatywy, z dotychczasowych zaś pojawów wnioskowaćby należało, że droga taka byłaby długą, a czy doprowadziłaby do powszechnego i pomyślnego rozwiązania sprawy włościańskiéj? temu, zdaje się, zaprzeczyć można. Zyskiwali naprawdę tylko obcy przybysze i wracający z zagranicy zbiegowie, którym ustawa nadawała bezwarunkową wolność osobistą. Cała zaś masa włościan, która chaty pilnowała, nie mogła się cieszyć rzetelném prawem i poczuciem wolności.

Żeby wszakże ocenić sprawiedliwie ze stanowiska historycznego to dzieło, należy wziąść na uwagę jeszcze kilka względów.

Nasamprzód, czego od prawodawstwa żądali owcześni ekonomiści i pisarze polityczni?

Uczony Skrzetuski, wykazawszy historycznie i z zupełną szczerością, jak wielką krzywdę wyrządziła włościanom szlachta, położył w końcu konkluzye nader oględne. Twierdzi on, że dzieło

---

(1) Czacki. O lit. i pol. pr. Powyżéj przytoczone prawa znajdują się w egzemplarzu konstytucyj r. 1788 –1792, który należał do Komisyi Skarbu Kor.

uwolnienia rolników „bez przyzwoitego przygotowania nie może być uskutkowane, a zatém ani przedsiębrane być powinno“; że próby dotychczas robione były nieudątne, z powodu nierządności chłopów, że potrzeba, żeby szkółka parafialna ukształciła ich, żeby im wmawiano rządność i trzeźwość. Chce nawet przed rozpoczęciem reformy, aby przeszkody zawadzające dotychczas odbytowi rolnych produktów, uprzątnionemi były, a miasta i miasteczka w ludność i handel, rzemiosła i rękodzieła zakwitły (1).

Zacny Andrzéj Zamoyski w projekcie swego kodeksu uwalniał tylko piérwszego i trzeciego z synów chłopskich do nauk, kunsztów i rzemiosł, uznając, że dwoch koniecznie musi pozostawać na roli.

Dziennik Handlowy wiele i energicznie pisze o szkodliwych skutkach ucisku, o potrzebie nadania wolnością chłopów, powołuje się na prawo natury, ale programatu żadnego nie formułuje; Stężyczanin domaga się oświaty dla ludu. „Jakoż widzimy po wielu miasteczkach (dziedzicznych), że panowie trzymają swym kosztem dyrektorów dla nauki... Ksiądz, pastor zachęca, szkółkę daje, dyrektora sprowadza, ale ten posiedzi, widzi, że nie ma nic do czynienia, dzieci nie dają do nauki, nie płacą, musi pójść za chlebem.“ Domaga się więc autor przymusu, składki na nauczyciela, a przytém woła: „niechby pan uwolnił ich od poddaństwa i zabezpieczył ich prawem“ (2). Wyszogrodzianin powiada téż: „Żeby jak najprędzéj z serc chłopów wygładzić sarmatyzm i nienawiść na zawsze wygluzować ku panom, potrzebaby po wsiach ustanowić nauczycielów“ (3).

Pamiętnik Historyczno-Polityczny w „Uwagach nad sposobem wydoskonalenia rolnictwa w Polsce“ domaga się oświecenia, oraz zabezpieczenia osób i majątku rolników (4). Autor wygłasza nawet zdanie, że „poddani majątku swego, również jak i panowie, są właścicielami.“ Autor zaś artykułu, p. tyt.: „Powody i środki do zniesienia, albo słusznego umiarkowania poddaństwa“, żąda oczynszowania (5). W 25 broszurach, których treść podał p. W. A. Maciejowski w swojéj „Historyi Włościan“, znajdujemy żą-

---

(1) Prawo Polityczne II str. 210, 211, 213.

(2) Dz. H. 1788, 374—376 pismo Stężyczanina o potrzebie poprawy losu mieszczan i poddaństwa.

(3) Dz. H. 1788, 545 Wyszogrodzianina: O sposobach załatwienia zawad handlu fabryk ludności i rolnictwa przez sejm następujący.

(4) Pam. H. P. 1784, str. 1145.

(5) Pam. H. P. 335—353.

danie o pozwolenie włościanom nabywania własności ziemskiéj i to z „pewném określeniem“, o przyznanie im własności tego, co zapracują, o przystęp do sądów krajowych, o ustanowienie magistratur dla chłopów, a jeden z autorów gotów jest nawet przypuścić ich do sejmu, „kiedy się oświecą“ (1). Tylko z niewyraźnéj wzmianki Skrzetuskiego dowiadujemy się, że byli tacy, którzy chcieli nadać wolnością i dziedzictwem poddanych, pańskie nawet grunta między nich podzielić i na czynsz puścić.

O ile mi wiadomo, najjaśniéj określił i w szczegółach najsystematyczniéj rozwinął sprawę włościańską Kołłątaj, (który, jak wiadomo, był jednym z najczynniejszych i najbardziéj wpływowych przywódców stronnictwa reformy w sejmie), w projekcie pisanym r. 1789, drukowanym zaś w r. 1790 (2). Na czele tego znakomitego projektu w Rozdziale I-ym, pomiędzy „Prawami Kardynalnemi na prawie natury zasadzonemi“, umieścił on § 1 w tych wyrazach zredagowany: „Wszelki człowiek w Państwach Rzeczypospolitéj zrodzony, zamieszkały, albo przychodzień, wolny jest. Wolno mu podług Praw Boskich i praw tego kraju używać sił własnych i majątku swego, jak tylko najlepiéj dla siebie sądzi. Żaden człowiek drugiego człowieka mocą własną lub zmowną imać nie może, ani komu innemu do tego pomagać, tém bardziéj szkodzić bliźniemu swemu na majątku, osobie lub życiu.“ Paragraf ten, godny rozdziału I Kodeksu Napoleona, jest przeprowadzony ściśle i w paragrafach dotyczących stanu włościańskiego, mianowicie w Rozdziale VIII: „byle tylko człowiek osiadły lub zamieszkały uwolnił się z pod obowiązków kontraktu na siebie dziedzicowi lub właścicielowi funduszowemu danego, wolen będzie od wszelkiéj innéj dziedzica lub właściciela funduszowego uzurpacyi; dla czego prawo o Emancypacyi, przeciwne prawom Boskim i z ohydą wolnego narodu napisane, a wolność człowieka ciemiężące, zupełnie znosiemy, i że żaden człowiek w Państwach Rzeczypospolitéj zrodzony, osiadły, zamieszkały lub przychodzień téjże Emancypacyi nie potrzebuje, deklarujemy“ (§ 19). Więc za zabójstwo włościanina, za zgwałcenie żony lub córki, dziedzic nietylko płaci 2.000 grzy-

---

(1) W. A. Maciejowski. Historya Włościan. Warszawa r. 1874 broszury: Głos poddaństwa do stanów sejmujących (str. 341), O poddanych polskich 1788, (st. 354). Pytanie czy do doskonałości konstytucyi Politycznéj państwa naszego koniecznie potrzeba, aby gmin miał cząstek w prawodawstwie (str. 369, 370), Uwagi praktyczne o poddanych polskich względem ich wolności i niewoli 1790; może Butrymowicza? (str. 379, 380).

(2) Tytuł: Prawo Polityczne narodu polskiego.

wien rodzinie zabitego, ale i „karze śmierci podpadnie; wszyscy zaś rolnicy ze wsi takiéj, jeżeli zechcą, wyjść mogą“ (§ 13). Za srogie kary i okaleczenie dziedzic może być skarżony do sądu, który wymierzy nań karę 1.000 grzywien (83.500 złp.), a nadto pokrzywdzony bez względu na warunki kontraktu, mocen będzie wyjść ze wsi dziedzica z całém swojém pokrewieństwem“ (§ 12).

Ubezpieczywszy tym sposobem wolność i nietykalność osobistą włościanina, Kołłątaj utrzymuje wszakże zależność jego polityczną i ekonomiczną od dziedzica. „Wszelki dziedzic w dobrach swoich dziedzicznych... jest piérwszą krajową zwierzchnością nad ludźmi w dobrach jego osiadłemi i zamieszkałemi (§ 1). Urządza przeto sądy dworskie dla spraw pomniejszych i pozwala im karać plagami do pewnéj liczby prawem oznaczonéj, więzieniem kilkudniowém i karą pieniężną do pewnéj summy. „Wszelkie zaś przestępstwa, wyciągające kar większych, czyli przestępstwa główne mają być odesłane do sądu, na ten koniec w powiecie ustanowionego“ (§ 15). Stosunki ekonomiczne miały być oparte na kontraktach, inwentarzach i dobrowolnych umowach dziedziców z gromadami lub pojedyńczymi włościanami (§ 1); osiadły więc włościanin, t. j. na gruncie pańskim gospodarujący, „zostaje pod dobrodziejstwem inwentarza, kontraktu i prawa“ (§ 4). „Grunt do czasu nadany nazywa się lennością doczesną, a grunt nazawsze nadany nazywa się lennością wieczną“ (§ 6). Warunki wykonywania i rozwiązania umowy, są kilkoma paragrafami określone, § zaś 16 reasumuje te wszystkie warunki w następnych wyrazach: „Wolność człowieka, osiadłego we wsi dziedzica, na tém zależy, iż kontrakt lub inwentarz powinien mu być wiernie dotrzymany, iż majątek jego ruchomy i nieruchomy nie może być przez nikogo onemu odebrany, chyba gdyby był dłużnikiem, iż tym majątkiem podług upodobania swego rozrządzać i długów sobie należytych, komukolwiekby je pożyczył prawnie dochodzić może, iż spadek po jego krewnych jemu tylko samemu należy, iż do postanowienia jego nikt się wdawać nie powinien, iż zupełnie jest wolen ożenić się z kim chce i gdzie chce, iż dzieciom swoim takie wychowanie dać może, jakie najlepsze dla nich widzi; nakoniec, iż we *wszelkim sądzie* bądź z dziedzicem ziemi, na któréj osiadł, bądź z kim innym sam bez wszelkiéj asystencyi czynić może o swoję należytość i bezpieczeństwo.“

Chciał nawet Kołłątaj, aby pospólstwo wiejskie miało trzech obrońców czyli Tribunos plebis w sejmie z każdéj prowincyi; obie-

rać ich jednak radził ze szlachty—zapewne przez wzgląd na potrzebę wykształcenia do sprawowania takiego urzędu (1).

Można więc zredukować głosy prasy owoczesnéj do trzech żądań: 1) oświaty przez szkółki parafialne i ustanowionych przez władzę nauczycieli; 2) wolności osobistéj; 3) własności. Piérwszemu z tych punktów czynił zadość sejm 4-letni, uchwalając 15 Grudnia r. 1789, aby plebani „chowali bakałarza pod karą 50-ciu złotych.“ Co do drugiego, sejm słowa wolność nad całą rzeszą włościan polskich nie wyrzekł, zapewniając tylko opiekę prawa i rządu, sądzimy jednak, że gdyby nie był zmuszonym czynności swoich przerwać, musiałby wypracować, w rozwinięciu Ustawy Zasadniczéj, Prawo o Włościanach i zapewne przyjąłby może z pewnemi modyfikacyami projekt Kołłątaja, jak tyle innych wniosków jego już był przyjął. Co się tyczy 3-go żądania — własności, to nie było sformułowaném jasno przez żądających, a prowadziło do labiryntu powikłań ekonomicznych. Najlepsi przedstawiciele stanu dziedziców: Poniatowski, Małachowski, Zamoyski, nie rozumieli wyrazu własność włościańska, tak jak my ją dzisiaj rozumimy w znaczenie rzymskiego dominium. Było to właściwie tylko posiadanie wieczyste, obciążone pewnemi obowiązkami względem dworu; jest to raczéj empfiteuzys, lub jak oni nazywają, lenność, ale nie własność. Nikt, zdaje się, z reformatorów owoczesnych nie mógł przypuścić myśli takiéj, iżby można było pozostawić chłopów przy siedzibie i gruntach włościańskich, obdarzyć ich tytułem własności i zrzec się wszelkich robocizn, lub przynajmniéj czynszów na rzecz dworu, boć następstwem takiego przewrotu byłaby, jak się zdawało, doraźna ruina całego gospodarstwa narodowego. My, cośmy się już tego ciężkiego kamienia z piersi pozbyli, rozumimy dzisiaj, czém jest uwłaszczenie włościan, ale przykład wszystkich rządów europejskich i przeprowadzenie téj reformy w kraju naszym świadczą, że możliwą była tylko przy pomocy kredytu publicznego, który właśnie Polsce owoczesnéj znanym nie był. Nic więc dziwnego, że stronnictwo reformy w sejmie czteroletnim nie ośmieliło się dotknąć strony ekonomicznéj stosunków włościańskich. Mężowie stanu muszą się rachować przedewszystkiém z możnością. Czyliż mogli wśród tylu trudności położenia politycznego podnosić taką sprawę, która rządom dziewiętnastego wieku zabierała dziesiątki lat, wśród społeczeństwa, które szybkie wprawdzie postępy zrobiło, ale jeszcze w roku 1780

(1) Anonyma Listy do Stan. Małachowskiego 1788, cz. III, str. 204.

kodeks Zamoyskiego odrzucało? Trzeba było zresztą oglądać się na tradycyą prawną, a właśnie jedno z praw kardynalnych z r. 1768 zastrzegło, że „Całość dominii et proprietatis stanu szlacheckiego, nad dobrami ziemskiemi, dziedzicznemi i ich poddanymi, według praw statutowych nigdy odejmowana ani zmniéjszana być nie ma“ (1). To téż w ustawie 5-go Maja wypadło zamieścić wyrażenie: „Zawarowawszy tym sbosobem dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących...“ Przytém stronnictwo reformy słyszało wciąż zarzuty, że dąży do demagogii, a śmielszy krok zrobiony na drodze reformy praw stanu miejskiego, stał się jednym z głównych punktów oskarżenia w ustach stronników reakcyi.

Nie należy téż zapominać, że sejm składał się wyłącznie tylko ze stanów zainteresowanych w téj sprawie jednostronnie, opierających całą egzystencyą swoję na pracy włościan. Przypomnijmy sobie, że sejm węgierski, podobnie złożony, uchwalił w r. 1741, że opodatkowanie szlachty nigdy nie powinno być przedmiotem obrad, a w r. 1765 odmówił wszelkiego udziału w proponowanym przez rząd regulowaniu stosunków pomiędzy chłopem, a dziedzicem, że powyższa uchwała co do wolności od podatków zachowywaną była aż do r. 1847 (2). Nawet Fryderyk II, pomimo całego ogromu władzy nieograniczonéj, energii i zdolności umysłowych, nie był w stanie znieść poddaństwa w Prusach z powodu oporu szlachty swojéj (3). Kwestyą ekonomiczną rozstrzygnął radykalnie tylko sejm francuski, w nocy 4-go Sierpnia roku 1789. Ależ tam działał stan trzeci, który nie posiadał dóbr ziemskich, a który w parę lat późniéj szlachtę swoję wypędził lub gilotynował. Pod względem zaś ekonomicznym, jak przyznają dzisiaj Francuzi, ten przewrót zadał dobrom ziemskim szkody niepowetowane (4).

Zważywszy te wszystkie trudności, wnioskujemy, że i najszczerszy przyjaciel ludu polskiego nie rzuci kamieniem w tych ludzi, którzy stanowili stronnictwo reformy, i że przed trybunałem historyi mężowie ci w każdym razie pozyskają wyrok uniewinnienia, tak jak sąd przysięgłych angielski wydałby niewątpliwie werdykt: not guilty.

---

(1) Vol. leg. VII folio. 600, str. 280.

(2) Graf Joh. Mailath, Geschichte des östereichischen Kaiserstaates. T. 5, str. 87.

(3) Stenzel, str. 312 i Beer w Hist. Handlu, tłóm. ross. II, 383.

(4) Brèches irréparables, patrz Ch. Vogel: Du Commerce et des progrès de la puissance commerciale de l'Angleterre et de la France. Paris, Berger 1864, I, str. 57.

Niemniéj jednak zaznaczyć musimy, że na stan ekonomiczny na produkcyjność rolniczą, działalność stronnictwa reformy mogła wywrzéć wpływ chyba bardzo mały, niedostrzegalny. Pisma zamieszczały wiadomości i rozprawy o gospodarstwach wzorowych. Pamiętnik Historyczno-Polityczny naprzykład pisał o użytkowaniu ugorów, podawał tabelę płodozmianu (1). Od Walańskiego dowiadujemy się, że na Podolu kartofle około r. 1787 były rozmnożone; w korespondencyi Dziennika Handl. czytamy, że w mieście Smorgoniach można miéć na zasiew żyto egipskie, zboże Opatrzności, pszenicę turecką, jęczmień angielski (2). Sam nawet Świtkowski sprowadzał, poraz piérwszy zapewne, koniczynę z Anglii, drogą przedpłaty po cenie trzy złote od funta, a ktoś przysyłał umyślnego do Warszawy po tę koniczynę aż o 50 mil (3). Był nareszcie „projekt generalnéj kompanii krajowéj Ekonomicznéj pod znakiem św. Izydora Oracza;“ kompania ta miała roztrząsać kwestye gospodarcze, układać wzorowe przepisy rządcom i „dozorcom, od właścicieli postanowionym nad poddaństwem, gruntami i ogrodami,“ drukować dzieła kompanistów, sprowadzić „robaczki jedwab robiące“ i t. p. Projekt był już spóźniony i do skutku nie przyszedł, podobnie jak starania i układy względem Towarzystwa Ekonomicznego, czynione jeszcze w r. 1782 przez króla Stanisława Augusta (4). Najwięcéj pomocy możnaby się było spodziewać po Banku Narodowym, który według projektów miał otworzyć kredyt dla rolnictwa, po którym i Pamiętnik H. P. spodziewał się „umniejszenia ciężaru biednym polskim chłopom“ (5). Niestety! i te projekty urzeczywistnić się nie zdążyły. Nastały czasy nieustannych prawie wojen, które na rolnictwo nową, a ciężką klęskę sprowadziły. Odezwy kwietniowe Naczelnika z r. 1794 za włościanami świadczą tylko o życzliwości i dobrych chęciach jego, ale reformy rdzennéj nie zapowiedziały; szkodliwemi nawet się okazały, ponieważ wymagały wielkiéj, a nierównomiernéj i ekonomicznie rujnującéj darowizny (6). Tym sposobem wiek XVIII pozostawił pokoleniom

(1) Pam. H. P. 364 818.
(2) Dz. H. 1787, str. 6 i 11.
(3) Pam. H. P. 1784, str. 634.
(4) Dz. H. 1791. 377. Pam. H. P., 1782, str. 22.
(5) Pam. H. P., 1786, str. 302.
(6) Redukowały pańszczyznę do połowy i oznaczały jéj maximum na dwa dni, bez względu na obszar gruntów, na dawniejsze urządzenia gospodarcze, na spłatę po-

potomnym i niewolę ludu, i nędzę pod strzechą wiejską, i rolę niepłodną, choć żyzną, pomimo szczérych usiłowań garstki ludzi, którzy rozumnie myśleli i czuli szlachetnie. Zbyt ciężkim był grzech narodu, aby mógł być zmazanym przez kilkoletnią pracę tych ludzi.

V.

Co to był handel polski ku końcowi XVIII wieku?

Oddawna rozróżniano handel zagraniczny i wewnętrzny.

Główne cechy piérwszego mogą być zawarte w jednym obrazie. Oto, szlachcic ziemianin, mający dobra swoje w pobliżu jakiéjkolwiek rzeki spławnéj, ładował produkta swojéj gospodarki na statki, komiegi, byki, łyżwy, galery, kozy, pobitki (do płótna), i poséłał do portu morskiego—cała prawie Korona i „nadbużne lądy" do Gdańska, Wielkopolska Notecią i Wartą dalej ku Szczecinowi, Żmudź i Litwa do Królewca Niemnem i do Rygi Dźwiną; Dniepr i Dniestr nie miały żadnego prawie znaczenia pod względem handlowym, dopóki wiodły ku stepom tatarskim i morzu wyłącznie do Turków należącemu. Dla tego to pomimo ogromnéj obfitości zbóż Ukraina była ubogą.

Sam dziedzic nigdy prawie transportowi nie towarzyszył; posélał tylko szypra, który znów rzeką nie zawsze płynął, lecz końmi jechał—do Gdańska naprzykład. On to sprzedaje cały ładunek i zakupuje potrzebne dla dziedzica towary zagraniczne, a ponieważ bywa źle płatny, więc szuka zysków ubocznych: sprzedaje taniéj, kupuje po wyższéj, niż należy, cenie, biorąc od kupców gdańskich podarunki, a tym sposobem nietylko pohula sobie po miejskich szynkowniach, ale i do dom powróci z workiem dobrze naładowanym. Komisantów w miastach portowych Polacy nie mieli (1).

Inni ziemianie, ci najbardziéj, którzy daléj od rzeki mieszkali, statków nie mieli i z żeglugą oswojeni nie byli, woleli zboże sprzedawać kupcom miejscowym z odstawą do Buga, Wieprza, Narwi i t. p. Do znaczniejszych kupców zboża hurtowych w r. 1790 należeli: w Lublinie Bęnjamin Fineke, do którego należały prawie

---

winności. Co do tekstu odezwy, zachodzi zresztą wątpliwość: inaczéj brzmi tekst przytaczany przez W. A. Maciejowskiego w Hist. Włośc. na str. 222 z datą 7 Maja r. 1794 z obozu pod Połańcem; inaczéj znów w Odezwach i Raportach ogłoszonych przez P. Nabielaka, wydanych przez księgarnią Luxemburską w Paryżu II, str. 22—24.

(1) Dz. Handl. 1791 str. 467—476 artykuł p. t. Jak są potrzebni komisanci etc.

wszystkie pale i spichlerze na Bugu i Wieprzu; Dawid Heyzler; Weber; mniéj zamożni podobno mniéj rzetelni (1).

W końcu jeździli żydzi po dworach i na miejscu zakupy czynili.

Obraz ten mógłby być ożywiony poetycznemi barwami Flisa Klonowiczowego, bez obawy zgrzeszenia anachronizmem; dla uzupełnienia winniśmy tylko dodać, że, oprócz wodnego, istniał téż handel zagraniczny lądowy. Zimą do Królewca przybywa nieraz w jednym dniu sanek polskich 500—600, a stojących bywa 3—4.000 (2). Od ściany wołoskiéj, tureckiéj i cesarskiéj, handel mógł być prowadzony tylko drogami lądowemi: tak samo, jak z Krakowa do Cieszyna na Morawy. Do Szląska i Brandenburgii szły koło m. Skaryszewa, pod Radomiem, różne towary w mażach: słoniny, łoje, sadła, kasze, oleje, płótna, skóry, wełny, len, konopie; całe lato idą wielkie zgony wołow i stada koni z Ukrainy, Podola, Wołynia, Moskwy i Wołoszczyzny „zgoła wielka komunikacya handlowa kraju.“ (3).

Handel wewnętrzny odbywał się na targach miejskich i jarmarkach, których wyliczać nie widzimy potrzeby, z niewielkiemi bowiem zmianami możemy je znaleźć w dzisiejszych jeszcze kalendarzach. Obrazek, czyli raczéj małą ilustracyjkę handlu tego rodzaju, znajdujemy w broszurze z r. 1790 „Jarosza Kutasińskiego (podobno F. Jezierskiego), szlachcica Łukowskiego, Uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polszcze.“ Kutasiński był jednym z 6-ciu synów podlaskiego szlachcica, który miał rolę o 9¼ tylko korcach wysiewu, a „gdy kupił żelaza, naczynia rolnicze, obuwie i sól, już wolny był od wszystkich potrzeb domowych.“ Jeden z synów „że był najmłodszy w latach i najsłabszy w zdrowiu, a zatém do pracy rolniczéj niezdatny, poszedł do szkół.“ Drugi „bawił się przekupowaniem nabiału, jajec i drobiu, nabywając tego towaru na wsiach i przystawując do Warszawy na zarobek.“ Na noclegu spotkali się bracia ze szlachcicem z Ukrainy, który szedł przy stadzie wołów;

---

(1) Dz. H. 1789 str. 472, 1790, str. 192—195, 330.

(2) Pam. H. P. 1782, 323.

(3) Zapewnia o tém Cieciszowski, biskup kijowski, zachęcając włościan do osiadania na gruntach Skaryszewskich. Dz. Handl. 1788 str. 573. Jest to zapewne ta sama droga z ziem Ruskiéj i Bełzkiéj (przez Rubieszów, Krasnystaw, Lublin, Kazimierz, Zwoleń do Radomia, a ztąd w dwóch rozgałęzieniach ku Szląskowi i Wielkopolsce, o któréj mówi przywilej Kazimierza Jagiellończyka r. 1455. Poznaniowi dany, oraz konstytucya r. 1565 Vol. Leg. II, 707.

ten sobie przyniósł flaszę cynową, gorzałki i obwarzanków, które wziąwszy, z pomiędzy nich pokazał większy od drugich i powiedział: otóż to takie obwarzanki za Bugiem koło Sokala pieką, a tu im bardziéj się zbliża ku Warszawie, tém chléb drobniejszy: nie masz kraju, jak nasza Ruś! Ja z bratem jadłem jaja twardo gotowane, sér, chléb razowy i trochę jeszcze słoniny święconéj, co pozostała po świętach" (1). Miéjmy wszakże na uwadze, że od najdawniejszych czasów, a przynajmniéj od statutu Warteńskiego r. 1420 ten właśnie handel zajmował uwagę królów, sejmów i pisarzy naszych bardziéj niż handel zagraniczny.

Przechodząc do epoki, która przedmiot naszych badań stanowi, musimy zaznaczyć, że skutkiem pierwszego podziału Polski, widownia handlowa uległa ważnym przeobrażeniom, a mianowicie: 1) skutkiem oddzielenia Galicyi, ustały bezpośrednie stosunki z Węgrami, a zamiast łańcucha Karpat, rząd cesarza Józefa II wyciągnął linią graniczną z szeregiem komór celnych, strzegących niezmiernie surowego systematu protekcyjnego, albo nawet prohibicyjnego; 2) że na mocy traktatu z Rossyą z r. 1775, żegluga na Dźwinie uznaną była za wolną od cel, a tym sposobem Ryga zaczęła przyciągać handel Litwy północnéj; 3) że skutkiem wojny rossyjsko-tureckiéj, zakończonéj traktatem r. 1772, część stepu Czarnomorskiego przeszła pod panowanie Rossyi, że w r. 1779 założoném zostało m. Cherson, i Ukraina mogla teraz wieść zboże swoje na południe; 4) że na głównéj arteryi komunikacyjnéj w Koronie, mianowicie na Wiśle, zasiadł urząd pruski na komorze Fordon i pobierał 12% od wszystkich transportów idących z Gdańska lub do Gdańska, folgując tylko statkom, płynącym do Pruskiego Elbląga, które płaciły 2 od sta. Wielkopolanie, spławiający swoje produkta na dorzecze Odry, mieli płacić 2%, sprzedawać wszakże mogli tylko podług taksy pruskiéj, ale wszelki tranzyt opłacany był 12%.

Wejrzyjmy teraz w szczegóły, poczynając od handlu wewnętrznego, żeby poznać jaki był ruch towarów, ceny ich, oraz wartość pieniędzy.

Ruch towarów i produktów zależy nasamprzód od stanu komunikacyj. W XVII wieku naturalnie o kolejach żelaznych nie może być mowy, ale i dróg bitych było w Europie niewiele. Nawet we Francyi, stan dróg prowincyonalnych był opłakany,

---

(1) Str. 11, 36, 39.

ż wyjątkiem kilku traktów królewskich, wysadzonych szeregami topoli, które jednostajnością swoją nużyły angielskiego podróżnika. Do r. 1776, po tych drogach toczyły się tylko dwa dyliżanse i przychodziła poczta, potrzebująca 8 dni na przebycie przestrzeni od Wiednia do Paryża.

Dziennik Handlowy w r. 1786 wie o 14 gościńcach, czyli traktach pocztowych, mianowicie: z Warszawy 1) do Krakowa, 2) Grodna, 3) Torunia, 4 Poznania i Wschowy, 5) Lublina i Kamieńca Podolskiego, 6) do Wrocławia, Wartemberga i Drezna, 7) Dubna, Zasławia i Chersonu. Nadto z Grodna szła droga, 8) do Mitawy, 9) do Wilna, 10) do Smoleńska, 11) z Dubna do Berdyczewa, 12) z Lublina do Krakowa, 13) z Wilna do Połocka, 14) z Poznania do Piotrkowa. Opis tych dróg, z wymienieniem miast, wsi i miasteczek, stanowi przedmiot szczególnéj troskliwości redaktora, w zupełności jednak dokonanym nie został. Są to drogi odwieczne, o których czytamy w konstytucyach 1525, 1569, 1611 r., chociaż w niekompletnéj liczbie, brak bowiem dróg do Węgier i traktu Lwowskiego, utraconych wraz z Galicyą, drogi z Litwy do Lublina, zapewne mniéj uczęszczanéj i w pocztę nie zaopatrzonéj, oraz kilku dróg wielkopolskich, które zapewne utracić musiały dawne znaczenie, skutkiem otworzenia nowych komunikacyj wodnych przez Fryderyka II i upadku Frankfurtu nad Odrą.

Prawodawstwo Rzplitéj dość pilnie zajmowało się drogami, ale głównie ze względu na dochody celne, aby kupcy komor nie objeżdżali. Co do utrzymania zaś, znajdujemy w XVI wieku tylko jeden artykuł (50) Konstytucyi Sejmu Lubelskiego obojga Narodu Uniowanego, z roku 1569, nakazujący lustratorom gościńce spisać i „drogę na 10 łokci dla furmanów i pędzenia wołów wymierzyć.“ Zresztą pozostawiony był dozór i reparacya dróg, utrzymanie grobel i mostów właścicielom gruntów, którzy za to pobierali od przejeżdżających cła i myta. Jeszcze konstytucya r. 1764 pozostawia mostowe i grobelne i ustanawia tylko skalę opłat: „gdzie są kosztowniejsze mosty i groble nie więcéj jak od konia i wołu po groszy 3, a gdzie mniéj są kosztowne, po 2 lub 1 groszu“ podług taryfy przez Komisyą Ekonomiczną przepisanéj; „spaśnego zaś od wołu czyli konia, od tychże ludzi kupczących, gdzie będą popasali grosz 1, a zaś od noclegu groszy 3 na pastwiskach, za wyznaczeniem przez dziedziców lub posesorów brać wolno będzie.“ Konstytucya zaś r. 1768 na skutek „użaleń“ wielu obywateli, że za tak mały dochód utrzymywać mostów i grobel nie mogą, pozwoliła

podwoić opłaty na mostach i groblach nad półtorasta łokci długości mających (1).

Posesorowie i dziedzice, jak łatwo domyśléć się można, nie dość starannie włożony na nich obowiązek pełnili. Widać to z zachwytu jakiegoś korespondenta, gdy ujrzał trakty pocztowe przez cesarzową Katarzynę przeprowadzone: ,,Kto znał kraj Białoruski przed zakordonowaniem rosyjskiém? ...Pierwéj widział tam drogi wązkie, błotniste, kamieniste, błędne, tysiącznym niebezpieczeństwom i niewygodom podległe, słowem jedném, były tam takie drogi, jakie są teraz nasze polskie, a najbardziéj żmudzkie. Teraz... wszędy od miasta do miasta sądowego proste, szerokie na sążni kilka; mostami i groblami tak są opatrzone, że nogi prawie zamoczyć nie można, rowami po bokach ciągnione, za rowami stecki dla pieszych, we dwa rzędy drzewem wprost wysadzone, słupami oznaczone wiersztу i mile, na tychże słupach opisano, którędy, dokąd i wiele mil" (2).

Wszakże w chwili rozbudzenia się narodu, pokazało się, że i ten system utrzymywania dróg krajowych może z czasem wydawać niepospolite dzieła. Dziedzice i posesorowie zrobili własnym kosztem i staraniem między r. 1778 i 1784 dwa bardzo trudne gościńce przez bagna poleskie, mianowicie trakt pińsko słonimski i pińsko-wołyński. Zasługa inicyatywy i wykonania robót przyznaną być musi podstaroście i miecznikowi powiatu pińskiego, późniéj posłowi na sejm czteroletni, Mat. Butrymowiczowi. Biografią tego z wielu względów znakomitego człowieka napisał Jul. Bartoszewicz w Encyklopedyi Orgelbranda (większéj); my więc poprzestaniemy na kilku informacyach, ze spółczesnéj korespondencyi zaczerpniętych. Jeden trakt był poprowadzony od Słonima do Łachyszyn i Koziki do Pińska w prostym kierunku, przez co droga 30-milowa skróconą została do mil 17-tu; przez rzekę Jasiołdę wypadło usypać groblę na ćwierć mili długą, któréj pręt kosztował po złotych 12; mosty wypadły mniéj więcéj po zł. 60; wszystkie groble zajęły prętów 5821, mostów zbudowano 101. Koszta poniesione były po części przez hetmana Ogińskiego, posiadającego obszerne dobra w Pińszczyźnie, po części przez samego Butrymowicza, jako posesora dóbr pojezuickich Pohacie, a po części przez różnych obywateli. Otwarły się tym sposobem bezpośrednie, krótsze komunikacye z Brześciem, Grodnem, Warszawą (mil 48), Nieświeżem, Wilnem,

(1) Vol. Leg. II, f. 787 str. 97, VII f. 35 str. 22, f. 161 str. 79, f. 671 str. 313.
(2) Dzien. Hand. 1786, str. 85.

ale do Mińska, ponieważ groble koło Chotymicz i Lubaszowa nie były zrobione, „trzeba jechać mil z ośm samemi brodami i wybojami, a więc tylko zimą albo w najsuchsze lato.“ Na trakt wołyński dał tenże hetman Ogiński 20.000 zł., oraz drzewo i faszyny z puszcz, a kopaczów z wiosek. Wiadomo, że temi samemi groblami przejechał w r. 1784 król Stanisław August do Krystynowa, dworu Butrymowicza, który wyprawił wspaniałe przyjęcie z bramami tryumfalnemi, iluminacyami etc. a na pamiątkę téj uroczystości ogłosił wolność od ceł i myt za przejazd na lat cztéry. Późniéj, książę Stanisław Poniatowski przejechał tymże traktem z całym swoim dworem aż na Wołyń (do Dubna). Była téż krótsza, ale wyborna grobla Szczytowéj (1).

W ogóle nie należy lekceważyć udziału szlachty w sprawach tego rodzaju. Mikołaj Tarło, za Zygmunta Augusta, własném staraniem „z miłości dobra powszechnego“ oczyścił Niemen. Około r. 1787 Kosakowski, wojewoda witebski, uspławnił rzekę Świętą, wpadającą do Wilii. W latach przed 1783, hetman Michał Ogiński własnym kosztem przekopał między Szczarą i Jasiołdą kanał, który do dziś dnia nosi jego nazwisko. Książę de Nassau w r. 1783 sam eździł po rzece Dniestrze, rozeznawał spław, ofiarował się na sejmiku Podolskim zrobić mapę hydrograficzną rzeki i pomniejsze zawady usunąć; jakoż w r. 1786, mapa była już zrobioną i województwu Podolskiemu darowaną, jak donosi Darowski, poseł na sejm. Staraniem króla Stanisława Augusta i kosztem skarbu jego, ale zdaje się téż ze szkatuły prywatnéj, nie z funduszów rządowych przekopanym został, w latach 1778—1783, 8 milowy kanał Królewski, czyli dnieprsko-bugski, łączący Wisłę z Dnieprem za pośrednictwem Buga i Muchawca z jednéj, a Piny i Prypeci, z drugiéj strony (2).

Tym nowym kanałem piérwszy puścił się ze swemi dziesięcioma „szuhalejami“ znów tenże Butrymowicz, w r. 1784 wiozący słoninę, wędlinę, zboże etc. do Warszawy i Gdańska. Kazał szyprowi złożyć w grodzie Warszawskim świadectwo magistratu Pińskiego prowadzić dokładny dziennik podróży, który następnie został przedłożony królowi i podany do druku w pismach.

Jakkolwiek dzieła takie świadczą o znacznem uzdolnieniu szlachty do samorządu, to przecięż puszczenie całéj sieci komunikacyj krajowych na opiekę osób prywatnych nie mogło odpowie-

(1) Dzien. Handl. 1786, str. 393—403. Opis traktów pińskich, 1787, str. 293.
(2) Pam. H. P. 1782, str. 317. Dz. Handl. 1787, str. 441, 1786, str. 374—377.

dzieć wymaganiom dobrze urządzonego państwa. Dziedzice i posesorowie okazują też zbyt wielkie zamiłowanie do pobierania ceł i myt, do stawienia „kół“ na drogach, zapewne bez słusznego prawa, albowiem konstytucye sejmowe od XV aż do XVIII w. nieustannie walczą z tém nadużyciem. Zaledwo kanał Muchawiecki został ukończonym, aliści ziemianie, dwaj właściciele i posesorowie dóbr nadbrzeżnych, porobili groble, które żeglugę o tyle tamowały, że trzeba było wyładowywać statki i towar lądem koło grobli przewozić.

Chcąc tedy zrozumieć naturę handlu owoczesnego, powinniśmy zapomnieć o szosach, drogach żelaznych, żegludze parowéj, któremi i nas już obdarzył wiek XIX, a do kombinacyj swoich wprowadzić, jako element stały, wielką trudność komunikacyj, szczególnie lądowych. Województwa: Mińskie, Wołyńskie a nawet okolice zadnieprzańskie czekały zimy, żeby przewieźć saniami swoje produkty do przystani nad rzekami Szczarą lub Wiliją (1). Podnosiło to niewątpliwie koszta transportu, pomimo znacznie niższéj, niż dzisiaj płacy furmanom i flisom, a przedewszystkiém tłumaczy nam tę gwałtowną różnicę cen, jaką w różnych częściach kraju spostrzeżemy, a jaka dziś byłaby niemożliwą (np. że w Kijowie podczas zjazdu Kaniowskiego funt mięsa płacono po złotemu, jedno jajo po 15 gr. a cielę po 15 rubli).

Ceny pszenicy, wyjęte z raportów i tabel Dziennika Handlowego, są następujące:

Rok	*Warszawa*	*Kraków*	*Wilno*		*Ruś i Ukraina*
	korzec	korzec	beczka	korzec	korzec
1786	16 złp.	—	60 złp.	17 11/15 złp.	9 zł. Żytomierz, 8 Winnica, 12 Kamieniec.
1787	18 „	12½	76 „	22½	12-16 złp. Żytomierz, 8-10 złp. Tulczyn
	—	13	90 „	26⅔	
	19 „	—	120 „	35 8/15	
1788	19½	21	100 „	29¼	16 złp. Kamieniec
1789	18 „	20	90 „	26⅔	
	26 „	17	108 „	32	
1790	25 „	—	96 „	28 6/15	
1791	20 „	—	60 „	17 11/15	
	15 „				

(1) Pam. H. P, 1782, str. 324.

1792	15 „	12	48 „	$14^1/_5$
	17 „	14		
1793	15 „	12		

W innych miastach ceny pszenicy stosują się mniéj więcéj do miast głównych prowincyi: [tak Mińsk ma ceny podobne do wileńskich, a czasem niższe w stosunku $^2/_3$ (w r. 1787), Sandomierz trzyma z Krakowem, Poznań o $^1/_3$ tańszy jest od Warszawy (w r. 1790), a Kalisz ma ceny prawie żytomierskie. Kupcy lubelscy płacili w r. 1789 z dostawą na Wisłę po 22—23 złp., na Bug 18—20 złp., na Wieprz 16—18 złp. Żyto kupowano tylko na Bug po 13—15 złp.

Ceny żyta podług tegoż Dziennika Handlowego:

Rok	*Warszawa* korzec	*Kraków* korzec	*Wilno* beczka	*Wilno* korzec	*Ruś i Ukraina* korzec
	z ł o	t y	c h		z ł o t y c h
1786	11	9	42	$12^{12}/_2$,	9 Żytomierz, $5^1/_2$ Winnica Kamieniec,
1787	13	$10^1/_5$	52	$15^1/_3$	12 Żytomierz, 6 Tulczyn
	16	$12^1/_2$	60	$17^7/_9$	16 „ 7 „
	—	—	$89^3/_5$	$26^1/_2$	
1788	—	16	—	—	
	$13^1/_2$	17	68	$20^4/_{27}$	
1789	13	$16^1/_3$	56	$16^{16}/_{27}$	
	11	$15^1/_3$	54	16	
	15	15	64	19	
1790	15	—	44	13	
1791	$15^8/_{15}$	—	26	$7^2/_3$	
1792	$8^1/_2$	$7^1/_2$	$18^2/_3$	$5^1/_2$	
	$10^1/_2$	11	64	19	
1793	9	$8^4/_5$	—	—	

Najważniejszemi dla nas są ceny warszawskie, podług nich bowiem obliczaliśmy wartość produkcyi r. 1872. Biorąc tedy ceny żyta, tudzież pomijając dwie pozycye: najwyższą (16 złp.) i najniższą ($8^1/_2$ zł.), otrzymujemy z 8-letniego okresu cenę średnią dla Warszawy 12 zł. $16^3/_5$ gr. za korzec (czyli $12^8/_{15}$ złotego). Porównywając tę cyfrę z ceną r. 1871, jako ostatnią z opracowanych i drukiem ogłoszonych, mianowicie 4 r. 73 kop., czyli złp. 31 gr.16 (czyli $31^8/_{15}$), otrzymamy stosunek złotego przeszłowiecznego do dzisiejszego jak 1 do $3^3/_4$ (dokładniéj: 1:3,7695). To znaczy, że w okresie 1786—1793 r., za 1 złoty można było kupić tyle żyta, ile teraz (w r. 1871) kupujemy za $3^3/_4$ zł. Podług zasad rachuby, w statystyce przyjętych, stosunek cen żyta przyjmuje się za normę do

oznaczenia wartości pieniędzy; mówimy zatém i za podstawę do dalszych obliczeń przyjmujemy, że 1 złp. z lat 1786—1793=3.77 złp. z r. 1871.

Widzimy nadto że w r. 1786 na Podolu cena jest dwa razy niższa jak w Warszawie, że, na przednówku r. 1787 w okolicach Wilna, grasuje widocznie głód, korzec pszenicy dochodzi do 134 złp. na dzisiejszą wartość pieniędzy, a żyta przeszło 100 złp., kiedy w Warszawie pszenica dochodzi zaledwo 71½, a żyta 60⅓ złp., że w ciągu lat 8-u w jedném i tém samém mieście—Warszawie, ceny pszenicy mogą się podwajać, a w Wilnie ceny żyta podnieść się prawie 5 razy; nareszcie, że średnia cena pszenicy w ciągu tego okresu dla Warszawy jest 19 zł. 2 gr. za korzec, a dla Wilna 21 złp. 25 gr. (1), żyta zaś: dla Warszawy 12 zł. 16³/₅ gr. dla Wilna 15 złp. 20 gr.

Co do innych gatunków zboża niech wystarczy określenie stosunku ceny przez Czackiego (przy znanych tablicach cen gdańskich) żyta do owsa, jak dwa do 1, a pszenicy do żyta, jak 4:3. Nie mam zresztą w swoich materyałach dostatecznych danych do bliższych określeń. Przytoczymy tylko parę przykładów charakterystycznych. „Komisarze do ułożenia prowiantów dla wojsk rosyjskich" w r. 1787, urządzając magazyny w Berdyczowie i Pohrebyszczach, płacili za owies (12.000 korcy) po 6 złp., za krupy jaglane po 26 złp. od korca. Było to dobrym interesem dla kilku powiatów, niedawno bowiem podolanin Darowski uskarżał się, że na Podolu stoją „ogromne stogi pastwie robaków bez sposobu sprzedaży zostawione", że za robotę oddają tam połowę plonu. (2) Gdy zaś sejm czteroletni nakazał urządzenie magazynów prowiantowych dla wojska polskiego wyznaczoną była cena dla tychże miejscowości po 8 złp. za korzec żyta i 3 złp. za korzec owsa, „jako przy obfitości zboża tanność mających" — niewątpliwie bardzo niska jednocześnie bowiem po dworach płacono 5 złp. za korzec z transportem. A jednak oficerowie skarżyli się, że z powodu oddalenia magazynów, niektóre komendy wolały zakupować prywatnie u obywateli, niż posełać swoje wozy po złych drogach o mil 8 (3). W Wilnie w r. 1792, wojska rosyjskie płaciły tylko po 4 złp. za

---

(1) Zamiana beczek litewskich na korce warszawskie dokonaną jest podług stosunku 108:32, podług dziennika bowiem Handlowego (1786 str. 524) beczka litewska równa się 3 korcom i 12 garncom warszawskim czyli 108 garncom.

(2) Dz. Handl. 1787 str. 659. 1786 str. 376.

(3) Głos pułkownika Zajączka w Dz. H. 1791 str. 65—77.

owies, a siana wóz po złotemu, co zresztą uważano za cenę zbyt niską, za nadużycie. W istocie, w tablicy przez Czackiego, na podstawie dzieła Hawra i notat Łojka, sporządzonéj znajdujemy że wóz siana *cztero* konny w r. 1780 cenił się 32 złp. (1)

Mięsa funt kosztował w Wilnie w r. 1792 tylko 4 gr., w Warszawie zaś, podług taksy marszałka w. k. Mniszcha z r. 1790 d. 7 stycznia, w r. 1793 7½ gr. (gorsze gatunki do 6½), a w Krakowie 7 i 8 groszy.

Wieprz lepszy w Warszawie w r. 1787 aż 108 złp., cielę 18 złp.; krowę ceni Czacki w 1780 po 32 złp.

Masła funt w Wilnie w r. 1787 kosztował 20 gr., grzybów bunt 5 złp., wódki garniec 3 złp. W Warszawie i Krakowie ceny te musiały być wyższe, przynajmniéj co do masła, które Czacki ceni w r. 1780 na 38 złp. faskę, a więc prawie 1 złoty za funt. (2)

Robotę szewcką, podług taksy r. 1767, porównajmy z cenami r. 1872 obliczonemi przez jednego z dobrych majstrów warszawskich (P. Wójcickiego).

	Ceny 1767		1872	
	na ówczesne pieniądze:	na dzisiejsze pieniądze:	cena rzeczywista:	
Buty z czerwonéj, kajsarskiéj i żółtéj skóry	26 zł. 12 g.	98 zł. 26 gr.	46 zł. 20 gr.	(rs. 7)
Buty niemieckim krojem . . .	23 » 26 »	90 » —	?	
» robotą czarną polską, sakowe czarne	10 » 15 »	39 » 15 »	35 « —	(r. 5 k. 25)
Robota cienka białogłowska:				
Trzewiki drojetowe	9 » —	34 » —	?	
» z pięknéj sakowéj szlichtowanéj skóry, wywracanki .	5 » —	18 » 24 »	12 » —	(» 1 » 80)
Robota gruba czarna:				
Buty z 2 podeszwami i cholewami długie rybackie juchtowe . .	13 » 15 »	50 » 12 »	80 » —	(» 12 —
Buty chłopskie o jednym szwie .	8 » —	30 » 4 »	35 » —	(» 5 » 25)
» » o dwóch szwach .	7 » —	26 » 12 »	30 » —	(» 4 » 50)
» » z podlejszéj skóry	6 » —	22 » 18 »	24 » —	(» 3 » 60)

Tę taksę radby Dziennik Handlowy przywrócić, żeby zdzierstwo szewców w roku 1792 ukrócić (3). Należałoby więc dla epoki

(1) Dz. Handl. 1790 str. 389. 1792 str. 236 nast. Czacki o lit. i pol: prawach: I, 200.

(2) Dzien. Handl. 1792, 235, 269, 332, taksy rzeźników Mniszcha przy Dz. H. 1. 1793 oraz w samym Dzienniku 1790, I, 78. Czacki, o lit. i p. p. I, 200.

(3) Dz. Hand. 1792, str. 26—32.

1782—1792 r. podnieść taksę; z drugiéj strony znów trzebaby wziąść większy nieco stosunek pieniędzy. Gdyby to się dało wykonać ujrzelibyśmy niewątpliwie, że cena butów zwyczajnych, czarnych, pozostała prawie bez zmiany, cena zaś obówia ozdobnego zmniejszyła się skutkiem zniżenia ceny safianów; ale obecnie skóry lepiéj są wyprawiane, więc obówie stało się trwalszém i tańszém w ogóle.

Cennik fabryk żelaznych Jezierskiego, kasztelana Łukowskiego, z r. 1791 szacuje żelazo w sztabach lub w osiach i drągach po 38 zł. za cetnar od 160 funtów, stal in crudo po 12 zł. za funt, rafinowaną dwa razy po 18, a 3 razy po 20 zł. za funt; pałasze w troistych gatunkach po 5 złotych, bułaty zaś po 8; siekiery dla wojska wielkie stalone po 6 zł., motyki po 4 zł., łopatki holenderskie po 3 zł. (1).

Z fabryk prochowych pod Krakowem w r. 1788 sprzedawano (2).

Kamień (32 funt.) prochu, zwanego wiedeńskim .	zł.	54
" " " kurkowym . .	"	48
" " " leszczyńskim .	"	44
" " " muszkietowym .	"	40
" " " armatnim . .	"	38

Cenę dnia ciesielskiéj roboty w Krakowie oznaczył Czacki na 2 zł., a zapłatę parobka na 72 zł. rocznie w r. 1780. Ceny te podnieść należy o połowę do 3 i 108 zł., ponieważ Czacki rachuje po 12 zł. na 1 czerwony zł., w latach zaś 1783—1792 rachowano pospolicie po zł. 18 na 1 czerwony złoty. Dla naszéj epoki i takie jeszcze byłyby zapewne za niskie i cieśla nie wyżyłby przez rok ze swoją rodziną.

Dla uzupełnienia tych materyałów do obrazu życia powszedniego z owych czasów podajmy jeszcze dochód z kamienicy warszawskiéj, na ulicy Piwnéj, blisko zamku, proponowanéj w r. 1787 do sprzedania. Ma ona na dole sklep z jedném oknem na ulicę, izbę szynkowną na tyle z jedném oknem na podwórze etc.; komorne wynosi cz. zł. 60 rocznie (1.080 zł.); na pierwszém piętrze pokój do przyjęcia gości, zwierciadlany, na ulicę z trzema angielskiemi dubeltowemi oknami szkła czeskiego, z kominkiem, piecem, posadzką dębową, taflową, woskowaną i obiciem niebieskiém; drugi pokój jadalny, żółto malowany, z dwoma oknami dubeltowemi

(1) Dz. H. 1791, str. 43—45.
(2) Dz. H. 1788, str. 753.

angielskiemi szkła czeskiego, na podwórze, z kominkiem, piecem, kredensem, galeryą do wygody służącą; garderobę z trzema szafami nowemi, z dwoma oknami ordynaryjnemi na podwórze; trzeci pokój sypialny z dwoma oknami ang. dubelt. szkła szląskiego, na podwórze, z kominkiem, piecem, galeryą ku wygodzie służącą; sionkę małą z flizową posadzką i jedném oknem na podwórze; kuchnię, piwnicę wielką, drwalnię, pralnię, górę, izdebkę dla ludzi, spiżarnię. Lokal taki widocznie dla zamożnych już ludzi przeznaczony cenił się rocznie 90 cz. zł, (1.620 zł.); na wyższych piętrach lokale były naturalnie skromniejszé i tańsze, a cała kamienica z parteru i trzech pięter czyniła dochodu 240 cz. zł. (4.320 zł. owoczesnych, czyli 16.286 zł. dzisiejszych) oczywiście brutto (1).

Oto i wszystko, cośmy w przedmiocie cen zebrać zdołali. Dziennik Handlowy brał tę kwestyą żywo do serca, wpadł bowiem na pomysł, że kraj cały powinien być jednym wielkim jarmarkiem, że jarmarki powinny być tak urządzone, aby towary kolejno z jednego na drugi przewożone być mogły, że potrzeba wiedzieć ceny różnych miast, żeby można było dowozić towary i produkty tam, gdzie wysoka cena wskazywała ich brak i potrzebę. Zaczął więc drukować ogromne tabele targów całokrajowych i wołał na bumistrzów, wójtów, instygatorów taksowych, a nareszcie na komisyą skarbu i „patryotów", żeby mu wiadomości dostarczano. Gdy jednak tabela świeciła lukami, a koszt drukowania jéj był znaczny, zaniechał obszernego planu i w miarę możności umieszczał luźne sprawozdania. Komisya Skarbu Kor. uniwersałem z r. 1789 nakazała 108-u miastom nadséłanie cen targowych co kwartał do superintendentów (2), ale czy z nich ułożono tabele i czy tabele te dziś istnieją? żadnéj wiadomości powziąść nie zdołałem.

Na cenę i na łatwość, lub trudność stosunków handlowych wywiérała wpływ znaczny moneta do obrachunków używana.

Po pracowitych badaniach Czackiego, który jako członek komisyi skarbu koronnego rozrządzał dokumentami urzędowemi, oraz po jasnéj, treściwéj i ze wszech miar znakomitéj rozprawie Lelewela, przedrukowanéj w tomie V edycyi Żupańskiego, nie widzimy potrzeby i nie poczuwamy się do sił traktować tu kwestyą o monecie polskiéj ze stanowiska numizmatycznego, technicznego i historycznego. Szukaliśmy tylko głosów owoczesnego pokolenia

(1) Z ogłoszenia w Dz. Handl. 1787, str. 689.
(2) Dz. Handl. 1789, str. 175.

i wskazówek, o ile stan monetarny zadawalniał potrzeby gospodarstwa społecznego Polski w badanéj epoce.

Wiadomo, że od czasów Zygmunta III, a szczególnie od Jana Kazimierza, kiedy myncarze T. Liw. Boratini w Krakowie i An. Tümpe w Poznaniu wybijali sławne swe tymfy i orty (1658—1668), moneta w Polsce była wciąż fałszowana. Przeniesienie mennicy do Drezna przez królów Sasów nie poprawiło sprawy, a podczas wojny siedmioletniéj Fryderyk II, opanowawszy Saksonią i znalazłszy tam mennicę polską, osadził zaraz Żyda berlińskiego Efraima Brenna i kazał mu bić monetę fałszywą, gorszą jeszcze od poprzedniéj z popiersiem Augusta III, dla użytku Polski; potém założył i drugą podobną fabrykę we Wrocławiu. Wprowadzono więc do Polski 1757—1763 r. mnóstwo lichych augustodorów, szostaków, groszy i tynfów zwanych „bąkami.“ Ilość téj fałszywéj monety obliczano późniéj na 85.000.000, a ktoś nawet w samych tynfach na 400.000.000 zł. (1). Z historyi handlu powszechnego wiadomo, że ta operacya Fryderyka II, która zresztą rozciągała się i na monetę własną pruską, oraz na monety innych krajów niemieckich sprowadziła ciężkie przesilenie finansowe Hamburskie z r. 1763 (2). Niemniéj musiała cierpieć i Polska, jak widać z uniwersału Teod. Wessla, podskarbiego w. k., z dnia 12 Sierpnia r. 1761 (3). Dygnitarz ten, supremus rei monetariae praefectus, zaznacza podrożenie nieznośne wszystkich rzeczy, kłótnie po miastach, targach i gościńcach, zaboje, a stąd nieskończone processy; dla zaradzenia temu oznacza kurs dla rozmaitych monet. Spis jest tak długi, cechy wymienione tak liczne, że chyba numizmatyk uczony, albo biegły w swym fachu kupiec, potrafił się uchronić pomyłki; 3 kategorye tynfów miały być rachowane po 35 groszy, jedna po 33, jedna po 30, „więcéj niż kilkanaście gatunków imitowanych saskich tynfów“ po gr. 15 etc. Czerwony złoty, podług konstytucyi r. 1717, przywrócony do waloru 18 zł.

Jedną z pierwszych czynności Stanisława Angusta, po wstąpieniu na tron, było otrzymanie napowrót od sejmu prawa (jus cudendae monetae), ustąpionego niegdyś Rzeczypospolitéj od Zygmunta III, i urządzenie mennicy. „Nie litowaliśmy zatém dalszéj pracy i znacznych nakładów dla sprowadzenia z cudzych krajów ludzi umiejętnych i wszelkiego gatunku rzemieślników, owszem,

(1) Pam. H. P. 1784, str. 190 i 500.

(2) Patrz Wirth, Geschichte der Handelskrisen. 1784, str. 70, 74.

(3) Znajduje się w Bibl. Uniw. Warszaw. Publicznéj.

cum sacrificio należących nam ex jure monetandi pożytków, postaraliśmy się zafundować porządną do prędkiego opatrzenia kraju nowemi pieniędzmi zdatną i w niczém najlepszym w Europie nieustępującą mennicę“ (1). Zatwierdzona przez sejm reforma ta obejmowała zarazem stopę menniczną 1 grzywny kolońskiéj złotych 80, lub talarów 10 dla srebrnéj, czerwone złote podług próby i wagi holenderskiéj odpowiadające 16¾ zł., nareszcie dla monety miedzianéj po zł. 4 z funta miedzi. Moneta była w istocie dobrą, a nawet, jak się pokazało, zbyt dobrą, gdyż znikała szybko i wychodziła za granicę, a w kraju wciąż dawał się uczuwać brak pieniędzy. Podskarbi w. k., Ad. Poniński, w uniwersale swoim z dnia 15 Marca 1787 wyznaje, że w ciągu 20 lat wyszło z kraju 40.000.000 zł. (2).

Dopiéro w r. 1786, obejrzano się i zmniejszono stopę do 83½ zł. z grzywny kolońskiéj, a wartość czerwonego złotego podniesiono do 18 zł.; talarów bito 16$^{7}/_{10}$, a zatém na 1 talar szło zł. 7 gr. 25¼.

Naturalnie, że mennica, skupując monetę starą lub fałszywą, płaciła taniéj, żeby mogła pokryć koszta przebijania. Działalność jéj aż do końca r. 1794 (kiedy stopa znów została zmniejszoną do 84½ zł. na grzywnę kolońską) okazuje się w następnych cyfrach, ułożonych przez Czackiego, na podstawie raportów urzędowych i powtórzonych przez Lelewela (3).

Wybito:

	Dukatów złotych	talarów i półtal.	złł. i gr. srebr.
1766 do 1786	106.155	2.939.360	43.798.830
1786 — 1794	99.076	2.366.834	30.566.548
Razem	205.231	5.306.194	74.365.378

Co do miedzi zaś znajdujemy tylko cyfrę ogólną z lat 1766—1795 mianowicie 11.878,592 zł. 8½ gr. Sprowadzając wszystkie pozycye podług podanych powyżéj dwóch gatunków stopy, otrzymamy na piérwszy 20-letni okres wartość wybitéj monety polskiéj, złotéj i srebrnéj, 69.091.806 zł., a doliczając ⅔ z całéj masy miedzi, wybitéj w ciągu lat 30-u, mianowicie 7.919.062 zł., utworzymy sumę ogólną 77.010.868 zł.; na drugi zaś okres w złocie i sre-

(1) Vol. Leg. VII. fol. 451, str. 199.

(2) Uniwersał jest w Dz. Handl. 1787, str. 154—7.

(3) Lelewel — O monecie polskiéj w Polsce, dzieje i rzeczy jéj V, 285, Czacki o lit. i pol. prawach, I, 199, 190, 169; przypisek 284 uzupełnia cyfrę miedzi.

brze 50.809.857 zł. a w miedzi proporcyą 8-letnią 3.167.625 zł., razem 53.977.482 zł., ogółem zaś w obu okresach wybito wszelkiéj monety prawie 130.988.350 złotych polskich dwoistéj stopy.

Z takiemi danemi urzędowemi w ręku, posłuchajmy lamentów owoczesnego pokolenia.

Niepodpisany autor artykułu z Pamiętnika Hist. Polit., p. t. „Niedostatek pieniędzy w Polsce“, pisanego w r. 1784, a więc przed reformą stopy monetarnéj, mówiąc o wychodzeniu dobréj monety srebrnéj, wnioskuje: „teraz jest chyba 4.000.000 zł,“ a wniosek swój popiéra on dowodem następującym: „kiedy na ratę marcową, albo septembrową, zbiorą i oddadzą do skarbu podymne ($2 \frac{1}{2}$ mil. półrocznie) to zawsze dobra moneta srebrna tak zniknie, iż w wielu miejscach nie widać, jak tylko samą miedź i złoto cyrkulujące.“ Daléj, w Wielkopolsce, płacą podatki wytartą polską monetą z Wrocławia, nadpłacając po 2 grosze na jednym złotym, bo są tylko złe pruskie pieniądze, których skarb koronny nie przyjmuje. Klęskę tę przypisuje autor prawu mennicznemu z r. 1766, ponieważ z 10-u dobrych talarów bito 9, a nie z 9-u dziesięć, jak w Austryi (1). Na ten artykuł była odpowiedź również bezimienna, w któréj tłómaczono trudności w wyborze pomiędzy stopami (Graumana i ad ligam Imperii), oraz konieczność przyjmowania pruskich pieniędzy, z powodu zobowiązań traktatu Welawskiego, ale faktu nie osłabiono (2).

Do jednakowych prawie wniosków przychodzi, albo wnioski poprzednie podziela (jeśli mu były znane) Sandomierzanin w r. 1786. W swoim projekcie o sposobach zbogacenia Polski powiada on: „za Augusta III wykupiono dobrą monetę, a podłą za to dano około 85 mil. złp. i to takiéj, że na tynfie było szkody podług redukcyi po groszy 23. Za teraźniejszego panowania wybito srebrnéj dobréj monety $43 \frac{1}{2}$ mil. złotych, na których jeszcze większą Polska ponosi szkodę, bo po wykupieniu onéj towarami i suffrynami (souverain'y), już się ani cząstka srebrnéj monety nie wróciła do Polski i na suffrynach tracić kraj musiał. Ledwo 4 miliony teraz zostało srebrnéj monety polskiéj, miedzianéj ledwo 5 milionów jest w całéj Polszce. Podatku półrocznego około 8-u mil. złożyć potrzeba i to złotą i srebrną monetą. Ludzi ma Polska około 10 mil. Każdy z nich ma nieuchronne potrzeby i wydatki. Gdyby nie handel zbożowy wspomagał nas pieniędzmi, jużbyśmy dawno pła-

(1) Pam. H. P, 1784, str. 191, 295—6.
(2) Pam. H. P. 1784, str. 498—505.

kali na dobroć srebrnéj naszéj monety... Należałoby zrównać onę z najpodlejszą pruską.. Złota moneta ma walor zniżony do $16^3/_4$ złp., a za granicą idzie po 18 złp., więc ucieka z kraju" (1). W rok późniéj, tenże Sandomierzanin powiększa trochę te cyfry, ale wnioski swoje utrzymuje i nawet zaostrza je: „od 1 Stycznia r. 1766 wybito srebrnéj monety złp. $43.474.402^1/_2$. Z wiadomości, które ma, wnosi taż mennica, iż 1) przez zabór kraju i z nich pieniędzy 2) przez przewagę zagranicznego handlu od tylu lat 3) przez podstępy żydowskie i inne utraciła Polska srebrnéj monety $^7/_8$ wybitéj, przeto dziś ledwie jéj się znajduje w kraju złp. $5.047.442^3/_4$. Nie mamy podobnego doniesienia o miedzianéj monecie, przeto obrachunek musimy czynić polityczny taki... wypada. 5.132.395 złp,; razem przeto 10.179.866. Choćby skarb na podatki samo odbiérał złoto, tedy ludność Polski, wynosząca 12 m., całą tą masą nie może sprawić cyrkulacyi przyzwoitéj... Cóż dopiero mówić, gdy podatek krajowy, do 20 m. wynoszący na rok, rozeszle do Kamieńca Podolskiego na wojsko i wyda temuż w Warszawie; niż się rozejdą od nich te podatki, wprzód trzeba składać na drugie półrocze. Wszystko to dowodzi, że szczupła liczba polskich pieniędzy jest przyczyną niemałą, iż na aukcyą wojska pozwolić nie chcą, gdyż i ta garstka wojska kosztuje złp. 7.977.161." (2)

Podobnie biada Chełmianin w r. 1789: „Przyznajmy się do tego, lubo z naszym wstydem i szkodą, że ogół bogactwa krajowego nie przechodzi 40 milionów". Ponieważ ludności rachuje się 9 mil., jedna rata podatków wynosi 20 m., chociaż więc jest 5 m. ludności nie mającéj pieniędzy, wszakże zanim podatki wrócą od wojska, pozostaje tylko po 4 złp. na miesiąc na osobę. (3)

Nareszcie sam Switkowski (zapewne) w „Wystawieniu politycznėm Polski" w r. 1783 powiada: „Te przyczyny, z których biegli w rachunkach politycznych ministrowie wnieśli i doszli, że w Anglii r. 1775 znajdowało się pieniędzy w złocie i w srébrze 22 m. funtów sterlingów, czyli 880.000.000 złp., a we Francyi jeszcze 1720, kiedy handel z koloniami nie wzbił się tak wysoko, jak teraz, było już cyrkulujących pieniędzy na 2.000.000.000 liwrów (coś zawiele, chyba razem z papierami Law'a) są nam mocnym powo

---

(1) Dz. Handl. 1786 str. 500-502.
(2) Dz. Handl. 1787 str. 237-9.
(3) Dz. Handl. 1789 str. 466, przypisek (e)

dem do tego zdania, że w Polszcze nie może być więcéj w złocie i srébrze pieniędzy jak 80.000.000 złp. (1)

A my cóż powiémy? Zajrzawszy do tablicy powyżéj podanéj, zauważymy nasamprzód, że trzy piérwsze obrachowania wychodzą z mylnéj informacyi co do cyfr wybitéj monety. Do r. 1783, mennica wypuściła w istocie 43½ m., ale tylko w złotych i w mniejszych monetach; oprócz téj cyfry atoli ważną pozycyą stanowią talary i półtalary; chociażby więc wymienione urzędownie przez podskarbiego 40 m. miały wyjść z kraju bez żadnéj kompensaty kruszcowéj, na same tylko zagraniczne towary (czego nawet Sandomierzanin nie przypuszcza), to i tak jeszcze pozostawałoby nie 4, ale przeszło 6 mil. srebrnéj monety polskiéj na r. 1786, a następnie, z każdym rokiem, stosunek ten musiałby poprawiać się skutkiem nieustannego działania mennicy i zredukowania stopy.

Powtóre, nie przecząc faktowi, że brak monety obiegowéj dotkliwie uczuć się dawał, zaznaczając nawet, że ta okoliczność znacznie podwyższała wartość pieniędzy nad ich wartość arytmetyczną, winniśmy zwrócić uwagę, że moneta srebrna polska nie była jedynym znakiem wymiany.

Już Sandomierzanin przyznaje, że, zamiast wykupowanéj polskiéj, wchodziły suwereny. Tym sposobem kraj ponosił tylko stratę na kursie, nie zaś na kapitale, i 40 mil. złotych polskich mogło sprowadzić odpowiednią sumę w suwerenach, które przecię były téż pieniędzmi i funkcye monety pełnić mogły.

Było dużo czerwonych złotych, jeśli stanowiły nawet główną i najbardziéj używaną w praktyce jednostkę monetarną (2), a nadto z uniwersału Komisyi Skarbu Koronnego d. 29 Kwietnia r. 1787 przekonywamy się, że w obiegu znajdowało się 30 gatunków monet zagranicznych srebrnych i 24 gatunki złotych, niektóre aż z XVII wieku. Znajdujemy tu i holenderskie Albert-talery od r. 1726 (po 8 złp. 10 gr.) i hiszpańskie talery od r. 1619 (po 7 zł. 24 gr.) i nowe hiszpańskie, oraz amerykańskie talery (po 8—16) i stare (od r. 1644) oraz nowsze francuskie talery (po 8—12 lub po 9—6) i duńskie, i szwedzkie, i nowe tureckie Izelato, i raguzańskie, i dawne polskie aż od roku 1620, i nawet tynfy tylko już zredukowa-

---

(1) Pam. Hist. Polit. 1783 str. 486.

(2) „Czerwony złoty jest monetą krajową, gdyż nim się handel prowadzi, dobra i arendy płacą, kapitały zbiérają". Pam. H. P. 1791, 148.

ne do jednakowej wartości (1 zł. 3 gr.). Rubli jest wymienionych pięć gatunków, wartości, stosownie do roku, po 7 zł. 2 gr., 7 złp. 6 gr. i 6 złp. 5 gr. Na Rusi i Ukrainie znajdowała się ich widocznie ilość znaczna, gdy wchodziła w zwyczaj rachuba na ruble. (1) Moneta srebrna austryacka od 30 do 10 grajcarówek miała być brana wszędzie, ponieważ ma jednakową wartość z nową polską monetą. Podobnież w spisie monety złotéj, znajdujemy i szwedzkie, i rzymskie, i moskiewskie czerwone złote (po 16 zł. 8 gr.), i duńskie, i francuskie, i pistole hiszpańskie, i owe suweryny, czyli, jak je Sandomierzanin nazywa, „sufryny“, w dwóch gatunkach (hiszpańskie r. 1664 po 50 złp. i austryackie r. 1779 po 51 złp. 12 gr.) i pruskie frydrychsdory i moskiewskie imperyały (10 rubli=59 zł. 6 gr.).

Czémżeby zresztą zapłacił np. Ogiński, miecznik litewski, Radziwiłłowi summę 3.500.000 złp. za ekonomią Wileńską od niego nabytą? Jakiemiż pieniędzmi wypłacał Butrymowicz hetmanowi Ogińskiemu intratę z dóbr pińskich, podniesioną do 300.000 złp. rocznie. (2)

Ile mianowicie krążyło takich monet zagranicznych? nie wiémy i zapewne nikt się nigdy nie dowie, gdy dziś jeszcze niepodobna wiedzieć ile monety rzeczywiście krąży w państwie każdém (3). Ponieważ jednak sama tylko mennica warszawska wybiła, w ciągu panowania Stanisława Augusta, blisko 131 m. złp., a jeszcze się znajdowały monety z XVIII i XVII wieku, wnioskować wypada, że zasób kruszcu obiegowego był znacznie większy niż przypuszczali spółcześni. Najbliższe prawdopodobieństwo osiągnął w tym razie przenikliwy Switkowski, podając cyfrę 80 mil., i ta jednak cyfra zapewne jest za mała, bo o 51 m. niższa od wykazów mennicznych. Opiérając się na świadectwie Komisyi Skarbu Koron-

---

(1) Rotmistrz Buczacki z pod Pawołoczy biada, że za krowę trzeba płacić po 9 i 10 rubli; ktoś ogłasza, że chce kupić dobra za 100000 rubli. Dz. H. 1790 str. 93 i 1793 str. 259. Uniwersał Kom. Sk. K. w Dz. H. 1787 str. 617, tablice zaś z dobremi wcale rysunkami wszystkich monet przy tymże uniwersale oraz przy dwu pierwszych zeszytach r. 1789.

(2) Dz. Handl. 1790 str. 97, 1786, str. 393.

(3) Michał Chevalier, specyalnie sprawą monetarną zajmujący się ekonomista, powiada: on ne sait pas exactement quelle est la quantité de monnaie qui existe chez chaque peuple; on connait très bien la quantité de chaque espèce de pièces, qui sort de la presse monétaire, mais la proportion de monnaie qui reste en chaque pays est bien au dessous. Une portion de monnayage est exportée comme lingots et va dans d'autres états recevoir soit une nouvelle forme monétaire, soit une autre destination. Dictionnaire de l' Econ. polit. Coquelin et Guillaumin Brux, 1854. Monnaie II, p. 234.

nego o wyjściu 40 m. przed rokiem 1787 i przypuszczając, że w ciągu lat 6-u następnych 1787—1792 trwał taki sam odpływ monety polskiéj (po 2 m. rocznie) pomimo zmniejszenia stopy, otrzymalibyśmy maxymalną cyfrę ubytku 52 m., a wtedy pozostałoby jeszcze 80 m. saméj monety polskiéj w złocie, srébrze i miedzi. Doliczając przeto monety zagraniczne i dawne, powinnibyśmy otrzymać przynajmniéj 100 milionów złotych. Cyfrę tę uznajemy za minimum, króre możliwém byłoby tylko przy bardzo niekorzystnym dla Polski bilansie handlowym, przy ogromnych co rok nadpłatach za towary z zagranicy przywożone. Przy takim stanie targowiska pieniężnego jeszcze zrozumiałym jest brak pieniędzy, na co wszyscy uskarżają się jednogłośnie, boć na głowę zaledwo wypada około 11—12 złp.

Jakąż drogą atoli wchodziły owe pieniądze zagraniczne?

Oczywiście drogą handlu wywozowego. Przypatrzmy się więc temu handlowi.

(c. d. n.)

Tadeusz Korzon.

ZARYSY

ŻYCIA LUDOWEGO

NA SZLĄSKU

przez

Lucyjana Malinowskiego.

(Dokończenie).

XII.

W wielu okolicach Szląska zachowały się dwie starożytne, odległych epok życia szczepu naszego sięgające uroczystości wiosenne; wynoszenie i topienie *Marzanny* i *Mdjik*, *Gájik* czyli *Látko* lub *Látcezko*. Oba te obrzędy zostają z sobą we wzajemnym związku, jak to z opisu szczegółowego się okaże. Nie może być zamiarem piszącego te słowa na tém miejscu przedstawić wyczerpująco wyniki badań porównawczych o tym przedmiocie. Będzie to tylko surowy materyał, który może z czasem posłużyć do studyów specyalnych; tu zaś ma on za zadanie uzupełnić obraz różnych stron życia ludu szląskiego. Podaję tu po kolei opisy tych uroczystości, z różnych okolic, w miarę tego, jak je na miejscu zdołałem zanotować.

Okrąg Bytomski, wieś Radzionków pod Tarnowskiemi Górami (1).

Marzanna i Gáik.

W *marzanią* niedzielę, przed palmową (Dominica laetare) małe dziewczęta, dwie, trzy lub więcéj stroją drzewko zielone,

---

(1) Porównaj „Listy z Podróży" i t. d. str. 311 i inne.

małą sosenkę lub świérk skorupkami z jaj, farbowanemi na modro, przyczepiają także do gałązek kawałki kartonu, zawieszają błyszczącą sieczkę. Tak przystrojone drzewko zwie się *gáik.* W pośrodku umieszczają lalkę ze słomy zrobioną. Z tym przyrządem odbywają procesyą przez wieś, zatrzymując się przed każdym domem i śpiewając pieśń następującą:

„Do tego tu dómu wstępujemy,
Sceściá, zdrowiá winszujemy,
Naz gáik zielony
Pieńknie ustrojony.
Na nasym gáiku malowane jajka,
Co je malowaua Radzieńská karcmarka;
Naz gáik zielony i t. d.
Na nasym gáiku zielone stązecki,
Co ich nawiesauy Radzieńskie dziéwecki.
Naz gáik i t. d.
W tentam polu kamienica,
Za tą kamienicą zielona pszenica.
Daj ci Panie Boże, coby sie zrodziua,
Na tén nowy rocek ludziom żąc godziua.
Naz gáik i t. d.
Jesce nie siejecie ani nie orzecie,
A jus wiécie, co za nie bierecie,
Bierecie, bierecie obite talary,
Co wóm sie samuśkie po stole kulauy.
Naz gáik i t. d.
Nasi księzasek pięnkne kónie majóm,
Kiedy jé wypuscóm, jag uanie skakajóm,
A jesceby óny i piękniéjse byuy,
Ale pacholicak trocha do nich zgniuy (leniwy).
Naz gáik i t. d.
W tym tu placu (podwórze) stoją gnátki (pniaki),
Są tu księzaskowie, jag rózowe kwiátki (sic!)
Naz gáik i t. d.
W ty tu izbie jest tu uózo (łoże),
Sóm tu panuchna jako rózá!
Naz gaik i t. d.
A' dájciez nóm mácieli-dać
Nie byńdziemy duugo cekać,
Bo nóm dzień krótnieje,
Wiadr nóm gáj uozwieje;
Nie dajciez nóm jajuska jednego,

Bo bychmy sie uobie zbiuy kole niego,
Ale dajcie štyry,
Co sie podzielémy.
Bóg wóm zapuać za te dary,
Coście nóm je darowali,
Abyście sie za to do nieba dostali,
Zostajcie tu z Bogiem, juz idziemy,
Juz tu więcéj nie przydziemy,
Az na drugi rocek, jeśli żyć byńdziemy.
Naz gáik zielony
Pieknie przystrojony.“

* * *

Okrąg Opolski. Wieś Gosławice pod Opolem.

Marzanna.

Lalkę ubraną ze słomy obnoszą po wsi, poczém, rozebrawszy ją, topią za wsią w rzeczce. Śpiewają przytém następującą pieśń:

,,W imie uojca i syna,
Nasėj marzanecce Krystyna,
Nasa marzanecka na zerdzi,
A co się porusy, to pierdzi.
Nasa marzanecka w kominie,
Wyglunda skauecką (dziurka) na świnie.
Nasa marzanecka w stodole,
Wyglunda skauecką na pole.
Postój ty marzanko na chwilan (1)
Za nię jáu sie piwka napijan.
A przed Kubićkięn kamieniec,
Kubickowe dzieci, jag wieniec.
Nasej marzanecce Jagnieska,
Pociungają ją za dupan chopcyska;
Przed Kurcykię wielki dóu,
Kurcykowe dzieci jako wóu;
A przed Kansęn jes boto,
Kansego dzieci jak zuoto.
Nasej marzanecce i t. d.

(1) Za pomocą *an* oznaczam samogłoskę nosową *ȧ* bez spółgłoskowego dźwięku na końcu, jak francuskie *an* w wyrazach: *dans, sans, aimant* i t. p.

A przed Stáutkę gnojówka,
A stáutkowe dzieci jak cygónka.
A przed karcmą są tycki,
Karcmarzy dzieci jak świécki.
A przed Tedum jest prąnguo (żóraw' u studni, lub wiadro),
Tedowe dzieci jak zdrzaduo (zwierciadło)."

Gdy marzannę rzucają do wody, wtedy śpiewają:

„Puyń ze marzanecko do Pryski (1),
Przynieś nął (nam) na bezrok na fryski.
Puyń ze marzanecko do Brzega (? do miasta)
Bo cie tam Jaśkowi potrzeba."

Gáik.

Gdy wyniosą marzannę, na tę samę żerdź zatykają drzewko odpowiednio przybrane i wracają do wsi, śpiewając:

„Wyniosuychmy marzaneckan, albo: śmietkan (śmierć) ze wsi.
Przyniosuychmy zielony gáj do wsi,
Nas gáicek z lasa jedzie,
Przyglądają mu sie z Gosuawic ludzie,
Jedzieć ón jedzie po lipowyn moście,
Przyglądają mu sie panowie i goście,—
Do tego tu dómu przystampujemy,
Scęściáu, zdrowiáu winsujemy.
U tego tu pana są wysokie uokna,
Zglądaua Kaśka z wysoka,
Ej zdrowa zglądaua,
Janicka uźdrzaua.
　　Naz gáik zielony
　　Pieknie przystrojony.
Ej idziez ón idzie po pouaci,
Scekają na niego psi kuduaci.
　　Naz gáik i t. d.
O idzieć ón idzie po drobnyn piasecku,
A niesie trzewicki na zuotym pausecku
　　Naz gáik i t. d.

---

(1) Zapytana dziewczynka, która mi dyktowała tę piosnkę, co znaczy „Pryska", objaśniła: „A to tan jadą na potuickan (?) do Pryski, to musi być jakie miasto."

I zasou pod zielóne drzewo,
Upaduo ziáurko na cáupeckan jego.
Naz gáik i t. d.
Ej wiela te ziáurko kostowauo,
Śtyry kónie brone (zam: wrone) z ugóru zegnauo.
Naz gáik i t. d.
Bóg zapuać, coście dali,
Izbyście zaś na bezrok dockali,
We scesciu, we zdrowiu,
We święttyn pokoju.
Do tego tu domu przystampujemy,
Sceściáu, zdrowiáu winsujemy,
Naz gáuik i t. d.
Na nasyn gáuicku malowane jáujka,
Co je malowaua gosuawskáu kacmáurka;
Na nasyn gáuicku cerwione stązecki,
Co ich nawiésauy gosuawskie dziéwecki.
Naz gáuik i t. d.
Na nasyn gáuicku pancyrzowe pasy,
Co ich nawiesauy panny dáuwne casy.
A dejcie ną (nam), sieli (jeżeli) ną mácie dać,
Bo nie bandziemy duugo cekać,
Bo ną dzień krótnieje,
Wiatr ną gáj uozwieje.
Do tego tu domu przystampujemy,
Sceściáu, zdrowiáu winsujemy,
Siedzą panuchnicka na róg stoua,
A dzier-zą dziciątko jag janioua;
A panocusek po izbetce depcóm,
A knefliki (guziczki) jéno sie tak miechcą.
Naz gáuik i t. d.
A córecka siedzi, to siedzi na uozu,
A dzier-zy jabusko na zuotyn nozu.
Naz gáuik i t. d.
Dajcie ną, sieli máucie dać,
Bo nie bandziemy duugo cekać,
Bo ną dzień krótnieje,
Wiatr ną gáj uozwieje,
Przed tyn tu domę uospostartáu suoma,
Umaruać tu gospodaurzowi zona.
Naz gáuik i t. d.

Nie starejcie sie gospodáurzu o nian,
Pojedziemy do sómsiada po nian.
Naz gáuik i t. d.
Zaprzęndzemy styry konie bróne (wrone),
Przywiéziemy pierzyny cérwioné.
Naz gáuik i t. d.
Zaprzędziemy kociekan kuduatą,
Przywieziemy jadwiskàn bogatą.
Naz gáuik i t. d.
U tègo tu pana tuusté kónié mają,
Jag nie (je) wypuscą, jak uáunki (łanie) wierzgają.
Naz gáuik i t. d.
Jescećby uone nie takowe byuy,
Ale tén woźnica kąsek (trochę) do nich zgniuy (leniwy),
Bo jag go pón gospodáurz wouáu
Todź uón sie uod chlebice (? zapewne piekarnia) dáuwáu.
Naz gáuik i t. d.
Jag go pani gospodyni budzi,
Todź uón sie uod chlebice kludzi (wyłazi).
Naz gáuik i t. d.
U tego tu pana jest w-isoki dóm,
Jes tu muódáu pani i muody pón,
Dobrze sie miewają,
Dzieciuntka nié mają.
Naz gáuik i t. d.
Kedź by sie pón Jezus smiuowáu,
I na bezrok dzieciątko darowáu.
Naz gáuik zielony,
Pieknie przystrojony.

* * *

Okręg Kozielski. Wieś Pogorzelec pod Koźlem.

Marzanna.

W marzanią niedzielę (Dominica laetare) dziewczęta stroją lalkę ze słomy w ładne szaty, w wieniec z kwiatów papiérowych i niosą ją z jednego końca wsi na drugi, zatkniętą na żerdzi, przyczém chłopcy miotają na lalkę śniegiem i błotem, jak to widać ze śpiewu poniżéj przytoczonego. Przy téj procesyi dziewczęta śpiewają:

„Nasza marzaneczka rosua
Jak sosna.
Nasza marzaneczka w kominię,
Wyglunda dziureczką nı świnie.
Nasza marzaneczka w uodzi,
Nie ciepejcie na nią, wysmrodzi,
Nasza marzaneczka wyrosua,
Jak sosna.
Przed tyn tukaj domę jest gnáutek,
Sun tu gospodyńka jak kwiáutek;
Przed tyn tukaj domę jest wiadro,
Sun tu gospodyńka jak zdrzaduo.
Przed tyn tukaj domę siejun mak,
Sun tu panuchniczka jako kwiat.
Przed tyn tukaj domę siąg drzewa,
Tymu kóchankowi żony trza (żoniczki trzeba),
Przed tyn tukaj domę sun tyczki,
Sun tu pacholętka jak świéczki.
Przed tyn tukaj domę jest gnojówka,
Sun tu gospodyńka jak żydówka.
Przed tyn tukaj domę jest stowek,
Sun tu gospodyńska, jak fijouek.
Przed tyn tukaj domę drobny sáud,
Nie prrzeleci tukej leda ptáuk.
Ale tukaj przelecą liwuchy,
Szykuj Haniczko pieluchy,
A ty Karliczku powijáuk,
Bedziesz ci ty tymu ráud."

Gáik.

Poczém wracają do wsi z *gáikem* śpiéwając:

„Ej wyniesuychmy marzaneczke ze wsi,
Ej przyniesuychmy latoroszczek do wsi!
Latoroś!
Tráuwa roś,
Pacholątką (pacholątkom, chłopcom) na żauość,
A tyn ubogin dzieweczką na radość,
Do tygo tu dómu stępujemy,
Szczęściáu, zdrowiáu więszujemy!
    Nasz gáik zielony,
    Pieknie nastrojony!

Po naszyn gáiczku samé zuoté pasy,
Co je pokupiuy w ty najdrosze czasy.
Nasz gáik i t. d.'
Po naszyn gáiczku same zuote jajka,
Co je pokupiua pogorzelska kárczmarka,
Nasz gáik i t. d.
Nasz panosiczek siedzun na róg stoua,
Mają po sukięce same zuote koua.
Nasz gáik i t. d.
Siedzą panuchniczka przy okieneczku,
Piastują dzieciątko w biaųę zeguoweczku.
Nasz gaik i t. d.
Jak pudziemé po lipowym moście,
Baną ną sie dziwać panowie i goście.
Nasz gáik i t. d.
Pán Bóg zapuać za te dary,
Co ną dali,
By roczku doczekali.

* * *

We wsi Cisowéj (okrąg Kozielski) dziewczęta wynoszą marzankę za wieś, tam ją roztargają, a chłopcy biorą słomę do wymiatnia żłobów, aby konie dobrze jadły.

* * *

Okrąg Raciborski, wieś Tworkowo.

Marzena.

Już na dwa tygodnie przed czarną niedzielą dziewczęta zbiérają po wsi wstążki i stroją lalkę. Robią ze słomy *dászek*, to jest snopek podobny do tego, jaki się używa do przykrycia kopy na polu. Ze słomy także dorabiają ręce. Tak przygotowaną *marzenę* odziewają w koszulę *(koszulka)*, w gorset (bruslek), wkładają kilka spódnic (*mazelonka*) jednę na drugą, aby było suto. Następnie zapasują *karton* (?), zapewne fartuch, a na szyję zakładają chustkę *(szatka)*; na głowie zawieszają wstążki *(bandle)* i wkładają wieniec i kokardy ze wstążek *(kokotky, bandliczky)*. Prócz tego obszywają wstążkami całą figurę na krzyż. Tak przybraną postać zatykają dziewczęta na drążek od żaren *(mjelacz, żerdka)* i w *czarną niedzielę* (dominica laetare), po nabożeństwie chodzą z nią po wsi, zaczynając od państwa, dalej idą do proboszcza *(farárz)* i nauczyciela *(rechtór)*. Następnie obchodzą chaty, zwłaszcza te, w których znajdują się młode dziewczęta, zbiérając wszędzie

datki w pieniądzach i jajach. W czasie tego obchodu śpiéwają pieśń, z któréj przytoczono mi następujące zwrotki:

„O przed tym fararzem jargany grajóm,
A tén nasz pán farárz bardzo piéknie odprawiajóm.
A przed tym rektorem tam woda huczy,
A tén nasz pán rechtór bardzo piéknie dzieci uczy.
O przed tym Pudóm na krziż chodniczky,
A ta Pudowa cera chodzi jak rzebiczky (źrébięta).
A przed Kostrzewóm hromada ociepek (wiązka drzewa),
A ta Kostrzewowa cera chodzi jak kwietek.
A przed Sekułóm jedzie chłop stragaczem (taczki),
A ta Sekułowa cera uciéra rzyć husiaciem“ (gąsię).

Obszedłszy wieś, cały pochód zwraca się w pole, ku wodzie, śpiewając różne pieśni i odmawiając modlitwy. Przybywszy nad wodę, rozbiérają lalkę, rozrywają ją i słomę wrzucają do wody.

Poczém biorą *Láutko*, czyli *Láuteczko*, (w innych stronach *gáik* lub *máik*), to jest choinkę ze świérkowego drzewa *(hoje)*, którą przedtém przystrajają we wstążki *(bandle, faborki)*, obwieszają skorupkami z jaj i ozdabiają dokoła sieczką *(siekanié)*, ponawlekaną na nici. Z tém *láutkiem* wracają do wsi, śpiéwając pieśń, która zaczyna się temi słowy:

„Marzena ze wsi, a láutecko do wsi.“

Przybywszy do wsi, obchodzą z latkiem chaty, w których są młode chłopcy i śpiéwają na ich intencyą. Zabawa kończy się różnemi grami, jak naprzykład na *dłuheho ogóna*. Pochwytają się z tyłu za suknie, tworząc tym sposobem długi szereg *(klucz)*. Pierwszy z chłopów ma kij lub pytę *(szatku skrucenu we dwoje)*, goni ostatniego i uderza go pytą. Po téj zabawie dzielą się piéniędzmi i podarunkami, uzbiéranemi w czasie obchodu.

Wieś Krzyżanowice.

Chłopcy stroją postać męską, a dziewczęta niewieścią. Obie postaci wynoszą w pole i topią, rozebrawszy je przedtém z szat. Śpiéwają przytém pieśń następującą:

„O marzano krasna,
Radaś gęsi pasła,
Wczoraś groch warzyła,
Kolanoś se oparzyła;

Dzisiák w wodzie zimne
Chłodzić go bédziémy,
Aż do jutra rana
We wodzie cie moczyć bydziemy.
Marzo! marzo! marzano krasna!"

Tegoż dnia, przed obchodem marzany, dzieci chodzą po wsi z máiczkiem, śpiéwając:

„Máiczku zielony,
Pieknieś przystrojony,
Abyś długo żył na ziemi.
Wyszła gwiazda do Różyka (?),
Dejcie nóm wajce (jajko) do koszyka,
Dejcie nóm dwie, abo sztyry,
Coby mi sie niemi podzielili.
Nie dáwajcie nóm jedneho,
Boby my sie zbili kole nieho.
Máiczku zielony,
Pieknie przystrojony."

Prócz tego śpiéwają pobożne pieśni.

Księstwo Cieszyńskie. Wieś Sucha

Májik.

„Májiczko zielony,
Pieknieś ustrojony,
Gdo cie tak ustrojił?
Ty suski dzieweczki,
Nawieszały na cie
Rozliczne sznoreczki.
Przed tą waszą sienią
Nowá kamienica
Na waszym polu
Zielona pszenica.
Májiczku i t. d.
Dejże Panie Boże
Żeby sie urodziła,
A na świętą Annę
Żeby sie żąć godziła,
Májiczku i t. d.
Ej idzie on idzie
Po lipowym moście,
A dziwają sie mu
Panowie i goście.
Májiczku i t. d.
Ej przed waszą sienią
Po kolana błota,
Że ta wasza cera
Ze samego złota.
Májiczku i t. d.
Ej kulej sie kulej
Malowany gnácie,
Że ta wasza cera
Stoji po dukácie,
Májiczku i t. d.
Ten wasz gazdoszek
Bardzo są bogaty,
A mają koniczki

Drogie jak dukaty,
Po polu wierzgają,
Siana nie żądają,
Siana zielonego,
Owieska gołego.
Májiczku i t. d.
Ej przed waszą sienią
Głęboka kałuża,
A ta wasza cera
Czerwiona jak róża.
Májiczku i t. d.
Za tą waszą sienią
Zakwitają tárki,
A te wasze cery
Wyszkrabują gárki.
Májiczku i t. d.

A ta wasza cera
Siedzi na rog stołu,
Wyszywa szateczkę (chuste-
[czkę)
Ze samego floru.
Májiczku i t. d.
Ej ten wasz pachołek
Na wysokich botach,
Ej chodzi on chodzi
W nocy po záletach.
Májiczku i t. d.
Ej my wiemy, wiemy
Co pachołku trzeba,
Konewke gorzałki
Dwie pecenki chleba."

Wieś Wisła.

Máik.

„K temu domu przystępujemy,
Jes tu pón Jezus bár-zo uchwálony.
Máiczek zielony
Pieknie ustrojony
W tén to tu domie piekne kónie mają,
Są też tu pachoucy, co ich uodbywają;
Kej idzie do karczmy, to se poskakuje,
Kej idzie do masztale, to ich pociapkuje.
W ten to tu dómie piekne krówy mają,
Sun też tu dziéweczki, co ich uodbywają;
Kej idzie do chléwa, to ich poguaskuje,
Kej idzie do karczmy, to se poskakuje.
W tę to tu placu cemrowaná studnia,
Stoi tan dziéweczka bar-zo upuakaná,
Czyli uod parady, czyli uod podstaty,
Czyli ku nié chodzi muodzieniec bogaty.
W ten to tu groniu (górskie pole) zrodziua
[sie pszenica,
Jak przidzie w poście, wyzdrą se gazdászek,
Jesi pieknie rośnie.
Dejcie ną (nám) już dejcie, co ną mácie *daci*,
Bo się ną już trzeba dali pomykaci.

Wieś Gródek pod Jabłonkowem.

Gájik.

Dziewczęta obwijają jodełkę malowanym papiérem, przystrajają piórami i przywiązują trzy dzwonki. Z tym *gájikiem* chodzą po wsi, śpiéwając pod oknami:

„Dej Pón Bóg dobry dzień pod wasze uokienko,
Przyszuychmy pocieszyć was miua gaździnko.
Gájiczek zielony,
Pieknie przistrojony,
A na tym gájiczku jedwabne sznureczki,
Co to nawiązauy ubogie dziéweczki.
A w tym to tu domie piekne krowy majóm,
Sóm też tu dziéweczki, co jich uodbywajóm.
A w tym tu domie piekne konie majóm
Sóm też tu pachoucy, co jich uodbywajóm.
Dy jidóm dó karczmy, to se poskakujóm,
A dy dó masztale, to se poguaskujóm.
Gájiczek zielony,
Pieknie przistrojony.
Na tym to tu placu studnia cémrowaná,
Stoji tam dziewucha bardzo upuakaná.
Czyli uod parady, czyli uod tesknoty,
Że sie jéj napiérá pachouek bogaty.
Na tym to tu placu biáuá kamienica,
Co by sie rodziua na polu pszenica,
Jidąm se gazdászek pszeniczke ouglądać,
Jesi jim urosua, dáu by też Pón Bóg, coby
[jim urosua,
Co by byua telká, jako w lesie sosna!
Gájiczek zielony,
Pieknie przistrojony."

W Istebnéj, w Gródku, w Nąwsiu, w Milikowie chodzą z *marzanką*, przyczém śpiéwają pieśń morawską, zaczynającą się od słów:

„Podjekujme Kriste Panu."

Dla uzupełnienia obrazu podam też opis tych uroczystości

z sąsiednich okolic Morawii, podług dzieła pana B. M. Kuldy, pod tytułem: „Zabobony i zwyczaje ludowe w Wałachii Morawskiéj (1).

„7. Niedziela Biała (Dominica laetare).

W tę niedzielę urządzają dziewczęta procesyą z wizerunkiem bogini śmierci, zwanéj „*Marzena*“ w sposób następujący: Dwa kawałki drzewa związują w formie krzyża; krzyż oplatają słomą i przywdziéwają w najpiękniejsze szaty wałaszki. W tym celu biorą cienką koszulę (*rukáwce*), spódnicę (*kasanku*), fartuch (*zastjeru*) i kaftanik (*kabatek*); kaftanik taki jest zabytkiem dawnéj odzieży i zachował się jeszcze jako strój bogini śmierci, w życiu zaś rzeczywistém ustąpić już musiał pewnemu rodzajowi spencera (*kordulka*). Głowa *marzeny* robi się z gałganków i chust i ma ztyłu ozdobę i oznakę, którą nosi każda niezamężna wałaszka, to jest długą, na plecy spadającą wstęgę, zwaną *připletek*, gdyż jest wpleciona (*připletena*) we włosy dziewczęcia. Prócz tego zdobią marzenę, zawiészając na niéj więcéj jeszcze wstążek. Skoro cała figura gotowa, natenczas dziewczęta, które już opuściły szkołę, wynoszą ją z miasta lub wsi w pole i śpiéwają przytém pieśń następującą:

Neseme marzenu
Na oleji smaženu,
Pjeknu, pjeknu, pjeknje nastrojenú,
Helo, helo, má milá marzeno!
Komus dala klicze? (klucze)
Dala jsem jich dala swátemu Jirzimu,
Aby nám otewrzel zelenu trawinu,
Aby tráwa rostla,
Tráwa zelená,
Fijala, ruže
Kwesti ne muže,
Až ji Pan Buh spomuže.
Helo, helo, má milá marzeno!

Pieśń tę powtarzają ciągle, aż cały pochód dojdzie na miejsce. Tu, w polu, sadzają marzenę i zdejmują z niéj szaty, które przy-

---

(1) „Schriften der historisch-statistischen Sektion der K. k. Mährisch Schlesischen Gesellschaft des Ackerbaues, der Natur-und Landes-Kunde. redigirt von Christ. d'Elwert, IX Bd. Brunn 1856. Der Aberglauben und die Volksgebräuche in der Mährischen Walachei, gesammelt und mitgetheilt von B. M. Kulda“ pag. 67 i nn.

wdziéwa zaraz jedna z dziewcząt. Słomianą zaś postać z głową z gałganów stawiają na ziemi, a parobcy, którzy nadciągają ze wsi, rzucają na nią bryłami ziemi i kamieniami. Jeżeli im się uda obalić lalkę słomianą, tedy dziewczęta śpiéwają:

Má milá marzeno,
Za kohos umrzela
Za ty Rożnowské pacholky!
Již marzena leži
A zubami szkerzi;
Helo! helo! helo! helo!

Tymczasem chłopcy mają przygotowane drzewko majowe, które przystrajają we wstążki, zdjęte z marzeny; na wierzchołku powiéwa długa wstążka. Májik ten niesie dziewczyna przybrana w szaty, w które była przystrojona marzena i cała procesya wraca do wsi, przyczém śpiéwają następującą pieśń:

Neseme májiczek,
Utjal (uciął) ho Janiczek,
Pjekny, pjekny, u wrchu zeleny,
Pjeknje przistrojeny, pentlami zdobeny!
Helo! helo! helo! helo!

Pieśń tę również powtarzają aż przyjdą do domu dziewczyny, niosącéj maik. Tu zdejmują wstążki i dziewczęta zasiadają z chłopcami do uczty. Najważniejszą potrawę téj uczty stanowi groch prażony do połowy (*puczalka*). Groch moczy się dwadzieścia cztery godziny, aby zmiękł, a potém przystawia się do ognia w garnku bez wody. Niekiedy poléwają go tłustością i posypują pieprzem. Do tego podają ciasta i inne pieczywo. Parobcy fundują piwo, w ostatnich czasach, niestety, najczęściéj gorzałkę.

W innych stronach Morawii, a mianowicie w okolicach Berna, w białą niedzielę wynoszą ze wsi lub z miasta postać kobiécą, obwieszoną wiankami ze skorup z jaj i rzucają ją do wody (1).

---

(1) O uroczystościach na cześć pór roku traktuje J. Grimm w dziele: Deutsche Mythologie, Tom 2-gi Cap. XXIV (str. 715 i nn.) w rozdziale zatytułowanym „Sommer und Winter," gdzie od str. 724 mówi o wynoszeniu śmierci czyli zimy i powitaniu lata. Porównaj także Karl Haupt Sagenbuch der Lausitz. Leipzig 1862 str 10. Ad. Kuhn, Jagen Gebräuche und Märchen aus Westfalen und einigen andern, besonders den angrenzenden Gegenden Norddeutschlands. 2 Theile Leipzig, 1859. 2 Theil pag. 132. Pauser

XIII.

Tańce.

Na Szląsku Górnym tańce narodowe wyszły z użycia. Tańcują tu walca, polkę; mazura zaś tańcują zupełnie jak walca w kółko. Godna uwagi, że muzykanci grają tu najczęściéj na instrumentach dętych, trąbach, klarnetach i t. p.

W Cieszyńskiém miałem sposobność widziéć zabawę w Sibicy pod Cieszynem. W gospodzie, pod otwartém niebem służące z Cieszyna tańcowały kadryla z wojskowemi z pułku strzeleckiego. Prowadzono przytém rozmowę w języku niemieckim. Tancerki i tancerze okazywali wiele gracyi i sprawiali się zwinnie.

W górach w Istebnie widziałem nadzwyczaj charakterystyczny taniec góralski, zwany *cielęcák* albo *owięziák*. Muzykanci, grający na cymbałach i dudzie, umieszczeni byli na miejscu podniesioném w kącie izby. Duda jest to znany instrument górski, składający się z miecha ze skóry koziéj, który grajek trzyma pod pachą i naciska, i rodzaju klarnetu, w który dmie ustami, palcami przebiérając. Tańcuje na raz tylko jedna para. Ta zatrzymuje się przed muzyką; kawaler śpiéwa, ale tylko dla swéj tancerki, tak, że zdala nic dosłyszéć nie można. Poczém zaczynają tańcować: stanąwszy naprzeciw siebie, wymijają się oboje, dziwnie podskakując i przytupując jedną nogą. Po chwili tancerka zaczyna szybko się kręcić wkółko, a tancérz, przytupując, powoli obchodzi ją dokoła, jak kogut. Nareszcie chwytają się w pół i kręcą się wkoło z szybkością niewypowiedzianą. Zmęczywszy się, ustępują miejsca innéj parze. Cały taniec odbywa się na małéj przestrzeni, w kącie izby, przed muzyką. Tańcują także *całowanego* i *powolnego*. Tych jednak tańców nie widziałem.

Niektóre szczegóły odnoszące się do obrzędów weselnych.

W Michałowicach (okrąg Bytomski) zauważyłem, że podczas ślubu druchna położyła na głowy nowożeńców małe wianki mirtowe, czy też z bożego drzewka, wielkości talara, a ksiądz przełożył tylko te wianki, nie zamieniając wcale pierścionków. Objaśniono mi, że wianków tych zamiast obrączek używają tutaj tylko mniéj zamożni. Zdaje się jednak, że zwyczaj ten sięga odległéj, kto

---

Beitrag zur Deutschen Mythologie 2 Bde. München 1848—55; Woeste Volksüberlieferungen in der Grafschaft Mark. Iserlohn 1848 str. 26. Wilhelm Manhardt: Der Baumkultus der Germanen und ihrer Nachbarstämme. Drittes Kapitel, § 5 Maibaum; viertes Kapitel: Antropomorphische Wald-und Baumgeister als Wegetationsdämonen‘ §§ 1—20.

wié, czy jeszcze nie przedchrześcijańskiéj starożytności. Zwrócić należy uwagę, że u Słowian obrządku wschodniego użycie koron czyli wieńców jest powszechne w czasie zaślubin.

* * *

W Niemieckich Piekarach (okrąg Bytomski) staruszek opowiadał mi o zaręczynach, co następuje:

„Kiech to miáu przed weselem srękowiny, smowiny, toch przecan przyniós pinc garcy, to byuo, dwadzieściá kwáurt gorzauki, a to jáu ta zaś miáu na to byus dwadzieścia ludzi, toch tyla wziąn, co by jedna kwarta kuzdy wypiu, ale chuopi wypili, bo chuop má twardsą guowa, a przytym se tyż przejáud kąsek chleba z masuem; ale kobita tego nie wypiua, to jesce na drugi dzień tochmy jesce i do pouednia pili.“

Tamże o weselu:

„Jak sie jeden żenił, to ludzie dali na wesele rozmajte miesiwa, syry, masua, tan gadzina (drób'), co mieli co jeść wszyscy; a teráz nie dostanie nic, teráz nie dadzą, teráz ni mają, teráz przeżyją na kawie. Pirwy kawy nie było, a ludzie mieli chleba dość, a ja: To zaś tacy druzbowie byli, tacy pacholcy, co zwodzili tych ludzi na wesele. To potym pili sznaps, chlip jedli, syr, kołáce, miésiwo. Bo ta pirwy ino z bożygo drzywka wieńce; no tuz jak druchna tego wieńca młody pani nie weźnie, tus po tym ten druzba porwie go i musi dáć śnapsa dwie kwárty, bo tak pirwy dáwały.“

* * *

Okrąg Gliwicki, wieś Szobiszowice pod Gliwicami. Oboje nowożeńcy przed weselem obiérają każde dla siebie osobnego *starostę*. Wśród starszych gospodarzy bywają już do tego specyaliści, świadomi wszelkich obrzędów i umiejący piękne oracye. Taki starosta z panem młodym przybywa do chaty *pani młodéj* i spotyka przed sienią swego kolegę. Wita go słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Tamten mu odpowié: „Na wieki. Amen.“

Natenczas starosta pana młodego daléj tak prawi:

„Já idan jag niegdyś trzechkrólowie przyjechali ze schódu suońca, a gwiázda ich prowadziua aż na to miejsce; gdzie sie Pan Jezus narodziu, tak i já idan za takomże gwiázdom i tyż mie przyprowadziua aż tu w to miejsce, tag já sie uż uradowáu, iż tu znalezan to, czego szukom.“

Poczém wchodzą do izby. Tu znowu pochwalą Pana Boga, a starosta piérwszy mówi:

„Mój kochany zástempca tu tego domu, teraz być (bądź) tak dobry, a wydej mi tó, czego já szukám.“ Wtedy drugi starosta (pani młodéj) idzie do komory i wynosi na talérzu bukiet (*woniaczka*), wieniec i chustkę. Piérwszy starosta bierze to wszystko do ręki i przemawia do młodego pana:

„Panie muody, teraz widzisz swój początek maużeństwa świętego, bo to nie jest samąm naszą wólą, ale to jest z wólom Boga wszechmogącego. Wiész dobrze, jag Józef święty byu staruszek, a tyż przyszeu do maużeństwa świętego; bo gdy náświętsza Panna Maryjá byua w pietnastu latach, to jom chcieli arcykapuani przemusić za mąż, ale óna odpowiedziaua, iż ona za mąż nie chce jiść, bo ona swego ślųbu nie przeuomie, bo ona Bogu wszechmoguncemu swoje paniejstwo podślubiua, a s tego inszego męża pojąć nie chce. Tak se nie wiedzieli arcykapuani, jak se majom s tąże pannom postompić, uczénili święto w kościele jeruzalimskim na trzy dni, a prosili Boga wszechmogącego, aby jém raczuu roznajmić, jak se mająm s tąm pannąm postąmpić, czy ji majom w paniejskim stanie dozwolić, albo jom za mąż przemusić? I suyszeli guos w kościele jeruzalimskim, iże wtory przydzie ze suchom laskom do kościoua, a komu wyniknie i zakwitnie ta latoroszczka z te laski suchy, ten będzie godzien pojąć owę Maryjom Pannę za oblubienicą, Ale trzy dni przeszuy, owego cudu obiecanego nie suychać. Uczénili znowu drugi raz święto na trzy dni, tak potym usuyszeli wyraźnie, iż jeszcze nie przyszou ón mąż obiecany Maryji Pannie; mieszká w mieście Betleem syn Jakubów jimieniem Józef. Posyuali czym prędzy do owego miasteczka Betleem, ktoby jeszcze byu we stanie paniejskim, aby przychodziu do kościoua jeruzalimskiego. A niosąc ze sobom laskem, Józef święty przychodzi do kościoua i wyniká i zakwitá ta sama latoroszczka. Tak ten Józef byu godzien pojąć owan Maryjo pannan za maużonkan, tak i ty tymże samym znakiem, bo widzisz, jak ci zakwitá ta latoroszczka, tak ty jezdeś guodzien i bédzie ci oddaná ta oblubienica.“

Tu starosta oddaje młodemu panu bukiet (*woniaczka*), poczém bierze wieniec i mówi daléj, zwracając się do młodego pana:

„Ten wieniec dzisiak dostaniesz na guowa swojan przed trybunauem świętym. Cóżbyś myślau, cóż ta koronka znaczy? Ta koronka znaczy to, jak kiedy Panajezusowi żydzi koronan ciernìowan na guowa jego przyciskali, tym żydom nie godziuo sie do ręki chycić, bo sie godziuo, ale ponieważ jich żgaua, to mu jom drągami na jego przenajświętszą guową przyciskali. Kiedy przyj-

dzie jaki kuopot, albo dolegliwość na ciebie, to se spómnij na owan koronkan, ktorom dzisiák weźniesz na guowan swojan, to tak wszystko spadnie ś ciebie, jak z gięsi woda.“

Powiedziawszy te słowa, starosta bierze w rękę *chusteczkę* i mówi:

„To ta chusteczka znaczy miuość, jak niegdyś Weronika święta zastompiua Panu Jezusowi drógan i zjena chusteczkan ze szyje swoji święty, a starua twarz Jezusowan; za ta uczénność Weroniki święty, iż ona to z miuości Panu Jezusowi uczyniua, za to ji tyż Pan Jezus z miuości swoji uczyniu w jaki postaci twarz Jezusowa w ten czas byua, w taki postaci jom ma do dzisiejszego dnia na rombku swojim. Myśláu byś, jiże to byli mężowie świéńci, jiże na nich dolegliwość albo kuopot nie przyjszed? Nie byua to dolegliwość, kiedy pośli do Betlejim, a tam przyszou czas, kiedy Maryjá Panna miaua porodzić dzieciątko swoje, a nie mieli, áni znaleźli gospody, musieli w ubogi stajni nocować. Po drugie: nie byua to dolegliwość, kiedy król Herod szukáu dzieciątko jich zabić, musieli w nocy do cudzych krajów uchodzić, tam nie wiedzieli drógi, ani tam nie byuo wsiów, ani miasteczków; musieli jiść bez góry, bez lasy, bez pustynie i musieli często pod gouym niebem nocować, a nie mściu sie jedén na drugim. Tag i wy powinnyście się sprawować. Tam przemieszkali siedem lát w ubóstwie; dróga ich nazád byua cięższá niż tam, bo Pan Jezus, dzieciątko jich za siedem lát podrós, cieżki byu nosić go, a we swoji muodości chodzić tyż jeszcze w siódmym roku mauo móg; a tak sie nie mściuu jeden na drugim, jéno jeden drugiégo uććiwie szanowáu i ććiu. Tak i wy powinnyście jedén drugiégo ććić i szanować!“

Teraz starosta wyprowadza *młodą panią* z komory do izby i tak dalej mówi, zwracając się do pana młodego:

„Teraz ci oddajan twojan oblubienican, któroś sobie umieniuu pojąć zaużonkan.“

Pani młoda płacze. Wtedy starosta pyta drugiego:

„Czegóż óna puacze? Jużcić já wiem, o co óna puacze; bo w mojim ogrodzie paniejskim tam kwitnóm róże, woniajom leluje, ale w twojim ogrodzie maużeńskim tam jest peuno cirniá i tárczywiá (tarki). Za to cie obowiązujan, ponieważ ty mász byść guowom maużeństwa, tag mász jiść, a przetorować chodnik, aby mógua wyliść.“

Wtedy starósta oddaje młodą panią młodemu panu do ręki, muzykanci zagrają, nowożeńcy trzykroć obrócą się dokoła i uklękną. Natenczas rodzice ich zbliżają się i dają im błogosławieństwo. Poczém całe wesele jedzie do kościoła. Po ślubie wracają do domu,

lub do karczmy, gdzie wyprawiają obiad i tańce. Pieśni obrzędowych w téj okolicy nie masz.

Okrąg Kozielski, wieś Brzeżce.

Ustęp z opowiadania staruszka, znającego obrzędy weselne, który często pełnił obowiązki starosty:

„Nię będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ — Na wieki, Pocóżeście przyjechali, czegóż żądácie.—Jo, no, panie starosta, czegóż tych żądáu; jáuch chodziu po lasach, po górach, a jáuch tan znaláuz muodzieniáuszka, chodzącego po górach, po lasach i jáu go sie zapytáu, czygo by ón chciáu, a ón mi odpowiedziáu, jiże szuká dziewczyny, abo taki dziewicy dostojny, coby ku niému náleżaua, a jách mu powiedziáu: muodzieniáuszku mój, poć sé mną, jáu wię taką dziewicę, co tobie bandzie náuleżaua, o tagech jáu tan przyjecháu i tag z woza śláuz i tagech szou ku tému drugiemu starostowi i tagech mu dáu mowan. Niech będzie pochwalony Jezus Krystus. A ón powié: na wieki; witóucie bracie, cóż potrzebujesz ode mnie? A jáu mu zaś powię tak: Kochany bracie! jáu nic jinszygo od ciebie nie potrzebuję, jény widzisz: jáuch chodziu górami, lasami, a trefiuech tan muodzieniáuszka, puaczącego, a jáu go sie zapytáu: muodzieniáuszku mój, cóż puaczesz; a cóż szukász? a ón mi odpowiedziáu; cóżbych jáu szukáu? jáu nie chcan nic, jény taki dostojny dziewicy, coby óna byua dó mnie podobná, a jáuch mu powiedziáu: poć bracie sé mną, já ci znejdę tan dziewican, chtora óna tobie bandzie dostojna. I tag my przyjechali tan przed tégo starostę, chtory ón byu od ni i tak ón mie sie pytáu: czego szuką? tagech jáu mu powiedziáu, a óu mi powiedziáu: pójdź bracie mój, u mnie to dostaniesz. (Weźnie za rękę, a wiedzie dziewczynę). Oto panie starosta, to máusz, coch ci przywiéd, a jáu mu odpowię: Coś mi przywiéd, jáu na tę nie przystanan, boch jáu chciáu w zielonyn wioneczku, a tyś mi przywiéd wczerwionyn. (Potém przyniesie mu wieniec, a ten mu podziękuje): Pán Bóg zapuać bracie za ten dáur, coś mi przynieś. (Chustkę, woniaczkę i wieniec mu przyniesie, a ten odbierze wszystko). Oto máusz panie muody, to máusz woniaczkę, trzy latoroszczy, tak jak kiedy święty Józef do kościoua Jeruzalimskiego stąpiu, tak mu trzy latoroszczy, z jego láuski wyrosuy. Oto máusz chustkan, odbier ją ode mnie. Tak kiedy Pán Jezus od Weroniki święty, kiedy go Weronika świętáu ocieráuua, tak tyż twáurz jego na ty chusce zaráuz wyrażonáu zostaua. A to máusz winiec twój, a jáu ci go nie kuadan na guowan twojan tak ostro, jak Panu Bogu kuadli koronę cierniową na guowan jego. Amen.“

Zanim wpuszczą pana młodego do izby, w którój się znajduje pani młoda, starosta jéj daje mu różne zadania: Tak naprzykład wymaga od niego, aby wszedł pod ziemią. Musi tedy pan młody użyć wybiegu: wkłada nieco ziemi w kapelusz i, trzymając go nad głową, wchodzi do izby, a tym sposobem wywiązuje się z zadania. Inny warunek jest, aby wszedł do izby nie przezedrzwi. I w tym przypadku musi się jakim dowcipem ratować. Dają mu przytém różne zagadki do rozwiązania.

W okolicach Małych Strzeleczek rzucają garnek za panną młodą, kiedy opuszcza dom rodzicielski.

Obrzędy weselne w okolicach Opola.

Pan młody obiéra sobie dwu drużbów i starostę, który tu zwykle nazywa się *starzejsy* albo *postarzejsy*. Pani młoda ma również starostę i dwie druchny. Drużbowie przystrojeni są w białe ręczniki, przez ramię w kształcie szarfy przepasane i u boku z drugiéj strony związane. Kapelusze (*cápka*) zdobią bukiety (woniaczka) i wstęgi. W rękach również bukiety. Drużbowie występują konno, lub niekiedy na wozach. Druchny mają warkocze zawinięte i wstęgami ubrane, a tył głowy złotemi *latoroszczkami* (gałązkami) wyłożony. Obrzędy rozpoczynają się z chwilą, kiedy pan młody zajeżdża do pani młodéj ze swymi *przáuciołmi*, gdyż tak zwą się jego towarzysze. Jeden z drużbów puka do izby, a wszedłszy, rozpoczyna przemowę, prosząc o *przystęp*, to jest o pozwolenie wejścia dla pana młodego i jego przyjaciół. Gdy to uzyskają, *starosta* czyli *postarzejsy* ma zkolei mowę, która to, jak i w innych okolicach Szląska, stanowi najważniejszą część obrzędów weselnych.

Jeden z siodłaków, w okolicy Opola zamieszkały, właściciel Wyspy Bolkowéj na Odrze, znany ze swego talentu krasomówczego, i dla tego téż wszędzie zapraszany na starostę, udzielił mi długą przemowę weselną starosty w rękopiśmie. Język téj oracyi różni się nieco od ludowego; z jednéj strony zbliża się trochę do języka ogólnego, a obok tego w całym toku przypomina styl uroczysty pisma świętego z wieku XVI. Pisownia jest nader niejednostajna i nieudolna. Z tego ciekawego dokumentu wypisuję tu ustępy bardziéj charakterystyczne, inne podając w streszczeniu. Okazało się niezbędném wprowadzenie pewnéj jednostajności w pisowni i zbliżenie jéj do wymawania.

Drużbowie wchodzą do izby i jeden z nich rozpoczyna przemowę:

„Przistęp. Niech będzie pochwalóny Bóg wszechmogący na wszystkich miejscach i tukej na tem. Wstępujędź já tak dnia dzi-

siajsego do dómu tego cnego i poććiwego. Aledź já nie wiem, do kogo bym já sie odezwać miáu, jeżeli do pana gospodarza, albo pani gospodyni domu tego, albo jeżeliby óni mieli cuowiecka takówego na swoim miejscu przisposobionego, cobych já móg przemówić słówko do niego. I tak was tez uprasamy wsystkich w tem dómie się znejdujących, ókouo stoua siedzęcych, żebyście się nie znęcali, a do nas się odezwali, i zebychmy wiedzieli, do kogo bychmy suówko, albo dwie przemówić mieli. Amen.

Odpowiedź. Moi mieli modzieniáskowie, coz wy sie to tak turbujecie, a o takim cuowieku sie wywiadujecie i mówicie dó nas, ize by sie miáu oguosić do was. Ja nie wiem, co wám powiedźieć mam, bom przised prawie przed wami i usiaduem na kraju między temi somsiadami; bo tak powiadają i prawie tez mają, kto nieskoro chodzi, sam sobie skodzi. Tak jageście przichodzieli do dómu tego, tagech já zaráz wiedziáu, ize wy będziecie chcieli cego. Tagech já naprzód prosiou Boga wszechmogącego, żeby ón nam zesuáu cuowiecka takowego, coby móg dadź odpowiédź pytaniáu wasego, a tu trafieuo na mnie samego. I tak sprawujcie wasę rzec w imieniu Boga wszechmogącego.

Pytanie. Dziękujęć já nejprzód Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy świętéj jedinemu, takze tez temu gospodarzowi kochanemu, ze sie óni nie ściązali, a cuowieka takowego na swoim miejscu przisposobionego obrali; takze tez dziękujemy temu uaskawemu panu Postarzejsemu ze suowecka tego, chtorechmy suyseli od niego, teraz my juz będziemy wiedzieli, do kogo nasę dalsą rzecz sprawować będziemy mieli, ze nie do kogo innego, tylko do pana postarzejsego. Tak tez pozdrawiamy nejprzód Pana Boga wszechmogącego, w Trójcy świętéj jedynego i nejświętsą Pannę Maryją i wsystkich świętych. Takze tez pozdrawiamy pana gospodarza z panią gospodynią dómu tego. Takze tez pozdrawiamy tę cną dzieweckę. Takze tez pozdrawiamy wsystkich w tem dómie sie znejdujących, jednego i kazdego. Takze tez ten cny a poćciwy oblubieniec prosi przezy mnie suugę niegodnego, na swoim miejscu przisposobionego o ten poćciwy *przistęp* siebie samego i s cauą familiją jego. Bodź nam sie przitrafiéuy dnia dzisiajsego suowa Ewangielisty świętego.“

Tu następuje opowiadanie z Ewangelii ś. Mateusza r. XXII, 2—10, o człowieku, który wyprawiał gody synowi swemu.

Poczém drużba tak rzecz dalej prowadzi:

„I tak sie tez dnia dzisiajsego przidauo temu panu modemu, jak temu cuowiekowi, co strojóu gody mauzeńskie synowi swojemu; bodź nam tez tak do dnia dzisiajsego objatowali, a swojéj obietnice nie

dotrzimali, a za niewinnych sie wymawiali. I tagechmy sie z wolą Boga wszechmogącego z dómu ojców pana modego zabrali, a radzibychmy nasę rzec dalej sprawowali. Ztelka, ze tu nie momy zadnego kulawego — chrómego i niewidomego. I tak my tes uprasamy w imieniu Boga wszechmogącego Pana postarzejsego o miéue przijęcie pana modego i s cauą familiją jego.“

Starosta pani młodéj odpowiada na to:

„Moi mieli modzieniáskowie. Wy sie bardzo we wielkie rzecy wdawacie, kiedy wy tyle sy mnie pożądácie, które ledwo ode mnie otrzimacie. Já wám tylko myśláu samem przizwolić ządanie wase, bo tego bychmy sobie nie byli myśleli, zebyście wy taki wsyscy przistąpić chcieli. Tak já dnia dzisiajsego nié mám z wami do rady nic insego, tylko, zebyście wy mi sie prziznali, kiedyście wy sie z dómu wasego zabiérali, jezeliście sie tez według rozkazu króla najjaśniejsego sprawowali, jezeliście tez *adesty* albo *oświajcenie* z gminu wasego ze sobą zabrali, i tak będziemy ze sobą dalej rozmawiali.“

Drużba. „Mój mieuy, uaskawy panie postarzejsy. Tochmy sobie zaráz myśleli, ize wy będziecie z nas wyświacyniá chcieli, i tak jechmy sobie umyślili, izebychmy jeden drugiego wyświacyć mieli.“

Starosta pani młodéj: „I tak moi mieli modzienioskowie, kiedyście wy sie tak usprawiedliwieli, tedy wám juz podzwolémy, izebyście przistąpieli. Ale nie z hurmem i nie z hauasem, nie z kopotem, nie z tartasem, ani nie z muzyką, zebyście nam potém placu (czy puacu, to jest płaczu?) nie narobiéli, ale izebyście w imieniu pańskiém w pokoju przistąpieli. I tak przystępujcie do domu tego w imieniu Boga wszechmogącego.“

Drużba: „Dziękujęć já nejprzod panu Bogu wszechmogącemu i téz temu panu postarzejsemu za ten poćciwy przistęp pana modego i s cauą familiją jego.“

Tu drużbowie powracają przed sień i wprowadzają cały orszak weselny z panem młodym i starostą. Ten ostatni zabiéra głos i przemawia, jak następuje:

Starosta piérwszy: „Niech będzie pochwalony Bóg wszechmogący na wszystkich miejscach i tukej na tém. Mój mieuy, uaskawy Panie postarzejsy! Unizónie a pokornie prosiemy za zue nie mieć wstąpienia nasego do dómu tego cnego i poćciwego. Nizelichmy do was przistępowali, tagechmy przed sobą dwuch suugów posuali, zeby óni nás oguasali, a nasę rzec dalej opowiadali. Tak bychmy sie tez radzi zapytali, jako oni sie tez tukej sprawowali. Jezeli oni tez Boga wszechmogącego w Trójcy świętéj jedynego

pozdrowiéli, jezeli oni tez w tém dómie jednego i kazdego pozdrowiéli, jezeli óni tez w tém dómie jednego i każdego pozdrowiéli, jezeli óni tez kómu co nie ublizyli i ukrziwdziéli, jezeli óni tez zue w dobre, a dobre w lepse odmieniéli? zebychmy nasę dalsą rzec sprawiéli. Mój miéuy uaskawy panie postarzejsy.“

Starosta drugi: „Mój miéuy uaskawy panie postarzejsy! coz wy sie tak turbujecie, a o sprawach i postępkach suugów wasych wywiadujecie? Ci dwa suugowie, których zeście przed sobą posuali, ci sie tukej bardzo dobrze sprawowali, nejprzód Pana Boga wszechmogącego, w Trójcy świętéj jedynego pozdrowieli, takze tez tę cną a poćciwą panią muodą. Takze tez wsystkich w tém dómie sie znajdujących, jednego i kazdego, a naostatku mnie samego. Tegodź nie wiem, bo tam blisko kuminka stanyli, jezeli by tam kucharce co nie wywróciéli, albo wyrządziéli, bo to drugie wsystko bardzo dobrze sprawiéli, mój mieuy uaskawy panie postarzejsy.“

Otrzymawszy o swych wysłańcach tak zadawalniające świadectwo, starosta zapytuje dalej w imieniu pana młodego, czy mu narzeczona dochowała obietnicy:

. - . . . . „bodź by ón sie rád dowiedziáu przezy mnie suugę niegodnego na swoim miejscu przisposobionego suowecka pewnego, jezeli tez ta cna a poćciwá dziewecka dotrzimaua temu cnemu a poćciwemu oblubieńcowi swojemu od *dniáska smownego* do dniaska dzisiajsego weselnego, ktorą ón sobie ulubiou i namówióu, ale nie po kacmach i siękownych dómach, ale ją sobie ulubióu w dómie bozem. Tam przed oltarzem klęcaua, modlitwy do Boga posyuaa. A jak óna wysua z dómu Bozego, wlazua do somsiada jednego i tam ón sed za nią i rzek jéj: Dziewecko, jezeli by byua wólá bożá i twoja, moguabyś ty być moja? A óna mu odpowiedziaua: Nejmielsy modzieniasku, ja tobie zadnej odpowiedzi dadź nie mogę, bodź já tego nie weznę na swoję gowę, bodź já jescy mám moich kochanych rodziców ojca i matkę, bratów i śostry i innych przijácieli. Trzeba tobie z niemi mówić, jako óni będą chcieli. I tak sie dostawióu ten cny a poćciwy oblubieniec do dómu tego z wolą Boga wszechmogącego. Dedydź mu tu ta dziewecka w przitomności ojców i przijacieli szlubowaua i prawą mu rękę daua. I tak by się tyn oblubieniec i t. d.“

Otrzymawszy zapewnienie od starosty, że panna młoda „dotrzimaua tego suowecka . . . . od dnioska smownego do dnioska dzisiejsego weselnego,“ starosta pierwszy prosi dalej o jaki znak:

„ . . . . . a takze unizonie a pokornie prosiemy, gdyby ta cná a poćciwá dziewecka, na znak, ze dotrzimaua tego suowecka, te-

mu cnemu a poćciwemu oblubieńcowi swojemu, jaki znak prezentowaua."

Tu starosta pani młodéj wzdraga się z początku i żałuje, że wpuszczono natrętów, lecz nakoniec daje się uprosić i idzie do komory, gdzie się znajduje ukryta panna młoda z druchnami. Po chwili wraca z dwoma wiankami. Z tych jeden daje staroście 1-mu, drugi zatrzymuje dla siebie na znak wzajemnéj przyjaźni:

„..... izeby tez między nami końca mieuości nie byuo, izebychmy sie spouecnie miyuowali, a te podarunecki od tych dziewecków odebrali, nie są óny tak z wielkiéj spaniauości, ale óny są z wielkiéj a scyréj mieuości, tak já teraz jeden oddawam panu postarzejsemu, a ten drugi ostawię sobie samemu, a wyprasam sobie izebychmy się dosyć ukontentowali, a jeden z drugiego więcéj nie ządali, ale mój mieuy uaskawy panie postarzejsy, tych podarónecków od tych dziewecków mychmy tez zadarmo nie dostali, bo óny ządają, zebychmy je za nie wytańcowali. Prosę o uaskawe przijęcie." *(oddaje wianek).*

Starosta 1-szy dziękuje za podarunek, lecz na nim jeszcze nie poprzestaje:

„..... já bem byu spokoję, ale ten, co ze mną stoi, jescy sie nie kontętuje, po plecach mnie popukuje, spokoję być nie chce po piętach mi depce, smutnie poglądáu, a jesce cgoo ządáu. Nie moze to być przidano, bo ón tez miàu coź obiecano. Bo kiedy ta oblubienica jego po kalwaryi świętéj biegaua, tag óna sie bardzo frasowaua, i aby óna tez to tego swego oblubieńca udarować miaua, ale óna w tém wsystkiem swoim frasunku Boga wszechmogącego, w Trójcy świętéj jedynego na pomoc braua, takci óna sobie umyślaua, aby óna po tych przikrich a wysokich górach kwiatecki zbiéraua, a z tych kwiatecków swojemu oblubieńcowi jaki znacek uformowaua. Jako to nawet dziewecki rade wiją zielone wionecki i miewają bielone hustecki. Kiedyby z tych jaki otrzimać."

Starosta 2-gi. Mój mieuy uaskawy panie postarzejsy! My uz teraz sami widziemy, ize my z wami końca nie dojudziemy bo więcéj bychmy wam obiecali, bardziéj byście sobie wymyślali. Tak ja jesce raz pondę do téj kumórecki, między te dziewecki, nie jako wilk między owiecki, izbych je rozprosyu, ale s tej przicyny, zebych je pociesyu."

Wychodzi do komory; po chwili wraca, niosąc równiankę z kwiatów dla pana młodego (*latoroscka woniacka*), wieniec i chusteczkę i tak daléj rzecz prowadzi:

„Niech będzie pochwalony Bóg wszechmogący na wsystkich miejscach i tukej na tem. Mój mieuy uąskawy panie postarzejsy i ty panie mody! Jageście wy sy mnie ządali i o te znacki prosieli, tak ja idąc w imię pańskie do tej kumórecki, między te dziewecki, i znalázłem tam te znacki u tėj zacnėj a poćciwėj dziewecki, która to nie wiedziaua, jakby swego oblubieńca udarować miaua. I tak mu tę *latoroskę* beze mnie posuaua, ktora pochodzi z drzewa oliwnego, ktora urosua na grobie cuowieka piérwsego, to jest Adama.“

W dalszym ciągu opowiada starosta długą historyją tego drzewa. Pochodzi ono z raju, wyrosło na grobie adamowym, a ścięte przez Salomona do budowania świątyni, przeznaczone zostało na krzyż, na którym Chrystus ród ludzki odkupić miał. Dalėj mówi:

„Tak tez ta oblubienica posyła tę gauązeckę swojemu oblubieńcowi bez mnie samego. Nie jest ci óna z drzewa oliwnego, ale óna pochodzi ze serca scyrego, na rozmnozynie i na potwierdzenie mieuości jego. Takze tez ty mieuy oblubieńcu, kiedy sie ty będzies w jakimkolwiek smutku albo upádku znajdowáu, zebyś sobie ty na tę látoroskę przipomniáu, albo tez sobie mękę Chrystusa Pana rozpamiętywáu. I tak ci tez ty od wsystkiego będzies uwolniony i ocyscony. Tak já ją oddaję panu postarzejsemu, a pon postarzejsy ją niech oddá panu modemu.

Teraz bierze do ręki wianek i mówi:

„Mój mieuy uaskawy panie postarzejsy! Takze tez ta oblubienica wysedsy na ten świat okrąguy, uuozony i konstownie początku ani końca nie mający i przisedwsy (sic!) názád do swojego pokoju, siadua przi ukrzizowanem Zbawicielem swoim Jezusem Chrystusem i ujzdrzaua na świętėj guowie jego koronę początku ani końca nie mającą i tak sobie umyślaua, zeby tez oblubieńcowi swojemu nie z gogu ani ś ciernia wionecek uwióua i zawiua weń trzi cnoty, to jest wiarę, nadzieję i mieuość. Przez wiarę wyraza sie przi szlubie obiecaną wierność, jeden ku drugiemu scyrze zachować, a do śmierci ją trzimać, jak we stanie mauzeńskiém przinalezy. Przez nadzieję wyraza sie, zeby wselkie dolegliwości, nędze, biédy, trudności cierpliwie znosieli z tą ufnością, którą Bóg przziobiecau tem wsistkim, ktorzi nadzieję w nim pokuádają. A przez mieuość wyraza sie nejwiększe przikazanie boskie, gdzie powinność nejwiększa jest, którą spouem kónać i peunić powinni az do śmierci tak, jak w tem wionecku nie mas kóńca ani początecku, tak tez w jeich mieuości az do jeich starości.

Podaje chustkę:

„Mój mieuy uaskawy panie postarzejsy, takze tez ta chustecka bielonáu, na styry rogi suozonáu, któréjście ze mnie ządali o którąście mnie prosieli, jest znakim niewinności, którą óna otrzimaua przi chrzcie świętem w jéjej modości. Nie posyua mu jej na to, zeby sie nią po kacmach, przi kartach w zuych towarzistwach ocieráu, ale mu ją óna to posyua, jak święta Werońika ucynióua, gdy Chrystusa Pana spracowanego, zmęcónego, dla zbawienia nasego na Kalwaryją idącego, widząc go w przinejświętsej krwi jego skrwawionego, do otarcia twarzi jego przinejświętsej mu takze tuwalnią podaua. Takze mu ją tez óna na to posyua, jak sie będzie w pocie coua swego kansa chleba dorabiau, zeby sie nią ocierau a szlub i mieuość swojéj oblubienicy pamiętáu. – Tak bych já sobie myśláu, zech juz, jak pana modego, tak tez pana postarzejsego udarowau, ale tez i ukontentowau."

Odebrawszy podarunki, starosta pana młodego dziękuje za nie, a pragnąc się wywzajemnić, w imieniu narzeczonego składa w darze swemu koledze pieniądz srebrny. Nie poprzestaje jednak na otrzymanych podarunkach, lecz domaga się jeszcze wydania pani młodéj, mówiąc: „.... bo jagechmy do was jechali, tochmy sam na dródze myjśliwca potkali. Ten strzelyu ptaská jednego, aze leciauy piorecka ś niego. Tak jak ón ujzdrzáu te piorecka, byu we wielkiej radości, i ze tez będzie i pieconecka. Takze tez ten oblubieniec, jak ón otrzimau te podaronecki, od tej dziewećki, s tej komórecki, tak by ón tez jescy rad i tej dziewecki, która sie znejdzie w tej kumórecce, klęcącáu, panu Bogu sie modlącáu, na swojego oblubieńca cekającáu. Bodź óna mu tydnia trzeciego, dniáska smownęgo tak obiecaua, ze go óna będzie dzisiej w tej kumorecce cekaua."

Udobruchany datkiem starosta drugi, „izeście mi tak strzebuem ocy zatkali," zapytuje w imieniu oblubienicy: „do jakichby sie tez to ludzi dostaua, zeby sie tez nie dostaua do wanielików, albo do zydów, albo na ostatku i do poganów, albo izeby tez nie trafióua na jakich katów albo dymokratów (sic!), izebyście wy nam sie prziznali, w jakiejbyście wy sie wierze znejdowali."

Starosta 1-y zapewnia, iż się znajdują „w tej wierze, za którą pan Chrystus na krzizu ucierpiáu, a to jest wiara katolickáu." Na zapytanie zaś, „gdzie sie pierwsi sugowie pana Jezusa podzieli, a ktorzi byli?" odpowiada: „Ten jeden suga Pana Jezusa byu wzięty dó nieba, a tego drugiego ludzie zjedli, a tego trzeciego psi pozarli." Przez owych trzech służących Chrystusa rozumié tu starosta: ś. Józefa, wołu i osła w stajence betlejemskiéj. Wyka-

zawszy w ten sposób erudycyą teologiczną, prosi o przyprowadzenie oblubienicy. Lecz nie staje się jeszcze zadosyć jego życzeniu, gdyż musi objaśnić, w jakim celu żądają oblubienicy? A gdy da odpowiedź, iż na nic innego, „tylko do kościoua świętego, przed kapuana bozégo na potwierdzynie mauzeństwa świętego, albo sakramentu szjódmego,“ zkolei wykłada, przez kogo jest ten sakrament postanowiony i potwierdzony, jaki ludziom pożytek przynosi i co z niego wypływa.

Następnie starosta 2-gi zadaje mu do wyłożenia parabolę o człowieku, który po urodzeniu w Jeruzalem otrzymuje dar boży, potém udaje się do Rzymu i tam ze złotéj jabłoni o siedmiu gałęziach od ogrodnika papieskiego dostaje latorószczkę, którą chowa aż do śmierci. Starosta 1-y podobieństwo to wykłada w ten sposób: Darem jerozolimskim jest sakrament chrztu, ogrodem papieskim kościół, a drzewem o siedmiu odnogach siedm sakramentów. Latorószczką zaś, którą ogrodnik papieski, to jest kapłan daje człowiekowi, jest żona, towarzyszka człowieka, którą ten winien w uczciwości do śmierci zachować

Gdy starosta pana młodego w ten sposób odpowie na wszystkie, czynione mu pytania, starosta 2-gi udaje się po panią młodą do komory, lecz zastaje drzwi zamknięte. Domyśla się więc, że są kamieniem przywalone i zaprasza swego kolegę, aby mu pomógł kamień ten podważyć. Ten mu objaśnia, że ciężar, drzwi przytłaczający, nie jest niczém innćm, jak smutkiem, który serce pani młodéj przygniata. Przy téj sposobności opowiada ustęp o kamieniu, którym był przykryty grób Zbawiciela. Po kilku bezskutecznych usiłowaniach drzwi komory otwiérają się nakoniec, i starosta wyprowadza oblubienicę.

Starosta 2-gi: „Niech będzie pochwalóny Bóg wszechmogący na wsystkich miejscach i tutej na tym. Mój mieuy uaskawy panie postarzejsy i ty panie mody! Kiedy to pon Bóg stworziu świat, tak prziozdobiou fiyrmament suońcem, miesiącem i gwiazdami, a ziymię tráwą, lilijami i drzewami, a naostatku cuowieka samego, który mu ucynióu towarziskę Ewę ze ziebra jego; nie ucynióu, mu jéj z nogi, ani z guowy jego zeby go nie przebiyraua w rozumie jego. Aledź mu ją ucynióu z boku samego, zeby mu byua na pómocy w trudnościach jego. Tak já tez prziwodzę tę oblubienicę przed oblice wase, tak ją sobie obaccie, ize to jest ta a nie inná. (1) Tag jáu jéj nie wiedan za wuosy

(1) Dotąd rękopism. Daléj pisałem według opowiadania jednego ze starostów w Zakrzowie pod Opolem. Stąd język różni się nieco od poprzedniego.

ani za guowan, ale na wszystkich ćuónkach zdrowun, choć sie (jeżeli) idzie bez progi, nie utykáu na nogi. Zeć byś i tes ty pięściami albo kijami nie cestowáu, albo za jaką snuskan albo gansiáurkan miáu, ale zebyś ją tak jak sóm siebi sacowáu.

Tag jáu uoddajan panu postarzejsymu, a pón postarzejsy niech ją uoddáu panu muodému, zeby sobie prawe rance dali, spouę sie przywitali, (albo: zeby sie obrócili w kouo, zeby in byyo wesouo.) N. b. p. J. Chr.

Tu starosta pana młodego, podniosłszy ważność obrządku, który się ma spełnić, składa w imieniu oblubieńca podziękowania matce i ojcu za wszystko dobre, które od nich doznał; następnie braciom i siostrom, sąsiadom i sąsiadkom, i żegna wszystkich. W końcu prosi rodziców o błogosławieństwo dla państwa młodych, a kiedy to nastąpi, tak kończy:

„Dziękujan wą kochany ojce i matko, zeście tak dobrzi byli, a to bógosuawieństwo święte mu udzielili, a terazki wáus prosan wsystkich wespóu tu zebranych, zećbyście tak dobrzi byli, a s nami sie do kościoua świętego zabiérali, a za tych nowozeńców przináumniéj kazdy Uojce nas i zdrowaś Maryjo zmówili (albo: a s nami sie w dalsą podróz zabiérali)".

Po ślubie, podczas uczty weselnéj, tańcują tak zwanego *kota*. Przy tym tańcu śpiéwają:

—

„O jeno dziś, jeno dziś
We wionecku jus chodzis!
A camus, camusto,
Mogan jesce i jutro.
O nié mozes, nié mozes,
Wisi cepiec w komorze.
Wisi ich, ba li seść,
Obier sobie ktori chces.
Obier sobie bielóny,
Za wionecek zielóny".

—

„Moje wuosicki zuóciste,
Zdobiuyście mnie zaiste!
Juz mie zdobić nie bandziecie,
Pod biáuy cepecek pójdziecie!"

—

„Nie widzieliście ta Mateusa sewca,
Sieli ón nie znalaz mojéj dziouchy cepca?
Óna nieboráucka troskan się napiua,
Zasua do karcmicki, cepécek zgubiua".

Wieś Wisła w księstwie Cieszyńskiém.

Wesele poprzedzają zaręczyny, które tu nazywają *namowy*, aldo *zálety*. *Żenich* albo *żeniuch* wybiéra dwu, lub trzech roztropnych ludzi i idzie i z niemi na namowy do mieszkania przyszłéj *muoduchy* czyli *moduchy*. (1) Tu jeden z nich zabiéra głos, wyjaśniając powód przybycia; cytuje ustępy z ksiąg tobijaszowych i ma mowę o weselu młodego Tobijasza. Następnie częstują się wzajemnie zwykłą gorzałką i proszą, aby zawołano *muoduchę*. Gdy ta wejdzie do izby, żenich dobywa z *tanistry* butelkę z *rosolką* i, częstując *muoduchę*, oświadcza jéj cel przybycia i prosi o rękę. Muoducha z początku nic nie odpowiada, lecz w końcu, jeżeli jest chętna, podaje rękę żenichowi na znak zgody. Wtedy ten ostatni daje *muodusze na záwdanek* kilka reńskich srebrem. Poczém rodzice młoduchy wyprawiają ucztę dla namowników. Podają placek z bryndzą i masłem, mięso i *ziemniaki pod poléwkę*.

Na drugi dzień *żenich* z *muoduchą* idą na *naukę* do pastora. Jest to egzamin z zasad wiary, z którego wydaje pastor świadectwo, tak zwaną kartkę. Kartka ta i *rodne listy* (metryka) są niezbędnemi dokumentami przy zawiéraniu małżeństwa. Teraz żenich daje księdzu na *uobuoszki* czyli *uoguoszki*, to jest zapowiedzi. Wczasie zapowiedzi, przez trzy niedziele, trwają przygotowania do wesela (*wiesielé*), które wyprawia żenich swoim kosztem.

Weselnicy zbiérają się w domu żenicha. Przybywa tam starosta, drużba z pięcioma muzykantami, którzy grają na dętych instrumentach. Wtedy muoducha posyła zenichowi bukiet (*chochouek*), *drużka* zaś *drużbowi* i wszystkim gościom. Zaraz zaczyna się uczta, któréj głównym specyałem jest *kouacz z brędzą*, sérem posypany. Kołacz ten ma długości trzy stopy, jednę stopę széroki, a półtora cala gruby. Podają go z ciepłém masłem. Prócz tego częstują weselników *poléwką*, to jest rosołem, gotowanym na

(1) Godna uwagi, że ilekroć używają obu tych wyrazów jednocześnie, kto powié *żenich*, wymawia *muoducha*; wymawianie zaś żeniuch idzie w parze z *moducha*.

mięsie cielęcém, lub skopowém, w garku szesnastokwartowym. Do *poléwki* stawiają na osobnéj misie groch, kaszę *prosianą* (jaglaną), albo *pszeniczny gryzek* (kasza pszenna), polane masłem. Rosolka służy za napój.

Po uczcie, zabiérają się po *muoduchę.* Przedtém jednak starosta ma przemowę krótką do żenicha. Daje mu przykład z ksiąg Tobijasza, jako ma czcić swych rodziców i żonę; wykłada mu daléj, w jakim celu wstępuje do stanu małżeńskiego. Tu żenich żegna się z rodzicami, dziękuje im za wychowanie i *wyćwikę,* prosi aby mu odpuścili, w czém ich kiedy do gniewu przywiódł. Poleca się ich pamięci i prosi, aby, w razie, gdyby mu się nie powodziło w nowym stanie, nie odmawiali swéj pomocy. Wśród ogólnego rozrzewnienia rodzice błogosławią synowi i ściskają go.

Następnie cały orszak przy dźwiękach muzyki i nieustannych salwach z pistoletów, które mają drużbowie za pasem (*uopasek*), udaje się do chałupy młoduchy. Lecz nie tak łatwo dostać się tutaj. Starosta młoduchy, widząc zbliżającą się gromadę, zamyka drzwi od sieni i broni wejścia. Natenczas starosta żenicha śpiéwa parę wierszy piosenki czeskiéj, zaczynającéj się od słów

„Probud se dusze ze sna teżkeho“,

i stuka do drzwi, prosząc, aby go wpuścili z jego ludźmi. Starosta domowy wzbrania się i przygania natrętom, że spokojnych ludzi nachodzą, ze strzelbą i muzyką się włóczą i niepokój czynią. Po kilku minutach przekomarzania się, na usilne prośby starosty 1-go, odchyla drzwi i puszcza go samego. W téj chwili wszyscy naraz uderzają do drzwi tak gwałtownie, że broniącego wejścia starostę powalą na ziemię. Uczęstowawszy go gorzałką za ten despekt, (gdyż każdy z gości ma przy sobie butelkę z rosolką) wszyscy cisną się do izby.

Tu starostowie rozpoczynają dysputę, która ma na celu wykazać ich erudycyą teologiczną i oczytanie w piśmie świętém. W końcu starosta *żenichów* prosi *domowego* starostę: „cobyście mi taką rzecz dokludzili (dostarczyli), jakiéj já ze swoimi ludźmi potrzebuję“. Po długich zatargach, domowy starosta przyprowadza dziewuszkę w ośmiu lub dziewięciu latach i oddaje ją żeniuchowemu staroście. Ten dziękuje za dar i przeznacza go dla siebie, a prosi dalej dla drugich wedle ich stanu; potém śpiéwa piosnkę, któréj nutę przygrywają *muzykancià.* Wtedy starosta domowy

puka do drzwi komory, gdzie jest ukryta muoducha, a muzyka gra „niech żyje“. Starosta wynosi z komory dwa talérze, na których leży *zielona szatka* (chustka) dla żenicha, a czerwona dla *drużby*, po trzy albo cztéry jabłka czerwone i dwie *wońki* (bukiety) dla żenicha zielona, a dla drużby czerwona. *Wońki* te przypinają sobie do *brucleka* na piersiach z lewéj strony, jabłka chowają do kieszeni lub zanadrze, a *szatkę* uwiązują u brucleka. Za te dary dają: żenich cztéry lub sześć reńskich w srebrze, a drużba dwa dla dziewcząt. Starosta domowy ża *uobsyukę* dostaje także po dziesięć grajcarów od każdego. Starosta żenicha dziękuje za dary i prosi „zaś jeszcze uo zacne uosoby dla tych uosobliwych ludzi“. Wtedy starosta domowy wyprowadza za rękę muoduchę, która z zakrytemi oczyma płacze, a powiedziawszy jéj przedtém stosowną naukę o obowiązkach żony z cytatami z pisma świętego, oddaje ją do rąk starosty żenicha. Ten zkolei przemawia do nowożeńców i oddaje muoduchę żenichowi; muoducha żegna się z z rodzicami i otrzymuje od nich błogosławieństwo.

Do ślubu drużba prowadzi muoduchę, a drużka żenicha. Orszak weselny przy dźwiękach muzyki udaje się do kościoła. Jeżeli do kościoła mają daleko, tedy jadą na wozach z uprzężą, przybraną w pióra i wstążki. W czasie ślubu *rechtor* (kantor, organista i zarazem nauczyciel) gra i śpiéwa pieśń, zaczynającą się od słów:

„Jak pjeknje jest w swatem stawu“.

Po ślubie wstępują do karczmy, a stamtąd do domu, gdzie tańcują *starego cielęcáka* i polkę. Zabawa odbywa się w *kurláwéj* izbie, gdyż, jak powiadają, „kierędy jidzie dym, to téż i goście, to jest przez dźwierze“. Około szóstéj godziny wieczorem zasiadają do uczty weselnéj, do sześciu lub siedmiu stołów. Główną ozdobą stołu jest *toczenik*, albo *toczynik*. Jest to wielki okrągły, wysoki „*kouacz z fajnéj mouki*“; koło Cieszyna zwą to „babką“ (kugelhupf). Leży tam także chléb szesnaście cali széroki i pięć cali wysoki; który zajadają z bryndzą. Oto jest spis potraw, stanowiących ucztę:

1. Poléwka skopowa z *pogańską kaszą* (tatarka).
2. Wielka misa czarnéj kapusty.
3. Poléwka cielęca z grochem.
4. Poléwka *uowięziowa* (wołowa) z *gauuszkami* (rodzaj klusków).

5. Kasza *prosiana* (jaglana) z masłem.

Przed ucztą starosta muoduchy śpiéwa piosnkę odpowiednią i odmawia modlitwę, co również czyni po jedzeniu.

Podczas wieczerzy zbiéra starosta pieniądze od gości po dziesięć lub dwadzieścia grajcarów na *biáy wieniec* dla muoduchy.

Przy czepieniu zamykają się kobiéty z muoduchą w komorze, aby nikt z mężczyzn nie widział. Muoduchę sadzają na konwi z wodą. Wodę tę musi żenich wynieść na dwór i wylać. Wianki z głowy muoduchy wkładają do kapelusza żenicha; ten zaś kładzie go na głowę, a ojciec mu zrywa i rzuca na ziemię. Podczas czepienia śpiéwają następujące piosnki:

„Zaszumiaua zieloná dąmbrawa,
Zaszumiáu też i gáj;
O cóż puaczesz nadobná dziéweczko,
Czy ci wionka żál?
Żál mi wionka,
Strzybnego pierścionka,
A jeny mi go żal!
Czemużeś go wtedy nie żalaua,
Kiedych ci go bràu?
Mauach byua, mauych rozum miaua,
Terazy mi go żál.
Uwij se go ty sz czerwionéj różyczki,
Nie bedzie ci go żál.
Uwiuach se go s czerwionéj różyczki,
Chyciuach se go do prawéj rączyczki,
A jeny mi go żál.“

—

„Powiédz że mi, mój syneczku,
Co wolisz, a zaś co wolisz.
Czy tę piękną żonkę,
Czy gorzáuki szklónkę,
A zaś co wolisz, co wolisz?
Wolę piękną żonkę,
Niż gorzáuki szklónkę.
Nie bój że sie moja nejmilejszá,
Zaś nie bój.
. . . .
. . . .

Po oczepinach, same kobiéty tańcują *biauego tańca*. Biorą się za ręce i kręcą wkoło. Potém robią „poprawkę“ i śpiéwają:

„Kiedych já szeu ku swéj najmilejszéj,
Jeszcze suońce świeciuo,
Zakuupkáuech na jei uokienko,
Ónej doma nie byuo.
Nie uszeuech przez nieduugie góny (zagony),
Óna za mną wouaua,
Wróćże sie ty moje pocieszenié,
Bobych się pogniéwaua.
Gniéwauaś mie uod swojéj muodości,
Już mnie gniéwać nie bedziesz!
Pojadę ja do cudzego kraja,
Tu tu sama zostaniesz.
Nie bédzie mnie guowiczka bolaua,
Że mie s sobą nie weźmiesz,
Ale bych też bardzo rada wiedziéć,
Pokierą też pojedziesz?
Czy ci bydzie dobrze gazdowaua,
Czy ci bydzie pijaua,
Czy cie bedzie bar-zo rada widziéć,
Czy cie bedzie bijaua.“

* * *

„Przez Wisue jest bardzo wąska cesta,
Furmani nią nie jeżdżą,
Na Wiśle są bardzo pyszni pachoucy,
Do tańca mie nie wezną.
Nejbarżyj se radńego statkuje,
I że szumnie tańcuje.
Niech se pozdrzy do swojéj masztale,
Jako konie futruje.
Cauy tydzień siekania nie jaduy,
Ani wody nie piuy;
Siekaniczko taki drobniusieńki,
Nabiere go na widuy.“

Gdy muoducha się zabiéra od ojców, weselnicy jéj śpiéwają, a ona płacze:

„Zabiéraj dziéweczko swoi majętności,
Coś se nazbiéraua uod swojéj muodości.“

Inni zaś śpiéwają:

„Dziękuję wóm mamo,
Dziękuję wóm tato,
Coście mie chowali,
Szaty sprawowali,
A do szkouy posyuali;
A teraz muszę póńs uod was!“

XIV.

O czarownicach słyszałem następujące powieści:

Pod Koźlem, w Pogorzelcu, Maryanna Chromik opowiadała: W Kandrzinie jedna kobiéta wyszła w wielki piątek na pole i zbiérała do fartucha rosę, mówiąc: „Zbiéram pożytek, ale nie wszystek.“ Niedaleko pasł parobek konie i widział, co ona robi. Wziął tedy uzdy, ciągnął je po trawie, mówiąc: „A ja zbiéram ostatek.“ Wróciwszy do domu, powiesił uzdy na kołku w sieni i wielka obfitość mléka naciekła. Kiedy się o tém gospodarz dowiedział, posłał parobka do księdza, aby nieszczęście odwrócić od siebie.

Tamże. Jak można widziéć czarownicę? Jeden parobek zawsze słyszał, że, gdyby kto znalazł przy kopaniu grobu między szczątkami desek z trumny taki kawałek, z którego sęk wypadł, to może poznać wszystkie mory i czarownice, jeżeli będzie patrzał przez tę dziurkę na ludzi w kościele, podczas kiedy ksiądz przy ołtarzu obraca się do ludu z monstrancyą. Ksiądz także w téj chwili, patrząc przez monstrancyą, ma władzę widzenia czarownic. Parobek postanowił sobie koniecznie dostać takiéj deski. Po długich usiłowaniach dopiął celu. Pewnego razu w kościele, gdy ksiądz błogosławieństwa z monstrancyą udzielał, parobek nasz patrzył przez swoję deseczkę i poznał wiele czarownic. Odznaczały się tém, że miały na głowach *powązki*, używane do cedzenia mléka po wydojeniu. Skoro się ksiądz o tém dowiedział, skarcił parobka, zakazał mu o tém rozpowiadać i ostrzegł, aby zawsze zrobił znak krzyża świętego, skoro wychodzi z domu; tym bowiem tylko sposobem może uniknąć zemsty czarownic. Długi czas parobek dochowywał milczenia. Jednakże, pewnego razu, przy szklance, opowiedział towarzyszom całą przygodę i wymienił nazwiska cza-

rownic. Kiedy się one o tém dowiedziały, postanowiły się na parobku zemścić i czatowały na niego. Krzyż pański jednak bronił go od mocy szatańskiéj. Zebrały się tedy czarownice na radę. Pewnego razu w nocy, w bliskości stajni, w któréj spał parobek, wybucha pożar. Cały bróg słomy w ogniu. Przerażony parobek wybiega ze stajni, lecz w przestrachu zapomina się przeżegnać. W téj chwili tknięty paraliżem, utracił władzę w rękach i w nogach. Cały zaś bróg stał nietknięty jak przedtém.

Krzyżanowice pod Raciborzem.

Piérwszego maja rano czarownica chodziła po polu i zbiérała rosę do *klina* (do fartucha), mówiąc: „*zbiéróm pożytek, ale nie wszycek.*“ Słyszał to *koniárz*, który pasł konie opodal. Zdjął tedy uzdy z koni, a powłócząc niemi, szedł za nią i mówił: „*ja zbiérám wszycek ten pożytek.*“ Kiedy wrócił do domu, powiesił uzdy na ścianie a mléko z nich kapało.

Tamże. Karolina Kupa opowiadała: Kiedy służyłam w Gaci, szłam na pańskie piérwszego maja. Patrzę, a tu wisi na ścianie kawałek masła, słońce przygrzéwało, więc masło ciekło aż na *náspę* „Musiało to być co.“ (!).

Tamże. Jedna *siołka* (wieśniaczka) w Krzyżanowicach, na zwiskiem Buchciczka, nie mogła nigdy krowy wydoić, gdyż ta kopała przy dojeniu i zanieczyszczała mléko. Posądzała ona matkę swego męża, iż jéj oczarowała krowę. Raz bowiem zastała ją w oborze, kiedy obmacywała krowę. Wzięła tedy mléka nieco od téj krowy w woreczek i powiesiła do komina. Wkrótce matka jéj męża zachorowała i dostała na twarzy takiego trędu, jakby ją kto oparzył.

W Krzyżanowicach była stara *wymiénkarka*, która o pewnéj godzinie wieczór była nawiedzana przez nieczystą siłę. Choć poszła gdzie na prządki, to, gdy przyszła fatalna godzina, musiała wracać do domu. Tam łóżko z nią nosiło po izbie. A trwało to do jéj śmierci. Skoro umarła, to légało coś jak wielki czarny pies na drodze, tak, że *koniárze* nie mogli tedy prowadzić koni, bo się lękały. Teraz zaś jest pokój.

Stary Cieślar na Gródku pod Jabłonkowem, który mieszka w ustronnéj chałupie na *groniu* (wierzchołek, polana) w górach, opowiadał o *nocnicach* co następuje: Szedłem ze wsi do domu i na ściéżce widziałem, jak taki ogień lata. A było to w takiéj wielkiéj *grapie* (zapewne wąwóz). Zatrzymałem się, a to wyszło do mnie dwa razy. Potém usiadłem i zawinąłem się, bo słyszałem,

że one skoro ciało spotkają, to do ucha powiadają: „a śpisz,“ powtarzając kilka razy. To jest *luft* z ziemi, ale górale tak wierzą, że to jest żywa rzecz. Ponieważ to wodzi po cieniu, tarkach i głogu, gdzie są najgorsze chodniki. Trwało to przez pół godziny. A to *nocnice*.

W różnych okolicach Szląska spotkać można podania o ukrytych skarbach. Niektóre z nich przytaczam.

Okrąg Bytomski, Wieś Michałkowice pod Królewskiemi Hutami.

Nasi ojcowie opowiadali nam, że w Michałkowskim lesie są wielkie pieniądze w piwnicy. Już się tam z kościoła zabiérali ze świętościami po te piéniądze, ale zawsze czegoś zapomnieli. Piwnica ta jest tam w lesie po dziś dzień. Raz paśli koło tego miejsca pastérze, a między nimi był jeden chłopiec siérota, a inni byli ojcowscy, możniejsi. Temu chłopcu wrzucili czapkę do téj piwnicy przez dziurę. Zaczął płakać biedny pastuszek, a bojąc się wrócić bez czapki do domu, zdobył się na odwagę i spuścił się do piwnicy tą dziurą. Tam zobaczył koryta pełne pieniędzy. Na jedném z nich siedział kogut i kazał chłopcu nabrać do czapki piéniędzy. Chłopak z czapką i piéniędzmi wylazł napowrót tą samą dziurą i zaniósł zdobycz swemu gospodarzowi. Towarzysze, widząc to, poszli na to miejsce i jeden drugiemu wrzucił naumyślnie czapkę do piwnicy. Polazł więc znowu do dziury, ale mu głowę urwało i wyrzuciło wraz z czapką. Raz znowu poszła kobiéta z chłopcem na grzyby do lasu. A właśnie trafiła, kiedy w kościele odprawiano pasyą i piwnica była wtedy otwarta. Wbiegła tam szybko z chłopcem, zgarnęła pieniądze do fartuszka i napowrót uciekła. Chłopca zaś zostawiła w piwnicy, chciała bowiem drugi raz nabrać pieniędzy. Ale kiedy wróciła, zastała już piwnicę zamkniętą, bo już było po pasyi. Wtedy ksiądz jéj poradził, żeby za rok o téj saméj godzinie pilnowała w tym lesie, aż się drzwi od piwnicy otworzą. Usłuchała kobiéta téj rady i w téj chwili, kiedy w kościele dzwonili na pasyą, piwnica się otworzyła, a chłopak siedział zdrów, jak go była matka rok temu posadziła. Pochwyciła go więc co żywo i wyniosła na świat, a już o piéniądzach nie myślała, radując się, że syna odzyskała.

W okręgu Pszczyńskim opodal Wesołéj, w gęstym lesie są zapadłe starodawne mury. Tam, według podania ludu, jest skarb wielki zakopany, a kiedy zostanie nanowo wydobyty, wtenczas odbudują nanowo Kraków na tém samém miejscu, na którém przed wieki leżał.

Ligotka Hnojnicka w Cieszyńskiém.

Godula (góra) stoi na cztérech złotych słupach. Czesi przyszli do młynarza pod Godulę na nocleg. Rano poszli do góry Goduli, modlili się przy kamieniu, a potém uderzyli trzy razy pręcikiem laskowym, odwalili kamień i wleźli do dziury. Tam wisiały sople, jak, kiedy marznie. Czesi nałamali sobie tych sopli i nabrali. No to potém.... (niedokończono).

To ten groń się nazywa Godula. Tam pastérze paśli świnie na bukwi. Zdarzyło się, że im jedna odeszła od stada. Jeden z nich poszedł jéj szukać i natrafił drzwi otwarte do wnętrza góry. Zadziwiony zatrzymał się i rozmyślał, co ma począć. Wtém ujrzał wielką jasność. Przywołał więc innych pastérzy, ale, gdy ci nadeszli, wszystko zniknęło i nic nie zobaczyli!

Szobiszowice pod Gliwicami.

Jeden pachołek (parobek) pasł konie w lesie i trochę zdrzymnął. Tymczasem konie poszły w las. Kiedy się przebudził, szukał koni po lesie. Idąc wśród paproci zaczepił o gałąź i kwiat paproci wpadł mu do buta. Na jeden raz uzyskał zdolność odkopywania skarbów i znalazł ukryte pieniądze. Kiedy wrócił do domu, aby zabrać narzędzia do kopania, ściągnął buty i wtedy kwiatek paproci wypadł. Chciał wrócić na to miejsce, gdzie te skarby były, ale już nie mógł trafić.

Wieś Wisła.

Jeżeli kto wyjdzie z Cieszyna, nie przechodząc przez żaden wykap wody (źródło w górach), tylko wszystkie ominie i przyjdzie na małą Czantoryą, pod łąkę, znajdzie tam wykap. Na tym wykapie jest buk, który ma taki konar skrzywiony, jak ręka w łokciu. Kiedy dészcz spływa z tego konara do wykapu i miesza się ze źródlaną wodą, wtedy robią się z tego pieniądze.

W Cieszyńskiém, w górach, krążą podania o wojsku śpiącém we wnętrzu góry *Czantoryi.* Oto niektóre z nich, które opowiadają na Wiśle:

Raz przyszedł jeden pan do kowala i kazał mu zrobić trzysta podków na konie i odpowiednią ilość gwoździ *(grzebyków).* Obiecał mu, że, jak będą gotowe, przyjdzie znowu i zabierze go ze sobą, aby podkuł konie. Po upływie kilku dni pan ów znowu się zjawił i poszli z kowalem, który zabrał w worku podkowy, do góry Czantoryi. Skoro weszli na *wyrch,* ziemia sią otworzyła i wleźli obaj do wielkiéj stajni pod ziemią. Tu stało pełno koni, a na nich siedzieli śpiący *wojący.* Kowal zabrał się żywo do roboty, a skoro podkuł wszystkie konie, znowu przyszedł pan ów i pytał się, co żąda za to kucie. Kowal oświadczył, że weźmie,

co mu dadzą. Wtedy pan nasypał mu gnoju końskiego do worka. Obrażony kowal wysypał gnój napowrót, mówiąc, że ma dosyć tego w domu i odszedł. Skoro się znalazł na wierzchołku Czantoryi, chciał worek jeszcze z gnoju wytrzepać. Ale jakie było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł, że to było szczére złoto. Okrutnie mu się żal zrobiło, postanowił więc wrócić i prosić tego pana, aby mu pozwolił nabrać tego bogactwa w worek. Wrócił więc na to miejsce, lecz długo błądził napróżno; ani drzwi, ani stajni nie znalazł. Z niczém więc wrócił do domu.

Pastérz pasł krowy i trzodę chléwną w Czantoryi. Jeden wieprz gdzieś mu się podział. Pastérz zaczął go szukać i znalazł dziurę do wnętrza góry. Wszedłszy tam, zobaczył konie u żłobu, a wieprz pasł się obrokiem, który konie rozsypały. Wypędził wieprza i poszedł po swoich towarzyszy, ale już drugi raz wejścia do głębi znaléść nie mógł.

W następującéj powieści odgłosy zdarzeń dziejowych wplatają się w treść podań mitycznych:

Było dwunastu studentów w szkole. Pewnego razu wyszli na pole podorane na rolą. Zrobili stół i ławy ze skib ziemi; posiadali dokoła, wyjęli taką książkę, z któréj cesarza koronują. Koronę położyli na stole. Skoro zaczęli czytać w książce, korona wzniosła się wysoko w powietrze, że jéj widać nie było. Po chwili zaczęła się spuszczać i spoczęła na głowie jednego studenta, nazwiskiem Łokietek. Był on najuboższy z pomiędzy nich. Inni, bogatsi, zazdrościli mu tego. Położyli więc koronę powtórnie na stole i znowu zaczęli czytać. Korona się wzniosła w powietrze i tym razem także spuściła się na głowę Łokietka. Gdy po raz trzeci korona wróciła na głowę biednego studenta, wszyscy pozostali uznali go królem. Wtém jedzie drogą jakiś pan. Nowo obrany król pyta go, dokądby jechał. Na radę królewską, odpowiada pan. „Nie zrobicie tam bezemnie nic“ mówił Łokietek. Na to rzekł pan nieznajomy: „Kiedy jesteś królem, to jutro musisz iść na wojnę“. „A, kiedy już tak wypadnie, to pójdę“, zawołał Łokietek, a miał tylko ze sobą jedenastu studentów. Na drugi dzień dawny król wyruszył z wielkiém wojskiem przeciwko przywłaszczycielowi. Kiedy się wojsko królewskie zbliżało, Łokietek ze swymi towarzyszami jedenastoma gotował się do odporu. Wtém ziemia się otworzyła i zaczęło występować z pod ziemi wojsko bielutkie na pomoc Łokietkowi. A była tego wojska wielka moc, że końca nie było! Wtedy król, widząc że niepodoła, wywiesił chorągiew i zawarł pokój. Łokietek ze swymi towarzyszami i z wojskiem poszedł pod ziemię do téj dziury, zkąd owi

rycerze wyszli. Nazywa się to miejsce Bładnicka góra. Tam ci żołnierze czekają, aż im pan Bóg rozkaże wyjść stamtąd.

Podobne podania istnieją o Czantoryi.

Tam wojsko konne jest w Czantoryi. Na świętego Jana dobosz bije w bęben, a żołnierz wchodzi i pyta: „czy mamy już iść, czy téż jeszcze nie?“ Wtedy komendant powiada: „Jeszcze nie czas“. Starzy opowiadali, że wojacy ci mają jednę nogę w strzemieniu, a drugą opartą na ziemi. A kiedy wódz da rozkaz, to znowu się położą i śpią cały rok do świętego Jana. Po roku znów się budzą. A skoro nadejdzie czas, będą gotowi do wielkiéj walki. Jak przyjść w południe na to miejsce, to bardzo jest smutno i straszno.

Pastuch pasał świnie. Zginął mu wieprz i nie było go trzy dni. Zmartwiony pastérz poszedł go szukać. A była dziura po wywróconém drzéwie, tędy wlazł pasterz i zobaczył obszerną izbę pod ziemią. Stał tam stół wielki, a dokoła spali, leżąc wojacy. Jeden z nich wstał i zapytał przelęknionego pastucha „Czy już czas? Czy krucy jeszcze latają nad górą?“ Ten odpowiedział, że jeszcze latają. Idzie daléj, a tam stoją konie przy żłobach powiązane i między niemi wieprz jadł owies. Więcéj tam nikt nie był. Ci wojacy pójdą Cieszyn burzyć. Wojna się pocznie od brackiéj studni (1) w Cieszynie. Potém będzie zawarty pokój pod gruszką w Krasnéj wsi. Cieszyn będzie na końskich podkowach rozniesiony, a krew popłynie, że będzie można mléć w wielkim kamieniu „*trzema składeniami.*“

Podania o zbójcach.

Istebno pod Jabłonkowem na granicy Węgier i Galicyi.

Dawniejszych czasów między granicami szląską, węgierską i polską bywali zbójnicy, którzy mieli komendanta nazwiskiem Proczpak. Ten dowodził swoimi zbójnikami. Ci zbójnicy szkodzili najwięcéj *sałaszom.* Wybiérali tam masło, sér i owce tłuste. Piéniędzy brać nie mogli, bo ich nie było. To tak pracowali w lecie, a na zimę się rozchodzili do swoich wsi, z których pochodzili. W późniejszych czasach, kiedy się państwo rozmogło po miastach, polecili zwracać pilniejszą uwagę na zbójników. Wtedy zbójników chwytali i do więzienia odsyłali, a potém na szubienicach wieszali. Tym sposobem zbójnicy przestali po gó-

(1) W Cieszynie jest studnia, zwana Bracką. Według podania, przy téj studni, odpoczywali trzéj bracia: Czech, Lech i Rus, i pili wodę, poczém się rozeszli każdy w inną stronę.

rach napadać. Przed niejakim czasem w Galicyi, na granicach wsi Kamesznicy i Szaréj, sześciu zbójników powieszono na szubienicy. Rektor ze Skawinki blisko Krakowa także między tymi zbójnikami był. Ale każdy zbójnik, co szedł na śmierć, świadczył, że ten rektor na takową śmierć nie zasługuje.

Jabłonków.

Janosik jest z Luptowskiéj stolicy z Orawy. Kiedy miał lat dwadzieścia, leżał ciągle na piecu i nic nie robił. Ojciec nazywał go „*takom bisagom*". Raz ojciec zebrał trzysta reńskich i szedł na jarmark kupić parę wołów. Tymczasem Janosik młody zeskoczył z pieca, pobiegł za ojcem i zastąpił mu w lesie. Poturbował go mocno, zabrał piéniądze i powalił go na ziemię. Sam zaś wrócił do domu i położył się na piecu. Ojciec przyszedł z płaczem do domu i żali się żonie, że mu taki okrutny zbójnik zastąpił drogę, pobił go i zabrał piéniądze. Tu Janosik z pieca pyta, co się ojcu przytrafiło. „Co ty mnie masz niedołęgo pytać, odpowie ojciec, taki mnie chłop porwał i wstrząsnął mną, żem nie wiedział, czym żywy, czy już umarły". „Był téż taki, jak ja?" pyta Janosik. „Ty *łachu*, rzecze ojciec, co ty się masz równać z takim chłopem. Wtedy Janosik zlazł z pieca, a już miał mundur zbójecki gotowy: „Oto masz taciku twoich trzysta reńskich, to ja ciebie spotkałem w lesie. Bądź zdrów ojcze!" To powiedziawszy, poszedł i został zbójnikiem. W Polsce na Lanckoronie był zamek i jest jeszcze dodzisiaj, ale już teraz rozsypany. Janosik poszedł kraść do tego zamku ze swoimi *chłapcami*. Wziął dwa toporki (obuszki) do rąk i lazł po ścianie do góry, coraz to wyżéj wrębując toporki. Tym sposobem dostał się na drugie piętro i piéniądze zabrał. Miał dwunastu towarzyszy; tych uczył zręczności. Wlazł na *smreczek* (świérk) wysoki dwa sążnie i siedząc na wierzchołku, ustrzelił wierzchołek drugiego drzewa. Janosik nie zabijał ludzi; bogatym odbiérał, a ubogim dawał. Jego się nie chwytała kula i nikt go nie mógł zabić. Miał on *zaletnicę* (kochankę) i ta go zdradziła, gdzie ma swoję *słabotę*. Miał on na głowie włos znaczny; gdyby mu ten włos wyrwali, wtedy go z łatwością mogli schwytać. To téż, kiedy kochanka ten włos mu wyrwała, złapali go, związali i powiesili za żebro. Janosik pisał do cesarza i prosił, żeby go ułaskawił, że mu stanie za regiment wojska, że za swoje piéniądze da umundurowanie dla całego wojska. Powieszony za żebro przetrwał tak trzy dni i przez ten czas wypalił funt tytuniu. Po trzech dniach, przyszło ułaskawienie, a on powiedział: „gdyście mi zjedli mięso, zjédzcie mi i kości" i potém ducha Bogu oddał. A do

dziśdnia muszą za niego płacić podatek, dopóki takiego chłopa nie wychowają, jak był Janosik.

Torgolik, ten był w Łomnéj. Tego nikt nie mógł ze świata sprzątnąć, ponieważ tylko z własnéj strzelby mógł być zabity W jednéj wsi Rzéce robił wielkie spustoszenia, a miał w téj saméj dziedzinie kmotra, nazwiskiem Jano. Kiedy ten widział, że Torgolik zanadto broi i krzywdzi gospodarzy, postanowił go zgładzić z tego świata. Raz, dobrze podpici szli obaj z karczmy. Trzeba było przechodzić przez ławę na rzece. Wtedy Jano powiada do Torgolika: Kmotrzyku, dajcie mi waszę strzelbę, bo jesteście bardzo pijani, aby się wam jakie nieszczęście nie przytrafiło". Torgolik oddał mu swój karabin i poszedł naprzód, a za nim Jano. Kiedy byli na środku rzeki, Jano strzelił do towarzysza. Ten się potoczył, odwrócił i ciął go obuszkiem (toporkiem), ale chybił i wciął cały toporek do ławki aż po tylec. Niedługo skonał, a Jano z Rzéki pochował go w pobliżu. Od tego czasu powiadają:

„Jano z Rzéki kopidół (grabarz)
Torgolika przikidáł".

Korespondencya.

Kraków, w maju.

Publiczne Posiedzenie Akademii Umiejętności.

Jednym z objawów współczucia i uznania, z jakiemi społeczeństwo nasze traktuje prace Akademii Umiejętności, jest bez wątpienia także i liczne zgromadzanie się publiczności na doroczne publiczne posiedzenie tej Instytucyi. W dniu 3 Maja uroczysta sala Akademii zaledwie pomieścić mogła licznie zgromadzonych inteligentnych słuchaczów płci obojga, żądnych usłyszeć streszczenie i obraz całorocznego stanu pracy i naukowego ruchu w Akademii, przedstawianych przez jej prezesa i generalnego sekretarza, przypomnieć sobie rycerską postać ks. Józefa Poniatowskiego, o którym do nich przemawiał jeden z członków p. L. Siemieński.

Zastępca protektora Akademii, hr. Alfred Potocki, zagaił posiedzenie następującemi słowami: „W imieniu Najdostojniejszego Protektora JCW. Arcyksięcia Karola Ludwika mam zaszczyt zagaić posiedzenie i powitać was, Panowie!

Rok poważnej pracy i znakomitych zasług na polu nauki dzieli nas, moi Panowie, od chwili, kiedy miałem zaszczyt powitać was, zgromadzonych na doroczne posiedzenie. Rok ten obfity był w owoce badań i trudów tej dostojnej instytucyi, która, oddając coraz liczniejsze zasługi około uprawy umiejętności, nabywa coraz nowych praw do czci i wdzięczności kraju i coraz bardziej utrwala przekonanie, że w rozwoju nauk zajmie świetną kartę. Jeżeli spojrzenie w przyszłość tak młodej jeszcze, a tak pomyślnie rozwijającej się instytucyi przejmować musi najlepszą otuchą, to przeszłość obok widoków bogatych plonów i zdobyczy

naukowych przemawia do nas rzewném wspomnieniem tych znakomitych mężów, których śmierć wyrwała z tego grona i od prac dla nauki. Wodząc okiem po naszém zgromadzeniu, nie doliczymy się kilku członków, z których imionami wiąże się długi szereg badań i dzieł wysokiego znaczenia, których pamięć przechowa historya naszéj literatury.

Bolesne to uczucie koi nadzieja, że szereg tak przerzadzony zawrze się znowu, że w piękne ślady odwołanych z tego świata pracowników, wstąpią nowe niemniéj dzielne siły.

Spełni się tym sposobem nadzieja kraju, spełni dobra wróżba, jaką powitał kraj w téj instytucyi, spełnią się wspaniałomyślne zamiary naszego Najjaśniejszego Monarchy, wiekopomnego twórcy téj Akademii.“

Po téj przemowie powstał prezes Akademii dr. J. Majer i, zabrawszy głos, pokrótce tylko (ze względu, że rzecz ta w Roczniku Zarządu dostatecznie wyjaśnioną i wyłuszczoną będzie) przeszedł ważniejsze dochody, zapisy i dary, uczynione Akademii, poświęcił parę słów wspomnienia każdemu ze zmarłych członków i wspomniał o nowo wybranych.

Oprócz zasiłków wyznaczonych przez skarb państwa, sejm krajowy i dotacyi od miasta Krakowa regularnie wypłacanych, otrzymała Akademia w ubiegłym roku bogate dary i od osób prywatnych. Józef Szalaj, b. właściciel Szczawnicy, legował jéj tę posiadłość ze wszystkiemi zakładami i przynależytościami z warunkiem oddawania jego sukcesorom połowy czystego dochodu i z obowiązkiem dbania o upiększanie i rozwój zakładu. W Lipcu roku zeszłego Szczawnica przeszła pod zawiadywanie Akademii, jak wielkie jednak korzyści legat ten jéj przyniesie, na pewno oznaczyć nie można, gdyż od owego czasu rok jeszcze nie upłynął i nie ułożyły się jeszcze normalne stosunki, tak co do energicznego prowadzenia interesu, jak i z sukcesorami poprzedniego właściciela zdrojowiska. W inną fazę wstąpiła sprawa zapisu p. Rychlickiego. Przed trzema laty p. R. zawarł z Akademią układ, na mocy którego, w razie bezpotomnéj śmierci, cały jego majątek przechodził na własność Akademii, w przeciwnym zaś razie miał jéj zapisać 10.000 złr.; w roku przeszłym p. R. prosił Akademią, ażeby zwolniła go od darowizny dóbr, za co obowiązywał się wypłacić jéj 20.000 złot. reńsk., a w testamencie zapewnić jeszcze 10.000 zł. reń.; Akademia nie była temu przeciwną, sprawy jednak jeszcze ostatecznie nie załatwiła. Warszawa pod względem ofiarności nie ustępuje innym i na tym polu. P. Górecka ofiarowała 30.000 złp. z warunkiem obracania od nich procentu na na-

grody za prace konkursowe z zakresu lingwistyki polskiéj. Piérwszy konkurs na słownik staropolskiego języka przed niedawnym czasem został już przez pisma ogłoszony. Nieznajoma znowu dama ofiarowała się oddawać procent od 50.000 złp., przeznaczając go na wydawanie źródeł historycznych i dzieł o języku polskim. Z Warszawy wreszcie otrzymano 700 rs. na uzupełnienie zbioru konstytucyj i ustaw, znanych p. n.: „Volumina legum.“ Liczne niemniéj dary otrzymała Akademia w książkach, mapach, obrazach i przedmiotach muzealnych, poszczególny wykaz których pomieszczony będzie w Roczniku. Piękny dar w tym dziale nadesłała hr. Arturowa Potocka: jest nim marmurowy posąg dłuta p. Gadomskiego.

Naukowe stosunki Akademii wzrastają ciągle nietylko z prywatnemi osobami, które chętnie zawsze śpieszą z pomocą naukowym pracom, lecz także z krajowemi i zagranicznemi naukowemi stowartyszeniami i instytucyami. W roku 1876 zawarto stosunki z Towarzystwem Tatrzańskiém Polskiém i takiémże Węgierskiém, z Archiwum państwa w Bukareszcie, z Towarzystwem archeologicznem w Moskwię, Kaukazką archeograficzną komisyą w Tyflisie, Kaukaskiém Towarzystwem archeologiczném tamże, Dyrekcyą ogrodu botanicznego w Petersburgu, Towarzystwem historyczném w Lublanie, Komisyą historyczną Monachijskiéj akademii, Instytutem wojskowo-geograficznym w Wiedniu, z Muzeum królewsko-czeskiém w Pradze, z Towarzystwem Szląskiém kultury krajowéj we Wrocławiu i z Muzeum zoologii porównawczéj w Bostonie; tak więc, dotychczas nasza Akademia pozostaje w stosunkach, polegających na wspólnéj pracy, wzajemném znoszeniu się i wymianie publikacyj z 83-ma towarzystwami w kraju i po za krajem.

Rok zeszły upamiętnił się nie bardzo wesoło, wyrywając z grona Akademii wielu jéj współpracowników i członków, używających głośnego imienia i popularności zdobytych poważną i długoletnią pracą. Aleksander Fredro, August Bielowski, Fryderyk Kazimierz Skobel, X. Franciszek Pawłowski, Antoni Walewski, Ludwik Wołowski, Franciszek Palacki—członkowie zwyczajni; Antoni Kurz, Adam Górczyński i Floryan Sawiczewski—członkowie nadzwyczajni składają się na ten szereg; zmarli także w ubiegłym roku Maurycy Mann i Bolesław Podczaszyński, oczekując jako zagraniczni na potrzebne potwierdzenie. Na miejsce ubyłych, trzech tylko dotąd wybranych zostało: Dr. Leon Biliński, profesor umiejętności politycznych w Uniwersytecie Lwowskim, na członka czynnego; dr. Edward Janczewski, profesor anatomii i fizyologii roślin w uniwersytecie Krakowskim, na członka-korespon-

denta; trzeci X. Franciszek Hipler, rektor seminaryum w Brunsberdze, oczekuje na potwierdzenie.

Przemówienie zakończył prezes ogólną uwagą o celu Akademii, jakim jest skupienie naukowego ruchu w kraju, wyjednanie mu należytego miejsca i uznania wśród obcych, drogą zgodnéj z postępem, wytrwałéj a spokojnéj pracy.

O zadaniu Akademii wspomniał także Dr. Józef Szujski, przystępując do odczytania sprawozdania z naukowego ruchu. Z godłem *Prawdą i pracą* wzięła ona sobie za cel bronić czci narodowéj, sumienną, trzeźwą i krytyczną pracą otworzyć narodowemu samopoznaniu najobszerniejsze pole badania, wolne od wszelkiego względu i tendencyi i obejmujące wszystkie sfery i zadania nauki. Idąc za tą przewodnią myślą, zdołała już ostatecznie uorganizować swoje prace i nadać im jednolity i harmonijny kierunek.

W ubiegłym roku wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu przesłano 24 rozprawy, z których siedmnaście przyjętych zostało, a mianowicie, z zakresu matematyki czystéj dwie: członka Dra W. Żmurki „O ważności i zastosowaniu funkcyi oskulacyjnéj w rachunku przemienności" i czł. kor. Dra J. N. Frankego „O niektórych zagadnieniach Kinematyki na zasadzie ruchu powierzchni skośnych." Z fizyki matematycznéj jedna czł. kor. Dr. Skiby „Teoretyczne wyznaczenie wpływu ciężkości na odkształcenie się prętów wyciąganych lub ściskanych w kierunku długości." Z zakresu fizyki i meteorologii pięć: Dra O. Fabiana „O rozciągalności i sprężystości lodu;" czł. Dra Fr. Karlińskiego „Wyznaczenie szerokości geograficznéj środka kopuły zachodniéj w obserwatoryum astronomiczném krakowskiém„ i „Wypadki jednorocznych pomiarów chyżości wiatrów w Krakowie;" czł. Dr. Kuczyńskiego „O zjawiskach w czasie całkowitego zaćmienia księżyca, dających się wytłómaczyć z cząstkowego oświetlenia tegoż przez koronę słońca; Dra Altha „O kamieniach spadłych podczas burzy w Uhrynie d. 20 Sierpnia 1876 r." Z zakresu chemii dwie: Dra K. Olszewskiego „Przyczynek do wykrycia arsenu w dochodzeniach sądowych za pomocą prądu elektrycznego" i Dr. J. Grabowskiego „O petrocenie i talenie." Z zakresu nauk przyrodniczych: czł. kor. Janczewskiego „Badania nad rozwojem pączka u skrzypów;" Dra Rostafińskiego „O przeobrażeniu i zmianie pokoleń w świecie roślinnym"; Dra F. Kamieńskiego „Porównawcze badania nad wzrostem pływaczów" i „Kilka spostrzeżeń nad rozwojem ramienicowatych." Z zakresu antropologii Prezesa Dr. J. Majera: „O pomiarach włosów w przekroju poprzecznym, jako charakterze

etnograficznym w zastosowaniu do ludności galicyjskiéj.“ Z zakresu anatomii nakoniec dwie rozprawy: czł. Teichmanna „O korozyach“ i Dra Zawilskiego „O wpływie wody na wydzielanie żółci.“

Bardziéj specyalnemi, bo wyłącznie do kraju odnoszącemi się badaniami, zajmowały się dwie komisye tego wydziału: fizyograficzna i antropologiczna. Członkowie piérwszéj z nich badali Galicyjską część Podola, leżącą między rzekami Dniestrem, Zbruczem i Seretem, a mianowicie: Dr. Alth geologiczne warstwy, p. Ślendziński florę i p. Łomnicki faunę; pp. Olszewski i Krupa znowu-geologiczne stosunki i florę W. Ks. Krakowskiego. Meteorologiczne spostrzeżenia nadsyłano komisyi z 26 miejsc, a spostrzeżenia stanu wody z 30-stu, zboczenia i nachylenia magnetyczne badali w Krakowie pp. Wierzbicki i Smirnow. Oprócz tego, wydała komisya X i XI tomy Sprawozdań, w których pomieszczone są prace: pp. Olszewskiego „Rozbiór chemiczny wody żelazistéj na Zwierzyńcu;“ Suszyckiego „Opis pokładów siarki, oleju i wosku ziemnego w Dźwiniaczu;“ Zaręczny „Dodatek do fauny warstw tytońskich w Rogośniku i Maruszynie;“ Wąsowicza „O florze Szląska górnego;“ Kotowicza „Spis roślin w okolicach Biecza“ i Króla „Wycieczka w okolice Janowa i fauna jego koleopteryczna“. Zbiory komisyi porządkowali pp. Zaręczny i Kulczyński.

Komisya antropologiczna wydała już piérwszy tom swoich prac, w którym 1) pp. Alth, Glogier. Radzymiński, Kirkor i Kopernicki opisali rezultaty antropo-archeologicznych poszukiwań w Smoczéj jamie na Wawelu, na Pokuciu i Galicyjskiém Wołyniu; 2) Drowie Majer i Kopernicki opracowali 5.000 przeszło spostrzeżeń antropologicznych, tyczących się miejscowéj ludności a z różnych stron kraju dostarczanych; 3) zawiéra wreszcie ten tom wiadomości etnologiczne, do charararakterystyki umysłowéj ludności służące, jako to: prowincyonalizmy, zwyczaje, obyczaje, zabawy, przesądy, przysłowia i t. d., które zbierali i nadséłali komissyi pp. Kolberg, Kosiński, Parylak, Glogier, Kopernicki, Gralewski, Zieliński i X. Siarkowski.

Ściśle z antropologiczną połączona jest komisya archeologiczna, głównie czasami przedhistorycznemi zajmująca się; oprócz wycieczek naukowych, opracowywali jéj członkowie mapy archeologiczne Kaliskiego i Galicyi, ustalając w tym celu i pazigraficzne znaki; przygotowali również do druku inwentarz wykopalisk przedhistorycznych polskich, ozdobiony ilustracyami i planami sytuacyjnemi. Przewodniczący komisyi, Dr. J. Łepkowski, wspólnie z pp. Kopernickim i Sadowskim czynnie uczestniczyli w kongresie ar-

cheologicznym w Peszcie, gdzie wspólnie z p. K. Bayerem urządzili wystawę polskich archeologicznych okazów i zwrócili powszechną uwagę i uznanie cudzoziemskich uczonych tak na nasze zabytki, jak i naukowe prace; p. Łepkowski obrany był jednym z wiceprezesów kongresu. Rozprawy z zakresu archeologii historycznéj przedstawili komisyi pp. K. Stronczyński: o pieniądzach i mennicach za Jagiellonów, T. Żebrawski: o strzałach i mieczach rzymskich od Hiszpanów przyjętych, K. Hoszowski dalszy ciąg badań nad archeologią domów kanonicznych w Krakowie.

Komisyi historycznéj dostarczyli rozpraw pp. S. Smolka, A. Prochaska, J. Szujski, T. Wierzbowski z zakresu historyi, czł. P. Burzyński dwie z zakresu prawa polskiego. Konkursowa nagroda akademii przyznaną została p. Dr. Sieniawskiemu, naucz. gimn. w Düsseldorfie, za rozprawę geograficzno-historyczną o biskupstwie Warmińskiém. Komisya historyczna krakowska wydała w roku zeszłym Kodeks małopolski po rok 1386, przygotowany przez Dra Fr. Piekosińskiego, i Kodeks listowy XV-go wieku w opracowaniu pp. Sokołowskiego i Szujskiego; przygotowuje zaś do druku najstarsze księgi miejskie krakowskie z XIV wieku, przez p. T. Żebrawskiego odnalezione, które opracowywują pp. Szujski i Piekosiński; ten ostatni przygotowuje także kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa, p. A. Prochaska znowu zbiéra w Królewieckiém archiwum materyały do historyi W. ks. Witolda odnoszące się. Komissya ma już przygotowanych do druku parę innych prac, mimo jednak znacznego uposażenia wydać ich teraz nie może, musi albowiem obracać przedewszystkiém swoje fundusze na przygotowanie pamiątkowych wydawnictw: korespondencyi Hoziusza w roku 1879 i aktów Jana III w r. 1883. Odpisywaniem listów do piérwszego wydawnictwa kieruje w zbiorach XX. Czartoryskich prof. W. Zakrzewski, w archiwach zaś warmijskich ks. Dr. Hipler, prezes towarzystwa Warmijskiego; odpisy aktów do drugiego wydawnictwa w archiwum zagraniczném w Paryżu robią się pod kierunkiem p. K. Waliszewskiego, w Wiedniu zaś zbiéra je p. Cezar Haller, dostarcza je także ze zbiorów wilanowskich p. F. Kluczycki. Ożywiony ruch na polu historyczném okazał potrzebę wydawania zbiorowego pisma, poświęconego pomniejszym źródłom historycznym, metodyce i bibliografii historycznéj; w piérwszym drukującym się tomie tego *Archiwum komisyi historycznéj* wydane będą przez członków Korespondentów: Liskego, „Dwa dyaryusze z kongresu Wiedeńskiego r. 1515,“ Kętrzyńskiego, „Conciones a. 1536 in maximo Reipublicae conventu habitae,“ tegoż: „Dyaryusz wyprawy pod Lwów 1675 r.,“ Biernackiego, „Currus bellici dostawione przez miasta wedle wy-

kazu z r. 1535,“ Zakrzewskiego, „Jak należałoby wydawać zbiory listów i aktów historycznych w. XVI i późniejszych.“ Lwowskie grono komisyi historycznéj, któremu po śmierci A. Bielowskiego, przewodniczą pp. Małecki, Liske i Kętrzyński. zajmuje się wydaniem III tomu Pomników dziejowych Polski, w którém dalszy ciąg roczników i innych historycznych zabytków przed Długoszowskiéj epoki już się drukuje.

Komisya prawnicza prowadziła daléj rozpoczętą jeszcze w roku zeszłym pracę: zbieranie zwyczajów, tradycyj, wyrażeń i przysłów prawnych ludu polskiego; znaczną pomoc okazywali jéj w tym względzie konsystorze, plebani, sądy i urzędnicy sądowi, mający najwięcéj sposobności obserwowania takowych; stosowne instrukcye, w które komisya zbierających zaopatrzyła, wypracowali pp. Kasparek i Bojarski. W dalszym ciągu Starodawnych prawa polskiego pomników wyjdą: „De natura bonocum regalium i Księgi ustaw zwyczajowych XVI w. i prejudykatów w opracowaniu Dra Michała Bobrzyńskiego i dalszy ciąg ustaw synodalnych z XV wieku w opracowaniu Dra U. Heyzmanna. W ostatnim uzupełniającym tomie Voluminów legum, przez tęż komisyą wydać się mającym, znajdą się konstytucye sejmów od r. 1784 do r. 1793.

Komisya dla filozofii, po śmierci J. Kremera, została zamknięta; w ubiegłym roku dwie prace tylko z tego zakresu otrzymała akademia: Dr. M. Straszewskiego, rozbiór filozofiii, J. S. Milla i bezimienną o wydziedziczaniu filozofii przez specyalizm naukowy.

Ostatniemu wreszcie (właściwie piérwszemu) wydziałowi akademii, zajmującemu się dziejami oświaty, piśmiennictwem i sztukami pięknemi, przedstawili prace: pp. S. Tarnowski, „O poezyi politycznéj XVIII w.“ i „O komedyach Zabłockiego;“ W. Wisłocki „O pismach Grzegorza Piramowicza;“ J. Szujski „O nieznanych kodeksach listów Eneasza Sylwiusza Piccolominiego;“ W. Seredyński „Miscellanea poetyczne XVII w.“ Druk bibliografii polskiéj XIX w. prawie się kończy, równocześnie zaś przygotowuje się bibliografia XVII i XVIII wieku, zaczęto nakładem tejże komisyi drukować Katalog rękopisów Biblioteki Jagiellońskiéj, systematycznie ułożony przez Dra. W. Wisłockiego. Komisya dla historyi oświaty, któréj przewodniczy p. S. Tarnowski, zaczyna swoje wydawnictwa ogłoszeniem statutów *Collegii maioris et minoris* dawnéj Akademii Jagiellońskiéj, statutów wydziału teologicznego z r. 1535 i pomników do dziejów komisyi edukacyjnéj. Oddzielne pismo wydawać będzie i komisya do historyi sztuki, znajdą w nim najprzód pomieszczenie badania czł. W. Łuszczkiewicza nad opactwem Sulejowskiém, nad budowlami romańskiemi w okolicach Wiślicy i Sto-

bnicy, jako téż praca sen. K. Stronczyńskiego „Legenda o Św. Jadwidze.“ Komisya językowa poniosła w ubiegłym roku stratę w przewodniczącym Drze F. Skoblu, gorliwym obrońcy czystości języka; mimo to jednak prace jéj, po obraniu na przewodniczącego Dr. Majera, nie zostały wstrzymane: rozpoczęła wydawnictwo średniowiecznych zabytków językowych, do którego przyłożyli się pp. Wisłocki, Seredyński i ś. p. Chomętowski; oddała także do druku słownik miejscowości, których nazwiska zniemczone zostały; autorem jego jest p. S. Zarański; otrzymała nadto ta komisya z Petersburga od Dr. Kaliny rozprawę: „O liczebnikach polskich.“ Sprawozdanie o ruchu naukowym kończył p. Szujski, zachęcając wszystkich do poważnéj pracy dla podniesienia poziomu wiedzy, wyrobienia jednego poglądu, usunięcia istniejącego między ludźmi nauki a ogółem społeczeństwa rozłamu pojęć o świecie i sprawach narodu, kończył apostrofą do młodzieży, wzywając ją do współdziałania tym celom.

Po odczytaniu sprawozdań, miał miejsce, jak wspomniałem, odczyt czł. L. Siemieńskiego, poświęcony ks. Józefowi Poniatowskiemu, który nietylko wojennemi czynami chciał się wsławić: on piérwszy miał myśl założenia w Krakowie Instytutu Polski, na wzór instytutu Francuskiego, myśl, która dopiéro w 60 lat po jego śmierci urzeczywistnioną została.

W końcu posiedzenia, sekretarz Akademii odczytał spis wybranych kandydatów na członków-korespondentów; są nimi pp. Drowie: Szymon Syrski, Izydor Kopernicki, Juljan Grabowski, wszyscy trzéj na wydziale matematycznym; wybory na wydziałach I i II dla formalnych przyczyn odłożone zostały.

S. J.

KRYTYKA.

Pamiętniki z wojny hiszpańskiéj (1808—1814) *Stanisława Broekera b. oficera b. legionów francusko-polskich tłómaczone z oryginału niemieckiego przez córkę jego Paulinę Cybulską.* Warszawa 1877, str. XVI i 336 z portretem autora.

Jeszcze jeden przyczynek do dziejów tych zastępów, które z woli ambitnego mocarza przelewały krew swoję we wszystkich niemal krajach Europy, a nawet w Afryce i Ameryce, bez żadnéj istotnéj korzyści dla kraju własnego i potomności. Właściwie mówiąc, autor nie należał do tak zwanych legionów, gdyż ta nazwa służyła wyłącznie zastępom, uformowanym pod dowództwem Kniażewicza, a potém Dąbrowskiego: p. Broekere służył w regularném wojsku księstwa Warszawskiego, w 9 pułku liniowym piechoty, i dla tego powyższa nazwa, w nagłówku zamieszczona, nie jest ściśle dokładną. Z kilku szczegółów, które autor o sobie podaje, dowiadujemy się, ze pochodził z teraźniejszego księstwa Poznańskiego, ale urodził się jeszcze za czasów Rzeczypospolitéj; w epoce panowania pruskiego kształcił się w berlińskim korpusie kadetów i czas jakiś służył w wojsku pruskiém, biorąc udział w wojnie z francuzami r. 1806—1807, po któréj ukończeniu i utworzeniu księstwa warszawskiego, wstąpił do wojska polskiego. Władając językiem niemieckim lepiéj niż polskim, Broekere, jeszcze w r. 1826, skréślił niniejsze pamiętniki po niemiecku; obecnie p. Cybulska po raz piérwszy ogłosiła je w przekładzie polskim, nie chcąc, jak powiada, ażeby praca jéj ojca stała się własnością obcego narodu, co niewątpliwie zasługuje na uznanie.

Wymarsz swego pułku przez Niemcy i Francyą do Hiszpanii r. 1808 i przebieg działań wojennych w tym ostatnim kraju aż do r. 1811, autor opisuje szczegółowo w kilku rozdziałach. Oddział

polski, początkowo pod komendą ks. Sułkowskiego, a potém Grotowskiego, wcielony do armii generała Lefebre Desnouettes, przeszedł całą Hiszpanią od Pireneów do Gibraltaru i świetnie odznaczył się w bitwach pod Burgos, Samosierra, Talavera, Almonacid i wielu innych. Zdobycie skalistych wąwozów Samosierra, przeważnie przez polaków — sławny czyn bohaterski, który otworzył Napoleonowi drogę do Madrytu, czyn, który natchnął poetów, Tymowskiego i Niemcewicza, i o którym do niedawnego czasu istniała żywa tradycya, Broekere opisuje krótko, ale wymownie. Chodziło o zdobycie podwójnéj bateryi, którą ustawił generał hiszpański, Custanios, mający pod swemi rozkazami 12.000 ludzi na urwiskach po nad wąwozem, gdzie, jak mówi poeta, „siedząc na gór szczycie, czekał na wroga z pioruny przybycie.“ „W nocy, mówi autor, przybył cesarz Napoleon z małym oddziałem piechoty, ale dość liczną kawaleryą, między którą znajdowali się ułani polskiéj gwardyi. Po kilkakrotnych bezskutecznych atakach francuzkiéj kawaleryi, dano znak polskim ułanom gwardyi cesarskiéj do szturmu bateryi. W obecności cesarza, nie zważając na dwukrotny ogień z bateryi, oderwali 12 dział, rzucając się w mgnieniu oka wszyscy przez rowy na bateryą, których asystencyą lancami rozszarpali. Hiszpanie, zdoławszy zaledwie zagwoździć działa, zmuszeni byli uciekać. Sześćdziesięciu polskich gwardzistów padło ofiarą walki. Cesarz rozkazał pochować ich zwłoki w pełnych mundurach, po dwóch w jednéj trumnie. Do żyjących zaś rzekł, że przez swoję waleczność godni są być przy jego boku“ (str. 44—45).

Nieraz jeszcze poniżéj mówi autor, że hiszpanie najwięcéj obawiali się ułanów polskich i kilka razy usiłowali podstępnie zabrać ich do niewoli, ale bezskutecznie.

Jako żołnierz napoleonista, ślepo posłuszny dowódzcom i wierzący w niezwyciężoną gwiazdę cesarza (która jednak wtedy właśnie już blednąć poczynała), autor mało wdaje się w politykę i w rozbiór, czyja sprawa była słuszną. Mówi wprawdzie o powodach wojny hiszpańskiéj, ale broniących swojéj ojczyzny przeciwko najezdcom Hiszpanów jedynie przez szyderstwo nazywa „synami i obrońcami ojczyzny;“ najczęściéj mianuje gerylasów „brygantami i rozbójnikami,“ a w kilku miejscach wypowiada swoje zdumienie nad zuchwalstwem Hiszpanów, którzy porwali się lekkomyślnie na Francuzów „bez żadnego celu,“ pomimo widocznéj grożącéj sobie zguby (np. str. 130). Dziś wolni od uniesień zapału spółczesnych i uczęstników, cokolwiek inaczéj zapatrujemy się na

te smutne ubiegłe dzieje. Do znanych okropności téj wojny wytępienia, w pamiętnikach autora znajdujemy mnóstwo nowych przyczynków i zgrozą przejmujących szczegółów. Broekere przytacza przykłady fanatyzmu, wiarołomstwa i zdrady gerylasów, ich ślepéj nienawiści ku cudzoziemcom i okrutnego pastwienia się nad rannymi i ujętymi w niewolę nieprzyjaciółmi; szczególniéj księża podtrzymywali w narodzie tę zaciętość, sami częstokroć dowodzili gerylasami lub naprowadzali ich na swoich gości: tak zginął porucznik Czyński z ręki księdza, u którego bywał, a oddział porucznika wystrzelali sprowadzeni przez księdza gerylasi. Ale i wojsko francuskie nielepiéj postępowało: autor pamiętników, obojętnym tonem sprawozdawcy, podaje szczegóły egzekucyi, wykonywanéj natychmiastowo na wszystkich ujętych z bronią gerylasach i na bezbronnych wieśniakach, podejrzanych o szpiegostwo, a o wielu wsiach i miastach podaje lakoniczną wiadomość: „zrabowaliśmy i spaliliśmy.“ W sześćdziesiąt lat późniéj, Nemezys historyczna miała oddać to wszystko Francuzom z nawiązką ręką wrogów na ich własnéj ziemi....

Pośród obrazów tych wszystkich okropności znajdują się jednak tu i owdzie rysy ludzkości i miłosierdzia, jak np. szlachetny czyn samego autora, który ocalił od śmierci ciężko rannego Hiszpana, nazwiskiem Ramon, pielęgnował go i dopomógł do uleczenia.

Ludzkość w tak smutnych okolicznościach była tém rzadszym przymiotem, że nawet swoi mało okazywali jéj względem własnych chorych i rannych: autor opowiada nieraz, jak wojsko porzucało swoich rannych, niezawsze pod naciskiem konieczności, a gdy sam raz sobie zranił nogę, porzucono go na drodze i musiał sam jeden wlec się w tropy za armią, upadając co chwila, dręczony upałem i głodem z niebezpieczeństwem życia od mieszkańców. Dowódzca jednego korpusu francuskiego często zabiérał przemocą bydło, dla drugiego korpusu przeznaczone, jak to zdarzyło się z ogromném stadem owiec, które autor eskortował do swego pułku.

Najciekawszą jest druga połowa książki, zawiérająca dzieje niewoli Broekera i towarzyszów (wszystkich było około 200), ujętych przez hiszpanów po bitwie pod Motril w Sierpniu roku 1811. Udarowani życiem, pomimo obustronnego prawa odwetu, przez dowódzcę gerylasów hr. de Montijo (zapewne przodka cesarzowéj Eugenii), włóczeni byli po różnych nadbrzeżnych miastach i wyspach, dręczeni na okrętach głodem i biciem, przerzucani od Anglików do Hiszpanów i odpychani przez jednych i drugich, nako-

niec umieszczeni zostali na wyspie Iwisie, w ufortyfikowanych koszarach, i tam spędzili ostatnie dwa lata niewoli, która w ogóle trwała lat blisko trzy, od 1811 do 1814 roku. Hiszpanie obchodzili się z jeńcami okrutnie; Anglicy— czasem lepiéj, a choć traktowali ich z wyniosłą pogardą, dawali przynajmniéj wszelkie wygody. Lud hiszpański pałał przeciwko jeńcom zaciętą nienawiścią, miotał na nich obelgi przekleństwa i razy. W pamiętnikach Broekera nie znajdujemy potwierdzenia znanego zkądinąd podania, jakoby Hiszpanie łagodniéj obchodzili się z zostającymi w służbie francuskiéj Polakami, z powodu, że ci ostatni byli także katolikami i czcili Matkę Boską podobnie jak Hiszpanie, używający nieustannie, przy powitaniu i przy pożegnaniu, formuły *Ave Maria purissima.* Owszem, z większą słusznością autor nieraz powiada, że Hiszpanie tylko siebie uważali za prawdziwych katolików, a chrześcian wszelkiéj innéj narodowości stawiali na równi z poganami; Polaków zaś nienawidzili zupełnie tak samo jak Francuzów. Zresztą nie widać wcale z pamiętników, ażeby wojskowi polscy odznaczali się religijnością.

Autor szczegółowo kréśli tryb życia jeńców na Iwisie. Dostając mało żywności, albo szczupły zasiłek pieniężny, oficerowie musieli zarabiać na życie i odzież: wyuczyli się więc sami rozmaitych rzemiosł, lub przypomnieli sobie z musu dawne zajęcia i urządzili w swojém więzieniu różne warsztaty. Jeden pułkownik został krawcem i, przy pomocy czeladników-oficerów, szył i naprawiał suknie dla okolicznych mieszkańców; inni zajmowali się tokarstwem, wyrabianiem pudełek, obrazków i drobiazgów galanteryjnych; niektórzy nawet urządzili kuźnię, a posiadający talent muzyczny i aktorski urządzali koncerta, płatne przedstawienia teatralne i widowiska maryonetek. Tak nietylko zarabiali sobie na wygodne życie, ale uprzyjemniali sobie chwile niewoli, znajdując jedyną roskosz i rozrywkę w pracy. Ostatecznie więc, los téj garstki więźniów, do któréj należał autor, był, zwłaszcza w ostatnich latach, stosunkowo znośnym, a niewątpliwie daleko znośniejszym od losu innych więźniów, których, od początku wojny hiszpańskiéj, wyrzucano głównie na wyspy balearskie i pituzyjskie. Na wyspie Kabrerze było ich kilka tysięcy, w téj liczbie dużo Polaków. Tradycya o okropnéj nędzy tych nieszczęśliwych i o wypadkach ludożerstwa pomiędzy zgłodniałymi doszła do naszych czasów, ale nie znaliśmy wielu szczegółów tego obrazu, pełnego grozy, który Broeker kréśli w swoich pamiętnikach dość szeroko. Dla tego przytaczamy tu kilka krótkich wyjątków.

Liczba jeńców na Kabrerze, mówi autor, raz się powiększała, to znów zmniejszała, gdyż biedacy musieli tu z głodu umierać, lub też w najgorszym razie poddawać się werbunkom Anglików, którzy brali ich do swego wojska i wywozili do osad... Jakkolwiek ze strony hiszpańskiego rządu, ci biedni mieli żołd przeznaczony, nie otrzymywali żadnego, prócz tylko nędznego pożywienia, składającego się z obrzydliwego stokfiszu, bobu i racyi chleba, a *co trzy dni* (!) pędzono ich jak bydlęta, do wody, aby okropne pragnienie zaspokoić na chwilę... Ratując się od śmierci głodowéj, sprzedawali swoje ubranie marynarzom, którzy tu przywozili żywność, w skutek czego sami chodzili po większéj części nago... Polowali na ptastwo i dzikie króliki, które spożywali prawie surowe, a że zwierzyny téj wkrótce się przebrało, mocniejsi wydzierali ją słabszym, wreszcie głód doprowadzał do morderstwa i ludożerstwa (autor opowiada wstrętne sceny kanibalizmu), a nikt nie zapytał się, gdzie podziewają się tu ludzie... Porucznik francuskich dragonów, Vial, wziął na siebie urząd komendanta Kabrery (wyspa była wtedy bezludną, to jest oprócz jeńców nie posiadała innych mieszkańców), i usiłował utrzymać jakikolwiek porządek i ludzkość, zachęcając jeńców do rezygnacyi i cierpliwości i wymierzając sprawiedliwość, ale usiłowania jego były bezskuteczne: prosił więc, żeby go przeniesiono do jeńców polskich, towarzyszów Broekera (którzy znajdowali się wtedy na Majorce); autor opisuje jego wynędzniałą postawę, równie jego towarzysza Pfisten, który z nędzy dostał obłąkania... Pomiędzy jeńcami na Kabrerze panowały szkorbut i żółta febra, a w r. 1812 zaraza morowa, która zabierała ich po stu dziennie bez żadnéj pomocy, a trupy leżały niepogrzebane. Na Majorkę przywożono często chorych z Kabrery tak wyniszczonych, że nawet posiłku nie byli już w stanie przyjmować; przynoszono zaś ich w koszach, po dwóch w kłębek zwiniętych, niby jakie zwierzęta. Jeńcy zbudowali na Kabrerze miasto, z lichych lepianek i budek, na wzór Paryża i nazwali je Napoleonville, a ulicom nadali nazwy ulic paryzkich: dotknięci tak okropnym losem, ci nieszczęśliwi czcili jeszcze imię tego, który był sprawcą ich niedoli i który nie uczynił nic, ażeby im jéj ulżyć (str. 198—204). Autor pamiętników winę tak dzikiego barbarzyństwa przypisuje generał-kapitanowi Balearów; szkoda, że nie podał jego nazwiska na ohydę ludzkości.

Przy końcu pobytu więźniów na Iwisie odegrał się nawet epizod miłośny, który autor obszernie opowiada: porucznik Pawłowski zdobył serce donny Pepity i połączył się z nią węzłem małżeńskim. Po uwolnieniu jeńców, Hiszpanka towarzyszyła mę-

żowi, mieszkała z nim w okolicach Warszawy i umarła potém gdzieś w Augustowskiém (Nie musiał to być rzadki w swoim rodzaju wypadek: jeszcze około r. 1865 żyły w okolicy Kielc dwie stare wieśniaczki, rodem Hiszpanki, które obok polskiego, pamiętały jeszcze mowę hiszpańską i takowéj pomiędzy sobą używały). Nareszcie w lutym r. 1814 uwolniono jeńców. Jedna szczególniéj ciekawa okoliczność uderza nas w pamiętnikach Broekera: nigdzie nie ma tam wzmianki, ażeby jeńcy w czasie długiéj niewoli, a nawet w drodze do kraju, ciekawi byli wiadomości o losach Francyi i Napoleona, które wtedy właśnie rozstrzygały się ostatecznie. Ubóstwiany przez innych wódz i chwała armii, do której byli włączeni, znikli im niejako z pamięci, skoro tylko utracili ich z oczu. Za to wspomnienie o kraju i tęsknota do progów ojczystych żywo nieraz występują pod piórem Broekera. Jeszcze i w powrocie oficerowie polscy długo kołując, przewożeni darmo, ale żywieni tylko z łaski władz angielskich i austryackich, wiele nędzy przecierpiéć musieli. Niektórzy udali się wprzód do Paryża po swój żołd zaległy, ale Broeker i kilku innych, niewiele mając nadziei odebrania tego żołdu (i słusznie), woleli, choć bez grosza i prawie bez odzieży, dowlec się jakkolwiek do kraju. Wrócili więc bohatérowie Samo Sierry i tylu innych bitew, jako nędzarze i prawie żebracy, drogo opłaciwszy cierpieniami wszelkiego rodzaju chwilowy blask marnéj i nieużytecznéj sławy pod sztandarami nowożytnego zdobywcy. Wróciło bardzo niewielu, gdyż większość znalazła śmierć na obczyźnie.

Na pamiątkę dzieciom i potomkom swoich towarzyszów broni i niewoli, Broeker podaje listę swoich kolegów pułkowych i tych, którzy z nim razem byli uwięzieni: pomiędzy tymi ostatnimi byli także i cudzoziemcy, ale większość stanowili Polacy, których potomkowie dziś może już zapomnieli o losach i zgonie swoich przodków w czasie wojny hiszpańskiéj.

W osobnych rozdziałach mówi autor o obyczajach i charakterze Hiszpanów, o ich ubiorach, zabawach, o walkach byków i t. d. Wiele tu szczegółów zajmujących, z talentem choć poprostu skréślonych, a chociaż rzecz była pisaną z górą przed półwiekiem, większość wiadomości i spostrzeżeń autora i dziś jeszcze ma wagę, gdyż w Hiszpanii, jak wiadomo, od tego czasu mało co się zmieniło. Autor wybornie poznał i ocenił Hiszpanią i Hiszpanów, jak tego np. dowodzą następujące słowa: „czy ten naród będzie kiedy używał dłuższych chwil swobody i pokoju—o tém, wnosząc z ich usposobienia, wątpię (str. 294),“

Co się tyczy zalet literackich tego zajmującego dziełka, tłómacz usprawiedliwia żołnierza, który niebardzo umiał władać piórem: z tego względu godzi się nam istotnie okazać pewne pobłażanie, a choć w ogóle układ książki pozostawia wiele do życzenia, są tam jednak ustępy, skréślone z talentem, a nawet z pewną werwą i humorem. Co się tyczy przekładu, ten, pod względem poprawności języka, składni i stylu, pozostawia do życzenia jeszcze więcéj; ponieważ jednak i tłómacz nie jest literatką i z tego względu żąda naszego pobłażania, nie będziemy tu więc przytaczali szczegółowo bardzo licznych i grubych błędów, dość obficie w książce napotykanych; musimy jednak wyrazić żal, że pani P. C. nie uprosiła kogo z dobrze władających językiem polskim literatów, aby styl jéj przekładu ogładził i usterki gramatyczne sprostował.

S.

Die Ukraine und ihre Dichter. Bohdan Zaleski, von Heinrich Blumenstok. Wien 1877, 8-o, str. 22.

Jako osobną odbitkę z ostatniego rocznika czasopisma „Die Dioskuren“ wydał p. H. B. powyższą rozprawę. Tytuł jéj, względnie do treści, jest za szumny, więcéj obiecuje niż jest w rzeczywistości. W piérwszéj części rozprawy znajdujemy udatny, choć pobieżny, szkic kozaczego życia i Ukrainy, króciótką charakterystykę „ukraińskiéj szkoły“ i każdego z jéj przedstawicieli. Drugą część, 8 zaledwie wynoszącą stronic, poświęca autor Zaleskiemu, „w którego pieśniach promienieje Ukraina całym blaskiem swoich piękności natury i historycznych zabytków, w fantastycznéj szacie ludowych legend i mytów.“ Mistrzowska plastyka w obrazowaniu i charakterystyce, oryginalna liryczna forma, melodyjny rytm i harmonja wierszy, niewyczerpane bogactwo farb, dowolność języka, pociągająca gra zdrobniałych słów i nowych wyrazów odznaczają przed innymi Zaleskiego, jako poetę, w którym „ukraińska ludowa poezya znalazła najwierniejsze echo.“ Po krótkiéj charakterystyce, nie wdając się w biograficzne szczegóły, wskazuje autor piękniejsze utwory poety i główne struny jego liry: Boga, świat, słowiańszczyznę, Ukrainę, podnosi miłość natury i religijne uczucie, malujące się w jego utworach. Sympatycznie w ogóle, szkoda tylko, że tak pobieżnie traktuje autor swój przedmiot; należycie ocenia wielki talent Zaleskiego, zdanie jednak Mickiewicza uważając za zbyt dla Zaleskiego pochlebne. Drugą do-

brą stroną tėj rozprawy jest to, że autor stara się być samodzielnym, tak w piérwszej części, do napisania któréj wziął materyał z pism Zaleskiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego, Grabowskiego, Czajkowskiego i innych, jako i w drugiéj, która jest rezultatem wczytania się w utwory poety. Dla przykładu i umotywowania swojego sądu, przytacza p. B. parę pieśni w całości lub wyjątkach w swojém tłómaczeniu, lub Nietschmann'a, wydaném w „Polnischer Parnas;" przekłady te, chociaż dobre, mniéj są jednak barwne i silne, aniżeli oryginały, gdyż, według zdania samego autora, Zaleski należy do poetów z wybitną indywidualnością, „którzy tak się czują zrośli z mową i zwyczajami, że szczęśliwy znawca tego języka (w którym piszą) podziwia ich, lecz zarazem żałuje, że znajomość ich dzieł dla innych narodów niedostępną na zawsze pozostać musi."

Tr. Wi

KRONIKA NAUKOWA

TELEFON BELLA.

Przyrząd telegraficzny, przenoszący dźwięki mowy ludzkiéj.

Gdy jakiekolwięk odkrycie dokonane zostanie w świecie naukowym, niedługo czekać trzeba na dokładny jego opis: odkrywca spieszy się z podaniem nietylko szczegółów, na których nowe zjawisko, czy nowe prawo polega, ale nadto dokładnie opisuje drogę, która go doprowadziła do celu. Czyniąc to, ma nietylko na widoku korzyść naukową, wynikającą z szybkiego rozpowszechnienia materyału do krytyki innych uczonych i pobudzenia do nowych badań, ale nadto kieruje nim w tym względzie motor, nawet u uczonych bardzo silny, miłość własna, która każe dbać o pierwszeństwo, o to, aby nikt inny odkrywcy nie uprzedził.

Na polu jednak wynalazków rzecz się ma inaczéj. Gdy z odkrycia uczony osiąga tylko satysfakcyą moralną, z wynalazku ciągnąć może zyski materyalne, szczególniéj, gdy wynalazek jest wielkiéj doniosłości. Wynalazcy więc chodzi o to, aby wiadomość o wynalazku rozeszła sią dopiéro wtedy, gdy już mu nikt nie będzie mógł przeszkadzać w korzystaniu ze swego pomysłu, to jest po otrzymaniu patentu wyłączności. Dla tego téż wynalazca, pracując nad jakąś nowością, nigdy nie podaje tak zwanych doniesień tymczasowych, tak częstych w pismach teoretycznych, a skończywszy już swoję pracę i nie mogąc się wstrzymać od pochwalenia się nią przed światem, przed otrzymaniem patentu, ukrywa drobne, a często najważniejsze szczegóły, aby nikt nie wpadł na trop téj saméj myśli i nie pozbawił go, słusznie zresztą należącéj się mu nagrody.

Nic więc dziwnego, że wynalazek „telegrafu mówiącego“, czyli telefonu, dokonany został kilka temu miesięcy i choć wiadomość o nim obiła się już o wszystkie zakątki świata ucywilizowanego, to jednakże wiadomości o jego budowie tak są skąpe, tak niedokładne, że na ich zasadzie nie można dobrze pojąć działania przyrządu, i dla tego tego też nic dziwnego, że każdy niemal, pisząc o nim, wyraża się z pewném powątpiewaniem, tém bardziéj, że wiadomość o nim nadeszła z Ameryki.

O działaniu telefonu piszą następujące, godne podziwu rzeczy:

Dla doświadczenia wybrano linią telegraficzną Boston-Malden (10 kilometrów odległości). Z biura telegraficznego w Bostonie profesor Graham Bell, wynalazca telefonu, prosił Watsona, będącego na stacyi w Malden, aby wymówił głośno kilka wyrazów, dla przekonania słuchaczów w Bostonie, że telefon działa. Doświadczenie powiodło się z nieoczekiwaną dokładnością: wyraz nadzwyczajnego zdumienia wyrył się na twarzy słuchaczy.

Nie trzeba nawet mówić głośno, aby być słyszanym i zrozumianym; można nawet odróżniać *wyrazy cicho wymówione, a nawet szept*... Dla potwierdzenia tego, p. Watson zaczął przez telegraf rozmawiać z każdym z obecnych i, po przekonaniu ich, że tak jest w istocie, zaczął czytać dziennik i zawiadomił obecnych, że ostatni kurs złota na giełdzie Nowo-Yorkskiéj wynosił 106½. Zachwyciło to wszystkich handlujących, których niemało znajdowało się podówczas w biurze, a sensacya doszła do maximum. Po przeczytaniu innych jeszcze ustępów z dziennika, publiczność zaczęła dopominać się rozmowy z Watsonem. Zarzucono go pytaniami: „Czy jest mróz w Malden?“ „Czy jest odwilż?“ „Kto zostanie ostatecznie prezydentem Stanów Zjednoczonych“ i t. p. P. Watson nietylko słyszał te zapytania, *ale nawet rozpoznawał po głosie osoby*, które się go z Bostonu zapytywały; odpowiadał im nazywając je *po imieniu*, gdy tylko kilka słów wymówiły... Następnie dały się słyszéć tony muzyki z Malden. Młoda dama śpiewała tam głosem miłym i melodyjnym „Ostatnią różę lata.“ Słuchano jéj w Bostonie z zachwytem i nadzwyczajném zaciekawieniem. Gdy dama przestała śpiéwać, dano jéj frenetyczne oklaski, które telefon przeniósł do Malden...

Wiadomość ta pochodzi z jednego z dzienników amerykańskich, nie jest więc zupełnie pewną. Ale oto co mówi o doświadczeniu z telefonem William Thomson, jeden z najznakomitszych fizyków czasu obecnego, na ostatnim kongresie uczonych angielskich w Glazgowie:

„Słyszałem w departamencie kanadyjskim *To be or not to be... There's the...*“ przesłane drutem telegraficznym. Następnie przesełano wyciągi z dzienników Nowoyorkskich: „S. S. Cox has arrived“ (nie słyszałem wyraźnie S. S. Cox), „the city of New-York, Senator Morton.– The senate has resolved to print a thousand extra copies; „the americans in London have rosolved to celebrate the coming 4-th of July.“ Wszystko to, powiada daléj Thomson, słyszałem na własne uszy, tak wyraźnie, że żadnéj co do tego wątpliwości nie było... Wyrazy były wymówione głosem czystym i dźwięcznym przez mego kolegę prof. Watsona na drugim końcu linii telegraficznéj...“

Nie na tém koniec. Gazeta bostońska *Daily Globe* opowiada, że gdy w Salem profesor Bell wykładał o telefonie licznie zebranym słuchaczom, reporter gazet powtórzył za pomocą telefonu ustnie cały wykład, który był słyszany w Bostonie, oddalonym o 32 kilometry od Salem. Nadto zapewniają, że Bell przesłał ustną depeszę z Nowego Yorku do North Conway, znajdującego się o 230 kilometrów odległości od Nowego Yorku; niedaleko więc do tego, żeby przesełano telegrafem słowa z jednego końca Europy na drugi, do Ameryki lub do Indyj Wschodnich.

Przejdźmy teraz do budowy telefonu.

Znamy ją tylko z bardzo pobieżnego opisu W. Thomsona i z cokolwiek obszerniejszego, ale jeszcze niedokładnego, zamieszczonego w techniczném piśmie amerykańskiém „Scientific American.“ Oprócz Thomsona, nikt z Europejczyków przyrządu tego nie widział, a Thomson i „Scientific American“ w opisach swych nie przekraczają po za pewne granice, zakreślone zapewne, dla celów wyżéj wymienionych, przez wynalazcę.

Zasada, na któréj opiéra się ten przyrząd, jest następująca. Jeśli do magnesu, obwiniętego drutem miedzianym, izolowanym, zbliżać będziemy kawałek żelaza miękkiego, to wtedy w drucie otaczającym powstanie prąd elektryczny. Toż samo dziać się będzie podczas oddalania się żelaza. Gdy zatém kawałek żelaza wahać się będzie obok takiego magnesu,—w drucie otaczającym będą powstawały prądy elektryczne, o sile zupełnie proporcyonalnéj do szybkości wahań żelaza. Prądy te, odpowiadające zupełnie swym kierunkiem, kierunkowi ruchu żelaza, można przeprowadzić na oddaloną stacyą za pomocą drutu telegraficznego do elektromagnesu, czyli żelaza miękkiego, który pod wpływem strumienia elektrycznego staje się magnesem i przestaje nim być natychmiast, gdy elelektryczność w drucie niknie. Gdy więc obok takiego elektromagnesu umieścimy blaszkę żelazną, to ona będzie przyciąganą,

podczas przepływu elektryczności ze stacyi pierwszéj, i tym sposobem będzie mogła wykonywać ruch drgający.

Głos nie jest niczém inném, tylko drganiem powietrza. Otóż zadanie Bella polegało na przeniesieniu za pomocą elektryczności drgań tych z jednéj stacyi na drugą.

Przedewszystkiém trzeba było zbudować przesyłacz drgań. W aparacie Bella jest to rura, na któréj końcu naciągnięta jest błonka kauczukowa, mająca w pośrodku kawałek miękkiego żelaza. Gdy mówimy przy drugim końcu rury, błona drga odpowiednio do drgań powietrza, a żelazo stosownie do tego oddala się, lub zbliża do magnesu obok umieszczonego. W skutek tego rodzą się, jak wyżéj powiedzieliśmy, prądy, które namagnesowują, lub odmagnesowują elektromagnes, znajdujący się na drugiéj stacyi, będący odbieraczem depeszy. W telefonie Bella jest to elektromagnes rurowy Nicklesa, do którego obwodu przyszrubowana jest okrągła blaszka żelazna, w kształcie pokrywki otworu. Blaszka ta, w skutek działania przerywanych prądów, przesyłanych do elektro magnesu, drga i wzbudza swém drganiem ruchy powietrza, dźwięki takie same, jakie na piérwszéj stacyi wzbudzały prądy elektryczne. Elektromagnes rurkowy dla tego jest użyty, aby służył jednocześnie za resonnator.

W tonie odróżniamy trzy własności: wysokość tonu, jego natężenie i odcień czyli barwę (timbre). Wysokość tonu zależy od ilości drgań wydawanych przez ciało w jednéj sekundzie. Im ta ilość jest większa, tém ton jest wyższy. Natężenie zależy od obszerności wahnięć, od wielkości rozmachu cząstki drgającéj; im wahania są obszerniejsze, tém ton silniejszy. Wreszcie tębr (timbre), czyli barwa tonu, pochodzi z drgań pobocznych, które mięszają się z główném i nadają odcień specyalny. Tony mogą być jednéj wysokości, jednego natężenia, lecz różnéj barwy. Każdy instrument ma swoję barwę, któréj na innym instrumencie naśladować nie można; przypomnijmy sobie tony fortepianu i fletu jednéj wysokości i natężenia. Cała mowa ludzka polega na téj barwie, wywoływanéj przez rozmaity układ ust. Czyż więc prawdopodobną jest rzeczą, aby prosta blaszka była zdolna do jéj odtworzenia, kiedy np. nie wiadomo, czy podobna blaszka może naśladować ton instrumentów muzycznych daleko mniéj skomplikowanych, niż krtań i usta ludzkie. Przypuściwszy więc, że elektryczność przenosi liczbę i obszerność drgań, czyli wysokość i natężenie tonu, nie możemy zrozumieć, w jaki sposób blaszka odbieracza mogła odtwarzać brzmienie mowy i jéj wszelkie odcienia.

To naprowadza na domysł, że albo doniesienia o funkcyi telefonu są przesadzone, albo też budowa jego jest więcéj skomplikowaną—albo wreszcie, jednocześnie z wynalazkiem telefonu, pan Bell odkrył jakieś nowe fakta, podobnie, jak się to przytrafiło wynalazcy radyometru, Crookes'owi.

Nie chcąc wyrokować o tém, które z tych przypuszczeń sprawdzi się w przyszłości, zaznaczymy, że wiele przemawia za prawdopodobieństwem drugiego. Odbieracz telefonu Bella jest zawsze w futerale, którego nikomu wynalazca otworzyć niepozwala (1).

Profesor Bell urodził się w Edynburgu, w Szkocyi. W Ameryce mieszka od lat sześciu. Ojciec jego zasłynął z powodu wynalazku metody uczenia mowy głuchoniemych. Graham Bell, syn, poświęcał się także z początku nauce głuchoniemych i doszedł na tém polu do wielkiéj doskonałości. Opowiadają, że jednę młodą głuchoniemę nauczył mowy w przeciągu dwóch miesięcy. Późniéj poświęcił się prawie całkowicie myśli zbudowania telefonu. Gdy pomysł jego spotkał niedowierzanie u znajomych, odpowiedział: daję mowę głuchoniemym, więc zobaczycie, że dam ją i żelazu." I, bądź co bądź, Bell dotrzymał obietnicy.

O ile ważnemi będą praktyczne zastosowania telefonu, tego jeszcze dokładnie ocenić niepodobna. Nie sądzimy, aby miały znaczenie pierwszorzędne, wyższe od telegrafu piszącego. Niektórzy wróżą telefonowi Bella zastosowanie w kopalniach i wielkich fabrykach, gdzie służyć może za środek szybkiego i łatwego porozumiewania się kierującego z wykonawcami, lub robotników pomiędzy sobą.

Dodać winniśmy, że telefon Bella nie jest zupełnie nowym wynalazkiem. Poprzedzał go już telefon Reisa (1860), od którego się jednak różni w wielu szczegółach, nadających mu przed nim pierwszeństwo, gdyż aparat Reisa mógł tylko przeséłać dźwięki muzyki, i to w sposób bardzo primitywny. Zapewne niezadługo sprawa telefonów dokładnie się wyjaśni, a w tedy nieomieszkamy podać o nich czytelnikom bliższych wiadomości.

---

(1) Po napisaniu tego artykułu, otrzymaliśmy wiadomość, za którą jednak ręczyć nie możemy, że sam Bell nie zdaje sobie naukowéj sprawy z działania swego wynalazku. (B. R.)

Nowe przyczynki do prac nad kwestyą samorodztwa najniższych istot w nalewkach organicznych.

Doktór Bastian wiedzie już oddawna spór z Pasteur'em w kwestyi samorodztwa. Po zbiciu przez ostatniego wszystkich dodatnich dowodów, przytaczanych przez Bastian'a, kwestya zeszła na jeden punkt; Bastian utrzymywał, że w moczu zobojętnionym, lub zalkalizowanym wodanem potasu, pomimo dość długiego gotowania, zawsze powstają najniższe istoty organiczne, gdy tylko po przegotowaniu zostawimy go w odpowiedniéj temperaturze (najlepiéj przy 46⁰ lub 50⁰ Celsiusa). Mocz kwaśny, niezobojętniony, po przegotowaniu, nie wydaje już istot żyjących. Według W. Roberts'a, ciecz powyższa podlega pod tym względem ogólnemu prawu, dawniéj już przez niego wyrażonemu: że „ciecze lekko alkaliczne daleko trudniéj jest uczynić niepłodnemi (za pomocą ciepła), aniżeli ciecze lekko kwaśne."

Nie potrzebujemy dodawać, że doświadczenia te były wykonywane według zwykle praktykowanéj metody Pasteur'a, opisanéj już przez nas w artykule o doświadczeniach Tyndalla dotyczących samorodztwa.

Różnica pomiędzy płynami alkalicznemi i kwaśnemi najlepiéj się uwydatniła w doświadczeniach Roberts'a z nalewką siana: gdy ciecz była zakwaszona, została niepłodną po gotowaniu przez kilka minut, zaś zobojętniona wydawała mikrofity, choć wrzenie przez kilka minut podtrzymywano. Korzystając z téj analogii, Roberts mógł uniknąć specyalnego zajmowania się jedną, jakby wyjątkową cieczą, i wybrał nalewkę siana, dla zbadania przyczyny tak różnego zachowywania się płynów kwaśnych i obojętnych.

Można tu przypuścić działanie jednéj z dwóch przyczyn, a mianowicie:

1⁰ albo zmiana reakcyi na obojętną, lub lekko alkaliczną, nadaje zarodkom znajdującym się w cieczy zdolność do zniesienia wysokiéj temperatury, coby było zgodne z teoryą Pasteur'a;

2⁰ albo téż dodatek alkali wywiéra wpływ pozytywny, którego rezultatem jest powstanie zupełnie nowych organizmów (generatio spontanea), coby znów potwierdzało zdanie Bastian'a.

Dla rozstrzygnięcia, które z tych dwóch przypuszczeń jest zgodne z prawdą, Roberts robił doświadczenia, w których dodawanie roztworu potażu do nalewki następowało, nie przed jéj gotowaniem, lecz po gotowaniu, t. j. po uczynieniu jéj niepłodną.

Gdyby zdanie Bastian'a było słuszném, to w tym razie powstawałyby w cieczy organizmy.

Tymczasem Roberts przekonał się, postępując według téj metody, że roztwór potażu wcale nie posiada władzy wywoływania rozwoju nowych organizmów: płyny pozostawały niepłodnemi, gdy do nich dodano potażu po zniknieniu zarodków przez gotowanie. Z tego wniósł, że zmiana reakcyi nadaje tylko wprzód już istniejącym zarodkom, własność opiérania się szkodliwemu wpływowi krótkotrwałego gotowania.

Bastian jednak, wbrew tym rezultatom, używając do doświadczenia moczu, doszedł do wniosku, że czy się dodaje alkali przed, czy po zagotowaniu, ciecz zawsze pozostaje płodną, zkąd dalszy wyprowadził wniosek, że alkali posiada dodatnią własność wywoływania rozwoju organizmów w moczu.

To ostatnie doświadczenie, jeżeli tylko w należyty sposób zostało wykonaném, zupełnie rozstrzyga kwestyą — i Bastian téż uważa je za zupełnie stanowcze. Lecz, abyśmy je za takowe uznali, musimy być pewni, że odpowiedziało ono dwom warunkom. Najprzód należało stwierdzić stanowczo, że płyn kwaśny poddany gotowaniu został rzeczywiście pozbawiony swych zarodków, czyli innemi słowy, że gotowanie było dostatecznie długie, aby uczyniło ciecz niepłodną nazawsze, — a powtóre, należało wykazać, że wlewając płyn potażowy, zachowano wszelkie ostróżności, aby jednocześnie nowe zarodki z powietrza nie wpadły.

Bastian nie zachował tych warunków. Do nalewek dodawał roztworu potażu natychmiast po ostygnięciu, nie przekonawszy się, czy w nich zostały zabite wszystkie zarodki organiczne, a więc nie mogąc wiedzieć czy organizmy nie rozwinęły się bez dodatku potażu, a z drugiéj strony nie gotował roztworu potażu dla zniszczenia wszystkich zarodków, mogących się przypuszczalnie znajdować w pęcherzykach powietrza, uwięzionych w tym roztworze, lecz wystawiał go tylko przez czas krótki na wpływ temperatury wody wrzącéj.

Inaczéj postępował Roberts w swoich doświadczeniach. Kwaśną nalewkę, po zagotowaniu odpowiedniém, trzymał w miejscu ciepłém przez dwa tygodnie i dopiéro wtedy dodawał do niéj potażu; jeśli się do owego czasu nie pokazały organizmy, to mógł być pewnym, że w nalewce wszystkie zarodki już są zabite. Nadto rurki, zawiérające roztwór potażu, który miał być wlany do nalewek, ogrzéwał do temperatury 121° C. i niszczył tym sposobem zarodki uwięzione w potażu. Dla tego téż otrzymywał zawsze wypadki ujemne.

Aby usunąć stanowczo wszelkie powody wątpliwości i odebrać Bastian'owi możność powoływania się na wyjątkowość moczu, Roberts postanowił powtórzyć doświadczenia z tym ostatnim płynem, ale unikając powyższych dwóch źródeł błędu. W doświadczeniach tych trzymał się drogi następującéj:

Uncyą moczu kwaśnego, normalnego, wlał do naczynia o długiéj szyjce. Odpowiednia ilość roztworu potażu, potrzebna do zobojętnienia moczu, zawarta była w rurce szklanéj zatopionéj, któréj jeden koniec był włoskowato wyciągnięty. Ogrzawszy w oleju tę rurkę do temperatury przeszło 137° C, wyjął ją po kwadransie i włożył do naczynia zawiérającego mocz. Następnie, wyciągnął szyjkę tego naczynia, aby otwór jéj uczynić małym, i po zagotowaniu moczu (5 minut) zatopił otwór podczas wrzenia. Przygotowawszy według téj metody dziesięć podobnych naczyń, pozostawił je przez 15 dni w temperaturze 70—80° Fahr. Po upływie tego czasu, zawartość naczyń była zupełnie przezroczysta: dowód, że się na niéj organizmy nie rozwinęły. Wtedy, tłukł włoskowate części rurek zawiérających potaż, przez wstrząsanie naczyń, a więc uderzanie cieniutkich końców o ich ściany, w skutek czego potaż wylewał się i mocz poprzednio kwaśny i niepłodny stawał się obojętnym. Następnie, umieścił naczynie w temperaturze stałéj 46° C. Po dwóch dniach, mocz zrzucił osad fosforanów, lecz płyn był zupełnie przezroczysty. Roberts podwyższył wtedy temperaturę do 50° i trzymał w niéj naczynie przez trzy dni. Po upływie tego czasu, wyjął je z miejsca ciepłego i otworzył dla zbadania zawartości. Pomimo starannego poszukiwania nie mógł w nich znaleść ani śladu organizmów: płyn nad osadem był zupełnie przezroczysty i ani jeden mikrofit nie ukazał się pod mikroskopem. Wprawdzie w niektórych naczyniach opadły fosforan przedstawiał formy ziemiste i mógł być wzięty za micrococcus, lecz illuzyą tę natychmiast rozpraszało dodanie kropli kwasu solnego, który szybko rozpuszczał ziarna fosforanu i przywracał przezroczystość próbce moczu, znajdującéj się pod mikroskopem; — kwas ten zaś nie wywiéra podobnego wpływu na męty pochodzące od mikrofitów.

Doświadczenia te więc usuwają zupełnie podstawę z pod wniosku Bastian'a, że temperatura 46—50° C, albo roztwór potażu, lub też dwa te czynniki razem wzięte mają własność wywoływania rozwoju organizmów w moczu, w którym wszelkie zarodki życia zostały zniszczone.

Tyndall, który na żądanie Roberts'a przeczytał notę powyższéj treści na posiedzeniu Towarzystwa królewskiego w Londynie,

dodaje, że się zajmował tym samym przedmiotem i że do podobnych doszedł rezultatów. Różnica zachodziła tylko w stopniu temperatury do któréj były ogrzewane rurki z potażém, i Tyndall ogrzéwał je tylko do 104° C, a pomimo to, nawet po dwóch miesiącach, nie mógł znaléść ani śladu organizmów w moczu. Doświadczenia jego były wykonane na wielką skalę, gdyż przygotował aż 105 naczyń z moczem. „Żadna z nich, kończy Tyndall swą notę, nie dała najmniejszego punktu oparcia doktrynie samorodztwa.“

Niemniéj silne światło rzuca na kwestyą samorodztwa, a raczéj na charakter doświadczeń, w celu rozwiązania téj kwestyi wykonywanych, inna nota Tyndalla. Uczony angielski powiada w niéj, że jakkolwiek nalewki, gotowane w naczyniach zamkniętych, zawsze stawały się niepłodnemi, to jednak w ostatnich czasach, często miał do czynienia z płynami, w których, nawet po dłuższém gotowaniu, przy zachowaniu największych ostrożności, organizmy obficie się rozwijały. Przyczynę tego uderzającego faktu zdołał Tyndall wykryć dopiéro po licznych doświadczeniach, szczególniéj z nalewkami siana dokonanych, i doszedł wreszcie do tego, że mógł, według woli, w nalewkach jednakowo przyrządzanych, otrzymywać bakterye, albo téż ich nie otrzymywać.

Przyczyna tego dziwnego zjawiska była z pozoru tak nic nie znacząca, że doprawdy dziwić się trzeba bystrości zmysłu obserwacyjnego Tyndala, że zdołał ją wykryć. Skonstatował mianowicie, że we wszystkich doświadczeniach, w których pięciominutowe gotowanie wystarczało do uczynienia zalkalizowanéj nalewki siana niepłodną, siano pochodziło z r. 1876, w innych zaś, w których się objawiał większy opór przeciwko niszczącemu wpływowi temperatury, siano pochodziło z r. 1875 lub z lat dawniejszych. Najtrudniejsza była sterilizacya (zniepłodnienie) nalewki siana, zżętego przed pięciu laty. Na téj zasadzie, Tyndall przypisuje te szczególne wypadki wyschnięciu i stwardnieniu zarodków w biegu czasu.

Może to służyć za jeden z wielu dowodów, jak podrzędne i jak trudne do wykrycia są warunki, wpływające nieraz na pozorny rozwój życia w nalewkach.

Bronisław Rejchman.

Kronika miesięczna.

Mamy już tedy zupełne ciepło i zupełną wojnę. Wszelkiego rodzaju filisterstwo warszawskie, począwszy od tego, które zrana wypija szklankę wody, w południe zaś reguluje zegarek według kompasu, a skończywszy na tém, które radeby na Ś-ty Jan podwyższyć komorne lokatorom i zniżyć pensyą stróżom,—wszystko to nurza się w gazetach. Rozpieszczeni przebiegiem wojen dawniejszych z utęsknieniem oczekują jakiéjś wielkiéj, stanowczéj rzezi, która niby to ma rozjaśnić od tylu lat zachmurzony widnokrąg starego świata!..

Gazety, w braku doniosłych wypadków, zajmują się wielkiemi wypadeczkami. Niedawno bohatérem dnia był p. Simon, którego z ministeryalnéj ławy wysadził „uczciwy żołnierz." Dziś miejsce p. Simona zajęły torpile, przy pomocy których wysadzono w powietrze w ciągu paru sekund monitora dunajskiego wraz z 254 ludźmi osady. Piszą tedy dzienniki na wyścigi o tém: jako jedne torpile siedzą na dnie wody, czekając na nieprzyjaciela, i jako inne płyną ku niemu z odległości paru wiorst!.. Człowiek czytając o tych cudach aż potnieje, zapewne z radości, i mimowoli powtarza w duchu modlitwę ewangelicznego faryzeusza:

Dziękuję Ci Panie! żeś mnie nie stworzył takim, jak oto ten pancernik!..

Zdaje się, iż nie potrzeba dowodzić, że często, choćby najszczęśliwsza wojna, w rezultacie więcéj złego niż dobrego przynosi narodom, chyba, że któryś z nich jest tak szczęśliwy jak Włochy. Weźmy naprzykład Niemcy: wygrały — bo wygrały! wzięły nawet dwie prowincye, pięciomiliardową kontrybucyą,

a w dodatku, pojedyncze ich państewka zlały się w jednę potężną całość. Lecz po za obrębem tego, cóż zyskały? Przemysł ich upadł, w handlu pojawiły się nieznane przedtém hazardy, bankructwa i oszustwa. Wiedza zyskała militaryzm w szkołach średnich, niższych, a nawet w wychowaniu domowém. Węzły rodzinne rozluźniły się, w społeczeństwie zaś bardzo ładnie rozkrzewił się socyalizm. Sztuka, za wyjątkiem dawniéj już poczętéj „muzyki przyszłości", zasnęła. Wielkie idee luminarne poszły w kąt, a miejsce ich zajęła na powodzeniu i pysze oparta teorya o posłannictwie germanizmu...

Nie mówię, aby te chorobliwe zjawiska ogarnęły cały naród niemiecki; nie twierdzę téż, aby stan podobny nie miał się nigdy skończyć, gdyż przeciwnie są już i tam pewne wskazówki, znamionujące zwrot ku lepszemu. W każdym razie, dla cywilizacyi szkoda i tych kilku lat powojennéj gorączki, któréj następstwa trzeba będzie w ciągu paru pokoleń usuwać.

Przechodząc od rzeczy tak znakomitych, jak torpile, do tak skromych, jak gospodarstwo, spojrzyjmy przedewszystkiém na widoki zbiorów rolniczych. W sprawie téj oprzemy się na raportach gubernatorów, wysłanych między 27 i 29 Maja do ministeryum spraw wewnętrznych; wyniki zaś przedstawiamy w załączonéj tu obok tabliczce:

Zdaje się, że z ogólnych tych i ostróżnych odpowiedzi wyciągnąć można dwa wnioski: 1) że robotnika nie brak nigdzie, a więc go i w czasie źniw zapewne nie zabraknie; 2) że wiosna w całym kraju była zimna i dżdżysta, lecz że oziminy i jarzyny epokę tę przeżyły pomyślnie. Szanse zatém co do zbiorów wcale nie są złe, byle tylko lato z niespodziankami nie wystąpiło.

Gdy w taki sposób dobrze dzieje się roślinom, wkrótce zapewne nieźle dziać się będzie zwierzętom domowym, jako to: bydłu rogatemu i koniom, a może lepiéj jeszcze — ich właścicielom. Towarzystwo opieki nad zwierzętami, które dotychczas, wzorem starych panien, wysilało umysły swych członków na wynalezienie najwygodniejszych kagańców dla psów, troszczyło się o stanie gniazdek ptaszkom, a bodaj czy nie o wysiadywanie im piskląt, w ostatnich czasach postawiło sobie pewien cel praktyczny. Wiadomo, ile kraj corocznie traci zwierząt gospodarskich przez choroby zaraźliwe, które w bieżącym i zeszłym roku w pewnych okolicach z wielką grasowały siłą. Otóż wymienione towarzystwo, pragnąc, jeżeli nie zapobiedz, to przynajmniéj ograniczyć takową nieprzyzwoitość, ogłosiło konkurs na rozprawę p. t.: O sposobach

Gubernia	Stan robót.	Oziminy.	Jarzyny.	Inne produkta.
Suwalska	Robotników nie brakło.	Zimna tamowały wzrost jarzyn, ozimin i trawy.		
			Jarzyny siać kończą.	Łąki poprawiają się.
Łomżyńska	Roboty idą pomyślnie.	Piękne.	Zasiew ukończony.	
		Stan atmosfery zmienny, lecz łagodny. Spodziewają się dobrych urodzajów.		
Płocka	Robotników dość.	Z powodu zimna nieosobliwe.	Siejba nieukończona.	
		Pogoda ciągle niestała.		
Siedlecka	Deszcze i zimna szkodzą robotom.	Dobre, lecz część wyprzała podczas wylewów.	Niepewne; zimna i deszcze przeszkadzają wzrostowi.	
Warszawska		W części dobre, w części mierne.	Rozmaite, lecz nic wnioskować nie można.	
		Długotrwałe deszcze oddziałały szkodliwie.		
Kaliska	Odbyły się w czasie właściwym bez przeszkody.	Zupełnie zadawalniające, zimna nie wywarły zbyt szkodliwego wpływu.		Kwitnienie drzew owocowych dość pomyślne.
Lubelska	Choć ranki są chłodne, roboty idą dość pomyślnie.	Z powodu zimna, przymrozków i śniegów w Kwietniu ucierpiały zwłaszcza żyto.	Zasiewy spóźnione.	
		Późniejsze deszcze wpłynęły pomyślnie na pszenicę i jarzyny.		
Radomska	Nie wszędzie ukończone.	Skutkiem chłodów i deszczów, liche.	O miesiąc opóźnione.	
Piotrkowska	Niepogoda przeszkadza ukończeniu robót.	Zadawalniające.		
Kielecka	Cena robotnika umiarkowana, roboty jednak nie ukończone.	Z wyjątkiem zasianych na nizinach zadawalniające.	Spóźnione skutkiem chłodów i deszczu.	

ochraniania od zarazy inwentarza w guberniach Królestwa Polskiego.

Osobliwemi wydawać się mogą „owe sposoby ochraniania inwentarza“ tylko w granicach „gubernij Królestwa Polskiego,“ w każdym jednak razie Bóg zapłać i za dobre słowo i za dobre chęci. Wolelibyśmy wprawdzie, gdyby jakieś towarzystwo ogłosiło konkurs na ochronienie od ciemnoty i lichych szkół elementarnych—mieszkańców Królestwa Polskiego, ponieważ jednak zwierzęta zostały stworzone przed człowiekiem, z tytułu więc starszeństwa zasługują na piérwszeństwo,—przejdźmy zatém do rozprawy.

Dziełko to uwzględnić ma trzy punkta: 1) środki prezerwatywne, mające na celu ochronić zwierzęta od chorób, przez należyte utrzymanie ich, karmienie, pojenie, wyganianie we właściwym czasie na paszę—ze zwróceniem uwagi na niedbalstwo i przesądy, istniejące dziś pomiędzy ludem w téj kwestyi. 2) Oznaki chorób zaraźliwych, najprostsze sposoby leczenia ich (do czasu przybycia weterynarza), z wymienieniem pokarmu, jaki należy choremu osobnikowi podawać, i ze wskazaniem potrzeby oddzielenia sztuk chorych od zdrowych. 3) Środki zapobiegające rozszerzeniu się już istniejącéj zarazy, do których należą: sposoby niedopuszczania stosunków między bydłem chorém i zdrowém, głębokość w jakiéj zakopywać padłe sztuki, tudzież wskazanie: o ile niebezpieczném jest użycie skóry i innych odpadków ze zwierząt chorych.

Rozprawa może być napisana w języku polskim, lub rosyjskim,—za najlepszą zaś towarzystwo ofiaruje rs. 300 nagrody i wyda ją własnym kosztem, rozumié się, jako swoją własność. Termin złożenia rozprawy sześciomiesięczny.

O ile się zdaje, towarzystwo wydać myśli dziełko owe w dwu językach: polskim i rosyjskim. Otóż pożądane jest nie łączenie obu edycyj w jednę całość, co mogłoby wpłynąć na wielkość i cenę książki. Zresztą konkurs ten zasługuje na wszelką pochwałę—mamy więc nadzieję, że wszyscy zdolniejsi znawcy przedmiotu gorący przyjmą w nim udział.

Na mocy prostego skojarzenia się pojęć przychodzi nam na myśl w téj chwili, że obok młodego towarzystwa opieki nad zwierzętami, posiadamy stare i zasłużone towarzystwo lekarskie, z powołania swego obowiązane czuwać nad ludźmi. Że pełni ono uczciwie swoje obowiązki, że na każdém posiedzeniu jego roztrząsają się ważne kwestye z zakresu hygieny społecznéj, o tém już wiémy—i—dziś jeszcze pomówimy obszerniéj. Gdyby téż jednak to nasze czcigodne towarzystwo zechciało ogłosić konkurs na napisanie hygieny? Przecież w Warszawie znajdzie się chyba filan-

trop, czy paru filantropów, którzy na wydanie hygieny chętnie poświęcą kilkaset rubli, no—a już lepszego i odpowiedniéjszego sędziego dzieł podobnych, jakim będzie samo towarzystwo, napróżno byśmy szukali. Sąsiadujemy z sobą tak blisko, że naprawdę projekt ten powinienby znaleźć odgłos w sali posiedzeń...

Między właścicielami większych posiadłości, jeżeli nie całego kraju, to przynajmniéj pewnych okolic rozpoczął się ruch, mogący w przyszłości najlepsze wywołać następstwa, a mianowicie: zjazdy i konferencye rolnicze.

Myśl do tych zebrań jeszcze w roku zeszłym, jeżeli nas pamięć nie zwodzi, rzucił p. Kowalski, b. profesor szkoły gospodarstwa w Puławach, współpracownik Encyklopedyi Rolnictwa, mieszkający obecnie w powiecie Janowskim (gub. Lubelska). Konferencye w tamtych okolicach, mianowicie w Chełmskiém, naturalnie za upoważnieniem władzy, odbyły się już parę razy, następnie powtórzyły się w Sandomierskiém, a z czasem może zaszczepią się i w całym kraju.

Narady podobne korzyść przynieść muszą rolnictwu i rolnikom. Wiadomo, że gospodarz z natury zajęć swoich, odcięty od liczniejszego towarzystwa, zaśniedzieć musi. Pozbawiony możności wymiany myśli, traci powoli ochotę nawet do czytywania dzieł specyalnych, które, bądź co bądź, są tylko nudnemi i martwemi książkami. Zatopiony wyłącznie w swojéj posiadłości, wpleciony w swoje gospodarstwo, traci nawet poczucie potrzeby ulepszeń, bo one wymagają całych lat, a myśl ludzka nawet w ciągu paru miesięcy zakrzepnąć może.

Powoli, nieporozcinane książki rolnicze pokrywają się kurzem. Rolnik przyzwyczaja się do złych stron swego gospodarstwa a do wzmocnienia dobrych nie czuje żadnéj wyższéj pobudki. W końcu opanowuje go zniechęcenie—i z czasem, z człowieka, który może kiedyś rwał się do postępu, wyrasta ciemny i zarozumiały rutynista.

Tymczasem wiadomo, że nasze zacofane gospodarstwa potrzebują mnóstwa drobniutkich, lecz nieustannych reform, a tém samém wiedzy i energii ze strony kierownika. Ogólna i indywidualna bieda nie obudzi w duszy jego tych przymiotów, lecz, co najwyżéj, zgnębi je do reszty.

Towarzystwo ludzi fachowych oddziaływa wprost przeciwnie. Ja mogę być dziś skłopotanym, lecz wesołość dziecięcia sąsiadów orzeźwi mnie. Gdy niepowodzenie popchnęło mnie do apatyi, widok ludzi, którzy wyszli z niepowodzeń zwycięzko, doda mi bodźca do pracy. Gdy nie wiém o jakimś ulepszeniu gospodarskiém,—

inni mi o niém powiedzą, a wreszcie i ja sam z zapałem wezmę się do książki, w części dla popisu, w części dla ogólnego dobra.

Z pomiędzy kilkunastu ziemian żyjących dotychczas, jak dziki, jeden mógł się znać na bydle, inny na gatunku gleby, jeszcze inny na machinach. Od chwili, gdy się zejdą i rozprawiać zaczną, wiadomości jednostek staną się wspólną własnością, a korzyść z nich w niesłychany sposób potężnieje. Ktoś ma zaniedbany staw i nie wiedział, co z nim robić, gdy mu zaś inny, znający się na rzeczy, wyrachuje zyski i koszta zarybienia, wskaże punkt zbytu i t. d., właściciel stawu może zaprowadzić wzorowe gospodarstwo rybne, o które dawniéj nie dbał.

Nie koniec na tém. Ludzie bowiem zbliżeni do siebie pojęciami, uczuciami i pracą wspólną, w razie klęski wspiérać się będą, zamiast, jak dziś kiwać rozpaczliwie głowami i czekać kolei własnego upadku. I na tém jeszcze nie koniec: stowarzyszenie bowiem krzepi uczucia moralne, chroni gorszych od wystepku, a lepszym dodaje otuchy w pełnieniu cnoty. Gdyby w pewnych okolicach kraju naszego zbierano się na konferencye rolnicze, wówczas członkowie ich nie mieliby odwagi maczać rąk w nieczystéj sprawie akcyznych szacherek, nie ściągnęliby zgryzot na siebie, a złéj opinii na niewinnych współziemian.

Dotychczas znamy sprawozdania dwu podobnych konferencyj: jednę mieli rolnicy Sandomierscy, drugą Chełmscy. Piérwsza odbyła się w połowie Marca, z inicyatywy p. Łabęckiego, a pod kierunkiem p. Cichowskiego. Roztrząsano kwestyą sztucznych nawozów, przyczém ktoś z obecnych poddał wątpliwości praktyczną wartość analiz chemicznych w zastosowaniu do rolnictwa i twierdził, że tylko doświadczenia gospodarskie sprawę nawozów rozstrzygnąć mogą. Przeciw opinii téj zaprotestowano i bardzo słusznie. O tém, że pewien grunt lub nawóz nie przydaje się téj lub owéj roślinie, rozstrzyga doświadczenie zwykłe, lecz, dla poznania przyczyn złego, trzeba się do chemicznéj analizy odwołać.

Oś główną dyskusyi stanowiły nawozy zawiérające fosfór. Gospodarze sprowadzali je niekiedy ze składu materyałów aptecznych, p. Łabędzki zaś proponował użycie produktu tańszego, który on sam otrzymuje na miejscu z kości. Dla zbadania tego produktu, czterech ziemian, podjęło się w majątkach swych robić z nim próby, dwaj zaś mają wykonać doświadczenia porównawcze, na kościach przerobionych sposobem Łabędzkiego i na superfosfatach sprowadzanych ze składów.

Konferencya rolników chełmskich, odbyła się w Sielcu i odznaczyła rozmaitością. Najprzód, oglądano narzędzia rolnicze i jedno z nich postanowiono upowszechnić. Później, nastąpiły sprawozdania z pism rolniczych, a mianowicie z projektu szkoły dla gospodyń, umieszczonego w „Gospodyni wiejskiéj.“ Myśl podobnéj szkoły rzuciła, przed kilku laty jeszcze, jedna z najświatlejszych i najzacniejszych autorek naszych pani Jadwiga Ochorowiczowa, niegdyś przełożona instytutu wychowania panien. Projekt jéj nie znalazł gruntu wówczas i dopiéro dziś zwrócił uwagę członków konferencyi Chełmskiéj, którzy postanowili go poprzéć. Czy i kiedy się to stanie — niewiadomo; nawiasowo jednak wyrazimy życzenie, aby przyszli założyciele szkoły umieli dla niéj właściwą kierowniczkę wybrać, bo od takiéj osoby najwięcéj podobno zależy, a szukać jéj zbyt daleko nie potrzebują.

Z kolei przystąpiono do rotrząśnięcia projektu spółkowéj fabryki sérów, który się jednak nie utrzymał, z powodu braku bydła hodowanego na nabiał. Zwrócono przytém uwagę na szkodliwy dla gospodarstw dzisiejszych system trzypolowy, który ma na celu głównie produkcyą zboża, lecz nie dostarcza dostatecznéj ilości paszy dla bydła.

Wnioski z dyskusyi téj, przy sprzyjających okolicznościach, mogą mieć bardzo ważne następstwa. Konferujący postanowili ulepszać swoje majątki, lecz, dla uuniknięcia strat, umyślili działać wspólnie. Odtąd każdy ziemianin, mający zamiar wprowadzać reformy, wezwie innych na naradę, przedstawi im plan swój i przystąpi do wykonania, nie prędzéj, aż po wysłuchaniu rad, uwag i wszechstronnéj dyskusyi.

Program to godny uczciwych i rozumnych obywateli. Obytylko nie znudzono się nim przedwcześnie i wykonywano jak najsumienniéj! Gospodarstwa nasze można podnieść na szczebel bardzo wysoki, działać jednak potrzeba rozważnie, siłami połączonemi i zbiorowym rozumem.

Kiedy między właścicielami większymi pojawiają się tu i owdzie symptomata nowego a lepszego porządku rzeczy, jednocześnie mnożą się wskazówki rozrostu złego między klasą włościańską. Niewątpliwie polityczne i społeczne położenie téj klasy lepsze jest dziś niż dawniéj; posiadają oni własność i władzę, mimo to nie osiągają takich korzyści, jakie przy oświacie i dobrym kierunku mogłyby się stać ich udziałem.

Pijaństwo, ciemnota, trwonienie czasu, nie dość usilna praca, prawie żadna dążność do postępu i bieda, oto wrzody szpecące organizm, który radzibyśmy widzieć jak najzdrowszym. Lichwa

też trapi ich, i są okolice, w których *pięć od sta na miesiąc*, a więc $60_0/^0$ na rok nie stanowi żadnéj osobliwości.

Istnieją wprawdzie kasy gminne. W powiecie Nowo-Aleksandryjskim na przykład jest ich aż 10 z kapitałem 26.000 rs. Kapitał to mały, a zarząd nie osobliwy. Ogół obrotów wynosił 70.000 rs. i rozdzielił się między 2.600 pożyczek; wypadło więc na jednę około rs. 27, co dla włościanina w potrzebie może być pomocą, ale na powiat mający 85.000 mieszkańców, 2.600 pożyczek wcale nie wystarcza.

Korespondenci o gospodarowaniu w owych kasach piszą dziwne rzeczy. Zdarzają się wypadki, że jeden dłużnik po kilka lat trzyma pieniądze, podczas gdy innemu najmniejszéj nie udziela się zwłoki. Mówią, że za otrzymanie pożyczki trzeba nieraz posmarować szafarzowi rękę i to po lichwiarsku. Nieraz téż na listach dłużników figurują indywidua, które nie brały pieniędzy i tylko podpisane zostały krzyżami, podczas gdy kapitalikami, niby to przez nich wziętemi, skarbnicy dokonywają na własny rachunek rozmaite a zawsze zyskowne operacye finansowe.

Słowem, dzisiejszy kierunek interesów klasy włościańskiéj jest zły i na bezdroża zaprowadzić ją może. Większe zbliżenie się do inteligencyi niejedno mogłoby naprawić, lecz między obu temi warstwami istnieją zapory: niechęć, naturalnie gruntująca się na przeszłości, i nierównie gorsze od niéj rozdrażnienie sztuczne, wywołane przez żywioły zarówno obce i niechętne jednéj, jak i drugiéj stronie.

W podobném położeniu, od lat 30-tu, znajdowała się Galicya. I tam włościanin darł koty ze szlachcicem, lubił pić i próżnować. W rezultacie, straciła szlachta, stracili włościanie, straciło państwo wreszcie, a zyskali żydzi, owi straszni żydzi galicyjscy, między którymi możnaby znaleść setki Shyloków w poprawnéj edycyi.

Oto fakt, jeden z pośród wielu, który nam utkwił w pamięci.

Do lichwiarza przyszedł włościanin, prosząc go o pożyczenie 4 reńskich na opłatę podatku; na zastaw ofiarował kożuch. Żyd wziął kożuch i zaproponował układ, na mocy którego włościanin pożycza 4 reńskie na pół roku i płaci 4 reńskie procentu z góry.

Gdy otumaniony interesant zgodził się, żyd odliczył mu 4 reńskie, a następnie schował je do kieszeni, mówiąc:

— Te piéniądze to ja sobie biorę w procencie, a kapitał zwrócicie mi za pół roku.

— A mój kożuch? zapytał włościanin.

— Jak mi za pół roku przyniesiesz piéniądze, to ci kożuch zwrócę.— odparł lichwiarz.

I cóż powiécie?... Włościanin niepewny wyszedł i, dopiéro zetknąwszy się z żandarmem i opowiedziawszy mu sprawę, przy jego pomocy odzyskał kożuch.

Włosy powstają na głowie, gdy się słyszy o podobnie bezwstydnych oszustwach, przez które tysiące biedaków traciło niekiedy całe mienie.

Aby wskazać do czego lichwa doprowadziła włościan galicyjskich, przytoczymy tu krótką, lecz boleśnie wymowną tabliczkę dra Tadeusza Pilata. Z tabliczki téj okazuje się, że w czterech latach: 1867, 1868, 1873 i 1874, wystawiano majątków włościańskich na licytacyą:

Z powodu długu przenoszącego 100 złr., w 152 powiatach (1).
„ „ 100 złr., w 114 powiatach.
„ „ 50 złr , w 98 „
„ „ 25 złr., w 61 „
z powodu długu nieprzenoszącego 10 złr. (!), w 26 powiatach.

Nawiasowo dodamy, że w szczęśliwém państwie Austryackiém, wszyscy traktowali się jako pełnoletni i oświeceni, choć miliony były ciemne, i wszelkie finansowe operacye były dozwolone, choćby takowe z powodu nikczemności jednéj, a głupoty drugiéj strony, były najoczywistszą zbrodnią.

Po całych latach wreszcie w ciągu których wszystkie klasy rozdzielano i podszczuwano przeciw sobie, w ciągu których włościanin pogrążał się w dzikości, szlachcic w nieuctwie, żyd w szachrajstwie i seperatyzmie,— opamiętano się i ustanowiono prawa przeciw lichwie i pijaństwu.

Czy jednak nie zapóźno?... W każdym razie sądzimy, że co najmniéj jedno, albo i dwa pokokolenia wyrosnąć musi wśród oświaty i pod opieką praw nowych, aby w końcu ten nieszczęsny kraj doczekał się prawdziwych obywateli.

Ale wróćmy do stosunków miejscowych. Podczas gdy dorośli pozbawieni są kierunku, dzieci włościan nie mają opieki nawet w domach rodzicielskich. Ojciec i matka wychodzą na robotę, do karczmy, lub na jarmark do miasteczka odległego o mil kilka, z prosięciem wartującym pół rubla, — potomstwo zaś ich zostaje w chacie, samo choć tak małe, że niejedno chodzić dobrze nie umié. Dzięki też temu systemowi porzucania dzieci na opiekę losu, gazety nasze przepełnione są opisami strasźliwych wypad-

---

(1) Nie znaczy to, aby w Galicyi miało być tyle powiatów, jeden bowiem i ten sam powiat mógł figurować kilka, a nawet kilkanaście razy.

ków. Tu dwoje dzieci pokąsał pies, owdzie świnia, gdzieindziéj bydło na śmierć zabodło. Inne w padło w studnią, jeszcze inne wylało na siebie garnczek ukropu, a jeszcze inne, bawiąc się z ogniem, samo spłonęło i ojcowską chudobę puściło z dymem...

Czas już wielki położyć krés tym obrzydliwym wypadkom. Czyżby, ludniejsze przynajmniéj wsi nasze nie mogły się zdobyć na ochronki? Nie potrzeba tu pałaców, gdyż prosta chata wystarczy; nie potrzeba dam klasowych, gdyż uczciwa, średniego wykształcenia kobiéta najdoskonaléj pełnić może rolę opiekunki Ileż to kobiét, za pomocą igły krwawo zdobywających sobie liche utrzymanie w Warszawie,wyrzekłoby sią i tych ulic pięknych i chodników asfaltowych, dla skromnéj ale pewnéj posady—ochroniarki!

Podobno w paru gminach (wymieniano nawet ich nazwiska), sprawa wiejskich ochronek była poruszana na zebraniach. O ile słyszeliśmy, najwyższe władze krajowe są dla instytucyj tych przychylnie usposobione. Jeżeli jednak idea ta ma się zaszczepić w całym kraju, wypada, aby apostolstwa jéj podjęła się cała inteligencya wiejska: duchowni z ambony, więksi posiadacze na zebraniach gminnych, jedni i drudzy — w pogadankach sąsiedzkich.

Z nowych a ciekawych publikacyj, jakie ukazały się u nas w ostatnich czasach, na dwie szczególną zwracamy uwagę.

Piérwszą stanowi: „Wykaz rzeczy zawartych w 72 tomach Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego z lat 1837—1876“, ułożony przez Stanisława Kośmińskiego. Książka ta, formująca tom o 360 przeszło stronicach, dzieli się na trzy części: piérwsza obejmuje systematyczny spis traktowanych w Pamiętniku przedmiotów,— druga spis tych samych przedmiotów w porządku alfabetycznym,— trzecia spis autorów. Wykaz ten, o ile stanowi chlubne świadectwo cierpliwości jego twórcy, o tyle dowodzi z drugiéj strony, że mało znane ogółowi Towarzystwo Lekarskie w Warszawie, w ciągu 40-letniéj działalności, dobrze zasłużyło się wiedzy krajowéj.

Samo formowanie się Pamiętnika i dzieje Towarzystwa nie jednéj nauki moralnéj dostarczyćby mogły współczesnym. Instytucya ta z wieloma początkowo walczyć musiała trudnościami, między któremi brak pieniędzy dotkliwie czuć się dawał. Dzięki jednak wytrwałości następujących po sobie kierowników, przetrwała wszelkie kłopoty i dziś staje w obec ogółu z bardzo poważnemi rezultatami pracy naukowéj, — nie mówiąc już o tém, że posiada własną kamienicę, do któréj tak gorąco wzdychają nasze, wczoraj dopiéro poczęte instytucye.

Współcześnie wyszedł I-szy zeszyt Pamiętnika Lekarskiego na rok 1877, pod redakcyą dra Konrada Dobrskiego. W książce téj, prócz rzeczy specyalnych, dwa artykuły zasługują na szersze upowszechnienie: praca dra Tytusa Chałubińskiego, p. t. „O pedagogiczném znaczeniu Nauk przyrodniczych w humanitarném wychowaniu,“ tudzież ważna i pracowicie obrobiona rzecz dra A. M. Weinberga: „Warszawska woda do picia pod względem sanitarnym.“ O piérwszéj części rozprawy p. Weinberga, mianowicie o wodzie wodociągowéj, mówiliśmy już. Streszczenie badań wody studziennéj odkładamy na przyszłość, ze względu, że sprawa studzien toczy się jeszcze w Towarzystwie Lekarskiém.

Rozprawka „O pedagogiczném znaczeniu Nauk Przyrodniczych w humanitarném wychowaniu“ była czytana na zjeździe przyrodników i lekarzy rosyjskich w Warszawie (17 Września r. z), w nadziei, że zgromadzeni, zajmujący tak wysokie naukowe i społeczne stanowiska, nowemu pedagogicznemu kierunkowi udzielą zbiorowego poparcia. Dotychczas jednak ani o poparciu, ani o zamiarze urzeczywistnienia tych poglądów nic jakoś nie słychać.

W kwestyi téj, doktór Chałubiński zajmuje oryginalne stanowisko. Większość stronników wychowania realnego argumentowała dotychczas w sposób następujący. Ogół nie ma pieniędzy na wieloletnią edukacyą, młodzież zatém nie może tracić lat na łacinę i greczyznę, lecz musi się przygotować do wejścia w życie praktyczne, do zajęć specyalnych. Ponieważ zaś cieśla nie obejdzie się bez rysunku, piwowar téż bez chemii, ogrodnik bez botaniki, weterynarz bez zoologii, uczmy zatém dzieci tych przedmiotów, aby im na przyszłość pracę ułatwić.

Stronnicy klasycyzmu odpowiadali na to, że starożytność zostawiła nam wzory wielkich cnót obywatelskich, początki filozofii i wszelkich nauk, prześliczne zabytki literatury, i że z tych powodów trzeba się uczyć gramatyki greckiéj i łacińskiéj codzień. My osobiście, dowodzenia te uważamy jako bardzo ładne, lecz za jedyny argument uznajemy ten, że taki jest program szkolny.

Otóż w rozprawie swojéj dr. Chałubiński nie jest ani realistą, ani klasykiem, ale raczéj tym rzadkim dziś pedagogiem filozofem, któremu rutyna nie zagwoździła umysłu. Nie pyta on, jakie wzory zostawiła starożytność, ponieważ wié, że i nowsze czasy dostarczyły ich nie mało. Nie interesuje się téż rozwojem piwowarstwa lub białoskórnictwa, lecz myśli o wszechstronnym rozwoju ducha ludzkiego. „Zadaniem humanizmu, — mówi dr. Chałubiński, — *jest rozwijanie wszelkich zdolności myśli ludzkiéj bez względu na przyszłe powołanie młodzieży.*“ I wykłada daléj:

Dwa są kierunki myślenia: *syntetyczny* i *analityczny* (ośmielę się dodać, że jest i trzeci: dzisiejszy klasyczny). Jeżeli, mając figurę zwaną trójkątem, badam jéj części składowe i stosunki między niemi i dochodzę do wniosków, że: suma dwu boków w trójkącie jest większa od trzeciego, i że suma kątów równa się dwom kątom prostym, że w trójkącie równokątnym, boki muszą być równe,—wówczas myślę syntetycznie, rozumuję, czy téż wykonywam dedukcyą. Jeżeli zaś anatom za pomocą sekcyi przekonywa się, że wieloryby są podobniejsze np. do krów, koni i w ogóle ssących niż do śledzi, karpi i w ogóle ryb,—jeżeli chemik, spaliwszy brylant w tlenie, wykazuje, że jest podobniejszy do węgla kamiennego niż do kryształu górnego i t. d., wówczas ludzie ci przechodzą proces myślenia analitycznego, wykonywują indukcyą.

Myślenie dedukcyjne uczy nas wyszukiwać związków między prawdami już znanemi (że użyję porównania) wskazuje, iż między dwoma znanemi miejscowościami istnieją gościńce,—indukcya przeciwnie odkrywa nowe prawdy, nowe własności, nowe okolice i, tym sposobem, wzbogaca obszar wiedzy.

Doktór Ch. sądzi, że dzisiejsze wychowanie uwzględnia przeważnie myślenie syntetyczne, i domaga się, aby i analityczne uwzględniono. W tym celu radzi uczyć nauk przyrodniczych, ale nie z książki, nie poczynając od określeń ogólnych, lecz za pomocą przykładów, metodą *genetyczną*. Niech uczeń widzi okazy i zjawiska, a dopiéro późniéj (o ile możności sam), dowiaduje się o ich podobieństwach, różnicach i przyczynach.

W końcu radzi zająć się ułożeniem odpowiednich podręczników, tudzież zformowaniem gabinetów, którym niewiele potrzeba. Dość będzie mieć kilkanaście okazów zwierzęcych, roślinnych i mineralnych, trochę rysunków dobrych, takichże modeli, nieco szkła, kilka odczynników chemicznych i kilka narzędzi fizycznych.

System zalecany przez czcigodnego doktora nie jest wprawdzie nowością i, jako metoda poglądowa, praktykuje się przy początkowém wychowywaniu dzieci. Lecz zastosowanie jéj do wykładu nauk przyrodniczych, przeniesienie do gimnazyów w formie więcéj naukowéj, jest pomysłem niezaprzeczenie oryginalnym i nowym.

Dodać winniśmy, że poglądy te dr. Chałubiński sformułował jeszcze w r. 1861, a więc, jeżeli się nie mylimy, nawet przed ukazaniem się piérwszego dzieła Fröbla.

Aleksander Głowacki.

Ogłoszenia i przypomnienia konkursów akademickich.

Gdy nagroda 347 złr. z daru bezimiennego dawcy z Warszawy, przeznaczona *za najlepszy wynalazek lub dzieło ogłoszone drukiem z zakresu rolnictwa i gosopdarstwa wiejskiego*, dotychczas przyznaną nie została, rozpisuje się w skutek uchwały pełnego prywatnego posiedzenia Akademii z d. 2 Maja 1877 konkurs do końca Marca r. 1878, którego rezultat ogłoszonym będzie na posiedzeniu pełném publiczném d. 3 Maja r. 1878.

Gdy podobnież nagroda 347 złr. z daru tegoż bezimiennego dawcy z Warszawy, przeznaczona *za najlepszy wynalazek lub dzieło ogłoszone drukiem w przedmiocie leczenia chorób epidemicznych lub zaraźliwych ludzi lub zwierząt*, dotychczas przyznaną nie została, rozpisuje się w skutek uchwały pełnego prywatnego posiedzenia Akademii z d. 2 Maja 1877 konkurs do końca marca r. 1878, którego rezultat ogłoszonym będzie na posiedzeniu pełném publiczném d. 3 Maja r. 1878.

Gdy druga nagroda *za najlepszy opis części ziemi polskiéj* 196 złr. wynosząca nie została nikomu przysądzoną, postanowiono na posiedzeniu pełném prywatném d. 2 Maja 1877 rozpisać konkurs za „najlepszy opis części ziemi polskiéj,“ dopuszczając, aby *tenże ograniczał się do monograficznego opisu jednego miasta lub historycznie znanych miejscowości*. Prace mają być nadesłane do końca Marca r. 1878, w rękopiśmie, który pozostanie własnością autora. Nazwisko poda autor w kopercie opatrzonéj godłem powtórzoném na manuskrypcie. Ogłoszenie rezultatu nastąpi d. 3 Maja r. 1878.

Przypomina się konkurs z fundacyi imienia *Mikołaja Kopernika*, ustanowionéj przez gminę miasta Krakowa rozpisany najpóźniéj do 15 Stycznia 1878. Zadanie konkurskowe w języku polskim mieścić ma: *Obliczenie tablic biegu planety Juno.* Nagroda 500 złr. wynosząca ogłoszoną będzie d. 3 Maja r. 1878.

Przypomina się podobnież konkurs z fundacyi imienia *Samuela Bogumiła Lindego*, ustanowiony przez panią Ludwikę z Lindów Górecką, rozpisany z terminem d. 31 Grudnia roku 1878 za pracę z dziedziny lingwistyki, *mogącą w jakikolwiek sposób służyć*

za uzupełnienie słownika Lindego. Nagroda wynosząca 675 rubli przyznaną będzie pierwszych dni Maja r. 1879, wypłaconą dnia 8 Maja t. r. Przedmiot konkursu pojaśnia się w ten sposób, iż za przyczynki do słownika Lindego uważać się będą: opracowane zbiory prowincyonalizmów, monografie z zakresu gramatyki, historyi jęzka i jego związku z innemi słowiańskiemi, mianowicie starosłowieńskim.

W Krakowie, d. 10 Maja roku 1877.

Dr. J. Szujski, sekr. gen. Akad.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

Omyłki dostrzeżone w tomie 2-im.

Stronica	*wiersz*		*zamiast*	*powinno być:*
7	18 i 13	od dołu	estotes	estates
8	11	od góry	Returr	Return
12	4	„	còtes	côtes
13	1	od dołu	szykownêm	zyskownêm
15	9	„	mezzajnolo	mezzaiuolo
21	15	„	Dorfröchter	Dorfrichter
24	3	od góry	zniżenie	zelżenie
„	7	„	obawę	obrazę
„	6	od dołu	czwartą	trzecią
26	7	od góry	wyprawić	wypuścić
„	18	„	najczystszą	najczęstszą
27	5	„	opoce	epoce
28	12	„	zdemontować	zdemonetować
„	23	„	zdawał	zdarzał
„	6	od dołu	późniejszych	pieniężnych
29	17	„	wiele	wcale
„	15	„	zewnętrzną	zamienną
„	8	„	wywiązać	wywierać
30	14	„	że na	cena
„	13	„	1868	1866
31	3	od góry	złota i srebra	złoto srebro
„	15	„	unii	części
„	20	„	tam srebra	srebra
„	21	„	zebranie	zelżenie
32	5	„	pięciofrankowych	pięciofrankówek
„	7	„	100	120
„	12	od dołu	Konferencyi, skutkiem	Konferencyi. Skutkiem
34	15	od góry	możne	mocne
„	16	od dołu	pochodziło	pochodziły
„	8	„	Zakazy	Zakusy
36	11	od góry	2530	25,30
„	12	„	te	to
„	19	od dołu	przedsiębrania	przedsiębierców
37	18	„	racyą	racye
40	4	od góry	milionów	franków

Stronica	wiersz		zamiast	powinno być:
40	1	od dołu		
	w przypisku		3000000	3600000
41	3	od dołu	wnosiłaby	znosiłaby
185	13	od góry	szlacheki	szlachecki
441	4	„	celtoslawischen	lettoslawischen
443	14	od dołu	owéj	swéj
„	8	„	indologo	indologa
444	10	od góry	gruntowności	i gruntowności
445	11	„	Grosberger	Grasberger
„	15	od dołu	Uebersehung	Uebersetzung
„	3	„	Koweńskiego	Komeńskiego



Дозв. Ценз. г. Варшава 9 Іюня 1877 г.—Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka 11.